

MARIANNE CURLEY
STRAŻNICY
VERIDIANU



TOM DRUGI

MROOK

CURLEY MARIANNE

STRAŻNICY VERIDIANU 02

MROK

Isabel i Ethan, do których dołączył teraz wciąż sceptyczny wobec zadań Straży Matt, muszą udać się w podróż inną niż wszystkie. Arkarian, mistrz Ethana, został uprowadzony przez akolitów chaosu i uwięziony w koszmarnym, pełnym najbardziej nieprawdopodobnych stworzeń, świecie. Trybunał nie zgadza się na akcję ratunkową, jednak Isabel, której więź z Arkarianem jest coraz silniejsza, nie zważa na konsekwencje!

Dziewczyna namawia Ethana i swego brata, by postawili wszystko na jedną kartę i zaryzykowali przyszłość swoją i całej organizacji...



Prolog

Krzyczała, a jej krzyk rozbrzmiewał od krańca do krańca wszechświata. „Zapłacą za to” powtarzały fioletowe wargi. Lathenia, Bogini Chaosu, spoglądała przez kryształową kulę w przeszłość. Tej właśnie kuli używała, aby wywołać chaos, pozwalający na ingerencję w teraźniejszość i stworzenie przyszłości, w której świat znajdzie się u jej stóp.

Na jej oczach młody Strażnik po raz drugi przeszył sztyłem gardło jej kochanka. Znowu wrzasnęła. Jak jej żołnierze mogli stać spokojnie, pozwalając, aby jedyny mężczyzna, którego kiedykolwiek kochała, zginął?

- Dlaczego?!

Lathenia zacisnęła nieludzko długie palce na kryształ, zostawiając na nim rysy. W końcu jej ciało szarp-

nęło się po raz ostatni, wraz z ostatnim oddechem jej kochanka.

W komnacie zapadła cisza. Lathenia nienaturalnie wolnym ruchem uniosła głowę i potoczyła wzrokiem po marmurowych ścianach. W srebrnych oczach błysnął ogień.

— Zapłacą za to!

Skurczony przez podeszły wiek mężczyzna, którego oczy widziały zbyt daleko i oglądały świat zbyt długo, podszedł ostrożnie od tyłu.

- Wasza wysokość, czy pozwolisz na słowo? Lathenia odwróciła się. Rozpacz i żaloba nie były w stanie przyćmić jej nieziemskiej urody.

- O co chodzi, Keziahu? Nie widzisz, co się tam właśnie stało? Zabili go. Cóż za podstępna sztuczka, zwieść go obrazem jego córki! To pomysł Arkariana. To on jest mózgiem wszystkich ich przedsięwzięć. Dręczy mnie o sześćset lat za długo!

Keziah widywał już wcześniej swoją panią rozwścieczoną - niezwykle często - ale... Po raz pierwszy był świadkiem tak wyraźnej utraty panowania nad sobą. Wzdrygnął się. Żal i namiętność tworzyły mieszaną wybuchową.

- Powiedz, Keziahu, czyż Marduk mnie nie wielbił? Dlaczego widok jego córki, dziecka, którego nie widział od dwunastu lat, miałby go rozproszyć? To był podstęp! Co takiego go zaślepiło? - opuściła wzrok i dodała ciszej: - Może nadal kochał kobietę, która ją zrodziła?

Keziah wzdrygnął się i przechylił głowę, a śnieżnobiałe włosy opadły na uniesione, kościste ramię.

- Nie wiem, wasza wysokość, ale teraz nie pora wątpić w lojalność Marduka. Przez dwanaście lat wiele razy udowodnił, że jest najbardziej oddanym z twoich sług. Musisz jak najszybciej sprowadzić z powrotem jego śmiertelne ciało. Pamiętaj, że znajdował się w przeszłości.

Skinęła głową. Czerwone włosy, delikatne jak nici wysnute z kokonów jedwabników, splotywały po idealnie gładkiej skórze. Wyprostowała się na pełną wysokość, niemal o połowę przewyższając wzrostem przygarbionego wiekiem Keziaha, a jej palce zacisnęły się mocno w pięści. Odwróciła się do kuli i wezwała Marduka.

Jeszcze zanim martwe ciało ukazało się w całości, Bogini podbiegła do kryształowego stołu i przytuliła się do szerokiej piersi leżącego mężczyzny. Krew płynąca wciąż z rany na gardle splamiła jej rękę. Lathenia jęknęła, a jej rozpacz wypełniła okrągłą komnatę niemal materialną obecnością.

Keziah ponownie zbliżył się do niej: znał ją przez całe swoje życie, będące drobną częścią jej życia. Łagodnie dotknął jej ramienia.

— Czego chcesz?!

Keziah odchrząknął, zwilżając wysuszone i zaciśnięte gardło.

- Są jeszcze inni, wasza wysokość.

Lathenia przeszła go płonącym wzrokiem. Serce Keziaha na moment zamarło.

- Ranni, moja pani. Nie możemy pozwolić, aby zginęli w przeszłości, gdy można ich wyleczyć, aby pono wnie ct służyli To twoi żołnierze, wierni twojej sprawie.

Skinęła głową, a Keziah odetchnął. Powróciła do kuli i machnęła dłonią nad kryształem. Komnatę wypełniły jęki ciepło śmiertelnych ciał oraz zapach potu i krwi kiedy zmaterializowali się w niej żołnierze Bogini Jeden z nich, młody mężczyzna, podszedł do niej. Zatrzymał się wpół kroku, widząc wyraz oczu Lathenii. Wyzierała z nich tak głęboka rozpacz, że skłonił nisko głowę Podtrzymanie kontaktu wzrokowego wydało mu się brakiem delikatności wobec jej uczuć.

- Wasza wysokość, co mamy zrobić z rannymi? Machnęła ręką.

- Nie potrafisz sam myśleć, Bastianie? Rozkaż tym którzy trzymają się na nogach, żeby zanieśli pozostałych do komnat leczniczych.

Bastian rzucił niepewne spojrzenie na dwa martwe ciała.

- A co ze zmarłymi? - wyszeptał.

- Zostaw ich. Ich dusze wędrują już poprzez międzyświat.

Bastian zadrżał na tę myśl. Chociaż niewiele wiedział o miejscu zwanym międzyświatem, rozumiał, że jest to całkowicie odmienny świat. Dawniej myślał, że nie ma niczego oprócz Ziemi. Wiele się nauczył, przebywając w Zakonie - więcej niż kiedykolwiek zdołałby się nauczyć, gdyby nie przyjął oświecenia.

Organizując przeniesienie rannych, Bastian zorientował się, że jednego z żołnierzy brakuje.

— Zdradziła nas — Lathenia potwierdziła jego podejrzenia. — Umrze za to.

— Odnajdę ją.

— Na razie o niej zapomnij. Straż będzie ją chroniła i długo trzymała w ukryciu. Ale kiedyś nadarzy się odpowiednia okazja.

Kiedy wszyscy ranni zostali wyniesieni, Bastian skierował się do drzwi, ale Lathenia przywołała go do siebie.

— Zaczekaj, chcę z tobą porozmawiać.

Bastian zaczerpnął głęboki oddech, zaciskając mocno dłonie. Drżały, a nie chciał, żeby Bogini dostrzegła jego słabość. Nigdy nie widział Bogini tak bliskiej szaleństwa. Utrata Marduka całkowicie wytrąciła ją z równowagi. Znał już jej gwałtowny temperament, ale połączony z rozpaczą sprawiał, że serce zamarło w nim z przerażenia. Co mógł jednak zrobić, aby powstrzymać tamto ostrze przed przeszyciem gardła Marduka? Było równie ohydne, jak ostre, a przy tym posłużono się nim z wyjątkową wprawą.

— Słucham, wasza wysokość.

— Opowiedz mi, co się wydarzyło.

Jego zielone oczy na moment rozszerzyły się. Prześliznęła się spojrzeniem po gładkich białych ścianach i przelknął ślinę. Musiała przecież już wiedzieć, widziała wszystko przez swoją kulę — jak bowiem ciało Marduka znalazłoby się tak szybko na wąskim kryształowym stole?

Widząc jego wahanie, Lathenia zaczęła wrzeszczeć.

- Powiedz mi, jak najlepsi spośród moich żołnierzy mogli zostać pokonani przez taką garstkę przeciwników?! Powiedz mi, Bastianie, kim był ten, który trzymał w dłoni śmiertcionośny sztylet?!

- On... wydawał się bardzo młody, wasza wysokość.

- Zapominasz, że w przeszłości wszyscy przebywają w zmienionej postaci.

- Tak, ale... jego oczy. Było coś w jego oczach. A jak wiecie, pani, oczy się nie zmieniają...

Przerwała mu machnięciem ręki. Oczywiście, że wiedziała, jak to działa. Czyż nie ona to wszystko rozpoczęła? Poczęta pierwsza, powinna też pierwsza przyjść na świat! Dzielenie się miejscem z Lorianem było trudne od samego początku. Bezustannie popychał ją i zmieniał pozycję, aż w końcu pępowina owinęła się wokół jej szyi. Nawet ta niedogodność nie powstrzymałaby jej od wywalczenia należnego jej pierwszeństwa - ale w momencie narodzin Lorian odepchnął ją i wy dostał się na świat jako pierwszy, prosto w czułe ramiona niezwykle dumnego ojca. Dlatego musiała znaleźć sposób na przezwycięzenie trudności wynikających z tego, że przyszła na świat jako druga. Zajęło jej to całe wieki zanim wywołała chaos wystarczający do zakłócenia poczynąń brata. Przekonała się, że chaos daje jej siłę. Dowiedziała się o tym, ingerując w przeszłość. A im silniejsza się stawała, tym lepiej rozumiała, że wszystko jest możliwe, łącznie ze zdobyciem absolutnej władzy nad wszystkimi światami.

Zaczęła gromadzić armię podobnie myślących sprzymierzeńców i stworzyła przemieszczający się w czasie labirynt, zbudowany z cegieł niewidocznych dla ludzkiego oka. Nazwała swą armię Zakonem. Inni nadali im miano Zakonu Chaosu. Ale wraz ze wzrostem jej mocy rośli w siłę także jej przeciwnicy. Ustanowili Trybunał pod przywództwem Lorian i powołali straż działającą przeciwko niej. Ilekroć jej żołnierze wykorzystywali labirynt, aby udać się w przeszłość, to samo czynili żołnierze Straży, stając się przyczyną wielu jej porażek. Potrzebowała schronienia, w którym byłaby bezpieczna od ataków z rąk śmiertelnych i nieśmiertelnych, zaczęła więc budować miasto. Ale Lorian wykorzystał ukryte moce, aby przywłaszczyć sobie jej dokonania. Wykradł jej pomysły i plany. Konstrukcja stała się Cytadelą. Obecnie jej żołnierze wykorzystywali tylko przylegający do Cytadeli labirynt, w którym podróżnicy w czasie z obu organizacji zostawali wyposażeni w wiedzę potrzebną im w tych wędrówkach. Lorian kontrolował Cytadelę, ale ona pragnęła ją odzyskać! A potem zamierzała ufortyfikować ją tak, żeby nikt, nawet jej opętany żądzą władzy brat, nie zdołał jej tego odebrać. Aż wreszcie będzie mogła rządzić wszystkimi!

Oczy Lathenii spoczęły na Bastianie. Przypomniała sobie, jak stał się częścią Zakonu - samotne dziecko, żyjące w ubóstwie, obok wiecznie kłócących się rodziców. Jak bardzo pragnął dla odmiany pokrzyknąć na nich, zamiast kulić się pod prowizorycznym łóżkiem lub w cia-

snym schowku, z dłońmi przyciśniętymi mocno do uszu! Dlaczego nie mógł mieć takiego domu, jak inne dzieci z jego szkoły? Dlaczego jego rodzice nie mogli przestać krzyczeć na siebie? Dlaczego tyle pili? Ale ponad wszystko pragnął kontrolować swój świat i pragnął przyjemności, jakie świat mógł mu zaoferować.

Był też obdarzony mocą. Dlatego czekała, obserwując go. Przyszła doń w dniu, kiedy uciekł do lasu ze łzami bólu, rozpacz i frustracji spływającymi po policzkach. To był dzień jego ósmych urodzin, a rodzice postanowili się rozstać. Zapropnowała mu wszystko to, o czym marzył, a on skwapliwie przyjął jej propozycję. Dała mu nowe imię i nauczyła wielu rzeczy. Mieszkał nadal z ojcem, który pozostał pijakiem, całkowicie nieświadomym drugiego życia syna. Jej zwycięstwo było słodkie, ponieważ był to kolejny żołnierz, którego jej brat nie zdołał zwerbować jako pierwszy.

Jej myśli wróciły do terażniejszości. Zauważyła drżenie rąk Bastiana i zastanowiła się, czy nie popełniła błędu. Ale nie, był wierny Zakonowi od dnia swojej inicjacji, osiem lat temu. Dlatego zajmował tak wysoką pozycję w hierarchii. Ale dzisiaj... dzisiaj ją zawiódł. Bez ostrzeżenia uderzyła go w twarz. Siła ciosu rzuciła Bastiana na podłogę.

- Powinieneś się bardziej starać! Podniósł się.*
- Nie mogłem niczego zrobić...*
- Zawsze da się coś zrobić!*

Bastion zastanowił się szybko. Spojrzał na Keziaha.

- Myślę, że był wśród nich mag. Ta sugestia przykuła jej uwagę.

- Coś ty powiedział?

- Mag, wasza wysokość.

- Wyjaśnij!

- Ten chłopak posługiwał się jakąś formą magu. Stworzył obraz dziewczyny. To rozproszyło...

Przerwała mu gestem dłoni, ale jej oczy zwęziły się, gdy rozważała teorię Bastiana. Szybko odrzuciła ją, potrząsając głową.

- Najbardziej przypominająca maga osoba, jaką obecnie dysponuje Straż, to mężczyzna imieniem Arkanan. Wypatruj go, Bastianie, gdyż jest on ich skarbem. Bez niego byłiby niczym. Ale chociaż ma liczne talenty, nawet on nie potrafi posługiwać się magią. Keziah jest ostatnim z wymierającej rasy. Był niegdyś jeszcze ktoś, kto władał magią, ale Lorian poczuł się przez niego zagrożony i pozbył się go.

- Jak miałbym rozpoznać ten „skarb”, wasza wysokość. Uniósł jedną ze swych delikatnych brwi.

- Rozpoznasz Arkariana po niebieskich włosach i jw-letowych oczach. Trudno ich nie zauważyć w świecie śmiertelników, oczywiście gdyby kiedykolwiek miał powody, by się tam pojawić. Mieszka obecnie w Cytadeli, ale jego pracownia znajduje się w pobliżu Vendianu.

- Czego ode mnie oczekujesz, jeśli kiedykolwiek go spotkam?

Roześmiała się drwiąco, a dłonie Bastiana znowu zadrżały.

- Myślisz, że Arkarian przyjdzie zapukać do naszych drzwi? Żyje od sześciuset lat i wiele zdążył się przez ten czas nauczyć, więc nie wolno ci lekceważyć jego umiejętności. I niech cię nie zwiedzie długość jego życia: przestał się starzeć, gdy ukończył osiemnaście lat. Wiedz, Bastia-nie, że bieg czasu nie wpłynął na Arkariana w żaden sposób, poza zmianą barwy jego włosów i oczu. Nawet gdyby pojawił się przed tobą, zawiódłbyś żałośnie, tak jak zawiódłeś... - urwała, bo nagle myśl podniosła ją na duchu i podsunęła pomysł odwetu. - Czekaj. - Popatrzyła na Bastiana z bezpośredniością, która sprawiła, że odwrócił wzrok. - Może mimo dzisiejszych porażek zdołasz mi się jeszcze do czegoś przydać.

Nisko skłonił głowę.

- Oddaję się w twoje ręce, wasza wysokość. Powiedz mi, co mam zrobić.

Popatrzyła prosto w oczy chłopaka. Całe jego ciało zadrżało.

- Chcę, abyś nie zdradzając własnej tożsamości, przyniósł mi prawdziwe imię jednego z Wezwanych.

- Wezwanych, wasza wysokość?

- Tak. I nie patrz na mnie tak bezmyślnie. Wezwani to wyselekcjonowana grupa dziewięciu Strażników Czasu. Elitarna jednostka Straży, armii stworzonej w celu chronienia Ziemi... no cóż, przede mną. - Zaśmiała się szyderczo. - Zgodnie z Proroctwem, Wezwani są żoł-

niezami, którzy staną do walki ze mną. Do tego czasu ich zadaniem jest chronienie Veridianu. Pewnego dnia pojawi się ich król, ale na razie mają Arkariana. Lathenia popatrzyła z namysłem na Bastiana. -Jest wiele jednostek Straży, każda dowodzona przez jednego z członków Trybunału. To właśnie członkowie Trybunału zarządzają sektorami Ziemi, wykorzystując do tego swoich żołnierzy. Razem tworzą radę, ale są zwykłymi głupcami, Bastianie, ponieważ to Lorian podejmuje wszystkie decyzje. Skinął głową, przyjmując to do wiadomości. -Jak myślisz, czemu tak wielu moich i ich żołnierzy pochodzi z małej miejsciny zwanej Angel Falls? - ciągnęła Lathenia. Bastian potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia.

- Ponieważ Angel Falls osłania Veridian, a Veridian jest wszystkim! Kryje w sobie moc, Bastianie. Niegdyś było to najpotężniejsze miasto we wszystkich światach, na tak zaawansowanym poziomie cywilizacji, że wasza ziemską techniką dotąd nie zbliżyła się do niego.

Bastian z trudem odwzajemnił spojrzenie Bogini.

- Gdzie znajduje się to miasto? Czy mogę je zobaczyć?

- Miasto leży pod jeziorem w okolicy Angel Falls. To jeszcze jedna rzecz, którą ukrywa przede mną Lorian. Ale pewnego dnia -już niebawem - odnajdę do niego drogę i zdobędę jego tajemnice.

— Czy w tym mieście jest coś, czego szczególnie pragniesz, wasza wysokość?

Oczy Lathenii zalsniły, gdy patrzyła na młodzieńca. Był bystrzejszy niż się spodziewała. Być może jego drugi talent zaczął się w końcu objawiać.

— To klucz w kształcie ośmio bocznej piramidy. Jeśli go znajdziesz, Bastianie, uczynię cię królem i dam ci we władanie bezkresną krainę. Ale zapamiętaj moje ostrzeżenie: ten klucz ma moc zdolną zabić każdego śmiertelnika, który go dotknie.

Bastian przełknął ślinę, a jego myśli zajęła wizja władzy królewskiej. Idea władania własną krainą kusila splendorem. A teraz, kiedy Marduka... no, już nie było, być może jego talenty zostaną bardziej docenione.

— To musi być niezwykle ważny klucz, wasza wysokość. Czy otwiera skrzynię skarbów?

Prychnęła z powodu naiwności chłopaka.

— Można by tak to nazwać. Ale to nie są skarby, które przyniosą ci bogactwo, Bastianie. To skarbiec z bronią. Najlepszą i najpotężniejszą, jaką można znaleźć we wszystkich światach.

Zapadła chwila ciszy, a spojrzenie Lathenii powędrowało z powrotem do nieruchomego ciała jej ukochanego. Bastian patrzył, jak Bogini kładzie dłonie o niezwykłych palcach na splamionej krwią piersi najwyższego w hierarchii mistrza Zakonu.

— Nie myśl teraz o kluczu, Bastianie. Ani też o Arkarianie. Ja się nim zajmę. Ty nie masz dość mocy, przy-

najmniej jeszcze nie w tej chwili. A on jest znacznie bardziej utalentowany od przeciętnego członka Straży. Mam w związku z nim plany, które niebawem zaczną wcielać w życie. Ale tobie zlecam misję. Niezwykle ważną. -Jestem twoim pokornym sługą.

- Przynieś mi imię tego, którego dłoń dzierżyła sztylet, zabójczy dla Marduka. - Lathenia odwróciła głowę, przesywając Bastiana lodowatym spojrzeniem. - Może to nawet ktoś, kto chodzi do twojej ziemskiej szkoły. Znajdź go! Zrozumiałeś, Bastianie?

Bastian skinął głową i odetchnął głęboko.

- Tak, wasza wysokość. Mam przynieść ci imię mordercy Marduka.

Częściowo pocieszona samą myślą o zemście, Lathenia skierowała teraz uwagę na leżące przed nią ciało Marduka. Ogarnęła ją fala żalu, gdy delikatnie przesunęła palcami po zniekształconej połowie jego twarzy, pustym oczodole i okaleczonych ustach: starych bliznach po walce z jednym z Wezwanych. Delikatnie pocałowała jego szramy.

- Świat zapłaci za tę śmierć. Podzielać moją żalobę. Zobacz mój gniew.

- Tak się stanie, wasza wysokość- przypomniał o swojej obecności Keziah.

Spojrzała na skurczonego starca, widząc, że ma on jeszcze coś do powiedzenia.

- Ale być może, moja pani, za niewielką cenę... -palcami lewej ręki uczynił gest oznaczający pieniądze

- można zrobić coś, aby złagodzić twój ból.

Uniosła ramiona i podbródek.

— Mów, Keziahu. I lepiej, aby twoje życie było warte słów, które mają płynąć z twoich pomarszczonych warg.

Zakasał w stulone dłonie, w jego płucach rozległy się świszczące i grzechoczące odgłosy. W końcu odzyskał oddech.

— Jeśli jesteś gotowa udać się w podróż w poszukiwaniu duszy ukochanego...

— Uczynię wszystko, aby go ocalić. Wytłumacz szybko, moja cierpliwość dzisiaj została poważnie nadwyrężona.

— Międzyświat, wasza wysokość. Miejsce, przez które wędruje dusza Marduka w poszukiwaniu białego mostu, mogącego poprowadzić go do miejsca ostatecznego przeznaczenia.

— Ależ oczywiście! Zginął w śmiertelnym ciele, znajdując się w przeszłości! Jeśli odnajdziemy go na czas, Keziahu, zanim przekroczy most... — jej słowa brzmiały chaotycznie, ale sens był jasny: istniała szansa, by Marduk powrócił do życia. Sama myśl o tym ścisnęła jej nieśmiertelne serce.

— Będziemy potrzebowali twojego wsparcia, by się tam udać, wasza wysokość. Być może twoje ogary pozwolą nam szybko go odnaleźć.

— Nie potrzebuję do tego ogarów — skwitowała ten pomysł. — Rozpoznam go w każdym świecie.

— Jest jeszcze jedno — powiedział z ociąganiem Keziah.

— Mów prędzej, starcze!

- Twój głos musi być głosem osoby mu przeznaczonej, inaczej nie zawróci.

Uśmiechnęła się i bez słowa przeniosła ich do pełnego szarych, poskręcanych drzew lasu - także Bastiana, aby nabrał doświadczenia.

Panował tu taki chłód, że chłopak zadrżał na całym ciele,

- Jesteś pewien, że dusza Marduka przebywa w tym miejscu, Keziahu?

Keziah prychnął, a Bogini ruszyła naprzód, jakby sama była ogarem tropiącym zapach rannego królika.

- Wątpisz we mnie, Bastianie?- odparł Keziah.

- Nie podoba mi się to miejsce. Wszystko jest takie...

- Monotonne?

- Chciałem powiedzieć: pozbawione barw. - Rozejrzał się dookoła. - Jak daleko od...-nie skończył zdania. Jego oczy nagle rozszerzyły się gwałtownie i zaczęły wpatrywać jak zahipnotyzowane w jeden punkt. Wrzasnął i zasłonił twarz oboma rękoma.

Keziah zauważył jego przerażenie.

- Uspokój myśli-pouczył chłopaka. - W tym świecie twoje lęki przybierają postać materialną.

Bastian powoli opuścił ręce. Kiedy znów się rozejrzał, węże zniknęły, a on mógł odetchnąć z ulgą. Keziah przyjrzał mu się uważnie.

- Trzymaj się blisko mnie. Wracamy, kiedy tylko znajdziemy Marduka. Lepiej, żebyś nie został tutaj przez przypadek, bo wątpię, by Bogini chciało się wracać po ciebie.

Oczy Bastiana rozszerzyły się. Zatarł ręce, próbując je trochę rozgrzać.

- Mam nadzieję, że szybko znajdziemy Marduka.

Zerwał srebrzyste pnącze, zagradzające mu drogę i przekonał się, że musi biec, aby dotrzymać kroku pozostałym. Nawet stary Keziah ze świszczącym oddechem był już daleko przed nim.

Bastian miał wrażenie, że zatrzymali się dopiero wiele godzin i wiele kilometrów dalej, chociaż nie umiał sobie wyobrazić, jak to możliwe. Zobaczył szeroki grzbiet ogromnej, przygarbionej bestii, ale nie zwrócił na nią uwagi, ponieważ przez ostatnie godziny widział wiele dziwnie wyglądających istot. Niektóre były przerażające, inne po prostu żałosne. Dmuchając na zlodowaciałe palce i próbując uchronić je od odmrożeń, Bastian rozejrzał się po okolicy. Obok płynęła szeroka rzeka, oczywiście szara. Otaczała ją ogromna, niemal bezkresna dolina. Zastanowił się nagle, czemu się zatrzymali, ale wtedy usłyszał, że Bogini wykrzykuje imię, na które czekał od kilku godzin.

- Marduku!

Przygarbiona bestia przed nimi zatrzymała się i odwróciła powoli. Z nagłym ściśnięciem płuc Bastian uświadomił sobie, że ta istota - ta bestia - to w rzeczywistości Marduk, zmieniony nie do poznania. Potworny widok sprawił, że cofnął się, tracąc równowagę na szarym glazie.

- Wasza wysokość - syknął, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Spróbował się znowu odezwać, ale

*musiał najpierw zwilżyć wargi wyschniętym językiem. -
Wasza wysokość, czy... czy jesteś pewna, że pragniesz
sprowadzić z powrotem... to?*

*Nie odpowiedziała. Bastian zobaczył, że przełknęła łzy, a
jej oczy zwilgotniały. Odetchnął cicho, czując, że serce mu wali
głośno w klatce piersiowej. Rozpacz na twarzy Bogini -jej łzy!-
coś, czego nie widział u niej nigdy wcześniej i nie przypuszczał,
że jest do tego zdolna - zaszokowały go.*

W końcu odetchnęła głęboko.

*- Drogo za to zapłacą. Zapłacą krwią, strachem i życiem
wielu spośród nich.*

Rozdział 1

Isabel

Nigdzie już nie byliśmy bezpieczni. Co kilka tygodni zmienialiśmy miejsce treningów. Dzisiaj przyszliśmy na otwartą przełęcz ponad siedzibą Arkariana, chociaż jego siedziba, ukryta we wnętrzu góry, była oczywiście niewidoczna. Prowadziło do niej sekretne wejście, niewidoczne z zewnątrz i otwierające się na rozkaz - zwykle tylko samego Arkariana. Straż musiała zachować absolutną tajność działań, nasze życie było bowiem stale zagrożone. Od śmierci Marduka - czyli dokładnie od roku - wszystko się zmieniło.

Marduk chciał wykorzystać mojego brata Matta jako przynętę, tymczasem zaś, dzięki temu planowi Matt został przyjęty do Straży, zanim jeszcze był na to gotowy. Marduk niegdyś zabił Serę, siostrę Ethana, pragnąc

choć trochę zaspokoić swe pragnienie zemsty za to, że ojciec Ethana okaleczył jego twarz w pojedynku. To właśnie tamten konflikt sprawił, że Marduk z jednego z najbardziej zaufanych Strażników stał się zdrajcą.

Wstrząsnął mną zimny dreszcz na wspomnienie, jak niewiele brakowało, żebyśmy tyle stracili. Choćby mojego brata. Matt nie wiedział wtedy niczego o Straży, której teraz był członkiem. No, w każdym razie starał się nim być. Ethan został jego nauczycielem, ale wydaje mi się, że Matt okazał się Uczniem przysparzającym niemałych frustracji.

Zwykle nie przychodziłam obserwować treningów, chyba że sama brałam w nich udział, ale dzisiaj Ethan poprosił, żebym oceniła postępy Matta. Byłoby ryzykowne, gdyby cała nasza trójka zbyt często zniknęła razem po szkole. Nasz nauczyciel historii, profesor Carter, który także należał do Wezwanych, bezustannie nas przed tym przestrzegał. „To mogłoby przyciągać uwagę - powtarzał. - Nigdy nie macie pewności, kto was obserwuje”.

Znaliśmy nawzajem swoje prawdziwe tożsamości, musiały one jednak pozostać ukryte przed członkami Zakonu, którzy mogli kręcić się w pobliżu. To mógł być ktoś ze szkoły, tak naprawdę nawet ktoś z naszych „przyjaciół”. Sama myśl o tym sprawiła, że znowu wstrząsnęły mną dreszcze. Potarłam ramiona, żeby pozbyć się gęsiej skórki pod swetrem. Pierwszy śnieg jeszcze nie spadł, ale wraz ze zbliżaniem się zimy ro-

biło się coraz chłodniej. Po prostu chciałam, żeby ten dzień szybciej się skończył. Nie mogłam się pozbyć nieprzyjemnego uczucia, że coś pójdzie nie tak.

- Isabel, wszystko okej? Mam kurtkę w plecaku, może ją założysz?

Jęknęłam cicho pod nosem. To był oczywiście cały Matt, jak zwykle nadopiekuńczy. Kiedy wreszcie zrozumie, że jestem od niego tylko o rok młodsza i potrafię zadbać o siebie? Czy udowadnianie tego nie wypełniało prawie całego mojego życia?

- Nie jest mi zimno!

Rzucił mi długie, przygnębione spojrzenie z gatunku „kiedy ona wreszcie dorośnie”, sprawiając, że krew się we mnie zagotowała. Odetchnęłam głęboko i powtórzyłam sobie, że on taki już jest. Nie chodzi tylko o tę nadopiekuńczość wobec mnie. On po prostu bardzo poważnie traktuje to, co uznaje za swoje obowiązki. Na przykład opiekowanie się mamą. Dlatego tak bardzo nie znosi jej faceta, Jimmy'ego, mimo że on także jest członkiem Straży (Mama nie jest i nie może się o niczym dowiedzieć).

Może dlatego Matt został wybrany. To znaczy: wskazany przez Proroctwo, aby być naszym przywódcą. Arkarian nam to wyjaśnił, ale nie jestem całkiem przekonana, czy mówienie o tym Mattowi było dobrym pomysłem. Mnie Proroctwo zostało pokazane dopiero wtedy, kiedy potrafiłam sobie poradzić z taką wiedzą. Ethan szturchnął Matta łokciem.

- No dalej, mamy dzisiaj mnóstwo do zrobienia.

Matt syknął przez zęby i ze złością przewrócił oczami. Wiedział, że chociaż nauka sztuk walki po tylu treningach idzie mu nieźle, jego prawdziwą siłą powinny stać się talenty - moce. Jednakże jak dotąd nie przejawiał nawet cienia paranormalnych zdolności. Znałam swojego brata jak zły szeląg. Został wciągnięty do Straży przedwcześnie - nie dało się tego uniknąć. Ale teraz był tutaj, nieprzygotowany, bez śladu jakichkolwiek mocy nawet po całym roku! Nic dziwnego, że czuł się nie na miejscu.

Po części rozumiałam, przez co przechodzi. Jak dotąd ujawniła się tylko jedna z moich mocy - dar leczenia. Miałam jeszcze jedną, może nawet dwie, ale nie wiedziałam, na czym miałyby polegać. Ale użyteczność mocy uzdrowicielskich sprawiała mi satysfakcję; dzięki nim czułam, że moja obecność w Straży ma sens.

Za to talenty Ethana były niesamowite. Potrafił tworzyć iluzje, mógł też przesuwać przedmioty tylko siłą woli. I na swoje szczęście miał też trzeci talent, instynktowną wiarę w Proroctwo. W zeszłym roku zgromadzony w Atenach Trybunał był świadkiem, jak w nagrodę za wierną służbę Lorian obdarzył go mocą lotu. To nie znaczy, że Ethan mógł teraz fruwać jak ptak - chodzi o zdolność błyskawicznego przenoszenia się z miejsca na miejsce. Minał już cały rok, a Ethan nadal nie w pełni opanował umiejętność korzystania ze skrzydeł. Niedawno przeniósł się prosto

na krowie pastwisko, lądując po kostki w świeżym, parującym placku. Kiedy wraz z Mattem dotarliśmy na miejsce, nie mogliśmy się przestać śmiać przez godzinę.

Najgorsze, że chociaż Matt był dobrze zbudowany, nigdy nie uprawiał żadnego sportu i nie miał pojęcia o samoobronie. Ja od zawsze pasjonowałam się sportami na świeżym powietrzu, ale jego interesowało tylko opiekowanie się mną. Teraz najwyraźniej nie potrafił uspokoić myśli na tyle, żeby się skoncentrować.

- Nie przejmuj się, Matt - Ethan spróbował go pocieszyć. - Twoje moce ujawnią się we właściwym czasie.

Matt cisnął miecz ostrzem w miękką, porośniętą trawą ziemię.

- Łatwo ci mówić. Ponieważ nie mam żadnych mocy, Arkarian nie chce mnie puścić na misję. Wiesz, jakie to uczucie? - Nie czekał na odpowiedź Ethana. - Nie, nie wiesz. Ty dostawałeś misje, kiedy miałeś... ile? Dwa lata?

Ethan nie zdołał powściągnąć uśmiechu. Był dumny ze swoich dokonań, chociaż starał się nimi nie przechwalać. Między tymi dwoma nie zawsze się układało - dopiero kiedy Matt został Uczniem Ethana, zaczęli odbudowywać wzajemne zaufanie, ale był to powolny proces. Nie umiałam powiedzieć, czy kiedykolwiek wrócą do przyjaźni łączącej ich w dzieciństwie. Wszystko się zmieniło, kiedy w szkole pojawiła

się Rochelle, w której Matt zakochał się od pierwszego wejrzenia. Niestety Ethan także, ale Rochelle wybrała Matta i byli razem przez półtora roku, a Ethan został odsunięty na bok. Potem jednak okazało się, że Rochelle tylko udawała uczucie do Matta. Pracowała dla Zakonu. Marduk był jej przełożonym, a częścią jego planu zemsty było rozbicie przez Rochelle przyjaźni Ethana i Matta w drzazgi. Dobrze odegrała swoją rolę, ale podczas zeszłorocznej bitwy we Francji sprzeciwiła się woli Marduka i ocaliła życie Mattowi. Mimo wszystko Matt nie potrafił do końca zapomnieć o dawnych urazach. Sytuacji nie poprawiało to, że Rochelle od tamtego czasu się ukrywała. Nie była już członkinią Zakonu - przeszła na naszą stronę i postanowiła dołączyć do Straży. Stanowczo powinni kiedyś pogadać, inaczej Mattowi nigdy do końca nie ulży.

- Cztery - zaczął się tłumaczyć Ethan. - Miałem cztery lata, kiedy Arkarian pokazał mi ten drugi świat. Ale zanim nie skończyłem pięciu, nie puszczano mnie na żadną misję. Musiał minąć cały rok.

Matt prychnął i zmienił taktykę, żeby uzasadnić swoje stanowisko.

- Isabel dostała misję zaledwie po trzech tygodniach treningu.

- Ale władała już jednym ze swoich talentów. -Tak, uzdrowicielskim! Nieszczerólnie by jej to pomogło w niebezpieczeństwie.

- Była też bardzo wysportowana - dodał Ethan. Matt mruknął coś, przyjmując to do wiadomości.

Spojrzał w bok, na mnie siedzącą na kocu z podkulonymi nogami.

- Wiem, że Isabel jest inna. Ona jest... Ethan także na mnie popatrzył.

- Wybrykiem natury.

Nie miał na myśli niczego złego, szczerzył się od ucha do ucha. Dawniej brałam coś takiego za próby flirtu, łatwo było się pomylić. Ethan i ja spędzaliśmy razem mnóstwo czasu i, cóż, naprawdę go lubiłam. Jak przez większość życia. Ale Ethan bardzo jasno dał mi do zrozumienia, że nie jest mną zainteresowany jako dziewczyną. Byliśmy tylko przyjaciółmi, naprawdę dobrymi przyjaciółmi. To mi wystarczało. Był ktoś inny, o kim zaczęłam myśleć, ale — no trudno - tamten związek także raczej nie miał szans.

- Wiem - Matt zgodził się z opinią Ethana na mój temat. - A mimo wszystko jest wysyłana na misje.

- Ale nie sama - wtrąciłam tonem wyrzutu. To było coś, co nie dawało mi spokoju. Okej, poza uzdrawianiem nie miałam nadprzyrodzonych mocy, ale jak długo musiałam udowodniać Trybunałowi, że umiem zadbać o siebie? Jasne, nie sprawiam wrażenia silnej, jestem niska i w ogóle, ale gdyby tylko dali mi szansę...

- Po prostu nie rozumiem, jak ktoś może być aż tak sprawny fizycznie - usłyszałam głos Ethana. - Czy

istnieje cokolwiek, czego twoja siostra nie doszlifowałaby do perfekcji albo przynajmniej nie próbowała aż do utraty tchu?

Już miałam powiedzieć „bardzo śmieszne”, ale nie zdążyłam ubrać tej myśli w słowa. Poczułam w głowie nagłą eksplozję bólu. Przycisnęłam dłonie do twarzy i upadłam na ziemię. Zawołałabym o pomoc, ale ból był tak silny, że jedynym dźwiękiem, jaki mogłam z siebie wydobyć, był zduszony jęk z głębi gardła.

- Isabel?

To był chyba głos Matta, ale w mojej głowie działo się coś dziwnego i potężnego. Otworzyłam oczy i zobaczyłam tylko oślepiająco białe światło. Przeraziło mnie tak, że znowu zacisnęłam powieki.

- O szlag!

- Isabel!

Matt i Ethan podbiegli do mnie, próbowali pomóc mi usiąść, ale światło i ból były za silne i nie pozwalały mi się ruszyć.

- Coś... coś jest nie tak.

- Co się dzieje? - krzyknął Matt. - Leć po pomoc! - wrzasnął do Ethana.

Ethan objął mnie ramieniem i ostrożnie potrząsnął.

- Możesz powiedzieć, co się z tobą dzieje?

- Białe światło. Ból. Coś jest nie tak.

- Co ty wyprawiasz?! - Matt napadł na Ethana. - Nie widzisz, że ona cierpi? Jak chcesz jej pomóc?

- Daj mi chwilę, Matt - odparł Ethan. - Spróbuj się odprężyć - powiedział do mnie.

Próbowałam się zmusić i odprężyć zgodnie z jego słowami, ale ból w głowie był zbyt silny.

- Nie mogę.

- Spróbuj jeszcze raz. Nie walcz z tym, cokolwiek to jest.

Ból jakimś cudem osłabł i poczułam, że coś się zmienia. Światło przygasło, z jaskrawobiałego stając się szare, a w końcu zaczął się kształtować obraz.

- Co się, do cholery, dzieje?! - w głosie Matta brzmiała panika.

- Czekać - zdołałam wyszeptać, unosząc rękę, żeby uspokoić lęki Matta. - Nic mi nie jest.

Kiedy udało mi się usiąść, obrazy w mojej głowie stały się wyraźniejsze. Przez kilka sekund przesuwały się przed moimi oczami jak film, który jednocześnie widziałam i czułam. Odruchowo objęłam tułów ramionami. Obrazy niosły ze sobą niepokojące wrażenie grozy i rozpacz.

W końcu znikły, a rytm mojego serca stał się wolniejszy, wciąż jednak nie byłam w stanie powstrzymać drżenia, które ogarnęło mnie całą. Popatrzyłam wprost w niebo. Było błękitne, z kilkoma cirrusami tworzącymi się nad północnym horyzontem. Przez moment miałam wrażenie, że widzę coś tam w górze, jakby światło zygzakowatej błyskawicy o niezwykłych barwach, ale to było niemożliwe. Jednakże mroczne

obrazy, które właśnie zobaczyłam, pozostawiły po sobie dziwaczne przeczucie nadciągającej katastrofy - katastrofy, która miała nadejść z nieba!

Dla równowagi wbiłam palce w ręce Etbana i Matta, po czym szybko wstałam.

- Musimy stąd uciekać!

- Co? - Matt rozejrzał się z ogłupiałym wyrazem twarzy. - Co się z tobą dzieje? Przed chwilą śmiertelnie mnie wystraszyłaś.

Pociągnęłam ich za ręce. Nie byłam w stanie przekazać im uczucia, którego właśnie doświadczałam ani wrażenia zbliżającego się nieszczęścia, które ogarnęło mnie po zniknięciu tych dziwnych obrazów.

-Po prostu chodźcie. Szybko.

Znowu popatrzyłam na niebo. Niepokój stał się nie do wytrzymania: czułam potrzebę jak najszybszej ucieczki z otwartej przestrzeni.

- Musimy znaleźć schronienie.

Matt usztywnił ramiona i oparł ręce na biodrach.

- O czym ty mówisz? Minutę temu miałem dzwonić po karetkę, a teraz wyglądasz, jakbyś chciała przebiec maraton.

Ethana łatwiej było przekonać. Chwilę się zastanawiał i wskazał kierunek północny.

- Tam jest jaskinia. Tylko kilka minut drogi przez las.

- O co tu biega? - Matt niczego nie rozumiał i z każdą chwilą był bardziej wytrącony z równowagi. - Niech mi ktoś wyjaśni.

Ethan rzucił mu niecierpliwe spojrzenie.

- Nie ma czasu na wyjaśnienia. Rób, co mówimy. Pociągnęłam Ethana za rękę, ale kiedy już miałam

zerwać się do biegu, ogarnął mnie nagły chłód. Miałam wrażenie, że krew w żyłach zamienia mi się w lód. Każdy włoszek na moim ciele stanął nagle dęba, łącznie z włosami na głowie!

- Co się dzieje?! - krzyknął Ethan, bo jego włosy i włosy Matta zachowywały się tak samo. - Coś jest w powietrzu!

Zaczął szybko zbierać nasze rzeczy: pled, plecak, kubki, z których piliśmy. Złapałam go za rękę.

- Nie mamy czasu. Potem po to wrócimy, okej?

Rzucił wszystko na ziemię i ruszył biegiem, pilnując, żeby cały czas mieć przed sobą Matta. Ale nie zdążyliśmy się oddalić, gdy nagły dźwięk sprawił, że stanęliśmy jak wryci i spojrzeliśmy w stronę jego źródła - w niebo nad naszymi głowami. Dźwięk rozległ się ponownie, tym razem tak głośno, że musieliśmy zakryć uszy. Brzmiało to, jakby ktoś rozszarpał kawałek jedwabiu na tysiące nici.

- Co to ma...? - mruknął Matt, wpatrując się w niebo.

Gdzieś w głębi duszy wiedziałam, że powinniśmy biec w poszukiwaniu schronienia, ale niebo całkowicie nas zahipnotyzowało. Nadal było błękitne, choć w jednym miejscu, niemal dokładnie nad naszymi

głowami, działało się coś dziwnego. Coś zaczęło spadać.

- Kryć się! - krzyknął Ethan. Padliśmy na ziemię.

Cokolwiek to jednak było, nie doleciało do ziemi. Kiedy odważyliśmy się podnieść głowy, zobaczyliśmy coś, co przypominało głęboką, ciemną dziurę w niebie.

- Co to może być? - zastanowił się Ethan.

Na naszych oczach dziura w niebie zacisnęła się, jakby nabierała oddechu. A potem wystrzeliły z niej chmury — jeśli tak można je nazwać - gęste, czarne i lśniące jak ropa tryskająca z głębi skał. Znowu padliśmy na ziemię, ale nie było tu bezpiecznie, więc szybko zerwaliśmy się z powrotem.

W kilka sekund czarne chmury nadciągnęły nad przełęcz, sprawiając, że wszystko wokół pociemniało. Niebo przeszła błyskawica w zdumiewających barwach fioletu, zieleni, żółci i intensywnej czerwieni, rozszczepiająca się w tysiące delikatnych nitek.

Ethan potrząsnął mną i podniósł głos, żeby przekrzyczeć nagły podmuch silnego wiatru.

- Biegiem!

Ruszyliśmy tak szybko, jak było to możliwe, żeby się nie przewrócić, ale jaskinia, o której mówił Ethan, nadal znajdowała się za daleko. Nie mieliśmy szans do niej zdążyć. Grzmot, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałam, wstrząsnął ziemią, sprawiając, że zaczęliśmy się potykać o otwierające się nagle szczeliny. Powietrze

zgęstniało, zaczął padać grad. I nie był to zwyczajny grad - lodowato zimny, ale także kanciasty i ciężki, przypominał wielkie kamienie o ostrych krawędziach. Kiedy uderzył w coś, wybuchał, pozostawiając wypaloną dziurę. Zupełnie jakby lód składał się z jakiejś niestabilnej materii - przynajmniej niestabilnej w naszym świecie.

- Masz! - wrzasnął Matt. Zdarł z siebie koszulę i narzucił mi ją na głowę. Przesunęłam się tak, żeby przykryła nas oboje, a kiedy podniosłam głowę, zobaczyłam, że Ethan robi to samo. Teraz osłaniały mnie dwie warstwy tkaniny. Nie wierzyłam, żeby to wiele dało, ale warto było spróbować wszystkiego, co mogło ochronić nas przed dziwnym, wybuchającym gradem.

-Tylko popatrzcie - Matt trzymał głowę nisko opuszczoną. - Ten grad wznieca ogień.

- Trudno uwierzyć - Ethan sprawiał wrażenie oszołomionego. - Spójrzcie na te dziury w ziemi.

Cały czas biegliśmy, przeskakując coraz liczniejsze dziury, ale każdy krok był trudniejszy. Niebo pociemniało jeszcze bardziej; łatwiej byłoby uwierzyć, że zbliża się północ, niż że jest czwarta po południu. Kiedy grad i ogłuszające grzmoty nasiliły się, zauważyłam, że koszule nad moją głowę stają się czerwone. Chłopcy osłaniali mnie własnymi ramionami, przyjmując na siebie większość uderzeń gradu! Wrzasnęłam i pociągnęłam za koszulę, próbując znaleźć ich ręce.

- Przestańcie, idioci! Sama o siebie zadbam! Zignorowali mnie i celowo trzymali ramiona poza moim zasięgiem.

Linia drzew na wprost nas zaczęła się zbliżać, a perspektywa znalezienia schronienia pod okapem lasu sprawiła, że zmusiliśmy nasze zmęczone nogi do wzmożenia wysiłków. Kiedy już do nich dobiegaliśmy, fioletowa błyskawica przemknęła nad naszymi głowami, trafiając w drzewo tuż przed nami. Siła wybuchu poderwała nas w powietrze na wysokość kilku metrów. Wylądowaliśmy na czworakach, chwilowo zdezorientowani, a gdybym miała sądzić po sobie -także oślepieni i ogłuszeni. Jakoś doczołgaliśmy się do granicy lasu, omijając drzewo, z którego pozostał tylko spękany, płonący pniak. Dzwonienie w uszach powoli osłabło i zaczęłam znowu słyszeć.

Korony drzew chroniły trochę przed gradem, ale burza nasiliła się, wyrywając drzewa z korzeniami i przetaczając głazy, z których poruszeniem miałby trudności dwudziestotonowy dźwig. Zupełnie jakby ta nawałnica miała konkretny cel, a tym celem było połknięcie nas w całości!

- Chodź! - Ethan szarpnął mnie za rękę. - Chyba tędy.

Zobaczyłam, dokąd się kieruje, szybciej niż on sam był to w stanie dostrzec. Było tu tak ciemno, że Ethan i Matt mogli widzieć na odległość najwyżej kilku kroków. Dzięki darowi widzenia, którym w zeszłym roku

obdarzyła mnie lady Arabella podczas mojej inicjacji w Atenach, radziłam sobie znacznie lepiej. Przejęłam prowadzenie i chwilę później znaleźliśmy kryjówkę pod skalnym nawisem u wejścia do jaskini Ethana.

Nareszcie mogliśmy spróbować złapać oddech. Ethan i Matt skulili się na skalnym podłożu. Grad pozostawił okropne ślady na górnej połowie ciała, twarzach, ramionach i głowach. Obaj krwawili z licznych ran, ale gorsze były oparzenia. A sądząc po tym, jak Ethan trzymał głowę, mógł mieć lekki wstrząs mózgowy.

Postarałam się jak najszybciej uspokoić oddech i od razu zaczęłam ich uzdrawiać. Wzięłam Ethana za rękę. Odepchnął mnie.

- Najpierw Matt.

Matt zaprotestował, ale warknęłam na niego:

- Jak się będziesz wyklócał, Ethan będzie musiał dłużej czekać, więc stul gębę i daj mi pracować!

Miałam wrażenie, że to trwa całą wieczność. Odór spalonego mięsa przytłoczył mnie na chwilę, tak że miałam trudności ze zwizualizowaniem sobie, co musi zostać zrobione. Zmusiłam się do skupienia na moim zadaniu. W końcu obaj zostali uleczeni i w trójkę siedzieliśmy pod osłoną nawisu, obserwując dziwną burzę, która przycichła i zmieniła się w gęstą ulewę. Przemoczeni do kości, przytuliliśmy się do siebie w poszukiwaniu ciepła. Temperatura spadła chyba do zera.

- Co to, do cholery, było? - zapytał Matt.

Poczułam, że Ethan wzrusza ramionami, nie znajdując odpowiedzi. Powoli odwrócił głowę w moją stronę, unosząc brwi. Mogłam niemal dostrzec kłębiące się w jego głowie myśli. Przypominał sobie moje wcześniejsze dziwne doświadczenie, które ostrzegło mnie przed tym, co się za chwilę stanie. Zastanawiał się nad tym, myśląc, że była to jakaś „wizja”. Ale nie byłam pewna, czy ma rację. Nie byłam też pewna, czy chcę wysłuchać jego teorii. Moje myśli znajdowały się w rozsypce, a głowa zaczynała boleć.

Jeśli nawet odebrałam jakąś „wizję” czy ostrzeżenie, to kto mógł zapewnić, że coś takiego zdarzy się ponownie? Trudno to było nawet nazwać ostrzeżeniem, burza zaczęła się zbyt szybko. Taki talent należałoby uznać za bezużyteczny.

- Isabel? Masz jakiś pomysł? - Ethan szerokim gestem ręki objął zrujnowaną okolicę, a ja zauważyłam, że nie zdołał ukryć lekkiego drżenia dłoni. - Czy to właśnie widziałaś? Ten... huragan?

Jak mogłam mu wyjaśnić, że ta burza nie była czymś, co widziałam, ale raczej czymś, czego koniuszek poczułam? To, co widziałam, nie dało się zamknąć w słowach. Miejsce pełne mroku, cierpienia i bólu, w którym strach i rozpacz zamykały serce w klatce, nie dając mu szans ucieczki.

Wzdrygnęłam się gwałtownie, a Matt spróbował mnie rozgrzać, rozcierając ramiona dłońmi.

- Nic mi nie jest! - powiedziałam z trochę więk-

szym naciskiem, niż zamierzałam. Natychmiast tego pożałowałam i chciałam przeprosić, ale wstał i odsunął się, opierając o skałę u wejścia do jaskini.

- Isabel? - Ethan przypomniał, że nie odpowiedziałam na jego pytanie.

Ściszyłam głos na tyle, żeby Matt nie usłyszał.

- Nie jestem pewna, co widziałam, Ethanie. „Wizja” była bardzo dziwna. A ta burza jest po prostu nie z tego świata. Nie mam pewności, czy te dwie rzeczy łączą się ze sobą.

Zamilkliśmy na chwilę. Deszcz zaczął słabnąć. Jeśli dobrze widziałam, nad poprzewracanymi drzewami zaczęły się pojawiać skrawki błękitnego nieba.

- Kto by pomyślał, że taki piękny dzień tak się skończy?

- Właśnie - powiedział Ethan. - Chciałbym wiedzieć, dlaczego nie zostaliśmy ostrzeżeni.

Spojrzałam na niego zaskoczona.

- O czym ty mówisz?

- Trasy przejścia huraganów są zazwyczaj monitorowane, prawda? Dziś rano słuchałem prognozy pogody. Nic nie wspominali o huraganie.

- Tutaj nie ma huraganów, Ethanie. Mieszkamy w górach, nie w tropikach. I w dodatku to nie jest lato!

- Więc co to było?

Patrzyłam, jak Ethan podnosi mały kijek i zaczyna nim szturchać kamyk pod stopami.

- Naprawdę nie wiem, ale było niesamowicie potężne. Widziałeś kiedykolwiek taki grad? Lód, który się zapala, gdy w coś uderzy?

Spojrzał na mnie.

- Co chcesz powiedzieć?

Nie chciałam straszyć Ethana, ale zapytał mnie o zdanie. Wiedziałam, że nie chciałby usłyszeć złagodzonej wersji tylko dlatego, że nie była to przyjemna prawda. To nie w jego stylu. — Jest coś jeszcze.

- Słucham.

- Miałam wrażenie, że ta burza przyszła p o p r z e z niebo. Jakby nadciągnęła z innego świata.

Rozdział 2

Arkarian

Przyszli zobaczyć się ze mną i oczekiwali odpowiedzi. Szczególnie Ethan sprawiał wrażenie zaniepokojonego - cokolwiek widział, musiało nim mocno wstrząsnąć. Chciał jakichś wyjaśnień, ale chociaż żyłem już od sześciuset lat i przez większość życia byłem Mistrzem w Straży, z całą pewnością, jak często twierdził Ethan, nie wiedziałem wszystkiego. Nawet Trybunał był ostatnio często zaskakiwany wściekłością Lathenii.

Oczywiście Isabel także przyszła. Rzuciłem okiem na swój strój - czarne spodnie, niebieski sweter. Ściągnąłem gumkę z włosów, pozwalając im rozsypać się swobodnie na ramionach. Co pomyśli Isabel? Zatrzymałem się i odetchnąłem dla uspokojenia. Jakie to miało znaczenie? I tak przecież nie zauważy. Kiedyś

myślała, że jest zakochana w Ethanie. Być może nadal tak myśli.

- Arkarianie!

To Ethan wołał mnie tuż spod drzwi mojej tajnej siedziby. Jak zwykle, gdy był zdenerwowany, nie potrafił osłaniać przede mną myśli, choćbym nie wiadomo ile razy z nim to ćwiczył. Pewnego dnia może to się okazać niebezpieczne. Na świecie jest wielu myślowidzących i trudno oczekiwać, by uprzedzali całe otoczenie o swoich zdolnościach. Marduk był myślowidzącym, podobnie jak dziewięcioro członków Trybunału. No i oczywiście czytanie w myślach było jednym z talentów Rochelle.

- Widziałeś to coś? - Ethan wtargnął do mojej pracowni z depczącą mu po piętach Isabel.

- Cześć - rzuciła Isabel z bladym uśmiechem.

- Cześć, Isabel. - Kompletnie nic. Umiała dobrze maskować myśli.

- Widziałeś, co się tam działo? — Ethan starał się zachowywać spokój. - Co to było? Co to miało znaczyć?

Wyciągnąłem ręce sprawiając, że przed nami pojawiły się trzy drewniane taborety. Te same, które zrobiłem jako młody chłopak. Jedyne sprzęty, jakie zdołałem ocalić z jednego z domów mojego dzieciństwa.

Usiedliśmy w trójkącie, a ja cieszyłem się, że nie przyprowadzili ze sobą Matta. Mimo że jego trening trwał już od dłuższego czasu, nadal nie czuł się pewnie w mojej siedzibie. Przerazało go wyposażenie - bez-

głośna technologia, wyprzedzająca o całe wieki jego czasy. Pamiętam, jak po raz pierwszy spojrział w holograficzną sferę, a kiedy uświadomił sobie, że patrzy w przeszłość, wycofał się tak gwałtownie, że przeszedłby przez ścianę, gdyby nie była zrobiona z litego kamienia.

Ethan zacisnął palce na moim ramieniu.

— Arkarianie, co to było?

— Najpierw opowiedzcie mi, co widzieliście. Zamachał rękoma w powietrzu.

— To było coś niesamowitego. Coś spadało. Chmury były czarne jak... jak... nie przypominały niczego, co kiedykolwiek widziałem.

— I jeszcze ten dźwięk — odezwała się Isabel. Słowa Isabel, bardziej nawet niż Ethana, sprawiły,

że ciarki przeszły mi po plecach. Niezwykła burza tego popołudnia budziła moje podejrzenia. Musiałem sobie powtarzać, że nawet Bogini, pogrążona od roku w żałobie, nie chciałaby utworzenia szczeliny między światem śmiertelników a jakimkolwiek innym.

— Dźwięk, Isabel? Jaki dźwięk?

— Jakby coś zostało rozdarte. To było nieznośne dla uszu.

Ta wiadomość sprawiła, że moje serce zaczęło bić mocno i głośno.

— Opowiedzcie mi, jak to się dokładnie zaczęło. Zauważyliście coś niezwykłego? Dziwne światło? Jakiś zapach? Chwilową ciemność?

- Tak, tak - odparł pospiesznie Ethan. - Chyba wszystko naraz.

Isabel zmarszczyła brwi.

- Nie przypominam sobie żadnego zapachu, poza zapachem twojej skóry przysmażonej przez ten grad.

- Musisz nam uwierzyć, Arkarianie. To było... upiorne. Włosy stanęły nam dęba!

- Wierzę wam, Ethanie. - Nie chcę tylko siać paniki, dodałem w myślach. Dlaczego Lathenia, nawet ogarnięta rozpaczą z powodu utraty Marduka albo wściekłością, że Strażnik zdołał pokonać jej najwyższego rangą dowódcę, miałyby się zdecydować na takie ryzyko? Czy do cna postradała zdrowy rozsądek albo w ogóle rozum?

Ethan usiadł i wykorzystując to, czego nauczyły go treningi, zdołał się uspokoić. Nieczęsto miałem okazję widzieć go w takim stanie. Działając w Straży, doświadczył wielu dziwnych rzeczy i zazwyczaj trudno go było poruszyć.

- Jak myślisz, skąd przyszła ta burza? - zapytał. Isabel zdążyła dojść do własnych wniosków.

- Mówię wam, że ta burza nie pochodziła z Ziemi — popatrzyła mi prosto w oczy.

Moje myśli nieoczekiwanie ogarnął zamęt i stwierdziłem, że muszę odwrócić wzrok. Zacząłem się zastanawiać nad przyczyną. Wiedziałem, że mam napięte nerwy, tak samo jak wszyscy. Nasi szpiedzy donosili, że Lathenia jest bliska odkrycia tożsamości Ethana.

Wiedziała też, że to ja zaplanowałem strategię tego dnia, kiedy zginął Marduk, więc pragnęła się zemścić na mnie. Ale ponieważ ja nie obracałem się już wśród śmiertelników, Ethan był narażony na większe niebezpieczeństwo.

Może więc zmieszanie ogarnęło mnie dlatego, że słowa Isabel były tak bliskie prawdy.

Zmusiłem się, żeby spokojnie odwzajemnić jej spojrzenie i poszukałem słów, które nie podsyciłyby ich lęków. Musieli zachować spokój i skoncentrować się na swojej pracy. A chociaż moce Isabel nadal nie ujawniły się do końca, jej zdolności uzdrowicielskie przewyższały wszystkie dokonania w historii Straży.

- Lathenia po prostu szaleje z wściekłości z powodu utraty Marduka. Dzisiaj mija pierwsza rocznica jego śmierci. Postarajcie się tym nie przejmować.

_ Jej wściekłość jest wyjątkowo czarna, Arkarianie - powiedziała cicho Isabel.

_ Powiem to - wtrącił się Ethan. - Isabel wszystko przewidziała. Tuż przed początkiem tej burzy...

Pacnęła go grzbietem dłoni tak, że omal nie spadł z taboretu.

Czyli było coś jeszcze. Coś, co wydarzyło się przed nadejściem burzy, o czym Isabel nie chciała mi mówić. Na moment skoncentrowałem się na Ethanie, ale ze wszystkich sił starałem się osłonić myśli. Nie szło mu to najlepiej, zdołał jednak zniekształcić je tak że nie potrafiłem niczego zrozumieć. Cóż, jeśli Isabel

chce coś przede mną ukrywać, to jej prawo. Nie będę się wtrącał. Martwi mnie tylko, że to może mieć coś wspólnego z tą szczeliną, którą dzisiaj zobaczyła. Nie chciałbym, żeby którekolwiek z nich wplątało się w coś, z czym nie będzie w stanie sobie poradzić.

Zapadła niezręczna cisza. Ethan zaczął nagle sprawiać wrażenie zafascynowanego cieniutkimi szczelinami w skalnych ścianach, natomiast Isabel, której twarz przybrała barwę krwistoczerwoną, studiowała z uwagą czubki własnych brązowych butów. Uznałem, że muszę zakończyć ich męczarnie, zanim rzucą się do ucieczki. Miałem im kilka rzeczy do powiedzenia, ale najpierw musiałem zadać pytanie.

- Jak postępuje szkolenie Matta?

Popatrzyli na siebie, szeroko otwierając oczy. Isabel wzruszyła ramionami, ale w tym geście nie było lekceważenia, raczej rezygnacja. Spojrzenie, które wymienili, głęboko mnie zaniepokoiło.

- Wyjaśnij, Ethanie.

Najpierw rzucił Isabel dziwnie przepraszające spojrzenie.

- Matt jest beznadziejny, Arkarianie. Całkowicie brak mu koordynacji. Jesteś pewien, że Proroctwo mówi właśnie o nim? Znaczy, czy Trybunał nie mógł czegoś źle zrozumieć? Może to nie chodzi o Matta. Może nie powinien nawet zostawać członkiem Straży, nie mówiąc już, no wiesz, o byciu przywódcą Wezwanych.

- Matt został Wezwany jeszcze przed swoim narodzeniem. I przed twoim, Ethanie - odparłem tylko.

- Cóż, nie radzi sobie najlepiej.

- W takim razie musicie więcej pracować.

Ethan prychnął, jakby ten pomysł wydał mu się absurdalny.

- Nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić. Znaczący, trenujemy codziennie, a on panikuje, bo nie ma jeszcze żadnych mocy.

Uznałem, że tu leży przyczyna problemów.

- Nie koncentrujcie się na obudzeniu jego paranormalnych talentów. Prawdopodobnie on za wiele od siebie wymaga, a to powoduje blokadę psychiczną. Pracujcie dalej nad zdolnościami fizycznymi, będą mu potrzebne, żeby mógł się obronić. Będą mu pomagać, dopóki nie ujawnią się jego moce, a teraz ma czas nad nimi popracować.

Ethan zrozumiał, o co mi chodzi.

- Okej, spróbuję.

Znowu zapadła cisza, a ja nie mogłem dłużej tego odwlekać. Musiałem powiedzieć Isabel o zbliżającej się misji. Obawiałem się tego momentu. Misja była przygotowywana w pośpiechu, na bezpośredni rozkaz Trybunału, a dokładniej Loriany, czyli naszego własnego nieśmiertelnego. Zazwyczaj nie niepokoiłbym się, wysyłając Isabel, szczególnie razem z Ethanem, ale rozkazy dotyczące tej misji mówiły wyraźnie o mnie.

Odchrząknąłem kilkakrotnie, grając na zwłokę. Odniosłem skutek odwrotny do zamierzonego, ponieważ Ethan i Isabel zaczęli się na mnie gapić.

— No więc, jest coś, o czym was muszę poinformować. ..

Isabel pochyliła się do przodu, a jej aura na krótką chwilę otoczyła mnie, odbierając mi oddech. Stwierdziłem, że muszę zacząć wyjaśnienia od początku.

— Widzicie, jest tak... Następna misja została zlecona tobie, Isabel. Ale szczegóły pozostają niejasne. Nie ja monitoruję ten sektor czasu ani portal, który właśnie zaczyna się otwierać — rzuciłem okiem na holograficzną sferę i odwróciłem wzrok.

Ethan zmarszczył brwi.

— No to w czym problem? Kiedy wyruszamy?

— Właśnie to próbuję wam powiedzieć: nie wybierasz się z nią, Ethanie.

Isabel gwałtownie uniosła głowę, a na jej wargach zaczął się pojawiać uśmiech. Uważała, że wie już, o czym mówię. Uniosła w górę ręce, a w jej głosie zabrzmiało podniecenie.

— Hura! Idę sama! Najwyższy czas, żebyście wreszcie zaczęli mi ufać.

Źle mnie zrozumiała.

— To nie tak, jak myślisz - wyjaśniłem szybko. — Nie zostajesz wysłana sama.

Opadła na siedzenie, zaciskając z irytacją usta.

— Ekstra. Jak mam udowodnić, że jestem w stanie

pracować sama, skoro nie dajecie mi żadnej szansy? Może nie jestem specjalnie silna fizycznie, ale umiem zadbać o siebie. Potrafię sobie poradzić z żołnierzami równie dobrze, jak ktokolwiek z bardziej doświadczonych Wezwanych: Shaun, Jimmy czy profesor Carter.

- Nie chodzi o to, że uważamy cię za niezdolną do samodzielnego wykonania misji, Isabel. Po prostu teraz jest zbyt niebezpiecznie, żeby ktokolwiek mógł działać w pojedynkę. Zwykle to Ethan był z tobą wysyłany, tworzyście bardzo dobry zespół. Ale tym razem rozkazy przyszły wprost z Trybunału, bez jakichkolwiek dodatkowych wyjaśnień.

- Co masz na myśli, Arkarianie? - zapytała. Przez chwilę milczałem, zastanawiając się, dlaczego

Lorian mi to zrobił. W końcu wydusiłem to z siebie.

- Isabel, to ja mam być twoim partnerem.

Nie odezwała się ani słowem, ale jej usta otworzyły się, a z twarzy odpłynęła cała krew. Po jakiejś minucie opanowała się i usiadła prosto, oddychając głęboko.

Zastanowiłem się nad tą dziwną reakcją, próbując rozszyfrować jej znaczenie, ale nie doszedłem do żadnych wniosków.

Oblizwała wargi. Nie mogłem oderwać od nich wzroku. Zauważyła to i przełknęła ślinę.

- No dobra - powiedziała dziwnie zachrypniętym głosem. Odkasznęła, zasłaniając usta ręką, a nasze spojrzenia spotkały się. Poruszyła wargami, ale jakoś nie potrafiła wydobyć z siebie głosu.

Ethan wybuchnął śmiechem, rozładowując gromadzące się w pokoju napięcie. Popatrzyłem na niego, ale zatkał usta dłonią i potrząsnął głową.

- O co ci chodzi? — warknęła na niego Isabel.

- Ależ o nic - odparł z miną kota, który dorwał się do miski ze śmietanką. - To kiedy wyruszacie?

- Dziś w nocy - powiedziałem.

- Więc lepiej połóż się wcześniej spać, Isabel. I pamiętaj, że musisz się zachowywać całkiem zwyczajnie, bo inaczej twoja mama zacznie podejrzewać, że dzieje się coś dziwnego. Nie zapominaj, że musisz spać, żeby się przenieść.

- Dlaczego mi to powtarzasz? Wiem, jak to działa. Robiłam to już, pamiętasz? Setki razy.

- No wiem, ale twój mózg w tym momencie kiepsko działa - odparł Ethan.

Kopnęła go. Mocno. Jej stopa trafiła go w goleń. To musiało zboleć. Zamrugał, krzywiąc się do niej. Isabel zaczęła odzyskiwać panowanie nad sobą.

- Gdzie my... ? - urwała i zaczęła jeszcze raz. - Znaczy, dokąd się wybieramy? I... no, jak długo tam będziemy. .. razem?

- Mamy się udać do Francji, mniej więcej w połowie wojny stuletniej, a naszym zadaniem będzie chronienie życia sześciolatniego dziecka. Jeśli zaś chodzi o to, jak długo tam będziemy. .. razem... naprawdę nie potrafię powiedzieć.

Rozdział 3

Isabel

Wysyłają mnie na misję razem z Arkarianem. Z Arkarianem! I to taką misję, która może potrwać kilka dni. Może nawet miesięcy. Kto wie? I przez cały ten czas Arkarian i ja będziemy razem. Razem!

Leżałam w łóżku, owinięta ciasno w kołdrę, ponieważ na rękach zrobiła mi się gęsia skórka. Tak naprawdę nie było mi zimno - działała na mnie myśl o nadchodzącej misji, o tym, że spędzę tyle czasu z Arkarianem. Sam na sam! Przypomniałam sobie, kiedy ostatnio byłam tak podekscytowana - przed pierwszą misją, kiedy to razem z Ethanem udaliśmy się do Anglii. Trafiliśmy do sypialni Jana z Gandawy, a Ethan nieoczekiwanie mnie pocałował. Tamten pocałunek był tylko wymówką, pozwalającą nam uniknąć zde-

maskowania. Arkarian nie wpadłby na taki pomysł, niezależnie od tego, w jak niezręcznej sytuacji byśmy się znaleźli. A może wpadłby? Gdyby nasze położenie było naprawdę opłakane...

Przewróciłam się na bok. Jeśli szybko nie zasnę, w ogóle nigdzie się nie wybiorę. Oczywiście moje fizyczne ciało miało nie opuścić łóżka - zostanie tutaj, a ja będę wyglądała, jakbym spała. Ostatecznie ciało jest przecież tylko naczyniem dla duszy. Dlatego kiedy przeniosę się do Cytadeli, dostanę nowe, jakby w ramach tymczasowej pożyczki. Tylko moje oczy pozostaną niezmienione - nie mogą się zmienić, ponieważ łączą się z duszą. Wszystkim tym zawiaduje Cytadela, zdumiewające miejsce. Co najważniejsze, nowa tożsamość będzie mnie chronić przed rozpoznaniem, gdy znajdę się w przeszłości.

Zamknęłam oczy, zmuszając powieki, aby pozostały na miejscu, ale nie potrafiłam powstrzymać gonitwy tysięcy myśli.

Księżyc wzeszedł za oknem, więc wstałam, żeby zaciągnąć zasłony. Niewiele to pomogło. Otrzymany od lady Arabelli dar widzenia w każdym świetle do tej pory czasem nie daje mi spać w nocy. Tak jak dzisiaj - kiedy trudno mi się uspokoić, z większym wysiłkiem przychodzi mi także kontrolowanie tego daru.

Stanęłam przy oknie. Odetchnęłam głęboko, wciągając w płuca chłodny wiatr. W tym momencie dostrzegłam srebrzysty błysk na wznoszącej się nad mia-

stem górze. Przeszły mnie ciarki. Zamknęłam okno i wskoczyłam do łóżka, mając nadzieję, że to dziwne, jaskrawe światło nie było początkiem kolejnej upiornej burzy.

Tym razem, kiedy zamknęłam oczy, mój umysł zaczął odpływać w sen. Westchnęłam głęboko, odprężając się, i w końcu moje ciało osiągnęło stan uspokojenia potrzebny do rozpoczęcia podróży. Przez kilka chwil leżałam na pół uśpiona, a na pół przytomna, aż wreszcie w mojej głowie zaczęły się pojawiać obrazy. Zastanowiłam się, co się dzieje - czyżbym śniła?

Zobaczyłam przepiękne jezioro i rodzinę kaczek pływającą po płyciźnie wśród lilii wodnych. Przy brzegu znajdował się drewniany pomost z łódką, przycumowaną do pała za pomocą luźnej liny. Łódka była nieduża, pomalowana na czerwono, z niebieskim napisem na burcie. Na pomoście, na prawo od łodzi, siedziała kobieta ze stopami zanurzonymi w wodzie i pochylonymi plecami. Ręce miała złożone na kolanach. Patrzyła na swoje dłonie, jakby trzymała w nich coś cennego. Chociaż nie dostrzegałam siebie w tym śnie, poczułam, że idę po pomoście w kierunku kobiety. Zbliżając się, z każdym kolejnym krokiem wiedziałam, że zaraz ją rozpoznam i odkryję sekret, który skrywa w dłoniach.

Sen stał się bardziej rzeczywisty. Słyszałam kłapięcia butów o drewniane deski i przez sekundę pomyślałam, że kobieta także mnie słyszy. Spojrzała w lewo, ale nie odezwała się. To jednak wystarczyło, żebym

mogła ją rozpoznać. To była Laura Roberts, matka Ethana.
- Pani Roberts? - zapytałam we śnie.

Nie odpowiedziała, sprawiała wrażenie, jakby patrzyła przeze mnie.

- Pani Lauro? Co pani tu robi? - Spojrzałam jej przez ramię. - Co pani tam chowa?

Zobaczyłam wyraźnie jej ręce, a widok takiej ilości krwi sprawił, że gwałtownie wciągnęłam oddech i odskoczyłam. Zatykając dłońmi usta i próbując powstrzymać mdłości, przyjrzałam się dokładnie. Krwawiła z nacięć na rękach, biegnących od nadgarstków prawie do łokci. Krew ściekała po jej spódnicy i po deskach aż do wody. Długi nóż wysliznął się ze słabnących palców i z cichym pluskiem wpadł do jeziora.

Chciałam krzyknąć, ale w tym momencie stwierdziłam, że siedzę w ciemnej sypialni, nadal nie do końca obudzona. Potrząsnęłam głową, żeby pozbyć się tego obrazu, ale on nie chciał zniknąć. Zupełnie jakby w tym śnie było coś jeszcze, co powinnam zobaczyć. Zebrałam myśli i spróbowałam dosięgnąć pani Laury, ale niewidzialna siła przytrzymywała mnie, jakby moją rolą było obserwować, a nie ingerować. Zaszokowana i niezdolna, by pozbyć się obrazu próbującej się zabić Laury Roberts, zaczęłam krzyczeć.

Krzyk ściągnął do sypialni Matta i moją matkę.

- Co się stało? - mama odepchnęła Matta, żeby szybciej do mnie dotrzeć. - Miałaś koszmarne sen?

Matt podszedł z drugiej strony łóżka i zapalił nocną lampkę. Pokój wypełniło światło raniące moje oczy. Zmrużyłam je i spróbowałam osłonić. Sen sprawił, że moje serce nadal galopowało jak koń wyścigowy.

Mama czułym gestem odgarnęła mi włosy z czoła.

- Wszystko w porządku?

- Nic jej nie jest, mamó - odezwał się Matt. - Ja się nią zajmę.

Mama popatrzyła na mnie, więc spróbowałam ją uspokoić.

- Ma rację, nic się nie stało. To był tylko sen. Możesz wracać do łóżka, naprawdę.

Zawahała się.

- Jesteś pewna, skarbie? Może najpierw zrobię ci kubek kakao?

Zmusiłam się do uśmiechu.

- Nie, nic mi nie jest. Niczego nie potrzebuję. W końcu ustąpiła.

- No dobrze, ale gdybyś chciała porozmawiać, jestem tuż obok.

- Zawołam cię w razie czego, mamó, ale naprawdę wszystko okej.

- Jimmy niedługo wraca. Wiesz, że z nim też możesz porozmawiać.

Matt otworzył usta.

- Ona nie potrzebuje Jimmiego. Ja tu jestem!

- Oczywiście, że jesteś - odparła mama. - Nie chciałam...

Złapałam ją za rękę.

- W porządku, mamusiu. Nie przejmuj się Mattem. Lubię Jimmy'ego, naprawdę. Nie przeszkadza mi, że z nami mieszka.

Mama uśmiechnęła się i trochę uspokoiła. Jeszcze raz upewniła się, czy nic mi nie jest, i poszła się położyć.

Matt rozparł się w zielonym nadmuchiwym fotelu.

- Więc dlaczego tak wrzeszczałaś?

- Miałam zły sen. I wydawało mi się, że tylko raz krzyknęłam.

Wzruszył ramionami.

- Nie miałaś chyba kolejnej dziwnej wizji, co?

Kiedy to powiedział, moje serce, które właśnie zaczynało się uspokajać, znowu skoczyło mi do gardła. Czy to mogła być wizja?! Wszyscy wiedzieli, że pani Laura cierpi na depresję. Nigdy nie pogodziła ze śmiercią córki, Sery, choć miało to miejsce trzynaście lat temu. Czy Ethan kilka dni temu nie mówił, że jej stan się nie poprawia, choć jego ojciec naprawdę stara się jej pomóc? Podobno nawet lekarze zapewniali, że do tej pory powinna już wrócić do siebie i nie rozumieją, dlaczego tak się nie stało.

- Szlag!

- Co zobaczyłaś? - zapytał Matt.

Pytanie Matta sprawiło, że spróbowałam wyprzeć tę myśl. To znaczy, to był przecież sen, nie żadna wi-

zja, taka jak wtedy, kiedy miałam wrażenie, że moja głowa eksploduje. Tym razem nie było żadnego bólu ani światła. Po prostu przejmuję się Ethanem i jego matką, to wszystko. Gdybym powiedziała o tym Emanowi, tylko by się zaczął martwić, a i tak miał aż za dużo powodów do zmartwień.

- Isabel?

Ale jeśli nie powiem niczego Ethanowi, a to naprawdę była wizja?... Może nie czułam bólu, ponieważ znajdowałam się w półśnie i nie próbowałam z tym walczyć ani się przeciwstawiać?

- Isabel! Co się, do diabła, dzieje?! Powiedz coś.

Podniosłam rękę, żeby pytania Matta przestały przerywać tok moich myśli. Potrzebowałam chwili na zastanowienie się. Poprzednim razem moja wizja zrealizowała się kilka sekund później. Ta myśl sprawiła, że wyskoczyłam z łóżka i rzuciłam się przez ciemny korytarz do telefonu.

Matt wyszedł za mną i zapalił światło.

- Kiedy wreszcie zrozumiesz, że nie dasz rady sama rozwiązać wszystkich problemów?

Podniosłam słuchawkę do ucha.

- O co ci chodzi?

- Nie jesteś sama na świecie, Isabel. Nie musisz udowadniać, że potrafisz wszystko sama zrobić. Najwyższy czas, żebyś wreszcie zrozumiała, że on nie wróci.

Moje usta uformowały bezgłośnie „o”. Matt nigdy nie mówił o tacie.

- Kompletne pudło.

- Naprawdę? Więc dlaczego do tego stopnia nie znosisz, jak ci pomagam? - odwrócił się.

- Słuchaj - zawołałam za nim. - Nie chciałam cię ignorować. Mój sen nie miał nic wspólnego z... dowolnym idiotyzmem, który sobie właśnie wyobrażasz. A tak dla twojej wiadomości, jestem przyzwyczajona sama sobie radzić. Dobrze się z tym czuję. To wszystko. - Widziałam, że mi nie wierzy. - Twoja pomoc polega na całkowitym tłamszeniu mnie.

Moje słowa zaboląły, ale nie miałam na to teraz czasu.

- Muszę zadzwonić do Ethana, okej?

Rozejrzał się po korytarzu, jakby szukał zegara na ścianie.

- Nie jest trochę za późno na telefon?

Zbyłam go machnięciem ręki, na chwilę zakrywając słuchawkę.

- Muszę zadzwonić. Jęknął.

- Nie mów mi, że dalej marzysz o Ethanie. Znowu ci się przyśnił?

Dlaczego musi mi teraz wypominać dawne zadurzenie?

- Jazda stąd - syknęłam na niego. - Mówiłam ci, że Ethan mi już przeszedł.

- A ja ci nie wierzę - odparł, ale jednak wrócił do swojego pokoju.

Po siódmym dzwonku Ethan odebrał.

- Tak? - spytał zasnętym głosem.

- Ethan, to ja.

- Co? Isabel? Co się dzieje? Nie powinnaś spać i znajdować się w drodze do Cytadeli?

- Tak, ale...

Prawidłowo zrozumiał moje milczenie.

- No nie, nie mów, że miałaś wizję czy coś w tym rodzaju?

- Raczej coś w tym rodzaju.

- Co zobaczyłaś?

Nagle telefon do Ethana wydał mi się głupim pomysłem.

- Nie wiem, jak mam ci to powiedzieć. To pewnie w ogóle nie była wizja, tylko sen, naprawdę.

- Przestań pleść, Isabel, po prostu mi powiedz.

Wciągnęłam głęboki oddech i powoli wypuściłam powietrze.

- Widziałam twoją matkę. - I?

- Wydaje mi się, że ona... Ethanie, ona próbowała się zabić.

Cisza, przerywana tylko jego ciężkim oddechem.

- Ethan? Wszystko okej?

- Powiedz mi dokładnie, co widziałaś - odezwał się, starannie ważąc słowa.

Opowiedziałam mu o jeziorze i drewnianym pomoście. Opowiedziałam mu o kaczkach i liliach wod-

nych. Przez cały czas milczał, słuchając. Ale kiedy wspomniałam o łódce, a dokładniej o jej czerwonym kolorze, przerwał mi gwałtownie.

- Widziałaś może jej nazwę?

Myślałam intensywnie, mrużąc oczy dla odświeżenia pamięci. Nagle zobaczyłam słowa wypisane niebieskimi literami, najwyraźniej stawianymi przez biegłego artystę.

- Nazywała się „Lillie-Arie”, czy coś w tym rodzaju.

Jęknął. Mocniej ścisnęłam słuchawkę.

- O co chodzi?

- Właśnie dokładnie opisałaś sanatorium, do którego czasem wyjeżdża mama. Mają tam łódkę, którą można pływać po jeziorze. Nazywa się „Lillie-Ma-rie”. - Głośno wciągnął powietrze, jakby potrzebował dodatkowej dawki tlenu, żeby ubrać myśli w słowa. - Czyli to musiała być wizja, Isabel. To nie był sen. Widzisz, mama ma tam załatwiony pobyt.

- Och, nie, kiedy?!

Zamilkł na chwilę i niemal słyszałam, jak myśli, zastanawiając się nad tym.

- W przyszły piątek ma tam jechać na pięciodniowy pobyt.

- Co mamy zrobić, Ethanie?

- Pierwszym krokiem będzie powstrzymanie jej przed tym wyjazdem - westchnął ze znużeniem. - Co potem, nie jestem pewien.

Serce mi się krajało. Jak ciężkie musiało być życie z matką będącą stale na granicy załamania? A Ethan znosił coś takiego od trzynastu lat.

— Musisz być wykończony.

Tego potrzebował, żeby wylądować odrobinę emocji.

— Gdybym tylko mógł zrobić cokolwiek, co by jej pomogło. Jej stan się nie poprawia i... no wiesz, czasem zaczynam mieć dość.

Mruknęłam potakująco, a on ciągnął dalej.

— Isabel, to zabrzmi okropnie, ale czasem myślę, że mama jest samolubna. Wiem, że nie może nic na to poradzić. Widzisz, ona się stara. Jeździ do sanatorium, próbuje medytacji i terapii grupowej. Próbowwała już absolutnie wszystkiego. Po prostu czasem zaczynam gdzieś w środku mieć takie gorące, rozpaczliwe przeczucie, że ją stracę. To mnie przeraża. Przeraża mnie to, jak bardzo jest krucha. I wtedy zaczynam się wściekać. Dlaczego nie może być taka jak inne matki? Dlaczego to ona nie może mnie dla odmiany wspierać?

— Chciałabym jakoś pomóc. Ethan odetchnął głęboko.

— Nie, nie jest tak źle. Nie przeszkadza mi, że muszę być dla niej oparciem, szczególnie w najtrudniejszych dniach. Urodziny Sery, rocznica jej śmierci, Dzień Matki, wtedy jest najgorzej. Ostatnio był cały ciąg takich dni, jeden po drugim. Miałem wrażenie, że każdego dnia przechodzimy kryzys. Dlatego jestem zmęczony A teraz ta twoja wizja...

- Wiem, i zostało niewiele czasu, żeby *znaleźć* jakieś rozwiązanie. - Nie chciałam jeszcze bardziej straszyć Ethana, ale nie wydawało mi się, żeby jego pomysł, polegający po prostu na powstrzymaniu matki przed wyjazdem, mógł się okazać skuteczny. — Jeśli nawet twoja mama tam nie pojedzie, nie wiemy, czy to ją powstrzyma przed spróbowaniem w innym miejscu.

Milczał przez dłuższą chwilę.

- Nie wiem, Isabel. Wiem tylko, że mamy dokładnie dziesięć dni, żeby znaleźć sposób na ocalenie życia mojej matki.

Rozdział 4

Arkarian

Isabel się spóźniała; coś musiało ją zatrzymać. Miałem nadzieję, że Marcus Carter nie natrafi na żadne problemy podczas koordynowania tej misji. Wprawdzie od dawna pracował w Cytadeli (a także uczył w miejscowym liceum), ale dzisiaj miał mnie zastępować, a nie był przyzwyczajony do pracy ze sprzętem w mojej siedzibie. Może powinienem do niego zajrzeć? Mógłbym użyć skrzydeł i wrócić za kilka minut. Wydostanie się z tej komnaty przyniosłoby mi ulgę. Właśnie z tej komnaty. Dlaczego Cytadela to robiła? Dlaczego wybrała taką komnatę na rozpoczęcie naszej pierwszej wspólnej misji?

Nieoczekiwanie pojawiła się Isabel, lądując pewnie na nogach, plecami do mnie. Komnata przykuła jej

uwagę, zanim jeszcze zauważyła moją obecność. Nic dziwnego.

Zagwizdała cicho, obróciła się i zobaczyła mnie.

- Rany. Coś niesamowitego.

- Cóż, zgodzę się z tobą, aczkolwiek uważam, że łoże jest zbyt ekstrawaganckie. Nie sądzisz?

Zachichotała, patrząc na mebel w kształcie serca, pokryty różowymi i białymi poduszkami, także mającymi kształt serduszek. Śmiech rozładował nieco napięcie spowodowane tym, że trafiliśmy do komnaty, którą można by opisać tylko jako raj dla zakochanych.

- To mógłby być apartament dla nowożeńców w jakimś naprawdę eleganckim... nie, raczej kiczowatym hotelu - zauważyła. - Jak myślisz, dlaczego...?

Słowa zamarły jej na ustach, a twarz przybrała odcień różu ciemniejszy od pół tuzina poduszek leżących na podwójnym łożu. Ale pytanie było na miejscu. Wzruszyłem ramionami i uśmiechnąłem się.

- Hmm, któż zdołałby przeniknąć umysł Cytadeli lub też jej opiekunów? Nie mam pojęcia.

Naprawdę nie miałem. Cytadela była dla mnie zagadką. Nawet jeśli w niej mieszkałem, nie przestawała mnie zadziwiać. Zupełnie jakby naprawdę dysponowała własnym umysłem. Widziałem zaawansowany technologicznie sprzęt w centralnej maszynowni, ale czasem działała tak, jakby kierowała się instynktem lub emocjami. Podejrzewałem oczywiście, że to Lorian albo ktoś z pozostałych mieszkańców tego miej-

sca może mieć coś wspólnego z tym aspektem jego funkcjonowania.

Spróbowałem odwrócić myśli Isabel od tej repliki sypialni Kupidyna.

- Lepiej już ruszajmy. Spóźniłaś się, wiesz o tym?

- W sumie tak - odparła niejasno.

W kolejnej komnacie, urządzonej już z większym gustem, zostaliśmy ubrani w stroje z epoki odpowiadające naszemu miejscu przeznaczenia. Isabel miała na sobie długą zieloną suknię z szerokimi rękawami, przepasaną tuż powyżej talii. Jej włosy nabrały czarnej barwy i teraz opadały w kaskadzie ciemnych pukli.

Gapiałem się na nią chyba przez całą wieczność, niezdolny by odezwać się słowem. Zauważyła to, sięgnęła do najniżej opadających loków i zaczęła je nawijać na palec. Zacisnęła je mocno, a ja pomyślałem, że zaraz zahamuje sobie krążenie. Jej palec zaczął się robić purpurowy.

Podszedłem i odplątałem jej włosy. W pierwszej chwili nie zrozumiała, co robię i zapatrzyła się na mnie.

- Palec by ci zaraz odpadł - wyjaśniłem.

- Serio? - zapytała nieobecny głosem. Potem spojrzała na palec i westchnęła głęboko. - Och!

Odwróciła się ode mnie i zaczęła potrząsać dłonią. Po jakiejś minucie znowu na mnie popatrzyła.

- No to chyba powinniśmy ruszać. Ale... nie wiem jeszcze, kim jestem.

- Zaczekaj.

Dokładnie w tym momencie deszcz lśniącego pyłu spłynął z góry, napełniając nas wiedzą i znajomością języka, która była nam potrzebna w tej podróży.

- A, czyli jestem guwernantką.

- Phillipa Monterey - potwierdziłem z ukłonem.

- A ty, który nie zostałeś tak elegancko przyodziany?

Popatrzyłem na wełniane płudry i szorstką koszulę, przytrzymywane plecionym pasem, i zdjąłem czapkę, odsłaniając rozczochrane, jasnobrązowe włosy.

- Najwyraźniej mam być chłopakiem stajennym imieniem Gascon.

- Cóż, Gasconie, będzie mi brakowało twoich długich, szafirowych włosów. Jak, na litość boską, mam cię teraz zauważyć w tłumie?

Jej żart sprawił, że się roześmiałem, a napięcie między nami zelżało. Ostatnio zachowywała się bardzo tajemniczo. Niepokoiło mnie, że ukrywa przede mną coś, co może mieć wpływ na naszą misję. Przypuszczałem zresztą, co by to mogło być. Być może nie chciała o tym jeszcze mówić, bo ją to przerażało. Kiedy weszliśmy do komnaty, z której miała się rozpocząć podróż, nie mogłem się powstrzymać od pytania:

- Czy twój drugi talent już się ujawnił, Isabel? Zatrzymała się.

- Nie mów, że Ethan miał rację, kiedy powtarzał, że ty wiesz wszystko.

- Nie wiem całego mnóstwa rzeczy, na przykład tego, na czym dokładnie polega twoja nowa moc.

Westchnęła żałośnie.

- Wydaje mi się, że doświadczam wizji czy czegoś w tym rodzaju.

- Czy te wizje pokazują przyszłość? Czy może przeszłość?

Sprawiała wrażenie zaskoczonej tym pytaniem.

- Więc jedno i drugie jest możliwe, tak?

- Tak. A kiedy rozwiniesz ten talent, będziesz zaskoczona, do jak wielu rzeczy może być przydatny.

- To znaczy? - zapytała.

- Możesz się nauczyć przesyłać własne obrazy i ostrzeżenia, a w przyszłości może nawet leczyć na odległość.

- Rany... Wiesz, muszę przyznać, że na razie te wizje są trochę przerażające. Nie mam pojęcia, jak je kontrolować, a potrafią być tak bolesne, że nawet sobie nie wyobrażasz. Przychodzą bez ostrzeżenia, w dowolnym miejscu i czasie.

- Ile już ich miałaś?

W ścianie przed nami otwarło się przejście, a kiedy podeszliśmy do niego, gotowi do skoku w przeszłość, Isabel odwróciła się nieznacznie.

- Myślę, że dwie. Za pierwszym razem to była ta gwałtowna burza, dosłownie na kilka sekund przed jej rozpoczęciem. A dzisiaj w nocy zobaczyłam matkę Ethana, próbująca się zabić.

Przymierzyła się do skoku, ale złapałem ją za rękę.

— Pokaż mi. -Co?

— Przypomnij sobie wizję i nie osłaniaj myśli.

Zamknęła oczy, a ja ujrzałem tę wizję. Kiedy się zakończyła, Isabel zostawiła mnie samego z moimi myślami i skoczyła w milczeniu.

Spadłem za nią na pylistą drogę, tuż pod kamiennymi murami i wysoką drewnianą bramą. Wylądowaliśmy tu przed świtem. A chociaż odbyłem już wiele podróży w czasie, zawsze doświadczałem momentu intensywnej ekscytacji i ulgi, kiedy skok zakończył się szczęśliwie.

Kiedy doprowadzaliśmy do porządku ubrania i zbieraliśmy rzeczy, nie mogłem odpędzić sprzed oczu wyrazistej wizji Isabel. Ethan, będący moim Uczniem, odkąd skończył cztery lata, przeszedł w życiu aż za dużo. Od kiedy jego siostra została zamordowana przez Marduka, musiał mieszkać z pogrążoną w ciężkiej depresji matką. Ponieważ jego ojciec nie potrafił jej pomóc, to Ethan wziął na siebie ciężar zajmowania się nią. Miał niełatwe życie, pełne strachu, smutku i poczucia całkowitej bezradności. Radził sobie z tym naprawdę dobrze. Ale był tylko człowiekiem. Ile jeszcze mógł znieść?

Zanim ruszyliśmy dalej, położyłem dłoń na ramieniu Isabel.

— Przez te wszystkie lata jako Nauczyciel Ethana widziałem, jak cierpi, ale nie mogłem zrobić niczego, żeby mu pomóc.

Spojrzała mi w oczy. Czas i ruch przestały istnieć. W końcu się odezwała.

- Nikt nie mógł, Arkarianie. Czy ktokolwiek wie, dlaczego depresja pani Laury trwa tak długo? Albo dlaczego jej stan się nie poprawia?

- Świadomość utraty dziecka nie jest łatwa, niezależnie od upływu czasu. Ale to, że stan Laury się pogarsza, nasuwa przypuszczenia, że może istnieje coś, co nie pozwala jej się wyzwolić z żałoby. Coś, co nieustannie utrzymuje ją na krawędzi.

- Co na przykład?

- Nie wiem. To tylko teoria. Ale martwi mnie, jak Ethan sobie z tym poradzi. Czy wie już o twojej wizji?

Minęliśmy bramę i ruszyliśmy drogą pomiędzy niedużymi lepiankami w stronę wznoszącego się przed nami zamku.

- Wie i bardzo się zaniepokoił.

- Postaraj się go uspokoić, że wszystko będzie dobrze.

- Uważa, że aby ocalić życie jego matki, wystarczy powstrzymać ją przed wyjazdem do sanatorium.

Czy można uniknąć tragedii, po prostu nie dopuszczając do tego, żeby dana osoba znalazła się w miejscu, w którym miała sobie odebrać życie?

- Myślę, że powinniśmy poszukać przyczyny tych nieustających lęków Laury.

- Ale jak?

- Nie martw się, będę nad tym pracował, aż dowiem się, co jest nie tak. Obiecuję.

- Musisz się pospieszyć, Arkarianie. Pani Laura ma tam pojechać już za dziesięć dni.

- Wiem. Przez dziesięć dni wiele się może wydarzyć.

Rozdział 5

Isabel

Arkarian nie wiedział, jaką rolę w historii odegrała ta sześciolatka francuska dziewczynka ani też skąd miało nadejść grożące jej niebezpieczeństwo. Nie wiedział również, dlaczego życie tej dziewczynki było na tyle cenne, że nieśmiertelny w ostatniej chwili nakazał Arkarianowi wzięcie udziału w tej misji. Wiedzieliśmy tylko, że dziewczynka będzie żyła zaledwie szesnaście lat. W tym wieku zajdzie w ciążę i urodzi dziecko. Arkarian nie mógł także znaleźć żadnych informacji dotyczących jej dziecka - zupełnie jakby wychowywały je wróżki.

Cóż, nigdy do końca nie wierzyłam w to, co Ethan przyjmował za pewnik - we wszechwiedzę Arkariana. A na szczęście nauczyłam się osłaniać przed nim my-

śli, nawet jeśli czasem wymagało to ode mnie sporego wysiłku. Gdybym tego nie robiła, byłabym ugotowana. Moje myśli były dalekie od przyzwoitości, a kiedy nasze spojrzenia się spotykały, przysięgłabym, że ktoś wypompował z pokoju cały tlen. Ale działo się coś jeszcze, z czym sobie nie radziłam. To było dziwaczne uczucie, jakby w moim wnętrzu zostało zasiane ziarno, ziarno strachu. Zupełnie jakby jakiś zegar odliczał czas spędzany przez nas razem.

Odsunęłam te myśli i skoncentrowałam się nad znalezieniem sposobu na najlepszą ochronę tego dziecka. Nazywała się Charlotte i była jedyną córką (właściwie jedynym dzieckiem) pary książęcej. Niestety, rok wcześniej księżna zmarła z powodu wyniszczającej choroby i dziewczynka była teraz osamotniona i zrozpaczona. Miała ciotkę, siostrę matki, madame Eleanor, która powitała mnie w zamku. Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, a potem spojrzała na Arkariana, który trzymał się kawałek za mną. Skinęła krótko głową i zaprosiła mnie do środka, zatrzaskując drzwi przed nosem Arkarianowi.

- Co się stało z twoim powozem? Dlaczego przybywasz pieszo, tylko w towarzystwie chłopaka stajennego? - warknęła.

Za nami pojawił się książę. Prychnął sarkastycznie. Dowiedziałam się wcześniej, że większość czasu spędzał na dworze rodziny panującej lub na polu bitwy, prowadząc królewskie oddziały. Ze spojrzenia, jakie

rzuciła mu madame Eleanor, mogłam się domyślić, że nie tylko książećca córeczka uważa jego nieobecności za zbyt długie.

- Dlaczego musisz być podejrzliwa w stosunku do każdej osoby w moim otoczeniu, która nosi spódnicę?

Musiałam się powstrzymać przed wybuchnięciem śmiechem, słysząc słowa księcia. Najwyraźniej nie tylko ja zdawałam sobie sprawę z tęsknot madame Eleanor.

- Mój powóz wpadł w zasadzkę rabusiów - wyjaśniłam. - Zdołałam ocalić tylko to, co mam na sobie, reszta moich rzeczy została skradziona lub zniszczona. Chłopak stajenny pomógł mi odnaleźć drogę tutaj. Nazywa się Gascon.

Książę skinął na mnie dłonią.

- Proszę bardzo, Eleanor. Jesteś zadowolona?

Był nieprzyjemny, ale jego zachowanie nie musiało mnie obchodzić. To o dziewczynkę miałam się martwić.

- Kiedy będę mogła poznać księżniczkę? - zapytałam.

Książę uniósł brwi, a madame Eleanor pobiegła na górę najbliższymi schodami. Wraz z jej odejściem przestronny przedsionek wypełniła wyjątkowo niezręczna cisza. Książę patrzył przez okno na dziedziniec, nie racząc odezwać się ani słowem.

- Proszę mi wybaczyć, książę, gdzie mam się zatrzymać?

Postukał palcem w kamienny parapet, a ja zastanawiałam się, czy w ogóle zechce mi odpowiedzieć. W końcu odwrócił głowę.

- Nie wątpię, że Eleanor kazała przygotować dla ciebie komnatę. - Machnął lekceważąco ręką w kierunku czekającego na zewnątrz Arkariana. - Chłopak może iść do stajni. Stary François pokaże mu, gdzie ma zamieszkać.

Odwrócił spojrzenie, zniechęcając mnie do dalszego podtrzymywania rozmowy. Madame Eleanor wróciła z córeczką księcia, więc szybko skoncentrowałam na niej uwagę. Charlotte, jak na swój wiek, była mała i szczupła. Miała jasną skórę, ogromne niebieskie oczy i burzę jasnych, kręconych włosów. Pokochałam ją od pierwszego wejrzenia, było coś pociągającego w tym ślicznym dziecku ze smutnymi oczami i buzią wygiętą w małą podkówkę. Przyklęłam, żeby znaleźć się na poziomie jej wzroku.

- Witam, panno Charlotte.

W odpowiedzi spuściła tylko wzrok, po czym, w milczeniu, wepchnęła palec do ust. Kołysała się na piętach i patrzyła w stronę schodów.

Nie spiesz się, powiedziałam sobie i spróbowałam jeszcze raz.

- Nazywam się Phillipa i będę twoją... - nie skończyłam zdania, ponieważ moją uwagę przykuły dudniące dźwięki, dochodzące z za dziewczynki. Podniosłam głowę i spojrzałam prosto w oczy ogromnego

psa, największego chyba doga niemieckiego, jakiego w życiu widziałam.

Skoczyłam instynktownie na równe nogi gotowa do ucieczki. Ale Charlotte zawołała psa z ożywieniem i wielkie zwierzę podbiegło w podskokach, machając ogonem. Księżniczka objęła jego szeroki grzbiet w czułym uścisku i wyszeptła jakieś pieszczotliwe słówka do stojących sztywno uszu. Pies odwrócił ogromny łeb i zaczął z entuzjazmem wylizywać twarz i ręce dziewczynki.

- Na litość boską, zrób coś, Adrianie - jęknęła dramatycznie madame Eleanor.

Księżę oderwał się od okna, rzucił spojrzenie na psa i ściskając go córkę, a potem uniósł dłonie.

- Ten pies ją cieszy, a Bóg mi świadkiem, że nic innego nie sprawia jej tu radości.

Księżę uśmiechnął się do mnie ze smutkiem.

-Ta bestia nie odstępuje mojej córki na krok. Musisz zdobyć jego względy, zanim zbliżysz się do Charlotte.

Kilka minut później madame Eleanor zaprowadziła mnie do mojej komnaty na piętrze. Towarzyszyli nam Charlotte i jej pies.

-Jestem pewna, że będzie ci tu wygodnie. Nie przypuszczam, abyś kiedykolwiek widziała podobną komnatę.

Rozejrzałam się. - Z całą pewnością była przestronna i elegancko umeblowana, z piękną dębową boazerią

na ścianach. Biforium wychodziło na dziedziniec poniżej, a pod kolumnką stało bogato rzeźbione biurko. Z boku znajdowały się drzwi do sypialni Charlotte, a pod ścianą po prawej stronie zobaczyłam malowaną ławę. Ogromne łoże z czterema kolumnkami sięgającymi do sufitu zajmowało podwyższenie pod przeciwległą ścianą. Ponad nim wisiał piękny gobelin. Podeszłam, żeby przyjrzeć się mu bliżej.

- Mamusia go zrobiła - poinformował mnie z tyłu cichutki głosik. - Bardzo lubiła wyszywać.

Kiedy się odwróciłam, madame Eleanor zdążyła wyjść, zostawiając mnie samą z Charlotte. Wskazałam jej psa.

- Jak on się nazywa?

- Tata mówi, że powinien się nazywać Koń.

- Hmm, ciekawe czemu? - mruknęłam pod nosem.

Charlotte uklękała i obdarzyła psa kolejnym, pełnym ufności, uściskiem. Przytuliła głowę do jego szerokiej piersi.

- Ale ja go nazywam Król Karol, na cześć naszego króla. Nie uważasz, że wygląda królewsko?

- Rzeczywiście, wygląda.

Ale myśli o królu Karolu, czy w ogóle jakimkolwiek królu zniknęły, ponieważ Arkarian — czy może raczej Gascon — stanął w drzwiach.

1 Biforium — w stylu romańskim i gotyckim (a więc w średniowieczu) dwa okna przedzielone kolumnką (*przyp. red.*)

- Przepraszam, panienko, ale madame Eleanor powiedziała, że już pora na przejażdżkę panienki - odezwał się z szacunkiem.

Charlotte radośnie skinęła głową i zaczęła szukać rękawiczek i bacika. Pies chodził za nią jak cień.

- Jak myślisz, powinniśmy coś z nim zrobić? - szepnęłam.

- Cóż, będzie instynktownie bronił małej. To się może przydać. - Arkarian podszedł do psa, pochylił się i podrapał go za jednym ze szpiczastych uszu. -Sprawia wrażenie raczej przyjaznego.

- Książę powiedział, że będę potrzebowała jego zgody, żeby zbliżyć się do Charlotte.

Dziewczynka usłyszała to i zachichotała, rzucając kątem oka spojrzenie na Arkariana. Przedstawiłam go jako Gascona. Pies nagle się poruszył, a ja odruchowo cofnęłam się o krok.

Arkarian roześmiał się.

- Wydajesz się niezbyt pewna siebie. Czy to szósty zmysł coś ci podpowiada - zapytał szeptem - czy po prostu nie przepadasz za zwierzętami?

Zastanowiłam się nad tym przez chwilę. Podczas inicjacji rok temu zostałam hojnie obdarowana przez lordów i damy z Trybunału. Ale to przewodniczący Trybunału - Lorian - podarował mi oświecenie przez szósty zmysł. Wzruszyłam ramionami, bo naprawdę czasem nie byłam pewna, co jest szóstym zmysłem, a co po prostu obawą.

- Jestem pewna, że nie przepadam za zwierzętami, które mają ostre zęby.

Arkarian rozejrzył się po komnacie.

- Czy tam znajduje się jej sypialnia? - zapytał przyciszonym głosem.

Skinęłam głową, a Arkarian z namysłem zmarszczył brwi.

- Będziemy jej pilnować na zmianę - oświadczył, ale jego uwagę przykuł Król Karol, który teraz siedział z Charlotte na grzbiecie. Mała objęła go rękoma za szyję i zaczęła się kołysać w przód i w tył. Nagle ześliznęła się z jego grzbietu, po czym obiegła go, żeby pocałować między oczami, niechętnie wsadzając mu przy tym palec w oko.

- Przepraszam, Karolku - powiedziała czule, potarła go za uszy i cofnęła się, chichocząc.

Kiedy Charlotte skończyła się bawić z psem, podeszła do Arkariana. Ku mojemu zaskoczeniu bez chwili wahania wzięła go za rękę.

- Będziesz prowadził mojego kucyka, Gasconie? Poszliśmy do stajni, gdzie François przygotował

już i osiodłał kucyka. Polecono nam, żebyśmy zabrali Charlotte w jej ulubione miejsce - do wodospadu w pobliżu zakola rzeki przepływającej przez posiadłość księcia. Po drodze wypatrywaliśmy wszystkiego, co mogłoby być podejrzanym.

- Musimy być bardzo ostrożni - powiedział cicho Arkarian. - Rozmawiałem z paroma służącymi. Naj-

wyraźniej w ciągu ostatnich kilku miesięcy nie został przyjęty nikt nowy, czyli Zakon jeszcze się tu nie pojawił. Zaczynam dochodzić do wniosku, że czekają na coś konkretnego, zanim się tu pokażą. Na przykład na nas.

- Myślisz, że to my jesteśmy ich celem, a nie dziecko?

- Jeśli ich celem nie jest dziewczynka, to wiesz chyba, co to oznacza?

Nagle to do mnie dotarło i od czubka głowy aż do stóp przeszedł mnie dreszcz.

- To pułapka.

- Niewykluczone.

- No świetnie! - na chwilę zaniemówiłam, dając sobie czas na przemyślenie tego. Zniżyłam głos do szeptu.

- W ostatniej chwili zastąpiłeś Ethana. Więc jeśli Zakon w końcu dowiedział się, kim jest Ethan, prawdopodobnie spodziewają się podczas tej misji jego, a nie ciebie.

- Cóż...

- To pułapka, żeby zabić Ethana!

- Słuchaj, nie możemy wyciągać pochopnych wniosków. Jeszcze nie teraz. Mogły istnieć inne powody, dla których Lorian polecił mi zająć miejsce Ethana. Zastanawia mnie jednak, dlaczego nie wybrał Shauna albo Marcusa?

Dla mnie odpowiedź była prosta: Lorian pokładał głęboką wiarę w umiejętności Arkariana. Ale nie zdra-

dziłam się z tą myślą. Arkarian tylko by zaprzeczył. Chociaż bez wątpienia był najbardziej utalentowanym i najpotężniejszym członkiem Straży, sam nigdy by tego nie przyznał.

- Czyli myślisz, że Charlotte jest mimo wszystko bezpieczna?

- Nie możemy niczego z góry zakładać. Któż zdołałby przeniknąć umysł nieśmiertelnego?

- Cóż, minął rok od śmierci Marduka. Cierpliwość Bogini musiała się zacząć wyczerpywać.

- Tak, i dlatego może się zachowywać inaczej niż zwykle. Musimy więc być przygotowani na wszystko.

Rozdział 6

Arkarian

Przed końcem spaceru Isabel nawiązała doskonały kontakt z dzieckiem. To nie było trudne, sam zdążyłem polubić tę małą, choć udawało mi się unikać takich emocji przez prawie sześćset lat. Charlotte okazała się po prostu wyjątkowo grzeczna, miła i ufna. No i wiele razy widziałem ją bliską łez.

Po kolacji z księciem i madame Eleanor Charlotte uparła się, żebym opowiedział jej jeszcze jedną historię. Było rzeczą niesłychaną, żeby nędznego chłopaka stajennego wpuszczano na pokoje, ale księżę ostatecznie się na to zgodził. Myślę, że widok wreszcie uśmiechniętej córeczki przyniósł mu ulgę.

Isabel i Charlotte siadły przed kominkiem zabierając Króla Karola. Charlotte tuliła psa, a Isabel wyszeptała:

- Wiesz, ta jej ciotka mogłaby być trochę miłsza. Nie sprawia wrażenia kobiety zdolnej do tego, by być kochającą matką.

Musiałem się zgodzić. Chociaż nie znalazłem historycznych źródeł na temat Charlotte, wiedziałem, że madame Eleanor pewnego dnia stanie się panią na tym właśnie zamku, poślubi księcia i otrzyma tytuł księżnej. Wahałem się jednak, czy powtarzać to Isabel. Myśl o tym, że madame Eleanor zostanie macochą Charlotte, na pewno by się jej nie spodobała. A przecież zaangażowanie w związki emocjonalne z tymi, którym mamy pomagać, jest surowo zabronione. To podstawowa zasada. Bardzo łatwo jest nawiązać przyjaźń, a trudności z jej późniejszym zerwaniem miały w przeszłości poważne konsekwencje dla Straży. Taki był początek wszystkich naszych problemów z Mardukiem. Trzydzieści lat temu zmienił przeszłość, aby uchronić kobietę, w której się zakochał, przed zachorowaniem na dżumę. Jego partnerem był ojciec Ethana, Shaun. Próbował go powstrzymać, walczyli, a twarz Marduka została poważnie okaleczona w tym pojedynku.

- Tej kobiecie dziecko potrzebne byłoby tylko dla zapewnienia sobie sukcesji - ciągnęła Isabel.

Charlotte poruszyła się, sennym głosem prosząc o następną opowieść, więc Isabel nie ciągnęła podjętego wątku. Delikatnie przesunęła palcami po czole dziewczynki.

- Cierpliwości, Charlotte. — Zmieniła miejsce, kładąc głowę Charlotte na kolanach. - Wygodnie ci?

Charlotte przytaknęła i spojrzała na mnie.

- Pospiesz się, Gasconie. Musisz mi coś opowiedzieć, zanim zasnę. Znasz tyle historii! A mnie się kleją oczy.

Mimo tych słów Charlotte potrzebowała aż trzech długich opowieści - mitów starożytnej Grecji i Macedonii - aby jej pełne życia, niebieskie oczy w końcu się zamknęły.

Isabel nadal gładziła jej włosy.

- Powinniśmy chyba zanieść ją do łóżka?

Spojrzałem przez łączące komnaty drzwi i zastanowiłem się, jakie plany wobec dziewczynki miał Zakon. Czy przejście do tej epoki zostało otwarte wyłącznie po to, żeby zwabić Ethana? Portal mógł się otworzyć tylko na bardzo krótko i tylko raz. Nikt nie mógł wrócić dwa razy dokładnie do tego samego czasu. A może naprawdę życiu i zdrowiu Charlotte coś zagrażało? Błędem byłoby niedocenianie przeciwnika. Widziałem wcześniej jej sypialnię — wąskie okna z ciężkimi zasłonami, drzwi do schowka, garderoba i drewniane skrzynie dawały dość miejsca do ukrycia się komuś, kto chciałby nas zaskoczyć.

- Może zostawimy ją tutaj, gdzie możemy mieć na nią oko? Przy ogniu jest ciepło.

Isabel zgodziła się ze mną i ułożyła Charlotte wygodnie na poduszkach. Król Karol umościł się koło niej i położył łeb na łapach, powoli zamykając oczy.

Usiedliśmy u stóp łoża z baldachimem. Po chwili Isabel westchnęła i ziewnęła. Nieświadomie oparła się na moim ramieniu - po ciężkim dniu była całkowicie wykończona. Popatrzyła na Charlotte.

- Wygląda tak niewinnie - zauważyła cicho.
- Jak tylko dziecko może być niewinne.
- Dlaczego ktokolwiek mógłby chcieć ją skrzywdzić? - wzdrygnęła się nagle.

Instynktownie i wbrew zdrowemu rozsądkowi przyciągnąłem ją bliżej do siebie. Oparła mi głowę na ramieniu, jakby była to najbardziej naturalna rzecz we wszystkich światach.

Ale to był błąd. Nagle zacząłem zauważać, jak bije jej serce, jak płuca poruszają się z każdym oddechem, jak miękka jest skóra pod moimi palcami.

Poruszyła się, a jej głowa zsunęła się na moją pierś. Poprawiła się we śnie, obejmując mnie w pasie. Teraz spostrzegłem, że także moje serce bije powoli, synchronizując się z rytmem jej serca. Wiedziałem, że powinienem ją odsunąć. Ale w tym momencie było to niemożliwe, nawet gdyby od tego miało zależeć moje życie.

Wymruczała coś, jej oddech był miarowy i powolny. Nie potrafiłem się powstrzymać przed pocałowaniem jej w czubek głowy.

Poruszyła się i obudziła, zauważając, że jej ramiona mnie otaczają. Odsunęła się gwałtownym ruchem, odetchnęła głęboko i usiadła wyprostowana.

- Chyba zasnęłam.
- Tylko na minutę czy dwie. Spojrzała na mnie.
- Coś mnie ominęło?

Pomyślałem o pocałunku w czubek głowy i nie potrafiłem powściągnąć tajemniczego uśmiechu.

- Nic. Zupełnie nic.

- To dobrze. Nie chciałabym, żeby ominęło mnie jakieś ważne wydarzenie, na przykład Bogini wpadająca, żeby się z nami przywitać.

Prychnąłem na jej słowa.

- Żyję od sześciuset lat, a jeszcze nie spotkałem tej kobiety.

Sprawiała wrażenie zaskoczonych.

- Lathenia pokazuje się tylko przy szczególnych okazjach.

Naszą uwagę przykuł dźwięk dochodzący od strony kominka, piśnięcie Króla Karola. Pies budził się, powoli prostując łapy i prężąc grzbiet.

Charlotte poruszyła się i sięgnęła w poszukiwaniu psa. Ale coś wydawało się w nim dziwnego, nienormalnego. Jego oczy zaczęły się zmieniać, tracąc zwierzęcy kształt. Zupełnie jakby nie były już oczami psa, ale...

- Zabierz małą! - krzyknąłem.

- Co się dzieje? - Isabel sprawiała wrażenie zagubionej.

- Chyba twoje życzenie spotkania z Boginią może się ziścić.

Podbiegła do Charlotte.

- Co?! Żartujesz? Jak?!

- Przypuszczam, że Lathenia wykorzystwała jednego ze swoich ogarów, aby zbliżyć się do Charlotte i pozwolić nam wierzyć, że Zakon jeszcze tu nie przybył. Dzięki temu miała czas na obserwowanie nas.

- Myślisz, że domyśliła się...

Przeszywający uszy skowyt zagłuszył jej dalsze słowa. Isabel delikatnie, ale pewnie chwyciła Charlotte i odciągnęła ją na bok, kryjąc twarz dziecka w swojej spódnicy.

- Nie odwracaj się, niezależnie od tego, co usłyszysz - powiedziałem jej.

Widok ukochanego psa stojącego na tylnych łapach i prężącego się z bolesnym wyciem na pewno przeraziłby małą Charlotte. Tym bardziej, że na naszych oczach pies zaczął się przeistaczać! Długie łapy wyciągnęły się jeszcze i, tracąc zwierzęcy kształt, przemieniły w smukłe kończyny - w ludzkie ramiona i nogi.

Kilkanaście sekund później stanęła przed nami w pełni ukształtowana postać kobiety. Wyższa od większości ludzi, z sięgającymi do kostek intensywnie czerwonymi włosami i dziwacznymi srebrnymi oczami.

Bogini Chaosu wyprostowała ramiona i wskazała mnie nienaturalnie długim palcem.

- To nie ty.

Isabel spojrzała na mnie, nie wypuszczając Charlotte, która próbowała wyrzeć zza jej spódnicy.

Oczy Lathenii zwęziły się pod wpływem intensywnego namysłu. Niedługo zorientuje się, kim jestem. I chociaż to Ethana miała nadzieję dzisiaj dopaść, nie będzie rozczarowana, znajdując w zamian mnie.

Spotkanie z Lathenią podczas tej misji było dla mnie zupełnym zaskoczeniem. Lorian musiał coś podejrzewać. Teraz już rozumiałem powody tego nagłego zastępstwa. Przez długie lata od mojej inicjacji jako członka Straży uczyłem się zdolności potrzebnych do walki z nieśmiertelnymi. Nie mogą zostać zabici

- chyba że przez innego nieśmiertelnego - ale można ich zranić albo oszukać, mogą też zostać schwytani i uwięzieni w bezpiecznym miejscu. Ogień był głównym wrogiem Lathenii, która dlatego właśnie żyła w świecie kryształu, marmuru i lodu.

Tak więc musiałem się skoncentrować na ogniu. Miałem zamiar wykorzystać do tego jeden z moich talentów, ale najpierw Isabel i Charlotte musiały się znaleźć w bezpiecznym miejscu.

- Zabierz ją na dół.

Isabel spojrzała w kierunku drzwi, ale wykonanie mojego polecenia nie było proste. Na jej drodze stała Lathenia, a Isabel nie wiedziała, że mam umiejętności

- chociaż niesprawdzone - pozwalające mi podjąć walkę z nieśmiertelnym. Będzie chciała zostać i pomóc.

- Phillip, musisz zabrać Charlotte w bezpieczne miejsce - spróbowałem spojrzeniem wzmocnić to polecenie.

Skierowała się do drzwi, jednakże Lathenia zatrzasnęła je im przed nosem. Isabel szarpnęła klamkę, ale nie chciały ustąpić. Charlotte zaczęła popłakiwać.

- Gdzie jest Karolek? Kim jest ta straszna pani? Boję się jej. Niech Gascon ją wyrzuci.

Isabel powiedziała jej, żeby zachowywała się spokojnie, a wszystko będzie dobrze.

- Zaufaj Gasconowi, skarbie.

Skinęła głową, ale łzy spływały jej po policzkach, a szloch stał się głośniejszy.

Lathenia uniosła dłonie. Koniuszki jej palców stały się niebieskie, pomiędzy nimi zaczęły przeskakiwać syczące iskry jaskrawego światła, gotowe, aby we mnie uderzyć. Znałem kryjącą się w nich moc - tak wielką, że żaden śmiertelnik nie mógłby się jej przeciwstawić. Wyciągnąłem więc szybko ręce i skoncentrowałem się. Strumień mocy rozbłysnął na całą komnatę, trafiając w moje otwarte dłonie. Poczułem, że płoną, ale zdołałem to jakoś wytrzymać. Chwilę później zalśniły, a energia Lathenii zaczęła się w nich gromadzić. Koncentrując się z całych sił, rozdzieliłem tę moc i cisnąłem połowę w Boginię, a drugą połowę w kominek. W rezultacie wydarzyły się jednocześnie dwie rzeczy. Ogień wybuchnął z taką siłą, że cały pokój nabrał pomarańczowej barwy i wypełnił się żarem, a uderzona własną mocą Lathenia wrzasnęła, wydając z siebie ohydny, wiercący w uszach skrzek, prawdopodobnie będący raczej oznaką zaskoczenia niż bólu.

Po chwili Bogini odzyskała panowanie nad sobą i wyprostowała się, ale jej skóra przybrała ciemnoczerwony odcień. Oparzyłem ją jej własną mocą. Ogarnęła ją wściekłość. Utkwiwszy we mnie wzrok machnęła ręką, zataczając szeroki łuk. Rozlegające się trzaski podpowiedziały mi, co planuje. Spojrzałem na meble, które zaczęły się już poruszać.

— Spróbuj otworzyć drzwi! — krzyknąłem do Isabel. Ani drgnęły.

Meble zaczęły krążyć po pokoju, błyskawicznie nabierając prędkości.

— Przytrzymaj się czegoś przymocowanego do podłogi albo sufitu — ostrzegłem Isabel. - Na przykład parapetu. Tylko nie wychylaj się za bardzo, tu jest wysoko.

Isabel sięgnęła do parapetu, przyciskając Charlotte swoim ciałem do ściany.

— Za wszelką cenę chroń dziecko!

W tym momencie Lathenia zaczęła obracać się w miejscu, unosząc ręce. Kontury jej ciała rozmazały się, gdy obracała się coraz szybciej i szybciej. W odpowiedzi na jej ruch meble uniosły się w powietrze. Za mną znajdowała się kolumnienka łoża. Szarpnąłem ją szybko, żeby sprawdzić, czy wytrzyma. Sprawiała wrażenie solidnej, więc chwyciłem ją zgięciem łokcia. Nie mogłem użyć dłoni, nadal gorących i świecących mocą Lathenii. Meble poruszały się już tak szybko, że komnatę wypełniły rozmazane chaotyczne kształty.

Spojrzałem na Isabel. Prąd powietrza o mocy huraganu szarpał jej ubranie. Trzymała się parapetu tylko palcami, a szalejące w pokoju moce mogły porwać ją razem z dzieckiem. Nie wiedziałem, ile jeszcze wytrzyma. Musiałem działać, i to prędko. Sam jednak z trudnością pozostawałem w miejscu, nie widząc ognia z za rozmazanych, wirujących mebli, mijających nas o centymetry.

Tornado przybrało na sile. Isabel wrzasnęła. Jej ciało zwisało niemal poziomo, z Charlotte uczeponą pasa. Musiałem zorientować się, gdzie jest kominek. W tym momencie Lathenia zwolniła i przestała się obracać. Jej twarz przybrała zwykły, opalizujący kolor. Podchwyciła moje spojrzenie i odwzajemniła je z uśmiechem zadowolenia z siebie. Zrozumiałem ją bez słów; odgadła moją tożsamość.

Kiedy się zatrzymała, zobaczyłem na prawo od niej pomarańczowy poblask ognia. Skoncentrowałem na nim wszystkie moje umiejętności, wzywając resztki jej energii pulsujące jeszcze w moich dłoniach. Ogień znowu wystrzelił, a fala płomieni ogarnęła komnatę, spowalniając tornado. Gdy wiatr osłabł, meble zaczęły spadać, rozbijając się o posadzkę i pękając na niebezpieczne odłamki. Isabel przysiadła, okrywając dziewczynkę spódnicą.

Teraz usłyszeliśmy walenie w drzwi. Księżę i jakieś inne osoby chcieli wiedzieć, co się dzieje w komnacie. Żądali otwarcia drzwi. Isabel rzuciła mi zaniepokoj-

ne spojrzenie, ale mnie obchodziła tylko Lathenia i to, co jeszcze wymyśli. Skoncentrowałem całą swoją moc na ogniu. Jeśli będę musiał całkowicie spalić komnatę, żeby pozbyć się Bogini, podejmę to ryzyko.

Lathenia zrozumiała, co planuję. Wyciągnęła długi palec w kierunku kominka i w jednej chwili ogień wygasł. Z malującą się na twarzy satysfakcją uniosła dłoń w moim kierunku. Postarałem się nie zwracać na nią uwagi i skupiłem się na kominku, wierząc, że gdzieś w tych popiołach tli się jeszcze pojedyncza iskra.

- Nie jesteś dość dobry... Arkarianie!

Z całych sił, nie dając się zdekoncentrować, skupiłem się na szukaniu tej iskry. W uszach brzmiał mi śmiech Lathenii, pełen drwiny i triumfu. Umilkł jednak zaraz, bo iskierka, którą wreszcie znalazłem, rozpałała się w buzujący ogień, który nie mieścił się w małym kominku. Wybuchnął, a fala tańczących pomarańczowych płomieni ogarnęła komnatę.

Lathenia wrzasnęła, tym razem z wściekłości. Płomienie wypełniły niemal całe pomieszczenie, a ona wzniosła się ponad nie, przesywając mnie spojrzeniem lśniących srebrem oczu.

— Nie myśl, że wygrałeś, Arkarianie. Niebawem się spotkamy i tym razem to ja wybiorę miejsce. - Z tymi słowami zniknęła.

Uspokoilem płomienie, które cofnęły się do kominka. Drzwi stanęły otworem, a do komnaty wpadli książę, madame Eleanor i gromada służących. W pierw-

szym odruchu cofnęli się z powodu żaru i swądu spalonych mebli. Potem zamarli, patrząc na kompletnie zrujnowane wnętrze. Ich osłupienie przerwał szloch Charlotte.

- Co tu się wydarzyło?! - zażądał wyjaśnień książę.

- Ta pani zabrała mi psa - rozplakała się Charlotte.

- Ummm... - Isabel postarała się znaleźć jakieś prawdopodobne wytłumaczenie. - Właśnie, pies. Cóż, on... on...

- Tak? Wykrztuś to wreszcie! - nakazał książę.

- Spał zbyt blisko ognia - dodałem, żeby pomóc Isabel.

Skwapliwie podchwyciła moje słowa.

- Właśnie. Spał tak blisko, że spadły na niego iskry. Oszalał ze strachu, a kiedy zaczął biegać, podsycił tylko płomienie. Szalał po pokoju z płonąca sierścią, podpalając wszystko, czego dotknął i przewracając meble. Próbowaliśmy go pochwycić, ale to tylko pogorszyło sprawę.

Madame Eleanor sprawiała wrażenie przerażonej.

- Dlaczego nie otworzyliście drzwi?

Isabel spojrzała na drzwi. Koło nich leżały zwęglone szczątki mebla.

-To przez biurko — wyjaśniła. — Zatarasowało drzwi. A my byliśmy tak zajęci łapaniem psa i gaszeniem ognia, że nie mieliśmy czasu go odsunąć.

Spojrzenie księcia powędrowało do córki, wciąż płaczącej, ale całej i zdrowej.

- Cóż, najwyraźniej zdołaliście ochronić moją córkę i za to jestem wam wdzięczny. Ale co takiego Charlotte mówiła o jakiejś pani?

- Kiedy wybuchł pożar, Charlotte spała, książkę „Pani”, o której mówi, musiała się jej przyśnić.

- A gdzie jest pies? Spojrzałem w stronę okna.

- Wskoczył przez okno, panie - odezwała się Isabel. - Gascon widział go, jak znika w lesie.

Książę, wyraźnie usatysfakcjonowany naszymi wyjaśnieniami, rozkazał służbie posprzątać pokój i wyrzucić wszystkie meble, których naprawa nie była możliwa. Madame Eleanor poleciła przyszykować dla Charlotte inną komnatę.

- I spieszcie się, aby dziecko można było jak najszybciej położyć spać.

Isabel, nie bez oporu, zignorowała niefortunny dobór słów madame Eleanor. Rzuciłem jej ostrzegawcze spojrzenie, więc pochyliła się, żeby pocieszyć Charlotte, nadal zrozpaczoną stratą ukochanego psa.

- Mówiłam ci, Adrianie, że ten pies to nic dobrego - warknęła madame Eleanor do księcia. - Powinieneś być go zabić, kiedy tylko pojawił się w zamku. Ostrzegałam cię, że sprowadzi nieszczęście.

Charlotte zaczęła głośniej płakać, a Isabel jęknęła, słysząc bezduszne i bezmyślne słowa madame Eleanor. Ale chociaż także współczułem Charlotte, ani ja, ani Isabel nie mogliśmy niczego zrobić w sprawie

psa. Najwyraźniej nie należał do tego czasu. Lathenia wysłała go w swoich celach, a teraz, rzecz jasna, nie mógł wrócić. Portal do tej epoki zamknie się, kiedy tylko ja i Isabel znajdziemy spokojne miejsce, żeby wezwać Marcusa. Wystarczy, że zawołamy jego imię - głośno i z uczuciem - a on usłyszy nas i natychmiast sprowadzi z powrotem do Cytadeli. Pociągnąłem ją za ramię.

- Nasze zadanie jest skończone - wyszeptałem. Niemal niedostrzegalnie skinęła głową i zwróciła się do madame Eleanor.

- Jeśli komnata dla Charlotte została przygotowana, położę ją do łóżka.

Księżę podszedł i podniósł Charlotte w ramionach, mocno ją przytulając.

- Dziękuję za twoją życzliwość, ale dziś wieczór sam położę Charlotte do snu.

Madame Eleanor zbliżyła się pospiesznie i ujęła księcia pod ramię.

- Udam się z tobą. A kiedy dziecko zaśnie, polecę przynieść miód dla ukojenia naszych nerwów.

Kiedy księżę i madame Eleanor wyszli, służba pospiesznie wyniosła najbardziej zniszczone meble i niebawem ja i Isabel zostaliśmy w końcu sami.

- Jak to zrobiłeś? - zapytała.

Zamknąłem drzwi za ostatnim wychodzącym służącym i odwróciłem się.

- Hmm?

Wykonała dłońmi gest przypominający to, co zrobiłem wcześniej, żeby odbić moc Lathenii.

- Ta sztuczka z dłońmi.

Podeszła bliżej, wzięła moje dłonie i pisnęła cicho.

- Są strasznie gorące! Czy to boli?

Wyrwałem dłonie z jej rąk. Nadal nie wszystko było z nimi w porządku, ale miałem pewność, że to wkrótce minie.

- Nic mi nie jest. Nie martw się.

- Myślałam, że staną w płomieniach, tak jak ten żar, któremu kazałeś wybuchnąć.

Chciała, żebym jej to wyjaśnił.

- To tylko umiejętność, której zostałem nauczony, by móc stawić czoła nieśmiertelnemu. To wszystko.

Popatrzyła na mnie zmrużonymi oczami; jej ciekawość została tylko podsycona.

- Naprawdę?

Najpierw jeden, potem drugi kącik jej ust zadrgał. Wprawdzie dobrze osłaniała myśli, ale byłem pewien, że wymyśliła na mój temat jakąś fantastyczną teorię.

- Bardzo dawno temu musiałeś przecież być Uczniem. Kto był twoim Nauczycielem?

Z jakiegoś powodu słowa Isabel zabrzmiały tak, jakby wierzyła, że moja odpowiedź rozwiąże tajemnicę dzisiejszego pokazu niezwykłych mocy. Nie chciałem zdradzać jej informacji, które mogły doprowadzić do fałszywych wniosków. Nie wiedziałem, kim byli moi rodzice. Dorastałem w wielu domach, wie-

śniaków i żołnierzy. Czasem byłem w nich służącym. Dopiero kiedy skończyłem osiemnaście lat i zostałem przyjęty do Straży, znalazłem odrobinę spokoju. Nie miałem nazwiska. Jedyną rodziną, jaką kiedykolwiek znałem, była ta przydzielona przez Straż.

- Charlotte jest bezpieczna. Nasza misja jest zakończona. Naprawdę musimy już wracać.

Spróbowała złapać mnie za świecąca nikłym blaskiem rękę, ale odwróciłem się.

- Najpierw mi powiedz, kto był twoim Nauczycielem.

- A co to za różnica? Uniosła jedno ramię.

- To dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?

- Ponieważ wyciągniesz pochopne wnioski. Szalone.

- Dlaczego nie pozwolisz, żebym sama się o tym przekonała?

- Musimy wracać, Isabel. Mamy mnóstwo rzeczy do zrobienia po powrocie.

- Rozumiem, ale nie ruszę się, dopóki mi nie powiesz, kto był twoim Nauczycielem.

Jęknąłem i potrząsnąłem głową. Co za upór. Wpatrywała się we mnie, stojąc z rękami opartymi na biodrach. Wiedziałem, że nie zmieni zdania. To było oczywiste.

- No dobrze. Byłem uczniem Loriany. Czy to zaspokaja twoją ciekawość?

- Aha! Tak myślałam.

Można by pomyśleć, że to najważniejsza rzecz, jakiej dowiedziała się w życiu. W tym momencie przyszła jej do głowy kolejna myśl. W jej oczach błysnęła ekscytacja, jak w oczach dziecka, przed którym położono paczkę opakowaną w kolorowy papier.

- Powiedz mi jeszcze jedno i nie będę ci więcej zawracać głowy.

W to akurat wątpiłem, ale i tak poczułem, że mięknę. Nie mogłem się pozbyć przeświadczenia, że powinniśmy jak najszybciej wracać do naszego czasu.

- To ostatnie pytanie o przeszłość, jakie możesz mi zadać. Musimy zaraz wracać do Cytadeli, czas ucieka zbyt szybko.

- Powiedz mi, jak długo.

- Nie rozumiem.

- Jak długo byłeś Uczniem Lorianą?

Zastanawiające pytanie. Szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia, dlaczego tak długo pozostawałem Uczniem. Może po prostu nauka szła mi opornie.

- No więc? - ponagliła.

- Nie wiem, dlaczego cię to interesuje, ale mogę cię poinformować, że byłem Uczniem Lorianą przez dwieście lat.

Rozdział 7

Isabel

Dwieście lat! Arkarian był szkolony przez nieśmiertelnego przez całe dwieście lat! Wiedza o tym, że był Uczniem Lorianą, wydała mi się, łagodnie mówiąc, porażająca.

A było tak wiele rzeczy, których jeszcze o nim nie wiedziałam. Tak wiele rzeczy, których chciałam się dowiedzieć. To dziwne, że ta dziewczynka, Charlotte, tak szybko przywiązała się do niego. Dlaczego?

I jeszcze tamta chwila. Chwila w jego ramionach.

Ale miał rację, że powinniśmy jak najszybciej wracać do naszego czasu. Zwłoka była niebezpieczna. Ostrzeżenie Lathenii wciąż dźwięczało mi w uszach. I musieliśmy jeszcze znaleźć jakiś sposób na powstrzymanie pani Laury przed samobójstwem.

Przenieśliśmy się do Cytadeli, ale żadnemu z nas nie udało się zgrabnie wylądować. Poturlaliśmy się po podłodze w komnacie, która wydawała się poruszać. Arkarian pomógł mi wstać.

- Coś jest nie tak.

- Też to poczułem. Popatrz na tę komnatę.

Drzwi, które się pojawiły, sprawiały wrażenie zdeformowanych, jakby z trudem udawało im się otworzyć. Oczy Arkariana rozszerzyły się.

- Chodźmy!

Drzwi nie uformowały się do końca, musieliśmy przepchnąć się przez nie, żeby wydostać się na zewnątrz. Arkarian pobiegł korytarzem i poprowadził nas w dół, przez kilka pięter znikających schodów.

- Dokąd biegniemy?! - zawołałam.

- Odzyskać moje ciało!

Po prawej stronie otwarły się drzwi, tak samo zniekształcone. Przepchnęliśmy się przez nie. Kiedy tylko znaleźliśmy się w środku, Arkarian zniknął. Obróciłam się, czując przyływ paniki, ale zobaczyłam go po drugiej stronie komnaty. Wstał z fotela, a znajomy widok szafirowych włosów i fiołkowych oczu przyniósł mi ulgę.

- Nie możemy tu zostać - powiedział. - Trzeba teraz odesłać ciebie. Nie wiem, co tak długo zatrzymało Marcusa. Powinien przenieść cię z mojej siedziby albo sam musiałbym to zrobić. Coś chyba poszło nie tak, skoro nadal tu jesteś. Powinienem tam iść i mu po-

móc. - Zauważył wyraz mojej twarzy. - Ale najpierw znajdę dla ciebie bezpieczną komnatę.

- Myślałam, że wszystkie komnaty w Cytadeli są bezpieczne.

- W zasadzie tak. Ale „komnata bezpieczna” jest wyłożona specjalną substancją, której nie można w żaden sposób przeniknąć.

Rozejrzeliśmy się za drzwiami, ale nie było po nich śladu.

- No dalej - mruknął Arkarian do ściany, przesuwał dłońmi po miejscu, w którym weszliśmy. -Otwórz się!

Zamrugałam kilka razy i potarłam oczy, ponieważ światło w komnacie nagle się zmieniło.

- Arkarianie?

Wciąż szukał wyjścia i niczego nie zauważył. Dotknęłam jego ramienia i wskazałam środek pokoju. Tam właśnie działało się coś dziwnego. Całe światło w pokoju poruszało się, zwijając się spiralnie wokół pojedynczego punktu.

- Isabel! Szybko! - w głosie Arkariana zabrzmiała desperacja. Złapał mnie za rękę, mocno ściskając. W ciągu kilku sekund światło zniknęło całkowicie. - Cokolwiek się wydarzy, nie puszczaj mojej ręki.

- Co się dzieje? Nic nie widzę!

- Światło zostało wysane. Marcusie! Zabierz nas stąd!

Nic się nie wydarzyło. A potem komnatą wstrząsnął

wybuch, który napełnił ją jaskrawo błękitnym i fioletowym światłem. Przez ułamek sekundy widziałam Arkariana - na jego łagodnej twarzy malowało się przerażenie, niebieskie włosy miał w potwornym nieładzie, jakby naelektryzowane. Wyciągnęłam rękę, ale siła wybuchu cisnęła nas w powietrze w przeciwnych kierunkach. Rąbnęłam plecami o ścianę i zwałam się na podłogę, uderzając się mocno w głowę.

Kiedy zdołałam znowu otworzyć oczy, głowę miałam ciężką jak z betonu, a świat wokół mnie miał nieostre kontury. Nie na tyle jednak, żebym nie zobaczyła olbrzymiego mężczyzny, stojącego nade mną. Miał pochylone ramiona i był tak przygarbiony, jakby w każdej chwili mógł opaść na cztery nogi. Nosił obszerny, szkarłatny płaszcz, którego kaptur skrywał jego twarz. Przechylił głowę i warknął na mnie. Dźwięk wydał mi się zwierzęcy. Cofnęłam się gwałtownie pod ścianę, ponieważ spryskała mnie jego ślina. Co tu się działo?!

Mężczyzna odwrócił się ode mnie i ochrypłym głosem zaczął wydawać rozkazy. Pobiełam wzrokiem za jego spojrzeniem i zobaczyłam starca, przygarbionego i bardzo kruchego. Ale to nie dla niego były przeznaczone rozkazy. Koło starca siedziały cztery stwory, nieprzypominające niczego, co mogłoby stąpać po powierzchni Ziemi. W pierwszej chwili miałam wrażenie, że unoszą się w powietrzu, zupełnie jakby miały skrzydła. Jeden z nich opadł, lądując z ciężkim łup-

nięciem na dziwacznych, przypominających ludzkie, stopach.

- Dość! — krzyknął na nie wysoki mężczyzna. - Dajcie mi klucz i wynośmy się z tej siedziby chorej sprawiedliwości.

Zdołałam wstać i zaczęłam się rozglądać za Arkarianem. Jeden stwór przesunął się i teraz zobaczyłam machające skrzydła, przyczepione dziwacznie do grzbietu. Pod nimi znajdowały się ręce. Inny chrząknął i odepchnął go, a ten przewrócił się na podłogę. Zaskoczył mnie widok małych, okrągłych, czerwonych oczek.

Mężczyzna w fałdzistym płaszczu złapał go za skrzydło dłonią w rękawiczce.

- Wstawaj!

Stwór ze skrzekiem zaczął się gramolić na nogi, a ja dojrzałam jakiś kształt na podłodze. Arkarian! Ale coś z nim było nie tak. Leżał bezwładnie i nieruchomo. W tym momencie zauważyłam łańcuchy na jego kostkach i nadgarstkach, zabezpieczone zamkiem. Zamierzali go gdzieś zabrać. Serce skoczyło mi do gardła, gdy starzec zaczął posypywać go popiołem. Zrobiłam krok w ich stronę, ale fala zawrotów głowy sprawiła, że zachwiałam się na nogach.

- Utwórzcie wokół niego klatkę. Pospieszcie się!
-rozkazał mężczyzna w szkarłatnym płaszczu.

Łapiąc równowagę, przeszłam chwiejnie przez komnatę i szarpnęłam wysokiego mężczyznę za ramię.

- Co wy robicie? Puśćcie go!

Mężczyzna popatrzył na mnie. Pod kapturem dostrzegłam pojedynczy błysk czerwieni, zupełnie jakby jego oczy płonęły ogniem. Nie odpowiedział.

Nie mogłam uwierzyć, że to się dzieje naprawdę! Wypełniła mnie wściekłość, dając mi konieczną do działania siłę. Skoczyłam, żeby wydrapać mężczyźnie oczy, ale był tak wysoki, że moje pięści uderzyły tylko w twardą jak skała pierś. Odepchnął mnie tak, że upadłam na podłogę. Pozbierałam się i uderzyłam go łokciem w żołądek.

Cisnął mną przez komnatę. Kiedy zaczęłam wstawać, wyciągnął w moim kierunku rękę. Jego palce rozbłysły promieniami światła. W tym samym momencie trafił we mnie strumień mocy, zupełnie jakby prąd elektryczny przeszył moje ciało. Chciałam wstać, ale nie mogłam. Moje kończyny stały się bezwładne.

- Gdzie go zabieracie?

Nadal milczał. Patrzył na mnie, a ja starałam się dostrzec cokolwiek pod jego kapturem. W końcu odezwał się:

- Do miejsca, w którym zawsze jest północ, a kwiaty kwitną pod krwawiącym księżycem.

Jego słowa zabrzmiały znajomo.

- Gdzie jest to miejsce?

Zignorował pytanie - jego uwagę odwróciły ściany, które zaczęły właśnie drżeć. Zaniepokojony uderzył grzbietem dłoni najbliższego stwora, który zaskrzeczał i machnął skrzydłami.

- Pospiesz się, bezużyteczna bestio! Potem zapytał starca, czy już skończył.

- Wszystko gotowe - odparł tamten i rozkasłał się.

Drżenie nasiliło się. Zupełnie jakby komnata buntowała się przeciwko temu, co działo się w jej wnętrzu. Rozległ się przeciągły grzmot, a w ścianach pojawiły się poszarpane szczeliny, z których ze wszystkich stron zaczęło napływać oślepiające światło. Pod moimi stopami otworzyła się głęboka dziura; musiałam nad nią przeskoczyć. Mężczyzna znowu krzyknął na swoje „bestie”.

- Cytadela znalazła sposób na przełamanie czaru Keziaha! Musimy się stąd wynosić, natychmiast!

Kiedy wypowiadał te słowa, wokół ciała Arkariana pojawiła się złota klatka.

- Szybko!

Zacząli znikać. Nie mogłam w to uwierzyć! Musiałam ich powstrzymać. Komnata zaczęła jednak falować przed moimi oczami. Zmusiałam się, żeby ich nie zamknąć i popęzłam po podłodze w kierunku intruzów. Błysk jaskrawego światła oślepił mnie na chwilę. Kiedy przygasł i znowu zaczęłam coś widzieć, po dwóch mężczyznach, czwórce ich dziwaczkich pomocników i Arkarianie nie było już śladu.

Rozdział 8

Isabel

Biegłam, ile sił w nogach, ale nie wiedziałam, dokąd właściwie mam zmierzać. Cytadela stanowiła dla mnie zagadkę, podczas każdej wizyty tutaj korytarze i schody wyglądały inaczej. Nigdy nie byłam dwa razy w tej samej komnacie. Zupełnie jakby to miejsce żyło własnym życiem, nieustannie się zmieniając. Wokół mnie pojawiały się drzwi do setek różnych pomieszczeń, korytarze prowadziły do schodów znikających pod moimi stopami. Ale po iluś kolejnych dziwnych przejściach znalazłam się na ruchomej platformie, pod którą ziała zupełna pustka. Po raz pierwszy od porwania Arkariana stanęłam nieruchomo i spróbowałam chociaż trochę uspokoić oddech, pilnując, aby nie poruszyć przy tym platformy.

Przede mną otwały się zapraszająco drzwi, więc skoczyłam do szerokiego korytarza, który równie dobrze mógł się znajdować w innym świecie. Ściany były tutaj przeważnie białe, zrobione z jakiejś skały przypominającej marmur. A schody nie znikwały, ale poruszały się bezgłośnie.

Trafiłam do wielkiej sali wypełnionej dziwnym światłem, z najbardziej zdumiewającym sufitem, jaki kiedykolwiek widziałam. Składał się z ośmiu bogato rzeźbionych paneli tworzących zbiegającą się w pojedynczym punkcie kopułę. Każdy panel zrobiony był z mozaiki szkła, kryształu lub czegoś podobnego, lśniącej tysiącem niesamowitych kolorów.

Oderwałam oczy od sufitu i przeszłam przez salę, kierując się do kolejnego silnego źródła światła, ściany zrobionej z przejrzystego szkła. Znajdowałam się wysoko, chyba ze sto pięter nad ziemią. Przez moment zakręciło mi się w głowie od tej wysokości. Ale potem popatrzyłam w dół, na dziedziniec pełen egzotycznych kwiatów i krzewów, na którym zgromadzili się ludzie. Sprawiali dziwne wrażenie, nawet ich stroje były niezwykle. Niczego takiego nie zobaczyłabym na ulicy w Angel Falls, to pewne! Niemal wszyscy stali zbici w małe grupki, niektórzy wskazywali w różnych kierunkach, inni potrząsali głowami. Niektórzy płakali z nieukrywanej rozpacz. Ich widok nappełnił mnie niepokojem. Kim byli? Dlaczego byli tak zrozpaczeni? Czy wiedzieli, co się stało z Arkarianem?

Gdybym tylko potrafiła znaleźć drogę w dół, na ten dziedziniec, na pewno ktoś z nich mógłby mi pomóc.

Obróciłam się gwałtownie, a poczucie, że muszę się spieszyć, zamieniło się w panikę. Zerwałam się do biegu, otwierając drzwi i próbując różnych dróg. Nie chciałam przyznać, nawet sama przed sobą, że kompletnie się zgubiłam.

W tym momencie wpadłam prosto na mężczyznę, który złapał mnie za ramiona i mocno potrząsnął. - Nie ruszaj się! - zagrzmiął znajomym głosem. To był profesor Carter, mój nauczyciel historii z liceum, a także osoba, która koordynowała nasze misje. Dzisiaj miał też w zastępstwie Arkariana zorganizować nasz powrót. Zawsze myślałam, że trzeba to robić z siedziby Arkariana, ale profesor Carter był tutaj, w Cytadeli, tuż koło mnie.

Nie dał mi szansy na zadanie pytań kłębiących się w mojej głowie ani nawet na wyjaśnienie, co robię w tej części Cytadeli. Po prostu wrzasnął na mnie:

- Nie powinno cię tu być! Upłynęło już za dużo czasu. Nie ruszaj się, Isabel, odeślę cię z powrotem. -Ale profesorze...

Zmusił mnie, żebym usiadła w miejscu, przyciskając swymi silnymi dłońmi. -Wiem, Isabel. Wiem o Arkarianie. Spojrzałam na niego i poczułam się nagle niesamowicie zmęczona.

- Niech mi pan powie, jak mogę go sprowadzić z powrotem.

- Na razie muszę dopilnować, żebyś to ty wróciła - do swojego czasu, łóżka i własnego ciała.

-Ale...

- A kiedy wrócisz - kontynuował wyjaśnienia - chciałbym, żebyś zawiadomiła pozostałych. Spotkamy się w siedzibie Arkariana. Tam będziemy bezpieczni i zastanowimy się, co dalej.

- Proszę mi najpierw powiedzieć, kim są ci ludzie tam w dole, na dziedzińcu?

Przeszył mnie spojrzeniem, a jego usta poruszyły się bezgłośnie. Nie zamierzał mi tego powiedzieć, coś go przed tym powstrzymywało. Może nie wolno mu zdradzać sekretów Cytadeli? Ale mimo to musiałam się dowiedzieć więcej.

- Proszę mi przynajmniej powiedzieć, dlaczego wyglądali na zrozpaczonych?

Na chwilę odwrócił spojrzenie.

- Są zrozpaczeni utratą Arkariana.

Wyczułam, że to jeszcze nie cała prawda. Uniosłam brwi, żeby go sprowokować do dalszego mówienia.

- Istnieje także całkiem realna możliwość, że pomiędzy nami znajduje się zdrajca.

Zanim zdążyłam w pełni ogarnąć umysłem te słowa i ich ogromną wagę, przesunął dłonią przed moją twarzą, zmuszając mnie do zamknięcia oczu.

- Dość tych pytań, Isabel. Nie tutaj.

Kiedy znowu otworzyłam oczy, stwierdziłam, że leżę przebudzona we własnej sypialni. Blask słońca oślepił mnie na chwilę. Coś koło mojego łóżka się poruszyło, sprawiając, że usiadłam i pisnęłam głośno. Ale to był tylko Matt, który wiercił się w nadmuchiwanym fotelu, próbując wygodnie ułożyć długie ciało.

Usłyszał, że już nie śpię i zerwał się.

- Wreszcie wróciłaś. Masz szczęście, że mama musiała dzisiaj wyjść wcześniej rano do pracy.

Jego słowa sprawiły, że mój puls przyspieszył. Jak mogliśmy tracić czas na głupoty, kiedy Arkarian został porwany? W gwałtownym pośpiechu zerwałam się z łóżka i chwyciłam Matta za ramiona, drąc mu przy okazji kołnierzyk.

- Stało się coś potwornego!

Krew odpłynęła mu z twarzy. Złapał mnie za rękę i oderwał je od swojej koszuli, rzucając przelotnie okiem na rozdarty materiał.

- Co się dzieje?

Odepchnęłam go i rzuciłam się do szafy, szybko wciągając na siebie dżinsy i T-shirt.

- Arkarian został porwany.

- Co?!

- Zawiadom pozostałych. Musimy przygotować jakiś plan ratowania go.

W dalszym ciągu gapił się na mnie z otwartymi ustami.

- Pospiesz się!

- Co mam zrobić?

Zatrzymałam się, spróbowałam uspokoić i pozbierać kłębiące się myśli.

- Okej, pamiętasz, że jest nas dziewięcioro? Skinął głową i zaczął odliczać na palcach.

- Ty, ja i Ethan. Ojciec Ethana. Profesor Carter. I oczywiście Jimmy, o którym najchętniej bym zapomniał.

Spróbowałam nie zwracać uwagi na niechęć Matta do Jimmy'ego. Nie starał się poznać Jimmy'ego przez ostatnie dwanaście miesięcy tak jak ja.

- I nie zapominaj o Rochelle. Ona także jest teraz w Straży. - Kiedy tylko wypowiedziałam te słowa, natychmiast tego pożałowałam. Dźwięk imienia byłej dziewczyny na pewno go zdenerwował. - Przepraszam, Matt. Wiem, że nie mógłbyś.

Popatrzył na mnie, nie rozumiejąc.

- Znaczący, zapomnieć jej — wyjaśniłam.

Lekko uniósł lewe ramię. Chciał, żebym uwierzyła, że myśli o Rochelle wcale go już nie boją. Oczywiście kłamał.

- Już mi przeszło. Po prostu... trudno o tym zapomnieć, to wszystko.

Przez chwilę milczeliśmy. Rzuciłam się na poszukiwanie brązowych butów - musiały gdzieś tu być. W końcu namierzyłam jeden wyglądający spod łóżka.

- To nadal siedmioro - głos Matta był pozbawiony energii. Spróbowałam nie myśleć o tym, jak jego

cichy, wyczerpany ton działał na moje emocje. I bez tego były w wystarczającej rozsypce.

- Arkarian - powiedziała mu. - I dziewczyna. Jego oczy na moment pojaśniały, zapatrzył się jak we śnie w przestrzeń.

- Chyba ją sobie przypominam. Czy to nie jej obraz stworzył Ethan w tej iluzji, dzięki której pokonał Marduka?

- Tak, ale w momencie, kiedy znajdowała się w iluzji Ethana, istniała naprawdę. Nazywa się Neria. Jest córką Marduka, musiała się ukrywać od czasu jego zdrady. To ważne, naprawdę powinieneś o tym pamiętać.

- Jasne. - Z zawstydzonym wyrazem twarzy potarł podbródek.

Uśmiechnęłam się pokrzepiająco. Któregoś dnia Matt połapie się, o co chodzi w tej całej Straży. Na pewno. Arkarian w niego wierzył.

- Czyli niech się upewnię - powiedział. - Chcesz, żebym zgromadził te osoby?

Stłumiłam ukłucie frustracji.

- Oczywiście nie będziesz w stanie znaleźć Rochelle. Przechodzi szkolenie w jakimś bezpiecznym miejscu.

Skinął głową, a ja ciągnęłam dalej, czując narastającą niecierpliwość:

- Neria nie dołączyła jeszcze do Straży. Jej czas dopiero ma nadejść. Więc jej także nie znajdziesz. Możliwe, że będziemy musieli się rozdzielić, żeby powia-

domić pozostałych. Ethan jest już prawdopodobnie w szkole.

— Nie widziałem Jimmy'ego od kilku dni. Nie żebym go specjalnie szukał - dodał sarkastycznie.

- To dlatego, że pracował w Veridianie nad dodatkowymi zabezpieczeniami miasta. Ale powinieneś' znaleźć Shauna.

Miałam wrażenie, że upłynęła cała wieczność, chociaż prawdopodobnie nie minęła nawet godzina, kiedy Ethan i Shaun przybyli do siedziby Arkariana, w której czekaliśmy na nich niecierpliwie.

Kiedy tylko zobaczyłam Ethana, po prostu musiałam do niego podbiec. Przytulał mnie przez dłuższą chwilę, a potem odsunął, żeby spojrzeć mi w oczy.

- Stało się coś strasznego, prawda? Co takiego?

— Został porwany.

— Kto? — Shaun pociągnął mnie lekko za ramię. Zmarszczki wokół jego oczu pogłębiły się na widok przerażenia na mojej twarzy.

Mój głos zawiódł mnie, zniżając się do szeptu.

— Arkarian.

Shaun znieruchomiał, wpatrując się we mnie z niezrozumieniem. Ethan zacisnął mocno palce na moim ramieniu.

- Jak to się stało?

Musiałam wyrwać rękę z jego uścisku.

- Byliśmy w Cytadeli po powrocie z misji we Francji. Wpadliśmy w zasadzkę zorganizowaną przez dwóch

mężczyzn: olbrzymia i starca. Mieli ze sobą cztery stwory, które nie bardzo umiem opisać. Wyglądały ohydnie. - Czy powiedzieli, dokąd go zabierają? – zapytał Shaun.

- Ten olbrzym mówił... - urwałam. Nagle uświadomiłam sobie, gdzie wcześniej słyszałam te słowa: od Marduka. Te same słowa słyszał Ethan w koszmarach snach, przypominających mu scenę morderstwa siostry.

Kiedy skończyłam opowiadać, Matt musiał pomóc Ethanowi usiąść.

- Gdzie jest to miejsce, w którym kwiaty kwitną pod krwawiącym... jak to szło?

Ethan popatrzył na Matta zaczerwienionymi oczami.

- Marduk powiedział, że zabiera moją siostrę w to miejsce, tuż przed tym jak położył olbrzymią łapę na jej głowie i użył mocy, aby ją zabić.

- Cholera - oznajmił Matt, rzucając nerwowe spojrzenie na Shauna. - Co to znaczy? Czy Arkarian... Nie żyje?

Widać było, że Shaun stara się opanować, potrząsając ramionami i zacierając ręce.

- Nie zakładaj najgorszego. Kto może znać zamysły Bogini? Ponad wszystko kierują nią czyste siły chaosu.

- Nasza dzisiejsza misja była pułapką.

To przykuło ich uwagę.

- Jak to? - zapytał Ethan.

- Pojawiła się Lathenia. Spodziewała się, że ty tam będziesz.

Cisza. A potem wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Ale słowa były ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowałam.

- Zamierzam go uratować. Shaun dotknął mojego ramienia.

- Przemyślmy to. Odsunęłam się od niego.

- Nie ma nad czym myśleć. Potrzebuję tylko planu.

- I odpowiednich informacji - odezwał się głos u drzwi.

To był profesor Carter - nareszcie!

- A gdzie pan się podziewał? - zapytał podejrzliwie Ethan. Tych dwóch nigdy za sobą nie przepadało, a przez te lata, kiedy znałam profesora Cartera jako nauczyciela w liceum, widziałam, że traktował Ethana szczególnie surowo. Czasem nie dostrzegałam w tym celu, czasem przypuszczałam, że profesor Carter docenia potencjał Ethana i uważa, że dobrze mu zrobi trochę dyscypliny i ciężkiej pracy.

- Profesor Carter koordynował misję zeszłej nocy. Dopiero co spotkaliśmy się w korytarzach Cytadeli.

- Czyli był pan tam, kiedy został porwany Arkarian - rzucił tonem oskarżenia Ethan.

Shaun potrząsnął głową nad zachowaniem syna.

- Uciszyć się, Ethanie. Jesteś zbyt podejrzliwy. Ale Ethana nie było łatwo uciszyć.

- Może i tak, ale profesor Carter ma dziwny zwyczaj znajdować się w niewłaściwych miejscach w niewłaściwym czasie. O ile pamiętam, w zeszłym roku to on przyniósł nam wiadomość o tym, że Marduk schwycił Matta.

- Ethanie, żeby zorganizować coś takiego, potrzebne byłyby zdolności daleko przewyższające możliwości Marcusa.

Cała ta kłótnia nie mogła sprowadzić z powrotem Arkariana, a w tym momencie nie potrafiłam myśleć o niczym innym.

- Zamknij się, Ethan! Niech profesor Carter powie nam, co wie.

Ethan umilkł, a profesor Carter rozpoczął swoje wyjaśnienia:

- Arkarian został zabrany do miejsca odosobnienia.

- Gdzie? Co to za miejsce?

Popatrzył na mnie ze smutkiem w oczach.

- To bardzo mroczne miejsce, Isabel. Miejsce, w którym nie powinien się znaleźć żaden śmiertelnik, w każdym razie nie bez ochrony. Jest nazywane światem podziemnym.

Podeszłam bliżej i powiedziałam wprost:

- Udam się tam, z ochroną czy też nie. Ciemność mnie nie przeraża, profesorze Carter. Mam dar lady Arabelli.

- Ta ciemność jest nieprzenikniona.
- Zabiorę latarkę.
- A jeśli latarka zawiedzie?
- W całkowitej ciemności nawet ty nie będziesz niczego widziała, Isabel - przypomniał mi Ethan.

Profesor Carter przypomniał, co próbuje nam powiedzieć.

- Musisz zrozumieć, że do świata podziemnego nie da się wejść ani też z niego wrócić.

- Porywacze Arkariana mogli to zrobić, więc dlaczego nie my?

- Aby zmusić do otwarcia przejście, potrzebna jest moc nieśmiertelnego. To robota Lathenii.

- Więc poprosimy o pomoc Lorianą.

- Lorian... waha się.

- Dlaczego?! - wrzasnęłam mimowolnie.

- To zbyt niebezpieczne. Dostanie się tam, odszukanie drogi wyjścia, przetrwanie w tamtym świecie - to wszystko jest praktycznie niemożliwe. W tym momencie potrzebujemy wszystkich członków Straży, jakich możemy zgromadzić. Istnieje też ryzyko połączenia się światów, wymieszania ras... - wzdrygnął się. - Isabel, nie rozumiesz, że istoty żyjące w świecie podziemnym są pozbawione dusz. - Umilkł i odwrócił spojrzenie.

Patrzyłam na niego, próbując ogarnąć jego słowa.

- To jeszcze nie wszystko, prawda? Skinął głową.

- Lathenia chce wyeliminować Arkariana z naszego świata - powiedział. Potarł skronie otwartymi dłońmi, jakby zaczynała go boleć głowa. - Stara się wymusić otwarcie portalu do czasu narodzin Arkariana.

- Chce zabić Arkariana jako dziecko? - zapytałam.

- Po jego narodzinach lub tuż przed nimi, wszystko jedno. - Patrzyliśmy na niego oniemiała, więc wyjaśnił. - Zamierza przetrzymać go w świecie podziemnym, podczas gdy jej ludzie postarają się go zgładzić. Zetrzeć jego ciało, a być może także duszę, z powierzchni Ziemi.

Matt patrzył na nas kolejno.

- Co mamy zrobić? Jak możemy do tego nie dopuścić?

Powiedziałam, co myślę.

- Przede wszystkim musimy cofnąć się w czasie i powstrzymać Boginię i jej żołnierzy przed zamordowaniem Arkariana tuż po narodzeniu. A potem, niezależnie od tego, jak bardzo będziecie się starali mnie przekonać, zamierzam znaleźć drogę do tego... tego świata podziemnego i sprowadzić Arkariana z powrotem.

Ethan położył mi dłoń na ramieniu.

- Idę z tobą.

- Ja też - dodał Matt.

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, ale sens był całkowicie jasny. Nikt nie godził się, by Matt brał w tym udział.

- Nie dasz sobie rady - w głosie Ethana nie było

cienia złości. Dla niego ratowanie Arkariana było ważniejsze niż pilnowanie, żeby nie urazić czyichś uczuć. Ale zobaczyłam, jak twarz Matta spochmurniała, a Ethan też to zauważył. - Chodzi o twój brak doświadczenia, to miałem na myśli. Kiedy twoje moce zaczną się ujawniać... Matt uciszył go gwałtownym machnięciem ręką.

- Daruj sobie, Ethan. Wszyscy wiemy, że moje moce mogą się nigdy nie ujawnić, więc po prostu wróćmy do tego planu ratowania Arkariana.

Wspomnienie niesamowitej mocy Bogini walczącej z Arkarianem błysnęło mi przed oczami. Nawet Ethan, mimo niezaprzeczalnych umiejętności, nie potrafiłby sobie z nią dać rady, a co dopiero Matt.

- Nikt ze mną nie pójdzie - powiedziałam.

Moje słowa wzbudziły gwałtowne protesty, wszyscy próbowali tłumaczyć mi, co myślą o moim planie samodzielnej wyprawy.

Profesor Carter głośno zaklaskał w dłonie.

- Wszyscy spokój! Nie słuchaliście? Trzeba zacząć od początku. Jeśli nie ocalimy Arkariana przy narodzinach, żadnego Arkariana nie będzie!

Zamilkliśmy i zagapiliśmy się na niego.

- Trybunał zdecydował już, jak się ma to odbyć. Przede wszystkim, Isabel, nigdzie się nie wybierasz sama. Ethan do ciebie dołączy. Ja będę koordynował misję do Francji z siedziby Arkariana. Shaun, znajdź i przyprowadź tu Jimmy'ego.

- A co ja mam niby robić - napięty głos Matta załamał się nagle. - Siedzieć w kącie i ssać kciuk, podczas kiedy wy ryzykujecie życiem?

Przez dłuższą chwilę nikt mu nie odpowiadał. Nie mogliśmy zrobić absolutnie niczego, aby poprawić jego nastrój.

Profesor Carter spuścił wzrok, jasno dając do zrozumienia, że Trybunał nie przewidział żadnego zajęcia dla Matta.

W końcu to Shaun się odezwał.

- Ujmijmy to w ten sposób, Matt. Nie zostałeś w to włączony, ponieważ nie możemy ryzykować, że coś ci się stanie. To, czy twoje moce się ujawniły, czy też nie, nie ma nic wspólnego z decyzją Trybunału. Jesteś po prostu zbyt cenny.

Rozdział 9

Arkarian

Obudziło mnie zimno. Miałem zeszywniałe palce, a moje stopy przypominały kamienie wykopane wprost ze zmarzniętej ziemi. Spróbowałem się poruszyć, żeby się rozgrzać, ale moje ręce były mocno spętane ciasnym łańcuchem za plecami. Moja twarz opierała się o coś zimnego jak lód, chyba jakiś rodzaj metalowej siatki. Kędy znowu spróbowałem się poruszyć, zrozumiałem, że siatka stanowi część otaczającej mnie klatki dopasowanej do kształtu ciała. Nie wiedziałem, gdzie się znajduję, chociaż miałem pewne podejrzenia. Wiedziałem jedynie, że jestem wieziony wyboistą drogą i obijam się w tylnej części otwartego wozu. Zastanawiałem się, jak się tu znalazłem. Jeśli moje podejrzenia były prawdziwe, będę

miał okazję przeżyć interesujące doświadczenie, polegające na przejściu przez szczelinę między światami, odmienne od podróży w czasie, do których byłem przyzwyczajony.

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałem, był wyraz twarzy Isabel w momencie eksplozji, kiedy siła wybuchu odrzuciła nas od siebie. Potem była tylko ciemność. Teraz zaś znajdowałem się w dziwnym miejscu, w którym nawet powietrze pachniało inaczej, jakby gnijącymi wodorostami albo zatęchłym bagnem. Miałem nadzieję, że nie pozostanę tutaj zbyt długo. Nie wiem, jak przetrwałbym w tej dziwacznej ciemności, gdybym miał zostać tu na zawsze.

Dwie płonące pochodnie zaśniły jak latarnie morskie. Jedną trzymał starzec, podpierający się dla równowagi laską. Przekręciłem głowę, żeby przyjrzeć się lepiej osobie niosącej drugą pochodnię. Był to znacznie wyższy mężczyzna, ze spadzistymi ramionami i w powiewającym za nim fałdzistym płaszczu. Zawołał coś ochrypłym, gardłowym głosem, który zabrzmiał jakby znajomo. Na chwilę zapomniałem o przenikliwym zimnie, próbując go zidentyfikować.

Wielki mężczyzna wyciągnął rękę, uderzając mniejszą sylwetkę sunącą za nim. Siła ciosu przewróciła stwora na ziemię. Mężczyzna w płaszczu kopnął go ciężkim butem, podczas gdy starzec się temu przyglądał. Wóz nagle się zatrzymał, a trzy inne stwory podobnych rozmiarów podskoczyły do leżącego towarzysza. Młodszy

mężczyzna obrzucił je przekleństwami. Jeden z nich zaskrzeczał i zatrzepał pokracznymi skrzydłami, unosząc się trochę nad ziemią. Inny zbliżył się do wozu, zaglądając do środka czerwonymi, świecącymi oczami.

- Obudził się - wybełkotał, jakby miał zbyt duży język.

- Róbcie to, co wam wcześniej poleciłem - zagrzmiał mężczyzna w płaszczu. - Niedługo będziemy na miejscu.

Na te słowa dwa stwory skoczyły na tył wozu, pomagając sobie pojedynczym machnięciem skrzydłami. Górowały nade mną, zasłaniając światło pochodni. Ale chociaż w ciemności nie mogłem dostrzec ich pysków, wyczułem, co zamierzają zrobić. Spróbowałem użyć mocy i uwolnić się z łańcuchów, ale bezskutecznie. Stwory rzuciły się na mnie, a ja spróbowałem niezgrabnie kopnąć je skutymi nogami. Nie przyniosło to żadnego efektu i po chwili dwa pozostałe dołączyły do nich, kopiąc mnie i uderzając.

Bicie przeciągało się. Instynktownie podciągnąłem kolana do piersi, żeby jak najlepiej ochronić narządy wewnętrzne, ale kopniaki w plecy były równie niebezpieczne. W końcu zrozumiałem, co chcą zrobić - pobić mnie do nieprzytomności. Najprawdopodobniej nie chcieli, żebym zapamiętał drogę. Na tyle, na ile to było możliwe, rozluźniłem bezwładnie ciało; tak czy inaczej byłem półprzytomny. W końcu zostawiły mnie w spokoju, a wóz ruszył dalej.

Starłem się oddychać głęboko i powoli, żeby odzyskać równowagę ducha. Potrzebowałem swoich mocy, żeby wydostać się z tego bagna. Gdybym tylko mógł użyć skrzydeł... - Ale jeśli naprawdę znajdowałem się w świecie podziemnym, byłoby to bezcelowe, ponieważ tylko nieśmiertelny mógł otworzyć stąd przejście. A nawet gdybym potrafił poruszać się po tym świecie, dokąd miałbym pójść?

Spróbowałem poluzować łańcuchy i siatkę, ale byłem mocno związany. Ponownie sięgnąłem do swoich mocy, lecz kiedy zwizualizowałem sobie, w jaki sposób mógłbym się uwolnić, nie poczułem niczego. Jakie dziwne zdolności miały te stwory? Czułem się, jakbym był uwięziony przez jakieś zaklęcie. Magia? Jak to możliwe?

Po kilku bezskutecznych próbach wykorzystania nabytych przez wieki umiejętności zrezygnowałem z tego i skoncentrowałem się na swoim ciele. Nie mogłem wprowadzić siebie uleczyć, ale potrafiłem złagodzić ból obrażeń.

W końcu wóz się zatrzymał, więc zamknąłem oczy i, najlepiej jak potrafiłem, rozluźniłem mięśnie, ponieważ stwory powróciły. Podniosły mnie - dwa trzymały za ramiona, a dwa za nogi, z czego wywnioskowałem, że nie są szczególnie silne. To musiała być kwestia ich rozmiarów - sięgały mniej więcej do połowy wysokości dorosłego człowieka. Ich skrzydła wydawały się raczej przeszkadzać niż pomagać.

Minęliśmy drzwi, których zawiasy zaskrzypiały przy poruszeniu, a potem następne, cięższe, zrobione zapewne z żelaza. Przesunęły się, zgrzytając. Gdy przez nie przeszliśmy, stwory rzuciły mnie na ziemię. Towarzyszył im starzec, który zaczął kaszleć, aż gwizdało mu w piersiach.

Wszedł mężczyzna w płaszczu.

- Zdejmijcie łańcuchy - rozkazał, rzucając im klucz. Tym razem jego słowa, słyszane ze znacznie mniejszej odległości, sprawiły, że moje serce przeszły dreszcz lęku. Ten głos brzmiał zupełnie jak głos Marduka. Ale jak to było możliwe? Marduk już nie żył. W tym momencie uświadomiłem sobie, że przecież zginął w przeszłości. Powinien błąkać się po międzyświecie jako zagubiona dusza. Nie powinien być tutaj. Chyba że... Lathenia udała się na poszukiwania go w tamtym szarym świecie i sprowadziła z powrotem!

Sieć została zdjęta, a ja przetoczyłem się na bok i nastawiłem psychicznie na to, że Marduk został uratowany. Moje podejrzenia niestety szybko się sprawdziły. Wznoszący się nade mną mężczyzna był Mardukiem we własnej osobie, żywym i zdrowym. Jednakże nie przypominał Marduka, którego pamiętałem. W ogóle niemal nie przypominał człowieka. Pobyt w międzyświecie zmienił go w koszmarny sposób.

Musiałem jakoś ostrzec Straż. Ale jak? Bez moich mocy? Przełknąłem ślinę, chcąc wydobyć z siebie jakieś sło-

wa, ale nie wiedziałem, co powiedzieć. Marduk zbliżył do mnie pochodnię. Teraz widziałem też białowłosego, pomarszczonego starca i cztery stwory przypominające po części ludzi, a po części ptaki i inne zwierzęta. Miały ludzkie ręce i nogi, ale ich ciała były pokryte grubym i szorstkim zwierzęcym futrem. Jeden z nich pochylił się nade mną.

- Obudź się! - wycharczał. Jego wystające, niemal kwadratowe usta przypominały raczej świński ryj niż dziób ptaka czy ludzką szczękę.

Spojrzałem na Marduka - lub może na to, czym się stał - i dostrzegłem podobieństwo do tych stworów, a raczej dziwnych bestii, służących mu w tym świecie. Zastanowiłem się, czy nie były one niegdyś ludźmi - myśl o tym sprawiła, że zadrżałem.

Marduk zdjął kaptur, a ja z trudem powstrzymałem się przed odwróceniem wzroku. Jego jedyne oko stało się dwukrotnie większe i świeciło teraz czerwienią. Zamiast miękkich, złocistych włosów jego głowę porastała śnieżnobiała szczecina, schodząca aż do wysuniętych łuków brwiowych.

- A zatem znów się spotykamy, s t a r y d r u h u — powiedziałem w końcu.

Warknął, słysząc moje powitanie i kopnął mnie w bok tak mocno, aż zwinąłem się w pól. Spróbowałem ponownie nawiązać rozmowę.

- Międzyświat zmienił cię... częściowo. Chrząknął, a tym razem ten dźwięk bardzo przy-

pominał dźwięk wydawany przez świnie. Brakowało tylko grzebania w ziemi racicą.

- Gdzie mnie przywieźliście?

Nie spodziewałem się, że odpowie, ale połówka jego ust wygięła się.

- Jesteś teraz w moim świecie.

Popatrzyłem wokół siebie na kamienne ściany, żelazną kratę i przytłaczającą gęstością ciemność.

-Jeśli to jest twój świat, mieszkasz w bardzo nieciekawym miejscu, Marduku. Trudno to uznać za awans społeczny, stary druhu.

Jego but trafił mnie mocno w żołądek, żółć podeszła mi do gardła, sprawiając, że zebrało mi się na wymioty. Kolejny kopniak - tym razem w udo - napiął gwałtownie moje mięśnie. Najwyraźniej Marduk nie tylko zmienił się fizycznie, ale także stał się przewrażliwiony i nie potrafił przyjąć krytyki. Nie wątpię, że Lathenia była tym zachwycona! Tak czy inaczej musiałem ostrożniej dobierać słowa, jeśli chciałem jeszcze pożyć.

- Przywiążcie go - powiedział, odwracając się ode mnie, żeby zapalić kilka pochodni w uchwytych na ścianach celi. Mruknął coś do starszego mężczyzny.

Kiedy cała cela została oświetlona, zobaczyłem, co zamierza: stało tu gotowe do użytku łóżko tortur. Sądząc po osnuwających je pajęczynach, miało prawdopodobnie zostać wykorzystane po raz pierwszy od wieków.

-Twoje metody są nieco staroświeckie - odezwałem się, kiedy skrzydlate stwory zbliżyły się do mnie. Zacząłem je kopać i dopiero cała czwórka zdołała mnie przymocować do zabytkowej maszyny tortur.

- Średniowieczni władcy byli ekspertami w dziedzinie zadawania bólu i wyciągania zeznań - powiedział Marduk.

- Wiesz coś o tym, Marduku.

- A tak, ja również cierpiałem. W tamtych dniach moje umiejętności były znacznie mniej doceniane.

- Straż cię ocaliła.

Marduk prychnął, a jego ślina spryskała moją twarz. Wskazał zeszpeconą połowę twarzy.

- Czy myślisz, że nie cierpiałem z powodu Straży? Mógłbym się sprzeczać, że to jego własna wina, że

wdał się w pojedynek z Shaunem, ale twarde wyraz jego twarzy jasno wskazywał, że logiczne argumenty nie przemówią mu do rozumu.

Wydmuchnął powietrze przez przypominający świński ryj nos.

- Mogę ci powiedzieć, Arkarianie, że twój pobyt tutaj jest tylko czasowy. Bogini szuka sposobu na powstrzymanie cię przed wtrącaniem się w jej sprawy. Chce także od ciebie kilku odpowiedzi. Przybędzie tutaj, zanim...

Starzec zakasłał, wydawało mi się, że celowo. Ale szybko zamieniło się to w serię świstów i sapnięć.

Marduk zaczął, aż tamten się uspokoi. Przez cały czas wpatrywał się we mnie, mrużąc jedyne oko.

Chyba zastanawiał się, czy podzielić się ze mną tymi informacjami. Spadziste ramiona drgnęły, kiedy podjął decyzję.

- Lathenia przybędzie tutaj, zanim zostaniesz wyeliminowany ze świata śmiertelników.

Te słowa sprawiły, że przeszedł mnie dreszcz.

- Wyeliminowany? To znaczy... ?

- Ze nigdy nie będziesz istniał.

- Ale to by znaczyło, że zabijecie mnie tuż po narodzeniu lub zabijecie moją matkę przed porodem.

- W tym momencie otwiera się portal do czasu twoich narodzin. Zostały ci tylko godziny, zanim nasi żołnierze wykonają misję. To wystarczy, żebyś odpowiedział na kilka pytań. Możesz się czuć zaszczycony. Lathenia nalegała, aby osobiście cię przesłuchać. A potem, s t a r y d r u h u — przedrzeźniał moje słowa — znikniesz na zawsze.

Postarałem się zignorować jego słowa. Nie zamierzałem umierać w tym żalonym miejscu! Szarpnąłem rękami, sprawdzając trzymające mnie więzy, ale wpiły się ciasno w moje nadgarstki. Świszczący dźwięk sprawił, że spojrzałem znowu na Marduka. Sekundę później smagnął mnie biczem przez klatkę piersiową. Uderzenie rozdarło moje ubranie i skórę. Krew popłynęła z rany, plamiąc koszulę ciemną czerwienią.

- A teraz - odezwał się powoli Marduk - zanim pojawi się moja pani, sam mam do ciebie pytanie.

- Możesz pytać, ale nie zamierzam niczego mówić!

Bicz znowu świsnął w powietrzu, uderzając mnie w pierś pod tym samym kątem. Równie dobrze mógłby używać rzeźnickiego noża, efekt byłby taki sam.

- Rozciągnijcie go - rozkazał Marduk, a jego stwory we dwójkę obróciły kołem.

Wszystkie kończyny i stawy w moim ciele zapłonęły żywym ogniem. Marduk uniósł dłoń i koło się zatrzymało.

- Gdzie jest przetrzymywana moja córka? Spojrzałem na niego kątem oka. To było ostatnie

pytanie, jakiego się spodziewałem. Przede wszystkim ze względu na jego osobisty charakter.

- Bezpieczna; nie znajdziesz jej.

Opuścił rękę i naciąganie znowu się zaczęło. Tym razem z trudem powstrzymałem krzyk, ale nie pozwoliłem sobie nań. Wolałbym umrzeć. Marduk podniósł rękę i koło stanęło.

- Czy to prawda, że jest jedną z Wezwanych?

- Tak. Podobnie jak ty niegdyś.

Musiał dostrzec coś w moich oczach, bo odwrócił się; na jego twarzy malowało się uczucie przypominające żal.

- Znajdziemy się po przeciwnych stronach - mruknął.

- Nie musi tak być. Znowu na mnie spojrzał.

- Nie, ponieważ powiesz mi, gdzie ona jest. Zamierzał znowu unieść rękę, ale odezwałem się szybko, zanim zdążył wydać rozkaz.

- Możesz równie dobrze mnie zabić, Marduku. Choćby zaraz, jeśli tego chcesz. Nie zamierzam ci powiedzieć, gdzie jest twoja córka. Ale przed wykończeniem mnie, zastanów się lepiej, jak planujesz powiedzieć Lathenii, że mnie zabiłeś, zanim mogła zadać swoje pytania.

- Nie musisz się przejmować, skarbie — głos Lathenii zabrzmiał w celi, chwilę przed jej pojawieniem się. - Albowiem już tu jestem. A kiedy skończę, będziesz mógł mieć trochę czasu na zabawę.

Marduk skinął głową i skłonił się, odsuwając się ode mnie.

Lathenia zmaterializowała się całkowicie, ubrana w długą białą suknię przepasaną fioletową szarfą, tego samego koloru, co jej wargi. Obok niej pojawiła się sylwetka śmiertelnego człowieka. Młodego człowieka. Przez moment wydawało mi się, że go rozpoznaję, ale poruszył się i wrażenie zniknęło.

Kiedy Lathenia stanęła koło mnie, przyjrzałem się jej. Jedyнным nieśmiertelnym, którego dotąd oglądałem z tak bliska, był Lorian. Przez dwieście lat pozostawałem jego Uczniem i miałem okazję dobrze go poznać. Wyglądali zupełnie inaczej, właściwie stanowili swoje przeciwieństwo. Lorian był (zazwyczaj) łagodny, z półprzejrzystą skórą i oczami kryjącymi energię sprawiającą, że trudno było wytrzymać ich spojrzenie. Lathenia w większym stopniu przypominała śmiertelniczkę i nikt nie mógł jej odmówić niezwykłej urody.

Na ironię zakrawał fakt, że przeznaczony jej mężczyzna (bo jak inaczej mogłaby uratować Marduka z mię-dzyświata?) był tak... zdeformowany.

Zajrzała w moje myśli, a chociaż moja moc czytania w myślach nie działała, ukazała mi swoje własne. Teraz dopiero zrozumiałem przyczyny jej wściekłości. Marduk mógł być nadal żywy, ale jego ciało zmieniło się całkowicie. A ponieważ każdemu z nas przeznaczony był tylko jeden partner, jej ukochany zmienił się w istotę innego gatunku. To z pewnością jej nie ucieszyło.

Odwróciła się i cisnęła towarzyszącemu jej chłopakowi wściekłe spojrzenie. Wyraźnie była w podłym nastroju. Wzrok chłopaka pobiegł od Lathenii do Marduka, a jego ręce zadrżały. Bogini wskazała koło, które chłopak obrócił z łatwością.

Marduk był pod wrażeniem.

- Trzeba było do tego dwóch wrenów. Za każdym razem, gdy się spotykamy, jesteś silniejszy - powiedział do chłopaka.

Uskrzydłony pochwałą chłopak zwiększył nacisk na koło. Łoże rozciągnęło moje kończyny poza granice wytrzymałości.

- Zaczekaj - rozkazała mu Lathenia. - A teraz, Arkarianie, powiesz mi wszystko, co wiesz.

- Niczego ci nie powiem!

- Doprawdy? - Ostrymi jak igły paznokciami Lathenia rozdrapała moją twarz od oka do szczęki.

Ból otwierających się ran sprawił, że odwróciłem głowę. Chwyła mnie za podbródek i szarpnęła z powrotem.

- Gdzie znajduje się wejście do starożytnego miasta?

- Nie wiem.

- Kłamiesz! - Skinęła na chłopaka. Przekręcił dalej koło. Z trudem powstrzymałem krzyk. Ale nie zamierzałem okazywać słabości.

- Wejście, Arkarianie!

Z uporem zacisnąłem usta.

Syknęła przez zęby. Chłopak obrócił koło. Ból przeszywał każdy skrawek mojego ciała.

- Powiedz mi, gdzie jest przechowywana broń?

Z każdym obrotem koła osłanianie myśli przed Lathenią stawało się trudniejsze. Ból odbierał mi zdolność koncentracji. Powstrzymanie pojawiających się w myślach obrazów było zadaniem ponad siły.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Czy są zamknięte w skarbcu Veridianu?

- Nie wiem!

Odwróciła się i odeszła na krótko, dając mi bezcenną chwilę na zebranie myśli. Kiedy wróciła, trzymała w dłoni metalowy pręt. Patrzyłem, jak rozgrzewa jego czubek w ogniu jednej z pochodni przymocowanych do ściany. Podeszła i przytrzymała go między moimi oczami.

- Powiedz mi wszystko, co wiesz o broni. Wszystko!

Pomyślałem o tym, co wiedziałem o broni - czego dowiedziałem się o niej od Loriany. W głowie kłębiły mi się myśli o jej mocy, o zdolności zabijania istot pozbawionych duszy. *Nie!* - zatrzymałem się szybko. - *Nie myśl!* Oczami duszy zobaczyłem ozdobioną misternym złotym filigranem skrzynię, w której były przechowywane. *Nie! Przestań!*

Lathenia uświadomiła sobie, co robię.

- Śmiesz sądzić, że zdołasz ukryć przede mną informacje?

- Może jestem silniejszy niż przypuszczasz.

Jej srebrne oczy na moment zaślnęły, rozszerzając się. Cofnęła się o krok. Prostota moich słów najwyraźniej zaskoczyła ją. Ale dlaczego? Na pewno nie mogła sądzić, że jestem silniejszy niż... no właśnie, co?

- Nie myśl, że jesteś sprytny, Arkarianie. Daj mi to, czego chcę, albo przeszyję tym pogrzebaczem twoje serce.

Ani przez chwilę nie wątpiłem, że byłaby do tego zdolna. Miałem jednak przeczucie, że nie zawracałaby sobie głowy ściąganiem mnie do innego świata, żeby mnie zabić przy pierwszej okazji. W każdym razie nie zrobiłaby tego, zanim nie wydobędzie jakichś przydatnych informacji.

- Śmiało.

Uniosła ramię, przytrzymując żarzący się czubek pręta tuż przy skórze nad moim sercem.

- Kto ma klucz?

Jej pytanie zdumiało mnie. O ile było mi wiadomo, Lorian uważał, że to Lathenia ma klucz. Zamaskowałem myśli i udałem, że nie rozumiem.

- Jaki klucz? Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Ale mój wybieg tylko ją bardziej rozwścieczył.

- Klucz do skarbca z bronią! Ten, którego nie mogą dotknąć dłonie śmiertelnika!

Czyli żadna ze stron nie miała klucza i żadna nie miała pojęcia, gdzie on się znajduje! Zdumiewające! Kiedy się stąd wydostanę, ta wiedza będzie niezwykle interesująca dla członków Trybunału. Popatrzyłem na nią, marszcząc brwi ze zdziwienia.

- Naprawdę nie mam pojęcia.

Cisnęła pogrzebacz na ziemię. Wybuchnął, znikając w eksplozji iskier i szczątków metalu. Nie patrzyła na mnie; wydawała się potrzebować czasu na ukrycie emocji. W końcu znowu się odezwała.

- Dopóki twoja dusza istnieje, możesz być dla mnie przydatny.

Jej słowa zabrzmiały jak złowieszcze ostrzeżenie. -Wjaki sposób?

- To zaskakujące, że sam się nie domyśliłeś, Arkarianie. - Nie czekała, aż odpowiem. Roześmiała się tylko drwiąco. - Jeśli z jakichś powodów mój plan zgładzenia cię w chwili narodzin nie powiedzie się, twoi przyjaciele przybędą cię szukać. Nawet jeśli zdołają wejść do tego świata, nie będą mogli go opuścić. A czyż to nie postawi Straży w trudnej sytuacji? Hmm? Lorian

będzie mi jadł z ręki, całował ziemię, po której stąsam. Tak jak to powinno być, i to od samego początku.

- Nie są takimi głupcami, za jakich ich bierzesz. Jeśli tu przyjdą, to tylko dlatego, że będą wiedzieli, jak się stąd wydostać.

Roześmiała się otwarcie.

- Tylko ja wiem, gdzie znajduje się szczelina między światami.

- Tylko ty? Wątpię w to.

Spojrzała na mnie, dziwiąc się mojej pewności.

- Sama im ją pokazałaś, kiedy sprowadziłaś tamtą burzę nad góry.

- A tak, burza. Cóż, Arkarianie, nie jesteś tak mądry, jak głosiły plotki. Czy myślisz, że nie zaplanowałam tego? Uwierz mi, że jeśli twoi wierni towarzysze przybędą do tego mrocznego świata, pozostaną w nim uwięzieni. Nigdy cię nie znajdą i przez resztę swojego życia będą się błąkać po krainach ciemności. Nie potrwa długo, nim postradają zmysły, a może nawet dusze.

Postanowiłem wyciągnąć z niej dalsze informacje, które mogły się okazać przydatne, gdyby stało się najgorsze i Ethan, Isabel lub ktoś z pozostałych podjęli się misji ratunkowej.

- Dlaczego sądzisz, że kiedy znajdą się w tym świecie, nie zdołają powrócić tą samą drogą?

- Nie myśl, że jesteś dość sprytny, a ja po prostu powiem ci, jak można znaleźć szczelinę od tej stro-

ny. - Jej oczy zwęziły się, a fioletowe wargi wykrzywił blady uśmiech. — Powiem ci tylko, że szczeliny nie można znaleźć bez światła. — Wskazała wokół szerokim gestem. - Jak zapewne widzisz, nie ma go tu zbyt wiele.

- Można by pomyśleć, że wielobarwny błysk będzie wyraźnie widoczny na czarnym niebie.

- Od tej strony szczelina lśni czernią — urwała i zacisnęła zęby.

Prawda wyglądała tak, że dostrzeżenie czarnego błysku na czarnym niebie było niemożliwe. Miałem rozpaczliwą nadzieję, że Isabel albo Ethan nie spróbują mnie ratować. Może byłoby lepiej, gdyby plan La-thenii przewidujący zabicie mnie tuż po narodzeniu powiódł się. Niech Straż straci raczej jednego członka niż troje.

Bogini rozejrzała się, jakby czegoś szukała.

- Gdzie się podziały wreny? Sprowadź je — powiedziała do młodego żołnierza.

Chłopak spojrzał na mnie czujnie z niepokojem. Przez moment się ociągał, zanim wyszedł. Oczy Lathenii zwęziły się. Ona także dostrzegła jego wahanie i była tym zaniepokojona.

Te same cztery skrzydlate stwory, zwane wrenami, weszły, skacząc lub drepcząc, do celi. Na mój widok ich oczy zalśniły jaśniejszą czerwienią, trzepnęły raz czy dwa skrzydłami. Ślina kapłała z ich półotwartych, świńskich ryjków na pokryte futrem piersi.

Spojrzałem na Boginię. Co, na litość boską, planowała z nimi zrobić? Odwzajemniła moje spojrzenie i odezwała się do swojego młodego żołnierza.

- Rozwiąż go. Niech wreny pobiją go do nieprzytomności, a potem zabierzcie go na Obsydianową Wyspę. Masz go tam uwięzić. Jeśli się pojawią, będą go na próżno szukać.

Lathenia odwróciła się ode mnie i zniknęła, a Marduk i starzec poszli w jej ślady. Młody żołnierz pozostał, by uwolnić mnie z łoża tortur. Gdy to zrobił, osunąłem się na ziemię. Wreny natychmiast się zbliżyły. Kiedy zaatakowały, chłopak odwrócił wzrok.

Rozdział 10

Isabel

Profesor Carter miał koordynować naszą misję ocalenia Arkariana przed śmiercią tuż po narodzeniu. Przeszliśmy przez Cytadelę bez żadnych problemów. Otrzymaliśmy nowe tożsamości, chociaż moja pozostała ta sama, co przy poprzedniej wyprawie do Francji. Okazało się, że celem misji Lathenii nie była wyłącznie zemsta na Ethanie. Chciała także przyjrzeć się matce Arkariana, chociaż była ona wtedy sześciolatkiem. Teraz już rozumiałam więc, jaka zrodziła się między Arkarianem a Charlotte.

Tak więc wracałam do Francji jako Phillipa Monterey, z Ethanem jako moim towarzyszem, Jean-Claudem. Tyle tylko że teraz Charlotte miała szesnaście lat i zbliżał się termin jej porodu.

- Niech to szlag! - oznajmił niezbyt zachwycony

Ethan, robiąc unik przed strzałą angielskiego żołnierza. Kolejna strzała świsnęła nad moją głową, o włos mijając ucho.

- Padnij! - krzyknął Ethan i szarpnął mnie za ramię.

Okazało się, że bezpieczne dostarczenia nas do Francji sprawiło profesorowi Carterowi niejake trudności.

- Za tobą!

Odwróciłam się w porę, żeby uniknąć ciosu miecza. Ethan zanurkował do nóg żołnierza, przewrócił go na ziemię i rozbroił. Najwyraźniej profesor Carter sprawił, że wylądowaliśmy w samym środku zacieklej potyczki między armią francuską a angielską. Zauważył nas znajdujący się niedaleko żołnierz francuski.

- Skąd się tu wzięliście?

Szukając jakiegoś wytłumaczenia, dlaczego stoję na środku pola bitwy w długiej zielonej sukni i miękkich brązowych pantoflach, uniosłam ręce i uśmiechnęłam się bezradnie i żałośnie.

Żołnierz zmierzył nas wzrokiem od stóp do głów.

- Nie przeżyjecie długo bez zbroi.

Szybko pozbierał broń z pobliskich ciał zabitych żołnierzy i wręczył nam po mieczu i tarczy.

- Potrafisz się tym posłużyć, moja pani? Jeśli będziesz się mnie trzymać, obronę cię.

Ethan uniósł brwi i przewrócił oczami. Konny żołnierz angielski zbliżał się do nas. Ethan rzucił się na niego.

- To jest zbyt niebezpieczne! - krzyknął do mnie. - Poza tym nie mamy czasu. W dodatku możemy zostać zabici albo w samoobronie zabić kogoś, kto nie powinien dzisiaj zginąć.

Z trudem torowaliśmy sobie drogę z pola bitwy. W końcu pojawiła się okazja ucieczki w gęste krzaki.

- Pospiesz się - pogonił mnie Ethan.

Rzuciłam miecz i tarczę, a następnie ruszyłam biegiem, by schronić się w pobliskim lesie. Kiedy znaleźliśmy się dość daleko, a odgłosy bitwy nieco przycichły, zatrzymaliśmy się, żeby złapać oddech i zastanowić się.

— Rozpoznajesz to miejsce? - Ethan wiedział, że byłam tutaj nie tak dawno temu. - Czy może Carter to też schrzanił, wysyłając nas Bóg wie gdzie?

— Profesor Carter robi, co w jego mocy.

— Doprawdy? A może celowo wrzucił nas w sam środek bitwy?

Potrząsnęłam głową.

— Co ty masz do tego faceta? Tylko prychnął.

- Wiem, że w szkole traktuje cię surowo. Ale może zachowuje się tak, bo chce, żebyś w pełni rozwinął swój potencjał?

Jego prychnięcie tym razem przeszło w atak kaszlu. Kilkakrotnie stuknęłam go w plecy. Machnął na mnie ręką.

- Nic mi nie jest.

W końcu złapał oddech.

- Nigdy nie przepadaliśmy za sobą w szkole, to pewne. Ale jeśli chcesz znać prawdę, mam co do niego... Dobra, to zabrzmiało głupio, ale instynktowne przeczucie.

Tym razem ja mogłam prychnąć. Ethan zachowywał jednak całkowitą powagę i... no cóż, jego przeczucia były często uzasadnione.

- Słuchaj, wiem tylko, że obgadywanie profesora Cartera nie pomoże nam uratować życia Arkarianowi.

- Racja - przyznał i rozejrzał się. - Wydostaniemy się stąd.

Zajęło nam to trochę czasu, ale w końcu wyszliśmy na wyglądające dość znajomo pola. Droga przed nami prowadziła przez tereny przypominające to, co wcześniej widzieliśmy w holograficznej sferze.

W końcu dostrzegłam zamek górujący ponad murami posiadłości i małymi lepiankami, tak samo imponujący, jak dziesięć lat wcześniej. Ale poprzednio byłam tu z Arkarianem. Wspomnienie boleśnie ukłuło mnie w piersiach, miałam wrażenie, że moje płuca nie są w stanie zaczerpnąć oddechu.

Ethan zauważył to.

- Nic mu nie będzie, Isabel. Dopilnujemy tego -zapewnił mnie, otwierając drewnianą bramę.

Ruszyłam za Ethanem do bramy zamku, wdzięczna za jego optymizm. Kiedy zbliżaliśmy się do drzwi stróżówki, wciągnął mnie za pobliski krzak.

- Powinniśmy się najpierw rozejrzeć.

Coś w środku mnie sprzeciwiało się jednak temu. Straciliśmy dość czasu uwięzieni w środku bitwy, całe kilometry od celu naszej wyprawy.

- To dzisiaj Charlotte miała urodzić dziecko. Możliwe, że już jesteśmy za późno.

- Więc co proponujesz, iść prosto do wejścia? Uważał to za żart, ale ja byłam zdania, że to idealny pomysł.

- Właśnie. Ale musimy być ostrożni, więc może pójde sama?

-Co?!

- Ty możesz stąd wypatrywać niepokojących rzeczy. Nie podobał mu się ten pomysł, ale w końcu uległ.

Zanim zdążył zmienić zdanie, podeszłam do bramy i kilka razy załomotałam w nią żelazną kołatką. Po kilku minutach otworzyła mi służąca.

- Co was tu sprowadza, panienko?

- Czy lady Charlotte jest w zamku?

- A kto o nią pyta?

- Jestem Phillipa Monterey, dawna znajoma księcia i jego córki.

Służąca zmarszczyła podejrzliwie brwi.

- Panny Charlotte nie ma, a księżę, Panie świeć nad jego duszą, opuścił nas wiele lat temu.

- Och.

To była okropna wiadomość. Jak biedna Charlotte sobie z tym poradziła? Nie mogłam jednak pozwolić,

żeby myśli o mojej dawnej podopiecznej odwlekały odnalezienie jej.

- Proszę mi szybko powiedzieć, gdzie może być księżniczka?

Grymas na twarzy służącej pogłębił się. Spróbowałam sformułować to pytanie, żeby nie brzmiało tak rozkazująco.

- To znaczy, czy udała się może nad rzekę? - wskazałam w przybliżonym kierunku, gdzie, jak mi podpowiadała pamięć, powinna być rzeka.

Twarz służącej odrobinę zmiękła.

- Wiecie, że lady Charlotte jest...

- Przy nadziei? Tak. I że jej czas jest już blisko. Czujność służącej trochę osłabła.

- Cóż, dziś rano udała się na spacer z panem, który ją odwiedził.

-Co?!

Służąca znowu surowo zmarszczyła brwi.

- To znaczy, tak blisko jej rozwiązania? Czy to nie było nieroztropne?

Lewe ramię służącej poruszyło się.

- Nieszczęsne dziecko rozpaczliwie potrzebowało odrobiny świeżego powietrza, biorąc pod uwagę toczące się niedaleko walki. Księżna uznała, że dobrze jej to zrobi.

Poczucie, że muszę się spieszyć, spowodowało gwałtowny przyływ adrenaliny w moim organizmie.

- Proszę, powiedzcie mi, dokąd się udali?

Ale ostrożność wzięła górę, służąca zaczęła się obawiać odpowiedzi.

- Niby czemu? Nigdy wcześniej panienki nie widziałam. Tamten pan naprawdę troszczył się o zdrowie panienki Charlotte. - Zniżyła głos. - Przez ostatnie dni sprawiał wrażenie naprawdę nią urzeczonego.

Mogłabym się o to założyć. Zachowałam jednak tę myśl dla siebie. Musiałam jakoś rozwiązać wątpliwości tej kobiety. Zaczynałam panikować. Czas upływał, a ona dręczyła mnie, ukrywając rozpaczliwie potrzebne mi informacje.

- Proszę posłuchać, lady Charlotte mnie potrzebuje. Zbliża się czas jej rozwiązania, a beze mnie ona umrze. - Wiedziałam, że kłamię. Charlotte tak czy inaczej miała umrzeć przy porodzie. Tak zdarzyło się dawno temu i nie mogłam tego dzisiaj zmienić.

Służąca musiała wyczuć coś w mojej rozpaczliwej prośbie.

- Zabrali koszyk z jedzeniem i udali się do wodospadów na rzece. Wiecie, gdzie to jest? Tuż przed zakolem.

Jak mogłabym zapomnieć? Tam właśnie Arkarian całkowicie oczarował Charlotte opowieściami o wielkich bogach starożytnej Grecji. Ale to spory kawałek stąd.

- Tak, dziękuję. Tyle że będziemy potrzebować koni.

- My? Jest was więcej? Gdzie? Dlaczego się nie pokazaliście? Kim niby jesteście?

Miałam ochotę sama siebie kopnąć. Nie było szans, by kobieta nam pomogła. Musiałam uznać, że miałam szczęście, zdobywając potrzebne informacje. Wróciłam biegiem do Ethana i pociągnęłam go za rękę.

- Musimy się spieszyć.

Biegliśmy całą drogę. Miałam wrażenie, że trwa to całą wieczność, ale kiedy w końcu zbliżyliśmy się do tego miejsca, Ethan, biegnący nieco z przodu, zatrzymał się gwałtownie.

- O co chodzi? - zapytałam bez tchu.

W tym momencie także to usłyszałam. Krzyk. Długi, rozdzierający uszy krzyk cierpiącej kobiety.

- Postanowił ją zatłuc na śmierć - rzucił z odrazą Ethan.

- Czekał, to są krzyki kobiety, która cierpi z powodu bólów... ale porodowych. -1 jest to trudny poród, pomyślałam.

- Musimy zaskoczyć żołnierza, który ma ją zamordować. Przynajmniej wiemy, że Charlotte jeszcze żyje, a sądząc z tych krzyków, jej dziecko pcha się na świat.

Musieliśmy być ostrożni. Na miejscu mógł być więcej niż jeden żołnierz Zakonu. Przypomniałam sobie coś jeszcze.

-Tam może być pies - ostrzegłam Ethana. - Ogromny. I może się okazać czymś więcej niż zwykłym psem. Uważaj.

Zbliżyliśmy się na tyle, żeby słyszeć szum wodospadu, kiedy Charlotte krzyknęła:

- Coś złego się ze mną dzieje! Musisz mnie zabrać do domu, panie. Proszę, zabierz mnie do domu!

Teraz mogłam już ją zobaczyć. Leżała pod drzewem, a kolejny skurcz sprawił, że wygięła plecy, zaciskając palce obu rąk na pledzie.

Obok stało dwóch mężczyzn, którzy pilnie ją obserwowali. Jeden z nich wiercił się niespokojnie, przestępując z nogi na nogę i odwracając spojrzenie w bok lub w niebo.

- Nie możemy jakoś złagodzić jej bólu?

Drugi mężczyzna, wyższy, rudowłosy i wąsaty, nie odrywał wzroku od wijącej się przed nim dziewczyny.

- Tak czy inaczej ona umrze. Nie bawi mnie zabijanie dzieci, kimkolwiek by były, nawet jeśli takie są jej rozkazy. Lepiej, żeby dziecko umarło w łonie razem z matką i oszczędziło nam zachodu.

O właśnie! Na te słowa czekaliśmy. Słowo „ostrożność” zniknęło z mojego słownika. Wyciągnęłam nóż zza pasa i z okrzykiem zaszarżowałam z naszej kryjówki. Obaj mężczyźni mieli dosłownie sekundy na reakcję, zanim wylądowałam całym ciężarem na tym, który bezdusznie życzył dziecku śmierci, podczas gdy Charlotte doświadczała większych cierpień niż musiała.

- Tchórz - syknęłam mu do ucha, przykładając nóż do jego gardła.

Kątem oka zauważyłam, że Ethan poszedł za moim przykładem. Nie miał zresztą specjalnego wyboru, ale i tak dzielnie stawiał czoła drugiemu żołnierzowi.

Mężczyzna pode mną odepchnął mnie, przewracając na plecy. Chwycił mnie za nadgarstek i mocno potrząsnął, ale nie pozwoliłam sobie wytrącić noża. Ścisnął mój przegub, a ból omal mnie nie oszołomił.

- Nie poddam się! - Z tymi słowami z całej siły wpakowałam mu kolano między nogi.

Jego oczy zaszyły łzami, a ciało zwiotczało. Przez moment pomyślałam, że widzę coś znajomego w jego oczach. Odskoczył ode mnie, jakby sobie to uświadomił, i spróbował wykręcić mi rękę za plecy. Złapałam go za ramię i rzuciłam na ziemię. Jęknął, ale zerwał się szybko, a potem kopnął mnie w żołądek, wyciskając powietrze z moich płuc. Kiedy starałam się złapać oddech, rzucił się na mnie. Zrobiłam unik, a on zachwiał się i próbując chwycić powietrze, stracił równowagę. Ale szybko złapał ją z powrotem i podjął kolejną próbę. Był niezmordowany.

Tymczasem Ethan powalił swojego przeciwnika na ziemię i zbliżył się, żeby mi pomóc. Zauważył mój nóż i przywołał go do swojej ręki, jednocześnie odciągając żołnierza ode mnie. Po chwili trzymał mu nóż przy gardle.

Drugi z żołnierzy zaczął odzyskiwać przytomność, ale moją uwagę zwróciły bolesne krzyki Charlotte. Serce podeszło mi do gardła. Podbiegłam do niej i położyłam obie dłonie na jej brzuchu. Zaczęłam łagodzić jej ból i rozluźniać mięśnie, tak aby macica mogła się otworzyć. Wokół było mnóstwo krwi, obawiałam się

o życie dziecka, ale jego serce pod moimi dłońmi biło mocno, tylko trochę za szybko. *Leżący* żołnierz wstał chwiejnie na nogi.

- Co ty wyprawiasz? - wskazał na mnie.

- Łagodzę jej ból, wieprzu.

- Nie wolno ci tego robić! - Spróbował mnie odciągnąć, ale podpełzłam z powrotem do Charlotte.

Spróbowałam wymyśleć coś, co by go skłoniło do odejścia, chociaż wiedziałam, że to nie będzie łatwe. Musiałam jednak spróbować.

- Wiesz chyba, że się spóźniliście.

- Co? Co chcesz powiedzieć?

- Jestem uzdrowicielką, nie widzisz? - popatrzyłam na niego ostro. - Już wykonałam swoje zadanie. Dziecko urodzi się żywe. A jeśli będę musiała, zabiorę je ze sobą, żeby je ochronić.

Jego zachowanie natychmiast się zmieniło. Wyczuł, że poniósł porażkę. Spojrzał na swojego towarzysza, którego Ethan nadal przytrzymał, przyciskając nóż do jego gardła.

- Nie słuchaj jej - wyksztusił tamten. - Wiesz, co się z nami stanie, jeśli zawiedziemy w tej misji.

Strach rozszerzył źrenice pierwszego żołnierza. Sprawiał wrażenie, jakby znajdował się na granicy hysterii.

- Co mamy robić? - syknął.

Ten z nożem na gardle nieoczekiwanie kopnął Ethana w pachwinę. Ethan zgiął się, a żołnierz zdołał odrzucić nóż w krzaki. Stał obok swojego towarzysza.

- Chcesz wiedzieć, co zrobimy? - powiedział. - Pozabijamy ich wszystkich, z wyjątkiem niego - wskazał Ethana. - Wydaje mi się, że to on zasztyletował naszego mistrza.

Ethan zbliżył się do miejsca, w którym klęczałam przy Charlotte. Wymieniliśmy zaniepokojone spojrzenia. Charlotte była wyczerpana, a stres spowodowany pozbawieniem jej wygod łóżka i położnej wyraźnie dawał znać o sobie.

- Wymyśl coś - syknęłam do Ethana. - Muszę pomóc Charlotte. Dziecko jest w niebezpieczeństwie.

Zanim Ethan zdążył się zastanowić, powietrze wokół nas stało się dziwnie gorące. Drzewo ocieniające Charlotte i pobliskie krzaki zaczęły wydawać dziwne trzaski. Ich liście błyskawicznie zwijały się i wysychały. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że żołnierze koncentrują się na czymś.

- Mamy kłopoty. Jeśli zrobi się zbyt gorąco...

Nie zdążyłam skończyć zdania, gdy krzaki po obu stronach i drzewo nad naszymi głowami stanęły nagle w płomieniach. Gorąco stało się nieznośne.

Ethan zerwał z siebie płaszcz i zaczął tłumić płomienie nad nami. Ale wysiłek w tym żarze szybko zaczął wyczerpywać jego siły.

- Potrzebujemy deszczu, żeby zgasić ten ogień - powiedziałam.

- Nie wiem, czy potrafię sprowadzić prawdziwy deszcz.

Spojrzałam na niego szybko.

- A próbowałeś? Widziałam, jak sprowadzasz żywych ludzi do wnętrza swojej iluzji. Przechodziłam po moście, który uczyniłeś rzeczywistym siłą swojego umysłu.

Zar w powietrzu stawał się nieznośny. Charlotte wrzasnęła i spróbowała otrzeć czoło. Potrząsała głową, mamrocząc coś nieskładnie do siebie. Zaczynała bredzić w gorączce.

Ethan popatrzył w niebo.

- Sam deszcz nam nie pomoże. Nie pozbędziemy się dzięki niemu tych żołnierzy.

Miał rację. Co powinniśmy zrobić? Przez coraz wyższe płomienie widziałam żołnierzy, stojących z boku, z zadowoleniem na twarzach. Jeden z nich uderzył powietrze pięścią.

- Będzie z nas niesamowicie zadowolona! Obdaruje nas, jak nigdy dotąd! - Wskazał Ethana. - Wydaje mi się, że masz rację. To chyba on zamordował mistrza.

- Właśnie, więc się tak nie ciesz - odparł drugi. - Pamiętaj, że przyjemność zabicia go chciała zachować dla siebie.

Obserwowali nas, a Ethan zaczął działać.

- Okryj siebie i - na ile zdołasz - Charlotte. Mam pomysł.

Posłuchałam go i przykryłam księżniczkę własnym ciałem, osłaniając jej twarz ramieniem. Kątem oka zobaczyłam, że Ethan zamyka oczy i zaczyna głęboko

oddychać. Wstrzymał oddech i zanurkował, przykrywając mnie i Charlotte. W tym momencie wokół nas zagrzemiał wybuch, a żołnierze Zakonu wrzasnęli dziko.

Wyjrzałam spod Ethana i zobaczyłam, że ogień eksplodował na zewnątrz. Obu żołnierzy spowijały ogromne płomienie. Biegali w kółko, wrzeszcząc, a ich ciała płonęły. Obaj wbiegli między drzewa, wołając „Bastiana”, a w następnej chwili zniknęli. Bez wątpienia wrócili do kwatery głównej, gdzie musieli trafić na dłużej do komnaty leczniczej.

Ethan zaczął tłumić płomienie na pobliskich krzakach.

— Jak myślisz, co ona z nimi zrobi za tę porażkę? Potrząsnęłam głową i skoncentrowałam się na ciężko oddychającej Charlotte.

— Kto wie?

Charlotte złapała mnie za rękę i na ile zdołała, uniosła głowę, żeby mi się przyjrzeć.

— Czy ja cię znam?

Uznałam, że nic się nie stanie, jeśli w tym momencie jej to powiem.

— Pamiętasz czasy, kiedy miałaś psa? Wielkiego psa, którego nazywałaś czule Karolkiem?

Jej oczy zaokrągliły się, uśmiechnęła się blado, a potem położyła głowę na ziemi, ponieważ wstrząsnął ją kolejny silny skurcz. Ethan zdjął kamizelkę, zwinął ją i podłożył dziewczynie pod głowę.

- Phillipa - Charlotte przypomniała sobie moje imię. Odetchnęła głęboko, po czym zapytała z uczuciem: - Czy przyprowadziłaś Gascona?

Jej czuła pamięć o Arkarianie sprawiła, że się uśmiechnęłam.

- Niedługo tu będzie.

Westchnęła. Prawdopodobnie po raz pierwszy od wielu godzin poczuła się bezpiecznie. Ponieważ czułam, że dziecko pcha się niecierpliwie na świat, rozejrzałam się w poszukiwaniu Ethana. Skończył zdeptywać żarzącą się jeszcze trawę i podszedł bliżej. Skinęłam głową w stronę nóg Charlotte.

- Lepiej się przygotuj.

Szarpnął gwałtownie głową, mrużąc oczy.

- Co takiego? Czy ty chcesz...

- Mhm. I lepiej się pospiesz, dziecko zaraz się urodzi. - Spojrzałam na Charlotte. - To już nie potrwa długo. Niebawem twój ból się skończy.

Jęknęła i zacisnęła palce na pledzie, ponieważ targnął nią kolejny silny skurcz. Ethan zajął swoje miejsce, podciągając jej spódnicę powyżej kolan.

- Boże, chyba widzę to... jego... to coś...

Jego jąkanie sprawiło, że się uśmiechnęłam. Powiedziałam mu, co ma robić. Przez następne kilka minut cała nasza trójka pracowała ciężko. Na zewnątrz wydostała się główka dziecka, a w ślad za nią poszła niebawem reszta ciała.

Ethan popatrzył na mnie, trzymając pępowinę. Wy-

jaśniłam mu, co powinien z nią zrobić. Kiedy skończył, podał mi dziecko. Zbadałam je szybko, ale nie wyczułam żadnych dolegliwości w malutkim ciałku, więc łagodnie wsunęłam je w słabnące ramiona matki.

Ethan nie odezwał się głośno, ale wskazał mi ogromną ilość krwi na pledzie.

- Czy możesz zrobić coś jeszcze?

Bolało mnie, że ta piękna młoda dziewczyna musi niebawem umrzeć, podczas gdy ja mam stać i spokojnie na to patrzeć. Potrafiłabym ją uzdrowić, ale nie mogłam tego zrobić. Było w mojej mocy podarować Arkarianowi matkę, której nie poznał, ale nie było mi wolno. Jakże inne byłoby jego życie, gdyby dorastał w zamku księcia, pod opieką kochającej matki.

Popatrzyłam na matkę i dziecko. Płakała.

- Jest prześliczny - wyszeptała, a jej wargi z nieskończoną czułością musnęły czoło dziecka.

Jakby świadome znaczenie tych słów i delikatnego pocałunku, otworzyło oczy i popatrzyło prosto na nią. Westchnęła cicho, a na jej ustach pojawił się uśmiech.

- Jesteś prawdziwy. To nie sen.

Nagle usłyszałam odgłos kopyt i powozu toczącego się po nierównym gruncie. Niebawem pojawiły się konie - kilku jeźdźców zeskoczyło na ziemię, gdy tylko nas zobaczyli. Zbliżył się też powóz, a służba pospieszyła zająć się Charlotte. W ich głosach i ruchach był niepokój, szczególnie gdy zobaczyli pogorzelnisko i coraz większą kałużę krwi.

Ethan i ja wycofaliśmy się na dostateczną odległość, żeby nas nie zauważyli. Z powozu wysiadła księżna, odwracając głowę na widok splamionego krwią pledu.

- Zabierzcie ją do powozu - rozkazała. Służba pospiesznie wykonała polecenie.

Ethan łagodnie pociągnął mnie za rękę.

- Chodź, nie jesteśmy tu już potrzebni. Przełknęłam, mając wrażenie, że w moim gardle

pojawiła się ogromna gęstwa. Ale uzdrowienie Charlotte było już poza moim zasięgiem. Jej rodzina i domownicy zajmą się nią, chociaż nic nie mogło jej już ocalić, nie w średniowiecznej Francji.

Ethan wezwał profesora Cartera i ruchliwa scena przed naszymi oczami zaczęła znikać.

Rozdział 11

Isabel

Nie mogłam w to uwierzyć! Profesor Carter powiedział, że musimy dalej chodzić do szkoły. Twierdził, że jej rzucenie byłoby po prostu zbyt niebezpieczne. Wydałoby się podejrzanym i stanowiło sygnał dla tych, którzy wiedzieli - dla członków Zakonu.

Rozumiałam to. Zachowanie tajemnicy było kluczowe dla przetrwania Straży, a nawet pojedyncze słowo mogło wzbudzić podejrzenia.

Wysiadłam z autobusu razem z Mattem. Ethan już na nas czekał z dziwnym niepokojem na twarzy. — Coś nie tak?

Wzruszył ramionami, przeczesując wzrokiem szkolny dziedziniec przed nami i kilkuset uczniów, którzy właśnie przybyli na poranne lekcje.

- Poza tym, że mama nie chce zmienić zdania w sprawie sanatorium, chyba nic. Po prostu coś tutaj wydaje się inne. Atmosfera jest inna. - Przysunął usta do mojego ucha i dodał cichym szeptem. — Czy wiesz, że od zaginięcia Arkariana więcej misji Straży zakończyło się porażką niż sukcesem? Mieliśmy szczęście ostatniej nocy. Członkowie Trybunału naprawdę martwią się o swoje sektory. Niektórzy z nich stracili nawet żołnierzy. A tata musi teraz pomóc Jimmy'emu i nie wraca na noc do domu.

- Martwisz się o mamę?

- Ostatnio prawie nie śpi i nie chce brać leków na uspokojenie. To naprawdę fatalny moment, ona wymaga stałego nadzoru.

- Czy mogłabym jakoś pomóc? - To było głupie pytanie. Każdy mijający dzień przybliżał wyjazd pani Laury do sanatorium.

Wzruszył ramionami.

- Staram się jej pilnować. Dziś ma przyjść ciocia Jenny i zostać na noc, tata załatwił to przed wyjazdem.

Milczeliśmy przez chwilę, a wzrok Ethana powędrował ku chłopakowi noszącemu dwie różne skarpetki, z których żadna nie była częścią szkolnego mundurka. Zmarszczył brwi.

- Popatrz na to.

Skarpetki zdecydowanie wydawały się nie na miejscu. Ale w tym momencie zauważyłam dziewczynę

z ósmej klasy w ogromnych kolczykach, sięgających prawie do ramion.

- Ktoś zliberalizował przepisy dotyczące szkolnego stroju?

- Wiesz, tata mówił, że przy tak wielu niepowodzeniach w misjach należy się spodziewać jakichś zmian. Kiedy przeszłość zbyt szybko się zmieni, ma to wpływ na teraźniejszość.

Przyjaciel Ethana, Dillon, zauważył nas i podszedł, więc na tym zakończyliśmy rozmowę. Obejrzał się za grupką dziewczyn, które zeszły na dziedziniec.

Matt dołączył do nas.

- Hej, czego się tak szczerzysz?

Dillon uniósł brwi, gestem głowy wskazując krótkie spódniczki dziewczyn.

Obaj odprowadzili je wzrokiem, aż zniknęły za rogiem. Coś takiego było w szkole niezwykłym widokiem, przynajmniej odkąd dyrektor Baker dwa lata temu przyjechał do Angel Falls i wprowadził surowe zasady dotyczące stroju. Obowiązywały podkolanówki, szkolne krawaty, białe koszule i zapinane swetry, a dla dziewcząt - granatowe spódnice do kolan. Te dziewczęta - a kiedy się rozejrzałam, stwierdziłam, że inne także - pokazywały większy kawałek nogi nad kolanem niż poniżej niego!

Ethan dyskretnie odciągnął mnie na bok.

- Chcesz wiedzieć, co myślę o tym, co się tu dzieje? - zaczął szarpać krawat. - Zaczęły się zmiany. Lepiej

szybko skróć sobie spódnicę, albo będziesz się wyróżniać.
Kilka razy obróciłam w talii gumkę spódnicy.

- To jest naprawdę dziwaczne.

- Wyglądacie na przemęczonych - zauważył Dillon. —
Może powinnis'cie się wybrać na jakieś wakacje?

Świetny pomysł. Gdyby tylko był wykonalny.

- Skoro mowa o wakacjach - Dillon zwrócił się wprost do
Matta. - Co się dzieje z Rochelle? Niektórzy mówią, że
zrezygnowała ze szkoły. Nie przychodzi od tak dawna, że to
wygląda, jakby się wyprowadziła. Gdzie ona jest?

Matt głośno prychnął.

- Może powinieneś zapytać o to Ethana? Gdyby Rochelle
powiedziała komukolwiek, gdzie się wybiera, to właśnie jemu.

Ethana zamurowało. Nie dziwiłam mu się. Co strzeliło do
głowy Mattowi? I dlaczego kierował uwagę na Ethana,
sugerując jego powiązania z Rochelle?

W końcu Matt zorientował się, że jego cyniczna uwaga
mogła zostać źle zrozumiana.

- Słuchaj, nie obchodzi mnie już, co się dzieje z Rochelle.

Oczy Dillona pobiegły od Matta do Ethana i z powrotem.

- Ale byliście... no, dobrą parą. Co się stało?

- Wykorzystywała mnie i mam jej dość — wkurzył się
nagle Matt. - A teraz zmienmy temat!

Dillon darował sobie dalsze pytania. Zaczął drapać się za prawym uchem, potem starannie obejrzał paznokcie, przestępując jednocześnie z nogi na nogę, jakby świerzbiały go stopy.

- No właśnie, skoro mowa o dziewczynach... - zawiesił głos, a Ethan i Matt prychnęli i jęknęli z udanym dramatyзмом.

- Lepiej wyduś to z siebie, zanim cię rozsadzi - poradził Ethan.

Dillon odwrócił się na pięcie i przygwoździł nas spojrzeniem zielonych oczu.

- Znalazłem kobietę swojego życia. - A zwracając się do mnie, dodał. - Isabel, musisz mnie z nią umówić!

- Ja? Nie wiem nawet, o kim mówisz.

Jego rozmarzony głos sprawił, że wybuchnęliśmy śmiechem. Matt szturchnął go w ramię.

- Co tydzień spotykasz kobietę swojego życia.

- Przysięgam - położył rękę na sercu. - To jest właśnie ta. Musicie ją zobaczyć. Jest ekstra! I taka sexy, że nie uwierzycie.

- No to gdzie jest ta kobieta twojego życia? - zapytał Ethan. - Znamy ją?

- Jest nowa i, no... tak właściwie to jeszcze jej nie znam.

Ethan i Matt jęknęli głośno, potrząsając głowami. W tym momencie Ethan zauważył profesora Cartera, wychodzącego głównymi drzwiami.

- Muszę z nim pogadać.

- Serio? O czym? Myślałem, że nie cierpisz Cartera? — Dillon wykazał się niemałą bystros'cią, jeśli wziąć pod uwagę to, że kilka sekund wcześniej bujał w obłokach, marząc o dziewczynie, której praktycznie nie znał. Ethan zawahał się, ale tylko na moment.

- Chodzi o ten projekt z historii. Oddam go później.

-Jaki projekt? Chodzimy razem na historię, nie wiedziałem, że mamy oddać jakiś projekt.

Dillon znowu zadawał pytania, a we mnie zaczęło się budzić jakieś nieprzyjemne przeczucie.

- Chodzi o jeden z zeszłorocznych. Dostałem za niego szóstkę i Carter chce go pokazać innej klasie. Miałem to jeszcze doszlifować, zanim mu oddam.

- Jak dla mnie to nie potrzebujesz żadnego szlifowania. Też chciałbym dostać szóstkę za... - urwał. Nasze oczy pobiegły za jego spojrzeniem, żeby zobaczyć, co go tak oszołomiło. - To ona! - W podnieceniu klepnął Ethana w ramię tak, że ten poleciał do przodu.

-Ej!

- Sorki. Ale spójrz na nią. To jest dziewczyna dla mnie - dodał rozmarzony.

Popatrzyliśmy na dziewczynę, która u boku profesora Cartera wychodziła z pokoju nauczycielskiego. Ale nie tylko Dillon dziwnie zareagował na jej widok. Nawet mój brat miał na pół otwarte usta i nie odry-

wał spojrzenia od dziewczyny, zbliżającej się do nas razem z profesorem Carterem.

Przyjrzałam się przez chwilę dziewczynie, na widok której mój brat i Dillon robili maślane oczy. Cóż, bez wątpienia była śliczna, z szeroko rozstawionymi, owalnymi oczami łani, wiśniowymi wargami, nieskazitelną skórą i ciemnymi włosami otaczającymi twarzyczkę w kształcie serca.

Kiedy podeszli bliżej, serce zaczęło mi mocno walić. To nie była pierwsza lepsza dziewczyna! Rozpoznałam ją bez cienia wątpliwości. Widziałam ją już wcześniej - to ona pojawiła się w iluzji Ethana rok temu. Właśnie jej obrazu użył Ethan, żeby odwrócić uwagę Marduka. To była Neria - córka Marduka, chociaż miałam całkowitą pewność, że nie wie o tym i nie ma pojęcia o istnieniu Marduka. Właściwie byłam też pewna, że nie wie niczego o Straży, ani o tym, kim jesteśmy - na razie.

Profesor Carter podszedł prosto do miejsca, gdzie opieraliśmy się o ogrodzenie, i przedstawił nam dziewczynę. Wymieniłam z Nerią powitalne spojrzenia i natychmiast wyczułam emanującą od niej aurę spokoju. Miałam wrażenie, że w tej dziewczynie jest coś więcej, niż mi się początkowo wydawało, ale nie potrafiłam tego sprecyzować. Może wiedziała więcej niż przypuszczałam? Mimo że znałyśmy się przez krótką chwilę, budziła głębokie i ciepłe uczucie zaufania.

- Czy mogłabyś przez kilka dni opiekować się Nerią, Isabel? - zapytał profesor Carter.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, wtrącił się Dillon.

- Ja się tym zajmę, panie profesorze.

- Nie mówiłem do ciebie, Dillon - warknął profesor Carter. Potem, jakby zastanowił się nad swoim tonem, dodał znacznie łagodniej: - Neria będzie uczęszczać na większość zajęć z Isabel. Jest w dziesiątej klasie, nie w jedenastej, jak wy, chłopcy, więc Isabel lepiej się nadaje do pokazania jej szkoły.

Profesor Carter popatrzył w milczeniu na Dillona, zauważając jego wybałuszone oczy, których nie potrafił oderwać od spuszczonej głowy Nerii.

- Uspokój się, Dillon. Można cię przejrzeć na wylot - dodał cicho.

Ethan i Matt nabijali się z widocznego zakłopotania Dillona. Pochwyciłam spojrzenie Nerii, uśmiechnęłam się do niej i poczułam, że przyjaźń między nami szybko się nawiąże. Oznajmiłam profesorowi Carterowi, że chętnie zaopiekuję się Nerią przez kilka dni.

- Wiedziałem, że mogę na tobie polegać, Isabel - powiedział profesor Carter. Bez słowa dał mi do zrozumienia, że oczekuje czegoś więcej. Skinęłam głową, na znak, że wiem, o co chodzi.

- Dobrze - powiedział. - A teraz lepiej idźcie już na lekcje.

W tym momencie zabrzmiał szkolny dzwonek. Podnieśliśmy plecaki.

- Zostawiłam swój plecak w pokoju nauczycielskim - przypomniała sobie Neria.

Dillon i Matt omal nie stratowali się nawzajem, chcąc biec po niego.

Dillon odwrócił się i popchnął Matta otwartą dłonią.

- Ja go przyniosę!

Neria wyglądała niepewnie, na jej wargach pojawił się uśmiech zażenowania. Najwyraźniej nie była przyzwyczajona do zwracania takiej uwagi. Dillon pobiegł do pokoju nauczycielskiego, prawie przewracając mnie w pośpiechu. Kiedy zniknął, Neria podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Matta. Przez chwilę po prostu stali, wpatrując się w siebie. Ethan i ja moglibyśmy tonąć w ruchomych piaskach, a żadne z nich by tego nie zauważyło.

Neria powoli odwróciła spojrzenie, koncentrując się na swojej lewej stopie, którą zaczęła kreślić małe kółeczka. Matt zajął się podziwianiem odległych wzgórz, jakby po raz pierwszy zobaczył tak fascynujący krajobraz. Co się z nim stało? W tej dziewczynie było coś, co sprawiło, że zachowywał się jak dziesięcioletek po raz pierwszy grający w butelkę. A chociaż nagle zainteresowanie inną dziewczyną mogło mu dobrze zrobić, nie byłam pewna, czy zainteresowanie akurat tą jest dobrym sposobem na zapomnienie poprzedniej.

Stojący obok Ethan prychnął z rozbawieniem, ale mnie nieoczekiwanie przeszedł chłodny dreszcz. Wtedy właśnie uświadomiłam sobie, że ten chłód jest wywoływany przez mój szósty zmysł.

Rozdział 12

Isabel

Dzień mijał zbyt wolno, a lekcje zlewały się ze sobą. Myślamy byłam przy Arkarianie, gdziekolwiek się teraz znajdował. Co się z nim działo? Kim był ten olbrzymi mężczyzna w szkarłatnym płaszczu, który go porwał? Było w nim coś, co podrażniło moje zmysły. Pomyślałam o Marduku. Ale to nie było możliwe. Prawda? Nie. Nikt nie mógł powstać z martwych.

Nie umiałam się skoncentrować, mimo że Neria była ze mną przez cały dzień. Dowiedziałam się za to trochę więcej o niej - była inteligentna, utalentowana plastycznie i nieśmiała, ponieważ do tej pory wiodła samotniczy tryb życia. Aż do dzisiaj nie uczęszczała do zwykłej szkoły; była uczona w domu przez matkę i najróżniejszych prywatnych nauczycieli.

Strzeżono

jej pilnie, i to nie zmieniło się nawet teraz. Przywożono ją do szkoły i odwożono z niej, a w szkole chodziła na te same zajęcia co ja. Także profesor Carter bacznie ją obserwował.

Z rozmowy nie wynikało tylko, gdzie mieszkała przed przyjazdem do Angel Falls. Sama nie poruszała tego tematu - prawdopodobnie miało to coś wspólnego z jej przeszłością albo tym, kim był jej ojciec. Podejrzywałam, że Neria wraz z matką mieszkała w ukryciu gdzieś za granicą. Teraz jednak Trybunał uznał, że musi ona pojawić się tutaj i zacząć pełnić swoje obowiązki. Mimo wszystko była jedną z Wezwanych i już niebawem miała odegrać rolę przypisaną jej w Proroctwie.

W końcu dzwonek oznajmił zakończenie ostatniej lekcji. Chociaż aż się paliłam, żeby wydostać się ze szkoły, odprowadziłam najpierw Nerię na szkolny parking, spodziewając się, że będziemy musiały poczekać na jej kierowcę. Ale samochód już tam był. Dwa ogromne białe psy, najwyraźniej należące do Nerii, siedziały na tylnym siedzeniu jak czujni strażnicy. Szofer w liberii otworzył drzwiczki. Psy zobaczyły Nerię i zaczęły gwałtownie machać ogonami, ale nie ruszyły się z miejsca, dopóki ich nie zawołała po imieniu.

Psy ułożyły się obok Nerii na tylnym siedzeniu, a ona sama pomachała mi na pożegnanie przez przyciemnioną szybę.

W końcu byłam wolna i mogłam się zająć tym, na co czekałam od rana - planem ratowania Arkariana.

Odsuwając myśli o dziwaczności tego dnia, zaczęłam szukać Ethana. Najpierw jednak znalazł mnie Matt, a pech sprawił, że był z nim też Dillon.

- Czy to była Neria? - Dillon odprowadził wzrokiem oddalający się, ciemny wóz. - Przyjeżdża do szkoły mercedesem z szoferem?

- Nie wiem, co to za marka. Widziałeś Ethana? Odwrócił spojrzenie od znikających tylnych świateł samochodu Nerii i w końcu popatrzył na mnie.

- A tak. Chciał, żebym ci powtórzył, że będzie czekać przy tylnym wejściu.

Matt i ja ruszyliśmy w tamtą stronę. Wreszcie mogliśmy się zająć najpilniejszymi sprawami. Ale Dillon się nie odczepił. Nie byłam pewna, czy mi się nie wydaje, ale dzisiaj miałam wrażenie, że duszę się w jego obecności. Prawdopodobnie miałam po prostu nerwy napięte jak postronki.

Jak jednak miałam się go pozbyć, nie będąc niegrzeczną? Nagle przyszedł mi do głowy pomysł. Postarałam się, żeby mój głos zabrzmiał zwyczajnie i skierowałam pytanie do Matta w taki sposób, żeby Dillon na pewno usłyszał.

- Widziałeś dzisiaj obrazy Nerii? Matt skrzywił się.

- Wiesz przecież, że nie chodzę na plastykę. Nawet nie zbliżam się do pracowni. O co ci chodzi?

Spróbowałam wskazać mu spojrzeniem Dillona i powiedziałam bezgłośnie: „Zamknij się”.

- No cóż, twoja strata. A ty, Dillon?

- Nie, też nie chodzę na plastykę.

- Ma talent — rozwodziłam się. - Namalowała ku-bistyczny obrazek lasu, tak urzekający, że nie mogłam oderwać wzroku. Cała klasa była pod wrażeniem.

- Naprawdę? - w głosie Dillona brzmiał podziw. - Śliczna i utalentowana.

Więc połknął przynętę! Uśmiechnęłam się.

- No, właśnie, mówię o tym, bo słyszałam, że ma dzisiaj przyjść na kółko malarskie.

- Powiedziałaś: „dzisiaj”? Rzuciłam okiem na zegarek.

- Za jakieś dwadzieścia minut. Powiedziała, że chce przed zajęciami wpaść na cappuccino do Falls Cafe.

Popatrzył na własny zegarek.

- Byłbym tam za pięć minut.

Ethan znalazł nas dokładnie w chwili, gdy Dillon postanowił oddalić się pospiesznie. Kiedy znalazł się poza zasięgiem słuchu, Matt zapytał:

- O co w tym wszystkim chodzi?

- Nie chciał się odczepić.

- Bo jest naszym kumplem — przypomniał Matt.

- Wiem, ale musiałam się go pozbyć. Trzeba zaplanować różne rzeczy, a nie możemy tego robić, kiedy Dillon może coś podsłuchać.

Ethan rzucił spojrzeniem za Dillonem.

- Cóż, w sumie dobrze zrobiłaś. Carter chce, żebyśmy się natychmiast spotkali w siedzibie Arkariana.

- No to ruszamy — powiedział natychmiast Matt. Ethan powstrzymał go gestem otwartej dłoni.

- On miał na myśli Isabel i mnie. Matt jęknął i popatrzył w niebo.

- A co ja mam niby robić?

- Trenować - powiedział Ethan. - Musisz sobie radzić dzięki fizycznym umiejętnościom do czasu...

Matt oskarżycielsko uniósł brwi.

- Tak, wiem. Wszyscy wiemy. Okej?

- Jesteś dla siebie zbyt surowy. Po prostu wyluzuj.

- Trudno wyluzować, kiedy tyle od ciebie oczekują.

- Po prostu skoncentruj się na umiejętnościach fizycznych, reszta sama przyjdzie.

- Ale mój Nauczyciel właśnie zamierza się urwać. Ethan zastanowił się błyskawicznie.

- Jimmy już wrócił.

- Nie ma mowy! Nie będę z nim trenował.

- A szkoda, mógłbyś się mnóstwo od niego nauczyć. Wiesz, że jest mistrzem zakładania pułapek. To on zabezpieczał Veridian.

Matt poruszył głową w górę i w dół.

- A to jeszcze inna sprawa. Skoro Veridian jest dla nas taki ważny, dlaczego go dotąd nie widziałem?

Moja cierpliwość w końcu się wyczerpała.

- Och, na litość boską, Matt! Może byś się zamknął i przestał jójczyć? Skąd wiesz, może jeśli przestaniesz walczyć ze sobą, twoje moce się w końcu ujawnią, same z siebie!

Matt odszedł bez jednego słowa. Natychmiast pożałowałam swojego wybuchu. Chciałam za nim pobiec, ale Ethan mnie zatrzymał.

- Nic mu nie będzie.

Skinęłam głową i odwróciłam się, ale kątem oka zauważyłam kogoś przyglądającego się nam od strony frontowej bramy. Zobaczył mnie i cofnął się za ceglany mur, jakby chcąc się ukryć.

- Co jest? - zapytał Ethan, ciągnąc mnie za rękę, żebym się pospieszyła.

- Ufasz Dillonowi?

Ethan popatrzył na mnie, marszcząc brwi.

- Co chcesz powiedzieć? Wzruszyłam ramionami.

- Sama nie wiem. To tylko przeczucie. -Jakie?

- Czy zadawał ci kiedyś dziwne pytania?

- Dillon? Owszem, bez przerwy. Taki już jest. Nie popadaj w paranoję. Dillon jest... no, moim najlepszym przyjacielem.

Zaczęłam się w niego wpatrywać, powoli unosząc brwi.

- Oczywiście zaraz po tobie - poprawił się z uśmiechem. - Naprawdę, Isabel, nie znasz Dillona tak jak ja. Jest w porządku.

- Zrób coś dla mnie, okej? Nie przyjmuj jego przyjaźni za pewnik. Miej na niego oko.

- Nie mówisz serio! Dillon nie pracuje dla Zakonu.

Przeszliśmy przez tylną bramę.

- Nie wiesz tego na pewno, Ethanie. Tak samo jak żadne z nas nie wiedziało, że Rochelle należy do Zakonu. A jeśli jest myślowidzącym tak jak ona? Mógłby odczytać nasze myśli, a my niczego byśmy nie zauważyli.

- No dobra - zgodził się cicho. - Będę przy nim ostrożniejszy.

To na razie załatwiało sprawę, więc postarałam się odsunąć moje podejrzenia. Wspinaliśmy się szybko po zboczu i niebawem stanęliśmy przed siedzibą Ar-kariana. Tajemne drzwi otworzyły się, wpuszczając nas do środka. Dziwnie się czułam, idąc tymi korytarzami i spodziewając się zobaczyć Arkariana, chociaż wiedziałam, że go tu nie ma. Mijając kolejne drzwi po obu stronach, musiałam walczyć z chęcią zajrzenia za każde z nich. Większość prowadziła do sal treningowych, o innych nie wiedziałam niczego. Ale to by było bezużyteczne zajęcie, ponieważ Arkarian był zupełnie gdzie indziej.

Weszliśmy do głównej, ośmiobocznej komnaty i zastaliśmy tam profesora Cartera. Wpatrywał się w holograficzną sferę, która monitorowała przeszłość. Był tak na tym skoncentrowany, że kiedy Ethan zastukał lekko w ścianę, podskoczył.

- Czemu to tak długo trwało? - Profesor Carter oderwał się od sfery i wskazał nam krzesła, które tu przyniósł. Ale widok tych krzesel, w niczym nieprzypomi-

nających zabytkowych taboretów Arkariana, sprawił, że łzy napłynęły mi do oczu. Zamrugałam, żeby je stłumić, zanim ktoś zauważy, i klapnęłam na krzesło, zastanawiając się, kiedy ostatnio spałam.

Profesor Carter nie zdążył jeszcze usiąść wygodnie, kiedy przekazał nam kolejne rozkazy.

— Trybunał was wzywa. Niezwłocznie. Ethan jako pierwszy wyraził swoje zdumienie.

- Co takiego? Do Aten?

— Ale nie mamy czasu - wyjaśniłam, mając nadzieję, że profesor Carter mnie poprze, w razie potrzeby nawet przed Trybunałem. Przez cały dzień rozmyślałam o misji ratunkowej, którą zamierzaliśmy przeprowadzić tej nocy. A teraz usłyszałam, że zamiast tego mam się wybrać do Aten. - Naszym priorytetem jest ocalenie Arkariana, potem sprawa Ethana i jego... - postanowiłam jednak nie wspominać o matce Ethana. Jej depresja była wprawdzie powiązana z wydarzeniami z przeszłości, ale nie była sama w sobie sprawą, którą powinna zajmować się Straż. Poza tym nie była z pewnością sprawą profesora Cartera i byłam pewna, że Ethan nie życzyłby sobie, żebym o tym mówiła.

Ale profesor Carter pozostał niewzruszony i głuchy na nasze argumenty.

- Słuchajcie oboje. Tak czy inaczej nie możecie udać się na misję ratunkową bez pomocy Trybunału. Niezależnie od powodu, dla którego zostaliście wezwani, potraktujecie to jako okazję do zapewnienia sobie ich

wsparcia. Czy macie jakieś' pojęcie, gdzie dokładnie przetrzymywany jest Arkarian? Wiecie, dokąd się macie wybrać? Jak się tam dostać? Albo chociażby od czego zacząć? Hmm?

Jego pytania zmusiły mnie do myślenia. Przedstawił przekonujące argumenty, ale świadomość, że tracimy kolejną noc, wydawała mi się nieznośna. Do tego dochodziły jeszcze problemy z panią Laurą. Upływały kolejne dni dzielące ją od próby samobójczej, a ja doprawdy nie miałam pojęcia, jak temu zapobiec. Arkarian obiecywał pomoc. Wierzyłam w niego. Wierzyłam, że znał jakieś' rozwiązanie, że miał jakiś plan. Bez niego byliśmy zagubieni.

Ethan jęknął.

- Ma pan rację. Musimy udać się do Aten.

Cóż, skoro musieliśmy, powinniśmy wycisnąć z tej wizyty, ile się da.

- Na czyją pomoc możemy liczyć? Do którego z lordów powinniśmy się udać?

Profesor Carter zastanowił się.

- Może do lorda Penbarina - zaproponował Ethan. - Pomógł mi już kiedyś i myślę, że znów by to zrobił.

Po raz pierwszy Ethan i profesor Carter nie sprzeczekali się. Omówiliśmy więc jeszcze kilka szczegółów, ruszyliśmy z powrotem do domu. Było już ciemno, ale dzięki darowi światła nawet w półmroku doskonale widziałam ścieżkę przed nami. Ethan szedł za mną,

wiedząc, że widzę od niego tysiąc razy lepiej. Nagle ostry ból przeszył moją głowę. Sprawił, że zgięłam się w pół, niepewna, czy kiedykolwiek się do niego przyzwyczaję. Spróbowałam się odprężyć, oddychać głęboko, ale bólowi zaczęło towarzyszyć intensywne białe światło. Zachwiałam się na nogach, a moja głowa stała się potwornie ciężka.

Ethan złapał mnie w pasie i pomógł usiąść. Popatrzyłam na niego oszołomiona, mój umysł nadal dochodził do siebie po wirującej wizji. Ale Ethan chciał się jak najszybciej dowiedzieć, co widziałam. Byłam pewna, że myśli o swojej matce. Ale chociaż nie ją tym razem widziałam, był to ktoś równie bliski jego sercu.

- Wszystko okej? Czy to znowu była wizja? Nadal przytłoczona, spróbowałam znaleźć potrzebne słowa. Moje milczenie podsycało lęk Ethana.

- Co to było? Znowu widziałaś mamę? Odetchnęłam głęboko i spróbowałam mu wyjaśnić.

- Tym razem zobaczyłam przeszłość. -Tak?

- Arkarian mówił, że to jest możliwe.

- Więc co widziałaś?

- Widziałam las, w którym została zamordowana twoja siostra. I... widziałam, jak Marduk ją zabił.

Zmarszczył, a potem uniósł brwi.

- No wiem, ja też. Tysiące razy, w snach.

- Ale widziałam coś jeszcze, Ethanie. - Czekał na moje wyjaśnienie. - Widziałam ją p o t e m.

- Co chcesz powiedzieć?

- Biegła przez łąkę pełną niezwykłych kwiatów, rosnących pod ciemnoczerwonym księżycem. A potem zobaczyłam ją wewnątrz bardzo wysokiego budynku. Wydawało mi się, że to jej dom, chociaż nie powinna była znajdować się w tym miejscu.

- Chcesz powiedzieć, że Sera nadal gdzieś żyje? Pomyślałam o zwiewnej, zabłąkanej postaci, którą widziałam w swojej wizji, a potem potrząsnęłam głową.

- Nie wydaje mi się, Ethanie. Ta Sera była... - Jak miałam to ująć? Jak miałam wyjaśnić przejrzystość jej ciała, pozbawioną barw, lekko emanującą światłem skórę, udękę w jej oczach? To, że wydawało mi się, że w biegu przenika przez kwiaty? Uznałam, że jedynym sposobem jest powiedzieć to wprost. - Ethanie, twoja siostra jest duchem.

Rozdział 13

Arkarian

Bicie nie trwało długo. Nie musiało. Po kilku minutach kopniaków i uderzeń spadających na moje kończyny, plecy i głowę stało się jasne, że jeszcze trochę i całkiem mnie wykończą. Szybko nauczyłem się, że nikt w tym miejscu nie śmiał się sprzeciwić rozkazom i życzeniom Bogini. Lathenia nie chciała mojej śmierci - jeszcze nie teraz. Dlatego wreny zostały odwołane.

Spróbowałem odetchnąć głębiej, ale chyba miałem złamane jedno albo dwa żebra. Musiałem mieć krwotok wewnętrzny, bo krew napływała mi do ust. Zakasłałem, mając wrażenie, że zaraz umrę z samego bólu. Po kamiennej posadzce rozlała się okazała plama krwi. Jeden z wrenów odsunął się od niej. Zatrzepotał skrzydłami i wzniósł się w powietrze.

- Argh! On zaraz umrze! To przez to, że go kopnąłeś w pierś!

Dwa wreny zaczęły się sprzeczać, oskarżając się nawzajem o zadanie śmiertelnego ciosu. Chłopak wrzasnął na nie, żeby się zamknęły, i podszedł bliżej, chcąc mi się przyjrzeć. Widziałem wszystko niewyraźnie, więc nie potrafiłem dostrzec wyrazu jego twarzy, ale słyszałem, że oddycha ciężko. Jęknął z obrzydzeniem, lecz w jego głosie brzmiało też coś dziwnie przypominającego wstyd - chociaż to była raczej moja nadinterpretacja, spowodowana ostatnim ciosem w głowę.

- Połóżcie go na wozie i uważajcie na rany. Rozumiecie? Macie uważać.

Rozkazy zabrzmiały pocieszająco, a jeśli się nie myliłem, w jego głosie usłyszałem coś jakby ślad współczucia. Jednak trudno było powiedzieć, czy ten chłopak miał szansę stać się naszym sprzymierzeńcem.

Wreny podniosły mnie i wyniosły na zewnątrz. Krótka trasa do wozu była prawdziwą męką, ponieważ jeden wren podnosił mnie wyżej niż pozostałe, a inny omal mnie nie upuścił. Wszystkie myśli uleciały mi z głowy i chyba straciłem przytomność, bo kiedy się ocknąłem, wóz był w ruchu, a wreny jęczały i narzekały między sobą, że są wykończone. Ponieważ słońce było niewidoczne, nie dało się określić, ile czasu trwała podróż. Nie wiedziałem też, kiedy zaczął się nowy dzień.

Wiele razy traciłem świadomość, a kiedy byłem nieco bardziej przytomny, z dziwnych powodów wraca-

ły do mnie wspomnienia. Wspomnienia, których już dawno nie przywoływałem, o biciu mnie przez tych, którzy mieli się mną opiekować, przybranych rodziców, dla których byłem bardziej służącym niż synem. Jak zawsze wraz z tymi wspomnieniami do mojej świadomości wdzierał się gniew. Dlaczego oddano mnie na służbę do obcych? Dlaczego po śmierci matki mój ojciec nie przybył, żeby mnie uznać, dlaczego pozwolił, żebym został sierotą?

Oprzytomniałem, kiedy wóz się zatrzymał. Bezruch sprawił, że ból powrócił do każdej części mojego ciała. Wyciągnąłem nogi, sprawdzając, czy ich kości nie zostały połamane. Stawy w biodrach i kostkach były zdrętwiałe i przemieszczone, ale wydawało mi się, że kości są jednak całe. Jednej rzeczy mogłem być pewien: w tym momencie nie byłem zdolny do ucieczki, nawet gdyby nadarzyła się po temu sposobność. Zresztą, dokąd miałbym uciekać? Wędrówka na oślepek w kompletnej ciemności byłaby bezcelowa.

Wreny zaniósły mnie do czekającej łodzi i położyły na dnie z lodowatego metalu. Kiedy sanie także znalazły się na pokładzie, chłopak zwolnił cumę i wsiadł do łodzi. Zakołysała się, a wreny szukały sobie miejsca. Były zdenerwowane i starały się trzymać środka.

- Wy dwaj - rozkazał chłopak. - Łapcie te wiosła i wiosłujcie.

Dwa wreny podniosły metalowe wiosła, mamrocząc coś pod nosem. Wiosłowanie było dla nich dużym

wysiłkiem, przez cały czas sapały i narzekały. Uderzenie w łódź sprawiło, że zakołysała się niebezpiecznie. Wszystkie cztery wreny wrzasnęły ze strachu, kiedy błysk ognia rozjaśnił na moment powierzchnię wody, na której zobaczyłem ogromne bryły lodu. Wreny lawirowały łodzią pomiędzy nimi, starając się ze wszystkich sił uniknąć zderzenia i wrzeszcząc na siebie, jeśli nadmiernie się do którejś zbliżyły. Wrzeszczały jeszcze głośniejsze, kiedy rozbryzgi wody omal nie zalewały łodzi.

Postarałem się zablokować ich wyraźny strach i usiłowałem zmienić pozycję, żeby uniknąć lodowatego dotyku metalu. Chłopak zauważył to i — jakby to go w jakiś sposób poruszyło — zdjął płaszcz i owinął mnie nim. Podał mi także bukłak z wodą. Pociągnąłem łyk i podziękowałem mu.

Wydał z głębi gardła pełen irytacji dźwięk.

- Nie wyobrażaj sobie zbyt wiele, jestem tylko żołnierzem wykonującym swoje obowiązki.

Nawet tak obolały nie mogłem nie poczuć ukłucia ekscytacji. — Żołnierz Chaosu najwyraźniej miał sumienie.

- Ty... — z wysiłkiem zaczerpnąłem oddech - jesteś inny.

- Jestem śmiertelnikiem, tak samo jak ty.

- I tak samo się boisz. Chłopak poczuł się urażony.

- Nie boję się. Na pewno nie ciebie.

Jego wahanie było bardziej wymowne niż jakiegokolwiek słowa. Poczułem odrobinę nadziei.

- Cóż, ja się boję.

Słowa wypowiedziane szorstkim głosem sprawiły, że spojrzałem zdziwiony - szczególnie że padły z ust jednego z wrenów. Pozostałe trzy chrząkaniem i pomrukami potwierdziły.

Chłopak szturchnął stwora w grube, wygięte ramię.

- Dlaczego się boicie? Jesteście władcami tej ziemi. Wren prychnął głośno.

- Powiem ci, czego się boję. Boję się tego.

Mój wzrok pobiegł w kierunku wskazywanym przez wyciągniętą rękę. Chociaż nie mogłem niczego dostrzec w ciemności, założyłem, że wren wskazuje kierunek, w którym płynęliśmy.

- Słyszałem różne rzeczy o tej wyspie - powiedział chłopak.

- Nie chodzi o samą wyspę. Tam jest świątynia. Pozostałe wreny zachrzękały i pokiwały głowami.

- Byłem w tej świątyni - powiedział chłopak. -Przyznaję, że jest ogromna. Nie przypomina niczego, co widziałem wcześniej. Ale nie ma w niej nic przerażającego. Emanuje z niej... uczucie spokoju.

Wreny wyraźnie wzdrygnęły się i zasyczały na jego słowa.

- Powiedzcie mi - zapytał chłopak. - Co takiego jest w tej świątyni, że trzęsiecie portkami?

Cała czwórka zaczęła odpowiadać, przekrzykując się nawzajem tak, że trudno je było zrozumieć.

- To święta ziemia - wyjaśnił jeden. - Tam żyje jedno z Nich.

- Mówicie o duchu, który tam mieszka?

Wreny chwilę mamrotały, wymieniając między sobą przekleństwa. Jeden popatrzył na chłopaka.

- Nie pójdziemy tam.

- Nie postawimy tam stopy - dodał inny. Chłopak zmarszczył brwi.

- Ale nie możemy go zostawić na brzegu! Wszystkie cztery potrząsnęły głowami, wydając syczące dźwięki.

- Co za różnica, gdzie go zostawimy? Tak czy inaczej umrze, w świątyni czy na brzegu, kiedy jezioro się podniesie.

- Słuchajcie, Bogini na razie nie życzy sobie, żeby ten facet umarł. Nie mogę jej znowu zawieść. Ona... - zawahał się i rzucił na mnie spojrzenie, jakby zastanawiając się, czy nie powiedział za dużo. - Obiecała mi wiele za moją lojalność.

Dno łodzi uderzyło o płyciznę. Chłopak chciał wyskoczyć, ale jeden z wrenów rzucił się i złapał go za kostkę.

- Strzeż się jeziora!

Chłopak skinął głową i przywiązał łódź do pala. Chwilę później zostałem wyniesiony na brzeg i rzuco-

ny na ziemię. Gdy tylko moje ciało upadło na skaliste podłoże, wreny wgramoliły się z powrotem do łodzi tak szybko, jak tylko mogły.

Chłopak popatrzył na mnie, leżącego tuż nad brzegiem wody, a potem na wreny.

- Zbliża się przyływ, a on jest zbyt słaby, żeby dojść do świątyni.

- Zapomnij o nim! Nie zawahamy się odpłynąć bez ciebie! Wsiadaj! Szybko, jezioro zaczyna przybierać!

Chłopak zignorował groźby wrenów i z własnej inicjatywy pomógł mi podejść w górę nabrzeża.

- Świątynia jest niedaleko, a najgorszą część podejścia masz już za sobą. — Odwrócił się i rozejrzał po ziemi. Podniósł starą złamaną gałąź i wsunął mi ją w dłoń. - Masz, oprzyj się na tym i odejdź dalej od jeziora.

- Masz dobre serce — powiedziałem mu.

- Nie robię tego dla ciebie. Moje serce należy do Bogini - odparł, wyraźnie poirytowany, może dlatego, że tak bardzo się odsłonił. Odwrócił się ode mnie.

- Zaczekaj - zawołałem. — Nie znam nawet twojego imienia.

Wyczułem, że chłopak zawahał się na moment.

- Ona nazywa mnie Bastianem.

- Wiem, ale jak się nazywasz naprawdę? Spojrzał na mnie przez ramię, ale nie odpowiedział.

W końcu odezwał się:

- Powiem ci, jeśli odpowiesz mi na jedno pytanie.

- Pytaj, o co chcesz.

- Dlaczego nie wybrałeś mnie na jednego z Wezwanych?

Jego pytanie było tak zaskakujące, że odebrało mi mowę. Spojrzał na mnie, stojącego z otwartymi ustami, po czym odwrócił się i ruszył w stronę czekającej łodzi. Patrzyłem za nimi, dopóki pochodnia nie zamieniła się w iskierkę na horyzoncie. A potem nawet ona zniknęła.

Teraz zostałem sam. Musiałem znaleźć schronienie, nawet jeśli mieszkał tam „duch” czy cokolwiek innego, czego bały się wreny. Nadchodzący przypływ wydał mi się bardziej niebezpieczny niż temperatura poniżej zera. Ale widziałem tylko ciemność. Mimo podparcia, które dawała mi gałąź, potknąłem się i upadłem kilka razy, a wysiłek, jakiego wymagało wstanie na nogi, wyczerpał mnie. Mój umysł zaczął ześlizgiwać się w nieświadomość. Nie po to jednak żyłem przez sześćset lat, żeby wyzionąć ducha na odległym brzegu w całkowitej samotności. Spróbowałem zachować jasność myśli i przypomniałem sobie tamtą noc we Francji, kiedy Isabel drzemała z głową na mojej piersi. Noc, kiedy pocałowałem ją w czubek głowy. Co by sobie pomyślała, gdyby się obudziła? Czy uniosłaby twarz do mojej twarzy? Jej obraz w myślach sprawił, że poczułem w piersiach ból silniejszy niż ten, które sprawiały mi połamane żebra. Na pewno spędzała mnóstwo czasu z Ethanem, prawdopodobnie planując wyprawę ra-

tunkową. Nie tak dawno temu była zakochana w Emanie. Czy nadal jest? Myśl o Isabel i Ethanie sprawiła, że opadłem na lodowato zimne skały.

Łagodne światło rozproszyło ciemność. Czy to była jawa, czy też ogarnęły mnie jakieś żałosne przywidzenia? Ktoś - albo coś - zbliżał się. Kiedy podszedł, zobaczyłem, że to dziecko. Mała dziewczynka. Była ubrana w białą sukienkę do pół łydki, ale najdziwniejsze w niej było to, że jej skóra wydawała się emanować światłem. A co jeszcze dziwniejsze, mogłem widzieć przez nią!

Podeszła prosto do mnie i przekrzywiła głowę.

- Ty jesteś Arkarian.

To nie było pytanie. Ta dziewczynka wiedziała, kim jestem. Teraz, patrząc na jej anielską twarzyczkę otoczoną poskręcanyimi puklami czarnych włosów, lekko oświetloną białą suknią i słabą poświatą skóry, ja także ją rozpoznałem.

- Maleńka, kochana Sero, czy to ty? Co robisz w tym koszmarnym miejscu?

Zachichotała i zacisnęła dłonie w pięści, potrząsając nimi w powietrzu i skacząc w koło. W końcu uspokoiła się i zmarszczyła brwi z powagą niepasującą do niewinnej buzi.

- Musisz wstać i iść ze mną. Lodowa woda się podnosi i niedługo będzie padać. Patrz!

Spojrzałem w górę, ale niczego nie zobaczyłem.

- Widzisz coś w tej ciemności?

- Nie. Ale i tak wiem. - Wskazała swoją głowę. -Mój mózg mi to mówi. Więc pospiesz się, Arkarianie. Musisz się znaleźć pod dachem. - Gestem dłoni ponagliła mnie do wstania.

Cos' mi przyszło do głowy.

- Czy jesteś aniołem?

Roześmiała się tak, że aż zgięła się w pół.

- W tym okropnym miejscu nie znajdziesz aniołów.

Wstałem, podpierając się gałęzią, a Sera ponagliła mnie, żebym ruszył naprzód.

- Dokąd mnie prowadzisz?

- Oczywiście do świątyni, głuptasie. A dokąd? Nie miałem pojęcia, więc milczałem.

- W świątyni jest bezpiecznie. Będzie ci tam ciepło, a ja będę mogła się tobą zająć.

- Masz jakieś kojące maści?

- Nie mam nic - nadała się. - Poza wodą, którą mi przynosi Bastian.

- Bastian się tobą opiekuje?

Szczupłe ramiona uniosły się, na chwilę odbiegła gdzieś myślami.

- Czasem mnie odwiedza. Ale nigdy wtedy, gdy w pobliżu jest Marduk. Ooooch! - wykrzyknęła piskliwie. - Jak ja go nie cierpię! Jego i jego ohydnych potworów!

- Wreny się ciebie boją. Wzdrygnęła się.

- A ja się boję ich. Ale wiem, że tak naprawdę boją się świątyni. Ona mnie przed nimi chroni. Wiesz, dawno temu mieszkali tu ludzie. To stara historia.

- Proszę, opowiedz mi ją.

- To był przepiękny świat. Świątynia stanowiła miejsce kultu, gdzie ludzie mogli rozmawiać ze swoim bogiem, a on mógł ich odwiedzać. Ale potem przyszła ciemność i zasnuła cały świat. Stworzyli, dla ochrony, jezioro wokół świątyni.

- Co się stało z tymi ludźmi? Wzruszyła szczupłymi ramionami.

- Potrzebowali do życia słońca, więc kiedy zapanowała całkowita ciemność, wszystko zaczęło umierać. Niebawem nie mieli już co jeść. Osłabli, a zło stało się silniejsze. W końcu zniknęli. Długo, długo później zaczęły tu żyć inne istoty.

- Wreny?

- Tak, i jeszcze wiele innych. A potem zaczęły rosnąć kwiaty.

- Kwiaty?

- Czarne - wskazała przez ramię, ale bez światła nie byłem w stanie choćby w przybliżeniu stwierdzić, co pokazuje.

- Jak poznałaś tę historię?

- Kwiaty mi powiedziały. Opowiedziały mi mnóstwo starych historii.

Wprawdzie pomysł „mówiących” kwiatów brzmiał dziwnie, ale kimże byłem, żeby w to wątpić? Nie wie-

działem niczego o mieszkańcach tego świata, poza wrenami — a one na pewno były niezwykle. -Jesteś tu bezpieczna, Sero?

- Jestem samotna, ale wolę życie w samotności niż z tymi paskudnymi potworami. Dopóki myślą, że jestem duchem, zostawiają mnie w spokoju.

Jej słowa sprawiły, że roześmiałem się cicho. Zapłaciłem za to bólem połamanych żeber.

- Wybacz, że to mówię, Sero, ale... ty jesteś duchem. - Jej przygnębiona twarz przypomniła mi, że Sera miała zaledwie dziesięć lat, kiedy Marduk ją zamordował. Ile pamiętała z poprzedniego życia? Jak pobyt tutaj wpłynął na trzeźwość jej myślenia? - Wiesz, że trzynaście lat temu umarłaś w świecie śmiertelników?

Westchnęła, a zewnętrzne kąciki jej wydętych ust opadły w dół.

- Wiem, że umarłam. Ale nie wiedziałam, że to było tak dawno! Jestem okropnie stara!

Zacząłem rozumieć, na czym polega jej problem. -Jesteś tu uwięziona. Twoja dusza nie może odejść. Nagle rozpromieniła się, a jej oczy na krótki moment zaczęły jaśnieć tak samo jak skóra.

- Ale teraz wszystko będzie dobrze! Potknąłem się o kamień i omal nie przewróciłem,

ale Sera zdołała jakoś pomóc mi złapać równowagę. Zdumiewające, jak to zrobiła. Czułem jej dotyk, ale jej dłonie, a właściwie całe ręce częściowo przeze mnie przenikały.

- Dziękuję - powiedziałem. - Ale dlaczego moje przybycie na tę wyspę może być dla ciebie dobre? Teraz ja też jestem tu uwięziony.

Ruszyliśmy powoli naprzód.

- Kiedy przyjdą cię uratować, uratują także mnie.

Jej słowa sprawiły, że stanąłem jak wryty. Nie chciałem, żeby Ethan, Isabel czy ktokolwiek inny przychodził tutaj. Mogli zginąć albo wpaść w pułapkę. Ale teraz była tu także Sera, która od dawna nie mogła wydostać się z tego miejsca. Czy nie zasługiwała na wolność?

Zmarszczyła brwi, widząc moje wahanie, a jej oczy zwęziły się do małych szpareczek.

- Przyjdą, Arkarianie. Mój brat tu przyjdzie. I przyprowadzi ze sobą dziewczynę.

Pobiegła w podskokach przede mną. Chciałbym dzielić jej radość, ale walczyłem z własnymi myślami. - Jak możesz być pewna, że Ethan i Isabel tu przyjdą? Podbiegła do mnie z powrotem.

- Och, dopilnowałam tego. Po latach prób w końcu z kimś nawiązałam kontakt.

- Z kim, Sero?

- Z dziewczyną. Z dziewczyną o nadnaturalnych zdolnościach.

- Masz na myśli Isabel? Wzruszyła drobnymi ramionami.

- Próbowałam się skontaktować z bratem i mamą wiele, wiele razy. Ale to nie działało. Ethan tylko

wrzeszczał, jakbym go biła, i blokował mnie. A mama tylko płakała. Ale ta dziewczyna, dziewczyna, którą nazywasz Isabel, ona kocha mojego brata. Przyjdzie tutaj. Pokazałam jej to miejsce. Pokazałam jej świątynię i...

Słowa Sery brzęczały mi w uszach, ale moje myśli krążyły wokół dwóch rzeczy. Skoro został nawiązany kontakt, Isabel zrobi wszystko, żeby tu dotrzeć, ta więc nie da jej spokoju. I - zgodnie ze słowami Sery - Isabel nadal była zakochana w Ethanie.

Rozdział 14

Isabel

Po raz ostatni byłam w Atenach i stałam na tym spokojnym, złocistym dziedzińcu w dzień procesu Ethana. Wtedy spodziewał się wydalenia ze Straży, a ostatecznie otrzymał najwyższe wyróżnienie - skrzydła. Nigdy nie zapomnę gwałtownych emocji towarzyszących tamtym wydarzeniom. Miałam przeczucie, że także dzisiejszy dzień przyniesie wiele niespodzianek, chociaż nie takich, jakich się wyczekuje. Ani Ethan, ani ja nie mieliśmy być sądzeni, ale to wezwanie budziło we mnie uczucie niepokoju.

Czekaliśmy na znak, gdzie powinniśmy się udać lub z kim mamy się spotkać. Wreszcie pojawił się lord Penbarin z Domu Samarii we własnej osobie. Ten olbrzymi mężczyzna był dzisiaj ubrany w sięgającą do ziemi

lśniąca czerwona toge. Ani kolor, ani sama tkanina nie były odpowiednie dla człowieka jego postury. Szybko zaczęłam myśleć o czymś innym, pamiętając dobrze, że wszyscy członkowie Trybunału byli myślowidzącymi. Nie miałam pewności, czy w ogóle można osłonić przed nimi umysł.

- Witajcie - odezwał się lord Penbarin. - Chodźcie, czeka na was wspaniały poczęstunek.

- Nie jesteśmy głodni — odparłam, nie dając dojść do słowa Ethanowi. W tym momencie chyba zwymiotowałabym na widok jedzenia. - Milordzie, jeśli pozwolisz, czy moglibyśmy przejść do rzeczy?

- Jesteś okropnie niecierpliwa, skarbie. Obawiam się, że dzisiaj się rozczarujesz. Lorian jest w wyjątkowo parszywym nastroju, od kiedy... - urwał, a potem ciągnął dalej, nie kończąc tej myśli. - Chodźcie, przynajmniej napijcie się czegoś, zanim Trybunał się zbierze.

Kiedy znaleźliśmy się w marmurowym holu, temperatura stała się bardziej znośna. Lord Penbarin zaprowadził nas do stołu zastawionego gorącymi i zimnymi potrawami. Upiłam odrobinę wina, ale stwierdziłam, że mam trudności z jego przełknięciem. Serce waliło mi z niecierpliwości. Chciałam mieć już to wszystko za sobą.

W końcu zaprowadzono nas do komnaty Trybunału. Wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętałam — okrągła, o marmurowych ścianach. Dziewięcioro

lordów Domów siedziało w kręgu. Pierwsza była lady Devine z Domu Proroctwa, która zasiadała po lewej stronie nieśmiertelnego. Obok niej zajmowali miejsca lord Meridian z Domu Kawany i królowa Brystianne z Domu Averil, obwieszona złotą biżuterią. Dalej w kręgu zasiadali sir Syford, lady Elenna z Domu Wyspy, lord Alexandon z Domu Heroldów i zwiewna lady Arabella. Ostatnim, który zajął swoje miejsce, był lord Penbarin. Dzisiaj jednak znajdowało się tu jedno puste siedzisko, przygotowane dla króla Veridia-nu, Ryszarda, który najwyraźniej nadal odpoczywał w komnatach leczniczych, sprowadzony tu poprzez czas razem z duszą i ciałem.

Ethan i ja zostaliśmy poproszeni o zajęcie miejsc z boku. Kiedy to zrobiliśmy, Lorian rozpoczął posiedzenie Trybunału.

- Zostaliście tu dzisiaj sprowadzeni z dwóch powodów.

Odetchnąłam z ulgą. Nareszcie ktoś, kto przechodził wprost do rzeczy.

Skóra Loriany zalsniła na moment, a ja przypomniałam sobie, że powinnam kontrolować myśli.

- Przede wszystkim Trybunał chciałby wyrazić najgłębsze zaniepokojenie ostatnimi wydarzeniami. Jak wszyscy wiecie, Arkarian został porwany do świata podziemnego. Obecnie jest tam przetrzymywany, podczas gdy Lathenia rozważa, w jaki sposób mogłaby go wykorzystać, skoro zawiódł jej plan zabicia go

tuż po narodzeniu. - Lorian przerwał na chwilę, pozwalając nam przyswoić te słowa albo, jak pomyślałam z drzeniem, dając nam czas na przygotowanie się na to, co ma dalej nastąpić. Wkrótce Lorian znowu przemówił.

- Druga sprawa jest następująca. Powiem to wyraźnie, tak aby nie było żadnych nieporozumień i abyście zrozumieli moje rozkazy. Arkarian zdaje sobie sprawę ze swojego... nieszczęśliwego położenia i rozumie dylemat, przed jakim stanął Trybunał.

- Jaki dylemat? - zapytałam, unikając jego spojrzenia. Ostatni raz, kiedy spróbowałam patrzeć na niego, siła wzroku nieśmiertelnego sprawiła, że poleciałam do tyłu, czując uderzenie gorąca.

Lorian ciągnął, jakby mnie nie usłyszał.

- Straż bez Arkariana znajduje się w niezwykle niekorzystnej sytuacji.

Cóż, tyle sama wiedziałam.

Lorian urwał i spojrzał na mnie. Przełknęłam ślinę, napominając się, żeby trzymać myśli na wodzy. Po chwili niezręcznej ciszy Lorian kontynuował:

- Zaryzykowanie misji ratunkowej oznacza zaryzykowanie życia innych członków Straży, przy bardzo wysokim prawdopodobieństwie, że poniosą oni śmierć. To zaś osłabiłoby Straż w stopniu, który mógłby przechylić szalę zwycięstwa na korzyść Bogini. Moglibyśmy utracić naszą niezwykle nikłą przewagę. Pamiętajcie, że kluczowa dla naszego sukcesu jest ochrona

Veridianu. Jego strażnikami zostali wyznaczeni Wezwani. W murach tego miasta kryją się bogactwa, których nie można mierzyć w kategoriach czysto materialnych. Gdyby Lathenia przejęła nad nim kontrolę, stałaby się nieskończenie potężniejsza. Nie możemy do tego dopuścić.

Znaczenie słów nieśmiertelnego zaczęło do mnie docierać, ale nie podobało mi się to, co usłyszałam, ani to, do czego najwyraźniej zmierzał. Stłumiłam ukłucie strachu.

- Co chcesz przez to powiedzieć, panie? Tym razem Lorian odpowiedział mi wprost.

- Nie przeprowadzimy żadnej misji ratunkowej. Ethan i ja zerwaliśmy się z miejsc.

- Ale... - wyrwało się Ethanowi. - Jedno miazdzące spojrzenie Lorian sprawiło, że zeszywniał.

Dla mnie było to jaśniejsze niż słońce.

- Jak możesz siedzieć spokojnie na swoim wspaniałym tronie i skazywać Arkariana na śmierć?! Przecież doskonale wiesz, że dokładnie do tego doprowadzisz, zabraniając nam podjęcia próby ratowania go. O ile już nie jest za późno.

Moje słowa sprawiły, że Trybunał zamilkł i znieruchomiał. Lorian popatrzył na mnie. Zmusiłam się, żeby nie odwzajemnić spojrzenia nieśmiertelnego, które w tym momencie najprawdopodobniej wypaliłoby mi dziurę w głowie.

- Czy przypuszczasz, że była to łatwa decyzja?

Potrząsnęłam przecząco głową, niezdolna wydobyć słowa. Choć nie podniosłam wzroku, czułam intensywność spojrzenia Loriana.

- Isabel, nie masz pojęcia, ile mnie to kosztowało. Nie masz pojęcia, jak trudne było dla mnie podjęcie tej decyzji.

Gardło miałam suche jak pieprz. Spróbowałam zwilżyć usta, żeby odzyskać zdolność mówienia.

- Więc błagam, powiedz mi, dlaczego.

- Lathenia szaleje z wściekłości - wyjaśnił Lorian. — Doprowadziła do eskalacji wojny między nami, bezwiednie przybliżając nas do ostatecznej konfrontacji. Zupełnie jakby nie przejmowała się losami własnej armii. To nowa taktyka. Z tym właśnie musimy się teraz zmierzyć: z pozbawionym lęku wrogiem. Z wrogiem, który jest gotów zaryzykować naprawdę wszystko!

Lorian urwał na moment.

- Nie chcę ryzykować waszym życiem. Nie przemyśleliście tego - dodał. - Gdybyście się udali do świata podziemnego, nie moglibyście przebywać tam w cielesnym przebraniu.

- Panie - odezwałam się szybko, zanim spojrzenie nieśmiertelnego zdążyło sprawić, by słowa ugrzęzły mi w gardle. — Arkarian nie ma przebrania. Podobnie jak Lathenia. I jestem przekonana, że Zakon tak czy inaczej już niebawem odkryje tożsamość Ethana.

- Może i tak być, ale ryzyko jest większe niż przypuszczacie. Ostatnie działania Lathenii mogą się oka-

zać katastrofalne zarówno dla naszego, jak i dla jej świata. Ona nie mieszka w świecie podziemnym. To pożałowania godne miejsce, w którym ludzie zmieniają się w potwory. To miejsce, gdzie żyją istoty pozbawione dusz. - Lorian odetchnął głęboko, a jego ramiona uniosły się pod srebrzystą peleryną. Emanowała od niego moc.

Sięgnęłam na oślep po swój taboret i usiadłam. Ethan poszedł za moim przykładem, oddychając głośno i chrapliwie. Gdyby cierpiał na astmę, pomyślałabym, że właśnie ma atak.

Milczeliśmy, a Lorian mówił dalej.

- Czy zauważyliście jakieś zmiany w świecie śmiertelników?

To nas zmusiło do myślenia o dziwnym dniu w szkole i liberyzacji zasad dotyczących strojów.

- Wyczuliście powiew ciemności w wietrze północnym? - Te słowa sprawiły, że oboje unieśliśmy gwałtownie głowy. Z trudem zmusiłam się do unikania kontaktu wzrokowego z Lorianem, pragnąc jednak poszukać w jego oczach jakichś odpowiedzi. Jeśli chodziło o ciemność, nie zauważyłam niczego... na razie.

- Zauważycie. - Lorian wtrącił się w moje myśli, przypominając mi, jak bardzo powinnam być ostrożna. - Członkowie Trybunału donoszą o kolejnych niepowodzeniach misji swoich podwładnych. Niektórzy stracili nawet żołnierzy. Niedługo nasz świat zmieni się w nieodwracalnym stopniu. Sytuacja jest tak po-

ważna, że sama terażniejszość stała się pożywką dla rosnących armii Chaosu. Nie możemy pozwolić, żeby to dłużej trwało. Nie możemy ryzykować utraty kolejnych dwóch ważnych członków Straży. Zajęliśmy się już uzupełnianiem braków w waszych szeregach. Rochelle niezwłocznie powróci. Neria, która jeszcze nie została wtajemniczona, znajduje się już pod opieką Isabel. A zatem zapamiętajcie moje słowa - głos Loriany eksplodował w moich myślach. - Dopóki gniew Lathenii nie przycichnie i nie zaczniemy odzyskiwać przewagi, Arkarian pozostanie tam, gdzie się znajduje. Nie będzie wyprawy ratunkowej. Zabraniam tego!

Nieśmiertelny najwyraźniej uważał spotkanie za skończone. Ale moje serce krzyczało, że chce zostać wysłuchane. Sama myśl o przeżyciu kolejnego dnia bez Arkariana sprawiała, że ogarniała mnie rozpacz. Dlatego z ust popłynęły mi słowa:

- Nie mogę wykonać tego rozkazu, panie.

Ethan gwałtownie odetchnął i mocno zacisnął palce na moim ramieniu.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz?

Wyrwałam mu rękę i wstałam. Stołek pode mną przewrócił się i poleciał do tyłu, upadając z łoskotem, który tym głośniej zabrzmiał w śmiertelnej ciszy.

- Nie mogę ci być posłuszna - powtórzyłam z większą siłą.
- Widzisz, przez większość życia sama dbałam o siebie. Jeśli napotykałam problem, rozwiązywałam go. Sama. Taka już jestem. Może w moim małym światku

tamte problemy były drobne i błahe, a ja nigdy nie znalazłam się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Ale teraz ktoś ma kłopoty: ktoś, na kim mi zależy, na kim nam wszystkim zależy, a ja wiem w głębi serca, że mogę coś na to poradzić. Dzięki lady Arabelli i jej darowi potrzebuję tylko odrobiny światła, żeby widzieć. A co najważniejsze, nie proszę o żadne wsparcie. W ten sposób ryzyko dla Straży będzie minimalne. Jeśli pozwolisz mi spróbować, sprowadzę Arkariana z powrotem. Za mną Ethan jęknął i powoli wstał.

- Yyy... no więc... ja ją popieram. I nie obraż się, Isabel, ale uważam, że we dwoje mamy większe szanse uratować Arkariana.

Uśmiechnęłam się, więc kontynuował z większym entuzjazmem:

- Arkarian był moim Nauczycielem i mentorem przez niemal całe moje życie. Kiedy byłem dzieckiem, uratował mnie przed obłędem. Był dla mnie zawsze bratem i przyjacielem. Proszę, rozważ swój rozkaz, panie.

Lorian milczał. Może nieśmiertelny posłuchałby bardziej logicznych argumentów. Machnęłam ręką w stronę członków Trybunału, licząc na jakąś ich odpowiedź albo wsparcie.

-Wszystko, co robimy, kiedy Bogini jest na wojennej ścieżce, staje się bardziej niebezpieczne niż nasze dotychczasowe zadania. Arkarian jest niezbędny dla Yeridianu. Wszyscy tu zgromadzeni mają tego świa-

domość. Potrzebujemy wszystkich naszych graczy, aby z powodzeniem wypełnić Proroctwo, więc musimy podjąć ryzyko ratowania Arkariana albo wszystko tak czy inaczej będzie stracone. Nie rozumiecie tego?

W komnacie nadal panowała cisza, a moja frustracja narastała.

- Dlaczego nie odpowiadacie? Myślałam, że wiecie wszystko! Jak to możliwe, że nie wiecie, jak z powrotem sprowadzić Arkariana?

Lorian wstał, a gwałtowność tego ruchu sprawiła, że wszyscy wstrzymali oddech. W ułamku sekundy uświadomiłam sobie, że przeciągnęłam strunę.

Dłonie Loriany zakreśliły szeroki krąg. Wybuchły z nich chłodne płomienie niebieskiego ognia, buzujące i pędzące ku nam z szybkością startującej rakiety. Wszyscy obecni: lordowie, królowe i królowie jednakowo padli na ziemię. Kurtyna pulsujących płomieni unosiła się groźnie nad nami przez kilka sekund, sprawiając, że zadrżeliśmy z powodu nagłego spadku temperatury. Moc przenikała nasze ciała, rzucając nami. Uświadomiłam sobie, że ten pokaz miał sprawić, że poczujemy, a nie tylko zobaczymy siłę nieśmiertelnego.

W mgnieniu oka płomienie cofnęły się i wszyscy zaczęli oddychać spokojniej, rozmawiając przyciszonymi głosami. Lorian przemówił w naszych umysłach, jakby wypowiedzenie słów na głos przekraczało w tym momencie jego możliwości.

W komnacie zapadło milczenie, kiedy wszyscy odebraliśmy tę wiadomość. Nikt z nas nie mógł mieć wątpliwości, jak brzmią rozkazy nieśmiertelnego.

Arkarian pozostanie w świecie podziemnym. Taka jest moja wola. A teraz zostawcie mnie samego. Natychmiast!

Rozdział 15

Isabel

Obudziłam się we własnym łóżku. Serce waliło mi jak młot. Gniew Lorian nadal pulsował w każdej komórce mojego ciała. Po raz drugi podskoczyłam, kiedy zobaczyłam Matta siedzącego w plastikowym fotelu i czytającego książkę. Zauważył, że wróciłam i odłożył ją.

- Co się stało? Wyglądasz, jakbyś wróciła z krainy umarłych.

Chwilę potrwało, zanim złapałam oddech i opowiedziałam mu o naszej wizycie w Atenach, także o słowach Lorian, dotyczących niepewnej sytuacji Straży.

- Lorian zabronił podjęcia jakichkolwiek prób ratowania Arkariana i...

-I...?

— Niechcący ściągnęłam na siebie gniew nieśmiertelnego.

-Co?!

— Lorian omiół całą komnatę niesamowitym błękitnym ogniem, zimnym jak lód. Przeniknął wprost przeze mnie. - Uniosłam dłonie, które nadal drżały.

Matt zagapił się na mnie.

- Idiotka.

- No dzięki. A ja myślałam, że cię to obejdzie!

— Sprawiałaś, że ten... ta wyższa istota się na ciebie wściekła? Oszalałaś? Co ci przyszło do głowy?

— Dobra, wiem. Nie martw się. Nie zamierzam tego powtarzać.

- Dobrze to słyszeć, Isabel.

Sarkastyczny komentarz wyprowadził mnie z równowagi.

-Wielkie dzięki. Przynajmniej próbowałam coś zrobić!

Nie odpowiedział, a ja poczułam się jak świnia, wykorzystując w ten sposób swoją przewagę.

- Przepraszam — mruknęłam.

— Nie ma za co. Milczeliśmy przez chwilę.

- Lorian, zanim się wkurzył, powiedział nam, że Rochelle ma wrócić. Poradzisz sobie z tym jakoś?

Spojrzał na drzwi, potem skierował wzrok na swoje bose stopy i wpatrywał się w nie przez całą wieczność. W końcu popatrzył na mnie.

- Gdyby to zależało ode mnie i gdybym nie był wplątany w te wszystkie sprawy Straży, próbowałbym ją odzyskać za wszelką cenę.

Jego słowa sprawiły, że mój żołądek się zwinął.

- A teraz?

Podniósł się i stanął, patrząc na gwiazdziste nocne niebo.

- W odróżnieniu od ciebie nie jestem idiotą.

- Palant.

Uśmiechnął się blado, a jego szczęka poruszyła się w lewo i w prawo.

- Nie podoba mi się, że Marduk, czy ktokolwiek inny, używał mnie do swoich celów, ale... - westchnął. - Słuchaj, może Rochelle nie miała specjalnego wyboru.

-Jak dla mnie miała wybór: udawać, że cię kocha, albo być torturowana przez Marduka. Może nie była dość silna, żeby mu się przeciwstawić. Może miał też na nią coś jeszcze. Rzeczy, o których się nie dowiesz, dopóki nie ukończy szkolenia i nie będziecie mieli okazji porozmawiać.

Skinął głową.

-Jestem pewna, że to nie były dla niej łatwe decyzje.

Oczywiście najlepszą decyzją byłoby dla niej w ogóle nie zostawać szpiegiem Marduka.

A jednak w historii Rochelle krył się jeszcze jeden haczyk. Ethan także coś do niej czuł, przynajmniej daw-

niej. Kiedy po raz pierwszy się spotkali, mógłbym przysiąc, że łączy ich jakaś więź. Ale żadne z nich nie mogło postępować zgodnie ze swoimi uczuciami i ostatecznie ich życia potoczyły się odrębnymi torami.

Matt wyszedł, a ja resztę nocy przeleżałam bezsennie w łóżku. O wschodzie słońca czułam się tragicznie źle. Nie poszłabym do szkoły, gdyby nie to, że miałam zajmować się Nerią i zachowywać normalnie. Ale jak mogłam udawać, że nic się nie działo? Zbyt wiele myśli i uczuć kłębiło się w mojej głowie.

Ethan wiedział, że tego ranka będę przygnębiona, więc wpadł po mnie i razem z Mattem pojechaliśmy autobusem do szkoły. Wiedzieliśmy, że Rochelle ma niedługo wrócić, ale mimo to całkowicie zaskoczył nas jej widok. Siedziała samotnie na jednej z ławek.

Ścisnęłam ramię Matta.

- Chcesz mieć to już za sobą?

Początkowo nie odpowiedział, patrzył tylko na Rochelle.

— Chyba nie — odezwał się w końcu. — Może kiedy indziej.

Ruszył w swoją stronę, a ja dopiero teraz zauważyłam, że Ethan patrzy na Rochelle. Czy on także nadal coś do niej czuł? Miłość to nie światło czy gaz, które możemy włączać i wyłączać na zawołanie. Postanowiłam poruszyć ten temat, żeby wy badać jego reakcję.

— Wiesz, zastanawiam się, o czym myślisz.

- W jakiej sprawie?

- No, skoro między Mattem i Rochelle wszystko skończone... Pomyślałam, że może...

Pokręcił głową i wlepił we mnie wzrok, nie mrugając przy tym.

- O czym mówisz? Wiesz przecież, że jej nie znoszę.

- Jest teraz jedną z nas - szepnęłam.

- No wiem, ale to nie znaczy, że jej ufam. Kłamał w żywe oczy. Może nawet okłamywał sam siebie.

- Już raz wzięłaś ją w obronę przed wszystkimi członkami Trybunału.

Zignorował mnie - i to chyba dobrze, bo pojawił się Dillon, idący u boku Nerii. Przypomniałam sobie, że umówiłam się z Nerią na parking, ale ostatnio miałam problemy z zapamiętywaniem tych wszystkich rzeczy, które powinnam robić. Musiałam jakoś wziąć się w garść.

Profesor Carter wyszedł z pokoju nauczycielskiego i odciągnął Nerię na bok, wskazując jakieś podręczniki, które trzymał w ręku. Dillon podszedł do nas, a ja po raz pierwszy zauważyłam, jak intensywnie zielone są jego oczy.

- Cześć - odezwał się. - Poszedłem wczoraj do Falls Cafe, ale Nerii tam nie było.

-Tak?

- Potem poszedłem na kółko plastyczne, ale nauczyciel powiedział mi, że Neria Gabriel nie uczęszcza na żadne zajęcia pozalekcyjne.

- Cóż, dopiero co przyjechała. Pewnie nie ma jej jeszcze na liście.

- Ponieważ nie mogłem jej znaleźć, wybrałem się na spacer po lesie i trafiłem do jej domu - czy może raczej fortecy! Tak czy inaczej udało mi się mimo wszystko z nią pogadać i dowiedziałem się, że nie chodzi na żadne kółko plastyczne. Nie miała pojęcia, dlaczego mogłaś tak myśleć. - Przez chwilę myślałam, że jest na mnie wściekły. Większość facetów by była. Ale jego grymas przemienił się w kpiący uśmiech. - Wydaje mi się, że próbowałaś mnie wczoraj spławić.

Uniosłam ramiona i uśmiechnęłam się głupio w odpowiedzi.

-Wybacz, Dillon. Wczoraj miałam koszmarne dzień.

- No, wiem, dla mnie też to był dziwny dzień. Ale słuchaj, ja naprawdę lubię Nerię. Chciałbym z nią spróbować. Potrzebuję twojego wsparcia, Isabel.

Może Ethan miał rację, że Dillon to sympatyczny gość. Może nie znałam go tak dobrze jak Ethan czy chociażby Matt.

Naszą rozmowę przerwał powrót Nerii. I tak, minuta po minucie, jakoś minął dzień. Gdyby ktoś zapytał, co było na lekcjach, nie potrafiłabym odpowiedzieć. Poza historią, kiedy to profesor Carter znalazł chwilę, żeby poinformować mnie, że na dzisiejszą noc jest planowana misja.

Kiedy wróciłam do domu, okazało się, że na obiedzie będą goście. Nie miałam nic przeciwko temu, bo

miał to być tylko Ethan z rodzicami i ciotką Jenny, która miała na trochę zatrzymać się w Angel Falls. Najwyraźniej była to część planu mającego na celu wyperswadowanie pani Laurze przyszłotygodniowej wizyty w sanatorium. Ale na razie plan się nie sprawdzał. Przynajmniej będę miała dziś wieczorem okazję przekonać się na własne oczy, w jakim stanie jest pani Laura.

Kiedy ją zobaczyłam, byłam tak zaszokowana, że z trudem udawało mi się zachowywać grzecznie. Nie mogłam się powstrzymać przed gapieniem na nią. Kiedy tak okropnie schudła? Jej ręce i nogi przypominały kije bilardowe, a oczy, zazwyczaj żywe i piękne, sprawiały wrażenie nienaturalnie dużych w poszarzałej, ściągniętej twarzy. Nawet Shaun wyglądał na wymizerowanego. Na pewno okropnie martwił się o żonę.

Ethan usiadł przy stole koło mamy i od czasu do czasu wyciągał rękę, żeby ścisnąć jej ramię. Kiedy zrobił tak po raz kolejny, łzy napłynęły mi do oczu. Wyczuł coś i podniósł głowę, napotykając moje współczujące spojrzenie. Spróbowałam uśmiechnąć się pokrzepiająco, przekazać, że jestem z nim i że znajdziemy jakiś sposób, żeby jego matka poczuła się lepiej.

Mama podała obiad - pieczonego kurczaka z czterema rodzajami warzyw. Półmisek był apetyczny i kolorowy. Na sam ten widok żołądek się we mnie przewracał. Nie pamiętałam, kiedy po raz ostatni coś jadłam. Nie potrafiłam już myśleć o jedzeniu. Ale wmusiłam

w siebie trochę, żeby mama się nie martwiła. Siedzący obok Jimmy obserwował mnie w milczeniu. Wiedział, jak bardzo jestem niespokojna, ale nie mieliśmy jeszcze okazji porozmawiać o tym wszystkim, co się wydarzyło pod jego nieobecność. Mama podeszła i pogładziła mnie po ramionach. Rzuciła okiem na mój talerz i zauważyła kupkę niezidentyfikowanej papki.

- Czy ja coś takiego gotowałam? - Jej ton był żartobliwy, ale znałam ją dobrze. Ukrywała zaniepokojenie. - Nie jesteś głodna, skarbie?

Omam nie rzuciłam jakiejś kiepskiej wymówki, że mam grypę żołądkową. Ethan zakasłał, a ja przypomniałam sobie, że nie wolno mi robić niczego podejrzanego w wieczór poprzedzający misję. Mama przyszłaby do mnie zajrzeć. A chociaż wyglądałabym, jakbym spała, moje ciało nie dawałoby się obudzić ani nawet nie poruszało. Gdyby spróbowała mnie budzić, byłaby przerażona,

Zmusiłam się do przełknięcia kilku ogromnych kęsów i spróbowałam się nimi nie zadławić.

-Tak mi lepiej smakuje.

Jimmy i Ethan wymienili rozbawione spojrzenia. Zamachnęłam się nogą pod stołem, żeby kopnąć Ethana w kolano. Był bliżej, niż się spodziewałam, i trafiłam go za mocno. Podskoczył, a jego kolano rąbnęło od spodu w stół. Talerze i sztucce zagrzechotały. Mama, pani Laura i Jenny popatrzyły na niego. Jimmy szybko rzucił jakąś dowcipną uwagę i wszyscy się roześmieli.

Kiedy Ethan z rodziną wyszli, byłam wykończona i szybko położyłam się do łóżka. Po kilku sekundach od chwili, gdy moja głowa dotknęła poduszki, poczułam, że zapadam w sen.

Wylądowałam w komnacie w Cytadeli, wypełnionej dziwną wielobarwną mgłą. Niedługo później pojawił się Ethan. Rozejrzał się, ale ponieważ na razie żadne drzwi się nie otwały, podszedł do mnie poprzez mgłę i wzruszył ramionami.

Cichy świszczący dźwięk sprawił, że spojrzeliśmy na środek komnaty. Rochelle pojawiła się w chmurze czarnego dymu, który sprawił, że zaczęła kaszleć i spróbowała trochę go odgonić. Rzuciłam przelotne i pełne troski spojrzenie na Ethana. Najwyraźniej podczas pierwszej misji - pierwszej w szeregach Straży, a nie Zakonu - Rochelle miała być razem z nami. Cóż, miało to jakiś sens. Spodziewałam się, że nie ufano jej jeszcze na tyle, żeby mogła działać samodzielnie.

Popatrzyła na nas, unosząc brwi.

- Jak myślicie, co to znaczy?

- Co? - Nie miałam pojęcia, o czym ona mówi.

- Zawsze istnieje przyczyna, dla której komnata cię wybiera.

Ethan podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Rochelle. Wydawało mi się, że na moment zapłonęła między nimi iskierka rozpoznania, mająca siłę prądu elektrycznego.

- Mgła zwykle oznacza trudności z widzeniem. Możliwe, że to ma być ostrzeżenie.

Rochelle odwróciła głowę, unosząc podbródek. Miałam wrażenie, że zaczynają ją zjadać nerwy, ale naprawdę nie wiedziałam, jak mogłabym jej pomóc. To wszystko nie było przecież nowością dla Rochelle. Była to dla niej kolejna misja, chociaż pierwsza po naszej stronie. W dodatku miała pracować z naszą dwójką - Ethanem, chłopakiem, którego rzuciła na rozkaz Marduka, i mną, siostrą jej eks-chłopaka. Do tego dochodziła obawa, że Bogini będzie wypatrywać powrotu Rochelle.

- Czy ktoś już dostał instrukcje? - zapytałam, ponieważ zapadła niezręczna cisza.

Najwyraźniej żadne z nich, a zwłaszcza Ethan nie mógł powstrzymać się przed szybkim wyrażeniem swojego zdania.

- Nic dziwnego. Najwyraźniej Carter znowu zamierza coś schrzanić.

Dokładnie w tym momencie nasz historyk pojawił się w komnacie. Westchnął i przygładził dłonią włosy. Wyglądał na zestresowanego, a ja zaczęłam mu współczuć. Musiał zastępować Arkariana, a jednocześnie zajmować własne stanowisko, zaś w ciągu dnia uczyć w liceum.

Rzucił Rochelle długie, pełne wahania spojrzenie i przeszedł do rzeczy.

- Jesteście potrzebni w starożytnym Rzymie, w końcu pierwszego wieku przed naszą erą, kiedy Oktawian przejął władzę.

Nigdy tam nie byłam i sama myśl o tym sprawiła, że westchnęłam.

- O kurczę.

Przez moment czułam znajomą ekscytację, towarzyszącą zbliżającej się podróży w przeszłość. Ale krążące wciąż w pobliżu myśli o Arkarianie wróciły z nową siłą. Przypomniałam sobie dzień, kiedy mieliśmy się razem udać na bój z Mardukiem i jego żołnierzami. Arkarian wręczył mi niezwykle miecz, który dostał od rycerza króla Artura, Gawaina. Wiedział, jak bardzo denerwuję się zbliżającym pojedynkiem i nikłymi szansami ocalenia życia Matta, kiedy nieoczekiwanie oznajmił mi, że oddałby za mnie życie. Nie odpowiedziałam mu wtedy, jego słowa całkowicie mnie zaskoczyły. Ale teraz rozbrzmiewały ponownie w mojej głowie, a ja wyszeptałam: „Ja też oddałabym za ciebie życie”.

Uświadomiłam sobie, że powiedziałam to na głos, a wszyscy w komnacie zamilkli, patrząc na mnie. Rochelle przewróciła oczami. Profesor Carter patrzył na mnie współczująco. Ethan stanął za mną i potarł moje ramiona.

- Wszystko okej ?

Spojrzałam na niego i skinęłam głową, chociaż widziałam wszystko jak przez mgłę.

- Jesteś pewna? - upewnił się.

- Tak, nic mi nie jest.

Ethan zwrócił się teraz do profesora Cartera, pytając go, jakie są nasze role.

- I proszę dopilnować, żebyśmy tym razem wylądowali we właściwym miejscu, a nie trafili z hukiem

w sam środek bitwy - dodał na koniec.

Oczy profesora Cartera zabłyśły, ale nie byliśmy już w klasie, więc jego władza nad Ethanem nieco osłabła. Nie przekreślałabym całkowicie siły naturalnego instynktu Ethana, ale jego nieufność wobec tego faceta była praktycznie bezpodstawna.

Profesor Carter odetchnął głęboko.

- Robię, co w mojej mocy, Ethanie. W tej komnacie znajduje się osoba, której lojalność powinna budzić większe wątpliwości.

Mówiąc te słowa, rzucił spojrzenie na Rochelle. Nie było żadną tajemnicą, że profesor Carter ma poważne wątpliwości dotyczące Rochelle. Jednakże Trybunał uznał, że jest gotowa, by do nas dołączyć, a wyraźna dezaprobata profesora Cartera nie ułatwiała w niczym naszej misji.

Rochelle jęknęła.

- Jedźmy już z tym. Nie wiem, czego was tu uczono, ale mnie powiedziano, że w tym miejscu nie da się mierzyć upływu czasu.

- Naprawdę? A co jeszcze ci powiedziano? - zapytał profesor Carter. - To może być interesująca rozmowa.

Jej podbródek znowu lekko drgnął i uniósł się w górę.

- Przekazałam Trybunałowi wszystko, co wiedziałam, więc nie muszę już niczego panu mówić.

Atmosfera zrobiła się ciężka, nawet mgła zaczęła gęstnieć. Zupełnie jakby sama komnata wyczuwała panujące w niej napięcie.

- Może już ruszajmy? - zaproponowałam. - Zanim zgubimy się w tej mgle i zapomnimy, co powinniśmy zrobić.

Profesor Carter pozbierał w końcu myśli. Znowu przybrał ton belferski, a jego zachowanie stało się odpowiednie dla osoby obdarzonej wiedzą i autorytetem.

- Portal otworzył się w czasie, gdy Oktawian, albo raczej Gajusz Juliusz Cezar Oktawian, wrócił do Rzymu, by po raz drugi objąć urząd konsula¹.

Wypoczywał pomiędzy bitwami z Markiem Antoniuszem. Przebywał przez kilka dni w domu, ciesząc się towarzystwem swojej żony Liwii i jej dwóch synów z poprzedniego małżeństwa, Tyberiusza i Druzusa. Oktawian jest w trakcie kampanii², wykorzystując swój geniusz polityczny do zapewnienia sobie tytułu pierwszego cesarza Rzymu.

Wszystko jednak wskazuje na to, że w ciągu tych kilku dni członkowie Zakonu spróbują dokonać zamachu na jego życie. Musicie sobie zdawać sprawę z tego, jaki wpływ na współczesność miałoby powodzenie ich misji. Rzym Oktawiana i wszystkie dalsze wydarzenia wywarły olbrzymi wpływ na kulturę nowożytnego świata. Rozumiecie, co chcę powiedzieć?

1 Miało to miejsce w 33 r. p.n.e. (*przyp. red.*)

2 Chód zi tu zapewne o kampanię w Illyricum, po zakończeniu której senat i lud rzymski uznali go za bohatera; w 32 r. p.n.e. Oktawian mógł już otwarcie wystąpić przeciw Antoniuszowi, którego ostatecznie pokonał w bitwie morskiej pod Akcjum 2 września 31 r. p.n.e.; dało mu to pełnię władzy w Rzymie (*przyp. red.*)

Nie musiał mówić tak dobitnie. Każda misja była ważna, ale rozumieliśmy, że ta jest absolutnie kluczowa, szczególnie biorąc pod uwagę chwiejną równowagę sił pomiędzy Strażą a Zakonem.

- Pojawiła się możliwość wysłania was tam jako rzymskich lekarzy. Ethan dowodzi, wy dwie będziecie jego asystentkami. W ten sposób uzyskacie dostęp do domostwa Oktawiana i nikt nie będzie kwestionować waszego obywatelstwa. A jeśli nie uda wam się uchronić Oktawiana przed odniesieniem ran, będziecie miały odpowiednią pozycję, aby móc go wyleczyć.

Przekazawszy nam instrukcje, profesor Carter zaczął się zbierać do wyjścia, ale zatrzymał się jeszcze, gdy otworzyły się przed nim drzwi.

- Cokolwiek planuje Zakon, będzie to coś znacznego. Zapamiętajcie to.

Jego poważny głos irytował mnie.

- Planują wyrządzić ogromne szkody - dodał. - Dlatego wysyłamy całą waszą trójkę. Bądźcie ostrożni.

Wyszedł, a my udaliśmy się do garderoby w całkowitym milczeniu - tylko niespokojne myśli dotrzymywały nam towarzystwa. Tutaj dano nam nowe tożsamości, które zmieniły nas nie do poznania.

Zostaliśmy ubrani w długie tuniki - moja była zrobiona z białego atłasu, z narzuconą na nią niebieską wełnianą pallą. Moje włosy stały się żółtozłote, zebrane w warkocze i zwinięte w ciasny węzeł z tyłu głowy. Włosy Rochelle miały teraz barwę rudawego brązu.

Także były mocno związane, ale z przodu tworzyły masę drobnych, pozwijanych pierścieni. Przejrzała się w lustrze, podziwiając zieloną tunikę i łososiową pallę.

Strój Ethana był niemal całkowicie biały, a jego włosy stały się czarne i krótko ostrzyżone, z wyjątkiem opadającej na czoło grzywki. Pysznic pyłu opadł na nas z sufitu i zostaliśmy wyposażeni w wiedzę potrzebną nam do wypełnienia misji. W moich dłoniach pojawiły się zawinięte w tkaninę przybory lekarskie. Zrozumiałam, że Ethan ma być zawodowym medykiem, specjalizującym się w leczeniu ran i dolegliwości wewnętrznych.

Ethan odwrócił się i wskazał mnie.

- Moja asystentka Klaudia. - A do Rochelle powiedział cicho - Sempronia.

Rochelle odeszła od lustra i w odpowiedzi skłoniła głowę.

- Petroniusz.

Spojrzenie, które wymienili, było naładowane elektrycznością. Musieli być całkowicie pozbawieni czucia, żeby tego nie zauważyć. Wyglądali dziwnie, jakby zapadli w trans. Równie dobrze mogłoby mnie nie być w tej komnacie! Ethan pierwszy odwrócił głowę i skrzywił się, jakby był z siebie niezadowolony - niezadowolony ze swojej reakcji. Ponaglił nas do wyjścia z pokoju, a schody zaprowadziły nas do komnaty, z której mieliśmy rozpocząć podróż. W ścianie naprzeciwko otworzyły się drzwi i wszyscy troje skoczyliśmy w nie bez wahania.

Rozdział 16

Isabel

Rzym okazał się niesamowity. Wszędzie było pełno ludzi - całe setki przechodziły w pośpiechu, zajęte swoimi sprawami. Nad targowiskiem unosił się zapach gorącego, ostrego jedzenia. Brukowane ulice były proste, a budynki wznosiły się na wysokość dwóch, trzech pięter.

- Przestań się gapić! - syknęła do mnie Rochelle.
-Będziesz zwracać uwagę, a to może nas wszystkich narazić.

Odwróciłam spojrzenie. Ciekawe, co ją ugryzło? Chociaż gdyby się nad tym zastanowić, miała chyba rację. Najprawdopodobniej zachowywałam się jak typowa turystka. Ethan roześmiał się cicho, więc szturchnęłam go łokciem w żebra.

- Czy to nie jest po prostu oszałamiające? - otwartymi dłońmi wskazałam bezlik otaczających nas ludzi. Największą uwagę zwracali mężczyźni w białych tunikach lub togach, z towarzyszącymi im niewolnikami, przypominającymi ochroniarzy współczesnych bogatych i sławnych ludzi. - Wszystko jest takie pełne życia!

Rochelle obróciła się, żeby nie otrzeć się o męczyzną pchającego wózek z warzywami.

- Straszna z ciebie romantyczka. Pewnego dnia przestaniesz bujać w obłokach i przekonasz się, że jesteś cała w błocie. Życie to nie bajka. Cuchnie. Tylko powąchaj. - Zmarszczyła nos, a ja zaczęłam się zastanawiać, skąd się bierze to jej negatywne nastawienie. Okej, w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy w jej życiu zaszły dramatyczne zmiany, ale ta gorycz wydawała się ukierunkowana - na Ethana albo na mnie. Rochelle była chyba po prostu sfrustrowana i niepewna jego uczuć.

- Co za potworny smród.

Do tej chwili nie zauważyłam niczego, przepelniała mnie zbyt wielka ekscytacja, że tu jestem. Ale skoro już o tym wspomniała...

- Faj! Co to jest?

- Śmieci - wyjaśnił Ethan. - I jeszcze ścieki.

- I jakaś spalenizna, jakby budynek, który tli się od wielu dni - dodała Rochelle.

Szliśmy dalej, co najmniej kilometr.

- Czy ktoś wie, dokąd idziemy?

Ethan wskazał wznoszącą się przed nami białą budowlę o wielu kolumnach.

- Tam, na lewo od świątyni. Oktawian powinien przebywać w willi, która stoi przy tamtej ulicy.

Musieliśmy przejść jeszcze spory kawał, ale żadne z nas nie narzekało. Ja zaś nie odważyłam się ponownie pytać Rochelle o opinię.

W końcu znaleźliśmy się przed bramą willi, którą Ethan uznał za właściwą. Wzdłuż całej ulicy stały okazałe domostwa, ale to było zdecydowanie największe ze wszystkich. Ethan zapukał do drzwi, które otworzył potężny mężczyzna, najwyraźniej niewolnik, ubrany w białą togę, mocno kontrastującą z czarną skórą.

Ethan przedstawił się.

- Przybył lekarz - oznajmił niewolnik mocnym, chociaż lekko znudzonym głosem. Zaprosił nas gestem do chłodnego atrium, gdzie posadzka i nieliczne meble zrobione były z marmuru. Kiedy czekaliśmy, przyglądał się nam uważnie, marszcząc mocno brwi. Zauważył trzymane przeze mnie przybory lekarskie, ale niczego nie powiedział. Po minucie zawołał znowu:

- Przyprowadził ze sobą świtę. Jest ich troje. Chociaż tonu niewolnika nie nazwałabym raczej

życzliwym, dobrze było wiedzieć, że spodziewano się nas. W każdym razie Ethana. W końcu zostaliśmy powitani przez damę, która okazała się samą panią Liwią - żoną Oktawiana. Była piękną kobietą, wysmukłą, w długiej, ciemnej szacie, z czerwoną pallą na ramio-

nach. Powitała nas serdecznie. Najwyraźniej ich stały lekarz niedawno zrezygnował z posady, a jej starszy syn Tyberiusz, dziewięciolatek, który niedawno zamieszkał z nimi po śmierci ojca, zapadł na jakąś tajemniczą chorobę.

Przeszły mnie ciarki i zastanowiłam się, czy to mój szósty zmysł podpowiada możliwość celowego działania, czy też po prostu instynkt uzdrowicielski rwie się do działania.

— Czy możemy zobaczyć chłopca? - Popatrzyła na mnie, jakbym powiedziała coś nie na miejscu. - Nie należy zwlekać, zwłaszcza jeśli dolega mu coś poważnego, pani — wyjaśniłam, czując, że czerwienię się pod jej spojrzeniem.

Oczy Liwii pobiegły do trzymanyh przeze mnie narzędzi, a potem do pustych rąk Rochelle. Najwyraźniej o coś jej chodziło, coś było nie w porządku.

- Czy te kobiety — odezwała się wreszcie do Ethana — są obie twoimi asystentkami?

- To jest Klaudia — odpowiedział, wskazując mnie. Następnie wskazał Rochelle, ale zanim zdążył ją przedstawić, afrykański niewolnik stanął przed nami.

— Spodziewaliśmy się dwóch osób.— Skrzyżował muskularne ręce na równie muskularnej piersi. - Tylko lekarza i jego asystentki.

Najwyraźniej profesor Carter popełnił nieduży błąd, wystawiając na szwank naszą wiarygodność. Stojący po mojej prawej stronie Ethan zacisnął dłoń w pięść.

Musiał znaleźć prawdopodobne wytłumaczenie obecności Rochelle. Na szczęście nie zajęło mu to dużo czasu, chociaż nie byłam przekonana, czy Rochelle będzie zachwycona tokiem jego rozumowania.

-To Sempronia. Jest moją... niewolnicą. Ma niezwykle utalentowane... utalentowane dłonie. - Skamieniał. Cała nasza trójka skamieniała. Drugim talentem Rochelle, oprócz czytania w myślach, był dar dotyku. Jej dłonie potrafiły rozpoznać niemal wszystko, szczególnie substancje takie jak zioła, proszki czy chemikalia. Nie potrzebowała światła, zapachu czy jakichkolwiek innych zmysłów, żeby powiedzieć dokładnie, czego dotyka. Jej specjalnością stało się przygotowywanie trucizn - w każdym razie tak było, kiedy pracowała dla Marduka.

W ciszy, która zapadła, słyszałam tylko niespodziewanie głośny oddech Rochelle.

Liwia odezwała się jako pierwsza.

- Niech tak będzie. Dziewczyna będzie spała w kwaterach niewolników. Wanjala przygotuje tam dla niej poślanie.

No świetnie! Jak mieliśmy się z tego wyplątać? Oddzielenie od nas Rochelle narazi ją na niebezpieczeństwo. Jeśli jej tożsamość zostanie ujawniona, Zakon bez wątplenia będzie chciał ją pochwycić lub zgładzić.

Spojrzenie Ethana pobiegło do Rochelle. Samo określenie jej niewolnicą pozbawiało ją praktycznie

możliwości działania, nie wspominając już o jej „utalentowanych” dłoniach. Jedno było pewne - nie mogła się teraz rzucać w oczy, a szczególnie zareagować w niewłaściwy sposób. Ze spuszczoną głową lustrowała wzrokiem posadzkę od jednego końca komnaty do drugiego, czekając, aż jej niezręczna sytuacja zostanie wyjaśniona. Ramiona Ethana uniosły się lekko.

- Jeśli pozwolisz, pani, pragnąłbym zatrzymać Sempronie przy sobie - powiedział do Liwii. - Została już przyuczona do przygotowywania leczniczych mikstur i jest dla mnie niezwykle użyteczna pod wieloma względami.

Liwia popatrzyła na Ethana i Rochelle, po czym z rozbawieniem poklepała go po ramieniu.

- Nie wątpię w to, Petroniuszu. Będzie tak, jak chcesz. Zostaniecie zakwaterowani w pokojach gościnnych. - Zwróciła się do niewolnika: - Zajmij się tym, Wanjalo.

Sprawa została na szczęście rozwiązana, a Liwia zwróciła się do jednej ze zgromadzonych w atrium niewolnic, pytając, gdzie jest jej syn.

- Wanjala zaniósł go do łoża na dziedzińcu, pani, żeby Julia mogła się udać na targ - wyjaśniła drobna, młoda dziewczyna imieniem Kornelia.

Dziedziniec znajdował się w centralnej części domostwa. Po drodze Liwia wyjaśniła nam, że Julia jest opiekunką chłopca.

Znaleźliśmy Tyberiusza śpiącego w ocienionym kącie, podczas gdy jego młodszy brat, Druzus, bawił się cicho obok. Nie musiałam nawet dotykać chłopca, żeby z nienaturalnie zaczerwienionych policzków wywnioskować, że ma temperaturę. Musiałam jednak być ostrożna i nie wychodzić z roli asystentki Ethana. Już raz się wyrwałam nie w porę, dlatego teraz musiałam czekać, aż on pierwszy zbada chłopca. Szkolenie pozwoliło mu na sfingowanie badania lekarskiego. W końcu wezwał mnie do pomocy, wyjaśniając, że w piersi chłopca jest stan zapalny i chorego należy trzymać w cieple, natomiast on sam osłucha go jeszcze, czy w płucach nie gromadzi się szkodliwy płyn.

- Połóż tu ręce - powiedział do mnie, umieszczając je na wysokości płuc dziecka.

Po kilku sekundach w mojej głowie pojawił się wyraźny obraz. Dziecko cierpiało na zapalenie płuc i z trudem oddychało. Szczególnie jedno płuco było w złym stanie.

- Byłoby mu łatwiej oddychać, gdyby siedział - zaproponowałam.

Ethan zrozumiał, że chcę położyć ręce na plecach chłopca. Kiedy umieściliśmy dziecko w odpowiedniej pozycji, a ja zaczęłam leczyć jego ostrą infekcję, Ethan postarał się odwrócić uwagę domowników.

- Będziemy potrzebować ziół leczniczych, aby przygotować dla niego lekarstwo.

Liwia szybko pospieszyła z pomocą.

- Dom jest dobrze zaopatrzony, ale gdyby potrzebne było coś szczególnego, pošlę po to natychmiast.

Ethan wysłał Rochelle, żeby zajrzała do magazynów, dając jej możliwość rozejrzenia się za podejrzanymi rzeczami. Następnie wręczył mi małą fiolkę barwnego płynu, którą wyjął z fałd tuniki.

- Tymczasem to lekarstwo rozpocznie proces leczenia.

Niewolnica Kornelia pokazała drogę Rochelle, a ja podałam chłopcu do wypicia kolorowy napój. Był to dobry pomysł, chociaż „lekarstwo” składało się zapewne z wody z sokiem. Ethan wiedział, że wyleczenie dziecka nie zajmie mi wiele czasu, a jednocześnie nie mogło to sprawiać wrażenia magicznego uzdrowienia. Całkowite wyleczenie go byłoby błędem, ponieważ mieliśmy udawać lekarzy, a nie cudotwórców. Prawdziwe lekarstwo ziołowe powinno wystarczyć, żeby w ciągu kilku dni postawić małego na nogi.

Temperatura chłopca spadała. Tyberiusz poczuł się lepiej i zaczął się wiercić. Chciał się pobawić z bratem, ale Liwia nakazała mu, żeby leżał i odpoczywał. Kiedy jej uwaga była skupiona na nagle ożywionym synku, Ethan pochylił się nade mną.

- Czy to była trucizna? - wyszeptał mi do ucha.

Jego pytanie sprawiło, że poczułam ściskanie w żołądku. Choroba Tyberiusza nie była spowodowana celowym działaniem, to była zwykła infekcja. Popatrzyłam na chłopca, próbując otrząsnąć się z dziwnego uczu-

cia, że zrobiłam coś złe. Jak wyleczenie dziecka z choroby, z której i tak by wyszło, mogło być czymś złym? Czy moje działania można było uznać za ingerencję w przeszłość? Nagle przestałam być pewna. Spróbowałam przypomnieć sobie instrukcje profesora Cartera.

Niebawem przykuł moją uwagę ruch w głębi domu. Niewolnicy uwijali się jak w ukropie. Liwia, którą poprawa stanu syna wprowadziła w wyśmienity nastrój, nie zauważyła nawet, że jej mąż, Oktawian, wrócił do domu.

Dostrzegła go w końcu, kiedy wszedł na dziedziniec i przedstawiła pełnym imieniem jako Gajusza Juliusza Cezara Oktawiana¹. Stał wyprostowany, unosząc grube brwi. Przykuwał wzrok, miał w sobie coś magnetycznego. Nie był szczególnie wysoki, ale wydawał się wyższy w białej tunice i todze, a jego włosy okazały się jaśniejsze, niż się spodziewałam. Był spokojny, ale uważny, a w spojrzeniu jego oczu było coś niemal... boskiego, w dosłownym znaczeniu tego słowa, jak dziwnie by to nie brzmiało.

Rochelle wróciła, niosąc pęk ziół. Zobaczyła Oktawiana i westchnęła cicho. Uśmiechnął się tylko, najwyraźniej przyzwyczajony do takich reakcji. Liwia wzięła go pod ramię i przyprowadziła, żeby mógł nas poznać. Przedstawiła Ethana i mnie, podkreślając, o ile lepiej poczuł się Tyberiusz po zbadaniu przez Petroniusza.

¹ Tego miana używał Oktawian od 44 r. p.n.e.; wcześniej nazywał się Gaius Octavius (*przyp. red.*)

Kątem oka widziałam, że Rochelle obserwuje chłopca podskakującego na łóżku. Oktawian trzykrotnie klasnął w dłoń.

- Znakomicie — oznajmił. — W nagrodę za waszą wspaniałą pracę musicie koniecznie dołączyć do nas dziś wieczór na uczenie.

Rochelle, jako niewolnica, nie mogła zostać zaproszona, a ja i Ethan niewiele byliśmy w stanie na to poradzić. Chwilę później znalazłam się z nią sam na sam w naszej komnacie.

- Więc co było nie tak z Tyberiuszem? - zapytała Rochelle, rozwijając koc.

- W jakim sensie? Uśmiechnęła się krzywo.

- Uleczyłaś go, prawda?

W jej tonie zabrzmiała nuta oskarżycielska.

- To była infekcja, pomogłam ją trochę opanować. To nie sprawi żadnej różnicy, prawda?

Upuściła koc na łóżko.

- Taa, jasne.

Jej zachowanie było irytujące.

- Tak wyszło. Uzdrawianie przychodzi mi ostatnio całkiem naturalnie.

Podniosła koc i rozłożyła go na łóżku.

- Lepiej naucz się panować nad swoimi instynktami. Czasem najdrobniejsze błędy mogą mieć ogromne konsekwencje.

-Jasne, dzięki. Od razu mi lepiej.

Prychnęła i w milczeniu dokończyła ślanie łóżka. Nie mogłam powstrzymać myśli, że gdyby to Arkarian koordynował tę misję, nie popełniłabym takiego błędu w przypadku Tyberiusza, niezależnie od tego, czy okaże się on błędem wielkim czy też drobnym. Ale naprawdę nie mogłam obwiniać o to profesora Cartera. Po prostu sama powinnam wiedzieć lepiej. Miałam tylko nadzieję, że nic złego z tego nie wyniknie i że zamartwiam się zupełnie bez powodu.

Spróbowałam odwrócić myśli od nagłej poprawy stanu zdrowia Tyberiusza i zapytałam Rochelle, czy nie ma nic przeciwko temu, że wieczorem zostanie sama, podczas gdy Ethan i ja będziemy uczestniczyć w uczeniu z Oktawianem i jego rodziną.

- Potrafię sama dbać o siebie - warknęła natychmiast.

- Wiem o tym - odparłam. - Po prostu mam poczucie, że nie powinniśmy się rozdzielać. Mam takie głupie wrażenie, że jesteśmy przez cały czas obserwowani.

- Wiem, co masz na myśli.

- Rozpoznałaś kogoś? - zapytałam bez większej nadziei. Żeby rozpoznać kogoś, kto nie powinien znajdować się w przeszłości, musiałaby spojrzeć mu głęboko w oczy, co mogłoby narazić ją samą na ujawnienie tożsamości.

Potrząsnęła głową.

- Nie zamierzam wpatrywać się w niczyją twarz dłużej niż przez sekundę.

- Po prostu uważaj - ostrzegłam ją. - Mój szósty zmysł pracuje właśnie na pełen regulator. Mam jedno dziwaczne przeczucie za drugim.

Nieoczekiwanie do naszego pokoju wpadł mały Tyberiusz, obracając się wokół nas i ciągnąc nas za tuniki. Znowu miał zaróżowione policzki, ale tym razem miałam wrażenie, że przyczyną jest raczej rozbawienie niż przeciągająca się infekcja płucna.

Obróciłam jego okrągłą buzię, żeby spojrział na mnie.

- Co tu się dzieje? Czy matka nie poleciła ci, żebyś został w łóżku?

Wyjrzał przez drzwi z roześmianymi oczami i psotnym uśmiechem na ustach.

- Ale ja się czuję całkiem dobrze! Rochelle szybko go rozszyfrowała.

- Założę się, że twoja matka nie wie, gdzie jesteś.

- Wysłała Druzusa i tę demonicę, żeby mnie znaleźli.

- Jaką demonicę? - spytała Rochelle. Zachichotał, a jego młodszy brat przemknął korytarzem.

- Nie widzę go nigdzie, Julio! - zawołał Druzus do opiekunki, która przebiegła koło naszego pokoju, wyraźnie mocno poirytowana.

Tyberiusz zauważył ją i szybko przeszukał spojrzeniem pokój.

- Ukryjcie mnie, proszę. Ta kobieta to czarownica. Wymieniłyśmy spojrzenia z Rochelle.

- Schowamy cię przed nią, ale tylko jeśli obiecasz, że wrócisz prosto do łóżka - powiedziała Rochelle.

Zgodził się, więc wskazałam mu wiklinowy kosz, w którym mieliśmy trzymać ubrania. -Wskakuj tutaj.

Opuściłam pokrywę kosza dokładnie w momencie, kiedy do pokoju wbiegł Druzus, a za nim zasapana Julia.

- Czy widziałyście mojego podopiecznego? - spytała zimnym i władczym głosem. - Powinien teraz odbywać drzemkę! Jeśli czuje się dość dobrze, żeby biegać, powinien także zająć się swoimi lekcjami lub innymi obowiązkami.

Wymieniłyśmy z Rochelle ukradkowe spojrzenia. Druzus biegał po pokoju, zaglądając pod łóżka i rozgarniając ubrania. Kiedy chciał podnieść pokrywę wiklinowego kosza, w ostatniej chwili powstrzymałam go, łapiąc za tunikę.

- Nie znajdziesz tu swojego brata - powiedziałam i odesłałam go do ciężko oddychającej opiekunki.

Złapała rękę chłopca i poprowadziła go do drzwi.

- Jeśli zobaczycie tego małego urwisa, powiedzcie mu, że jeśli nie wróci do łóżka, jego następna lekcja będzie dwa razy dłuższa.

- Oczywiście. Powtórzę mu każde słowo.

Rzuciła mi długie spojrzenie i wyszła ze swoim młodszym podopiecznym. Tyberiusz wyjrzał spod pokrywy kosza.

- Już jest bezpiecznie? Czarownica sobie poszła?
Podniosłam pokrywę.

- Nikogo nie ma.

Wygramolił się z kosza uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Strasznie dziękuję - powiedział z ogromną ulgą. -
Gdybym mógł się wam jakoś odwdziaczyć...

Rochelle przywołała go gestem.

- Możesz to zrobić od razu, jeśli nam powiesz, dlaczego
uważasz swoją opiekunkę za czarownicę.

Całym jego drobnym ciałem wstrząsnął dreszcz,
zaczynający się od głowy, a kończący na palcach bosych stóp.

- Robi różne rzeczy z ziół i proszków. Natychmiast
przykuł tym naszą uwagę.

- Sempronia także robi różne rzeczy z ziół, ale to są
pożyteczne lekarstwa. Dlaczego myślisz, że Julia robi złe
rzeczy?

- Bo ona je robi w środku nocy, z tym wielkim męż-
czyzną.

Rochelle i ja zmarszczyłyśmy z niepokojem brwi i po-
patrzyłyśmy na siebie nad głową chłopca.

- Mówisz o Wanjali? - zapytała Rochelle.

- Mhm. - Oczy Tyberiusza zrobiły się wielkie.

- Mówiłeś o tym mamie? Może mógłbyś ją poprosić, żeby
ich wyrzuciła.

Gdyby tych dwoje pracowało dla Zakonu, wyrzucenie ich
byłoby jakimś rozwiązaniem - sposobem na

pozbycie się z domu do momentu, gdy portal czasowy się zamknie.

- Ona myśli, że nie lubię Julii, bo jest surowa. Miałem mnóstwo opiekunek.

- Naprawdę? - zapytałam. - Czyli Julia jest tutaj od niedawna?

- Przyszła tydzień temu, w tym dniu, co Wanjala. Rochelle zmarszczyła brwi.

- Zachowuje się tak pewnie, że byłam przekonana, że jest tu od dawna.

Tyberiusz popatrzył na nas, nie rozumiejąc, o co nam chodzi. Poklepałam go po piersi.

- No, lepiej już zmykaj, prosto do łóżka. Nie chcesz chyba, żeby ta gorączka wróciła?

- Tak, pani. To znaczy, nie, pani - powiedział, wycofując się do drzwi. - I jeszcze raz dziękuję. - Skłonił się teatralnie, a kiedy uniósł głowę, jego oczy błyszczały i uśmiechał się szeroko.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu, kiedy chłopiec wybiegł z pokoju.

Najwyraźniej Rochelle żywiła wobec niego podobne uczucia.

- Mały czaruś.

Wrócił Ethan, więc powtórzyłyśmy mu, czego właśnie dowiedziałyśmy się o Wanjali i Julii.

- Ciekawe, co tam warzyli razem - powiedział.

- Cóż, cokolwiek to jest, musimy dowiedzieć się tego jak najszybciej, jeśli mamy zamiar ich powstrzymać.

- Jeśli nas podejrzewają - odezwała się Rochelle. -A nie wątpię, że już nas podejrzewają, przyspieszą realizację swojego planu. Będą chcieli zakończyć zadanie, nim zdążymy się w ogóle zorientować, co zamierzają. - Popatrzyła na Ethana. - Gdzie się podziewałeś? Dowiedziałeś się czegoś przydatnego?

Wzruszył ramionami.

- Byłem z Oktawianem, rozmawialiśmy o jego najnowszych kłopotach z Markiem Antoniuszem. Niewiele mogłem mu powiedzieć, a już na pewno nie to, jak ogromny będzie jego triumf nad tym facetem.

- To nie należy do nas - przypomniała mu niepotrzebnie Rochelle. Choć tak kuszące i łatwe byłoby zapewnienie Oktawiana o jego przyszłych zwycięstwach, nieodpowiednie słowo lub działanie mogłoby spowodować zmianę historii, a w rezultacie także przyszłości. Ale Ethan wiedział o tym najlepiej ze wszystkich.

- Pamiętaj, że składaliśmy przysięgę - dorzuciła swoje trzy grosze Rochelle.

- Za kogo mnie masz? - warknął. - Za idiotę? Nie zamierzam zrobić niczego, co mogłoby zagrozić przyszłości. Wyciągnąłem wnioski z historii mojego ojca i Marduka. - Popatrzył prosto w oczy Rochelle i dodał: - Ja nie ulegam pokusom.

Zakasłałam, żeby rozładować atmosferę, ale to niewiele pomogło. Wpatrywali się w siebie, ciskając piorunami z oczu.

- Słuchajcie, klótnie niewiele nam pomogą.

- Jej to powiedz. - Ethan skrzyżował ręce na piersiach.

Rochelle podeszła do drzwi i odetchnęła głęboko, co zabrzmiało prawie jak żalosne westchnięcie.

- Może się rozdzielimy?

Ethan przecisnął się koło niej i nie spojrzawszy na żadną z nas, wyszedł z pokoju, mrużąc:

- Doskonały pomysł.

Popołudnie szybko minęło. Rochelle zniknęła w kuchni, szukając jakichś dowodów. Ethan trzymał się Oktawiana jak ochroniarz, a ja starałam się rozglądać za czymkolwiek podejrzanym. Nie zdarzyło się nic dziwnego ani nadzwyczajnego. Druzus miał trochę wolnego czasu i porozmawiał ze mną na dziedzińcu, podczas gdy jego starszy brat obserwował nas z rozbawieniem z łóżka. Później ściemniło się i niewolnicy zaczęli się krzątać, przygotowując obiecaną przez Oktawiana ucztę. W końcu weszliśmy do wnętrza domu.

Dzieci zaprowadziły mnie do ogromnej komnaty, w której ustawiono w kwadrat trzy długie sofy na wysokich nogach i podłużny stół. Na sofach leżały liczne poduszki. Ethanowi i mnie wskazano miejsce na sofie naprzeciwko Oktawiana i jego pasierba Tyberiusza. Trzecią zajęli Liwia i Druzus. Niewolnicy zaczęli wnosić potrawy, podsuwając nam kolejne półmiski.

Dziwnie było jeść w taki sposób - leżąc na sofie. Staralam się jednak zachowywać swobodnie, jakbym robiła to przez całe życie. Rochelle, nie wychodząc z roli

niewolnicy, zgłosiła się do pomocy przy noszeniu potraw.

Kiedy siedziałam i słuchałam rozmowy pomiędzy Liwią, jej mężem i Ethanem, moje myśli wracały do mikstury, którą zgodnie ze słowami Tyberiusza przygotowywali Julia i Wanjala. Zastanawiałam się, co to mogło być. Wróciły do mnie złowieszcze słowa profesora Cartera, zapowiadającego coś ważnego.

Rochelle pochyliła się nade mną, trzymając tacę z chlebem, oliwkami i rybą.

- Pracuje jak szalony nad główną ozdobą uczy, świńskim łbem. - szepnęła. - Jest nadziewana dziwnie pachnącą mieszanką, podobno z ziołowego chleba i ziaren zbóż. Zamierza podać to Oktawianowi. Myślałam, że to trucizna - zmarszczyła nos. - Ale zapach się nie zgadza. Chciałabym móc tego dotknąć tak, żeby żadne z nich mnie nie zauważyło.

- To by było zbyt ryzykowne — mruknęłam. — Zdradziłabyś się.

Skinęła głową.

- Cokolwiek to jest, nie pozwólcie, żeby Oktawian, czy ktokolwiek inny, spróbowali tej świni.

Jej słowa podziały jak lodowata woda spływająca po moim kręgosłupie. Rochelle specjalizowała się w truciznach. Jeśli Zakon podejrzewał, że mogłaby tu być, być może znaleźli sposób na zamaskowanie zapachu. Szybko przekazałam informację Ethanowi, ostrzegając go przed świńskim łbem.

Miałam zaledwie kilka sekund do namysłu, kiedy Wanjala wkroczył uroczyście ze srebrną tacą nakrytą srebrną pokrywą.

- Dla naszego pana, Gajusza Juliusza Cezara Oktawiana - oznajmił donośnie - oraz jego szlachetnych gości.

Wanjala postawił tacę na stole i cofnął się pod ścianę. Wydało mi się to dziwne. Można by pomyśleć, że tak dumny facet jak on będzie niezwykle chętny, żeby osobiście zaprezentować swoje arcydzieło. Słowa profesora Cartera: „to będzie coś znacznego” wróciły,

dreńcząc mnie. Tyberiusz podskoczył, kiedy Oktawian sięgnął po

kopulastą pokrywę.

- Pozwól, że ja to zrobię - powiedział znajomym czarującym głosem.

Oktawian uśmiechnął się do niego.

- Twoje ramiona musiałyby być dwa razy dłuższe, żebyś mógł sięgnąć do stołu.

- Zobacz sam - Tyberiusz wyciągnął się, ile zdołał, żeby dosięgnąć pokrywy. - Poradzę sobie.

W momencie, kiedy Tyberiusz i Oktawian jednocześnie sięgnęli po pokrywę, nagle dotarło do mnie, że nie skrywa się pod nią zatruty świński łeb. To coś znacznie gorszego.

Ich palce zamknęły się na uchwycie i w tym momencie wrzasnęłam: - Nie! Nie podnoście jej!

Ale zrobili to. Kiedy pokrywa się podniosła, Oktawian spojrzał na mnie z rozbawieniem. Przez moment sprawiał wrażenie, jakby chciał mnie o coś zapytać, ale nie zdążył się odezwać, bo taca i cała jej zawartość wybuchły.

Siła eksplozji bomby cisnęła Oktawianem i Tyberiuszem w powietrze. Stół rozprysnął się w drzazgi, a jedzenie rozsypało po komnacie. Liwia wrzasnęła i rzuciła się do męża i syna, którzy leżeli nieprzytomni pod ścianą.

Ethan i ja wydostaliśmy się spod przewróconej sofy pomiędzy biegającymi w panice niewolnikami. Kątem oka zobaczyłam, że Wanjala i Julia obserwują całą scenę i na widok zniszczenia oraz kałuży krwi obok przyszłego imperatora zaczynają się wycofywać.

- Już po wszystkim - w głosie Wanjali nie było wcześniejszej brawury. - Umrze za kilka minut. Wynośmy się stąd.

- Nie, zaczekaj - odparła Julia. - Upewnijmy się. Rochelle usłyszała ją i straciła panowanie nad sobą.

Chwyła z podłogi długi odłamek drewna i rzuciła się, żeby ją dźgnąć. Ale Wanjala przeszkodził jej. Wyciągnął spod tuniki sztylet i przycisnął do żebra Rochelle.

-Nie próbuj. Nie zawaham się cię zabić.

Ethan zauważył, że Rochelle ma kłopoty i wykorzystał swój dar poruszania przedmiotami. Poduszki, szczątki mebli i talerzy, a nawet resztki jedzenia za-

wirowały, kierując się ku Wanjali. Korzystając z jego nieuwagi, Ethan brutalnie odepchnął z drogi Julię i wyrwał Rochelle z uścisku Wanjali.

- Nie umrzesz tutaj, w przeszłości! Jasne?

Kiedy szczątki mebli zaczęły opadać, a niewolnicy przestali krzyczeć, skończyłam badanie Oktawiana i Tyberiusza. Obaj odnieśli rozległe obrażenia i byli w stanie krytycznym. Nagle wyrósł nade mną Wanjala. Obejrzałam się, spodziewając się zobaczyć na jego twarzy uśmiech satysfakcji. Ale nic takiego nie zobaczyłam. Patrzył na rozciągniętych przed nim mężczyznę i dziecko, a jego usta otwarły się, kiedy spojrzał na chłopca. Zauważył, że go obserwuję i cofnął się. Bez słowa złapał Julię za rękę i oboje członkowie Zakonu wybiegli z komnaty.

Rochelle, nadal trzymana mocno przez Ethana, warknęła i zasyczała ze złością.

- Puszczaj mnie!

- Nie. Jesteś tu potrzebna. Pomóż powstrzymać krwotok.

Liwia patrzyła raz na męża, raz na syna, jęcząc histerycznie. Musiała być przekonana, że zaraz straci obydwoch.

Trudno uwierzyć, ale decyzja o tym, kto ma teraz przeżyć, a kto umrzeć, należała do mnie. Mogłam uzdrawiać, ale tylko jedną osobę jednocześnie. Spojrzałam na Tyberiusza i moje serce drgnęło gwałtownie. Jedyńm powodem, dla którego to dziecko znajdowa-

ło się teraz o krok od śmierci, byłam ja. Gdybym dzisiaj rano nie uleczyła jego zapalenia płuc, nadal leżałby w łóżku. Nie otworzyłby pokrywy, której w ogóle nie miał dotknąć. Z tymi myślami kłębiącymi się w głowie pochyliłam się nad nim, przesuając palcami po zakrwawionej głowie, szukając wewnętrznych obrażeń i zastanawiając się, od czego zacząć uzdrawianie.

Ale Ethan złapał mnie za rękę i odciągnął od małego.

- Nie!

Podniosłam głowę, chociaż niemal go nie widziałam, ponieważ nagle oczy zaszyły mi mgłą. Rozumiałam, co mówi, ale nie potrafiłam tego przyjąć do wiadomości.

- Muszę uzdrowić chłopca! On umiera - wyszeptałam.

Ethan głośno przełknął ślinę.

- Musisz najpierw uratować Oktawiana. On także umiera. Po to tu przybyliśmy.

- Ale ten chłopiec też będzie cesarzem¹ - spróbowałam go przekonać, chociaż wiedziałam, że jest tego świadomy.

- Gajusz Juliusz Cezar Oktawian był pierwszym cesarzem, słynnym Oktawianem Augustem, a wprowadzone przez niego reformy będą miały wpływ na na-

¹ Tak się też stało - Tiberius Claudius Nero został cesarzem po **wnierci** Oktawiana 19 sierpnia *U r. n.e.* i panował do roku 37 n e Zmarł w swym pałacu na Capri 16 marca 37 r. n.e. (*przyp. red*)

szą współczesność. To jego musisz najpierw uzdrowić. Pospiesz się, stracił wiele krwi.

Liwia ze szlochem złapała syna w ramiona. W tym czasie Rochelle starała się zatamować krew płynącą z głębokiej rany u nasady czaszki Oktawiana.

- Szybko! - zawołała.

Podeszłam do Oktawiana. Było z nim źle - poza raną głowy miał poważne obrażenia wewnętrzne i fatalnie strzaskane ramię. Zajął się tamowaniem gwałtownego krwotoku, naprawiając poszarpane naczynia krwionośne i poranione, uszkodzone organy wewnętrzne. Potem zajęłam się naprawą zerwanych ścięgien i mięśni, a także połamanych kości.

Zdążyłam już niemal skończyć, kiedy Liwia wydała pełen bólu krzyk, który powiedział nam, że straciliśmy dziecko. Moje serce skurczyło się, a oddech zaczął sprawiać ból. Co ja zrobiłam?

Zmusiłam się, żeby nie patrzeć i pracować dalej nad Oktawianem, ale nie mogłam się powstrzymać przed przelotnym spojrzeniem. To, co zobaczyłam, miałam zapamiętać na resztę życia - zrozpaczona matka, kołysząca w ramionach martwe ciało synka.

Uzdrowiony Oktawian usiadł, oszołomiony widokiem potężnych zniszczeń dokoła.

- Co tu się stało?

Zbliżył się do żony, oplakującej śmierć dziecka.

- Nie możesz niczego zrobić? - zapytała cicho Rochelle.

- Nie mogę wskrzeszać zmarłych. Odniósł zbyt ciężkie rany. Nie miał szans na przeżycie bez natychmiastowego uzdrowienia.

Ethan złapał nas za ręce, szarpnięciem stawiając na nogi.

- Musimy się stąd wynosić. Oktawian będzie żądał odpowiedzi, a my nie możemy mu ich udzielić.

Rozumieliśmy to, więc wszyscy troje wycofaliśmy się z komnaty. Ethan znalazł spokojny kąt i zawołał profesora Cartera. W ciągu kilku sekund poczułam szarpnięcie, sygnalizujące przeniesienie. Nie mogłam przestać myśleć o tym, jak potwornie zawiedliśmy. Jak ja zawiodłam. Wtedy przed moimi oczami pojawiła się twarz Wanjali, patrzącego na ruinę ludzkiego życia. Dostrzegłam w nim przeblysłk czegoś znajomego i zastanowiłam się, dlaczego ciemnoskóry Afrykanin miał tak intensywnie zielone oczy?

Rozdział 17

Arkarian

Świątynia okazała się przypominającą piramidę budowlą o gigantycznej podstawie i czubku niknącym w ciemnościach nieba nad nami. Zbudowano ją - jak poinformowała mnie Sera, kiedy wchodziliśmy przez otwarte drzwi - w całości z kryształu, szklanych cegieł i marmurowych płyt. To szkło najwyraźniej było substancją zdolną wytrzymać zarówno mrozy, jak i niehumaniczny żar. Ściany wewnątrz tworzyły regularny ośmiobok - podobny plan miały niektóre komnaty Cytadeli. Mniejszy wewnętrzny ośmiobok stanowił podstawę dla wysokiego, tworzącego stożek dachu. Każda płyta w kopule składała się z mozaiki barwnych wzorów - chociaż nie potrafiłem zobaczyć ich dokładnie. Jedyne źródło światła stanowił pojedynczy

kominek na przeciwległej ścianie, który na pewno nie mógł ogrzać całego wnętrza. Ale z jakiegoś powodu obecność chłodu była tu mniej wyczuwalna niż inna obecność, tak silna, że wydawała się niemal namacalnym uczuciem - ukojenia. Pomogło mi ono zapanować nad bólem.

Podszedłem do kominka - widziałem, że świątynia nie była używana od dawna, od wieków lub może nawet tysiącleci. W jej wyglądzie i niosących się po jej wewnętrznych echach ziała jakaś pustka. Kurz zalegał grubą warstwą na nielicznych meblach - fotelu, podnóżku, łóżku, prostej kamiennej ławie, stole i dywanie przy kominku.

Sera podprowadziła mnie do fotela przy kominku. Usiadłem z ulgą. Powiedziała, że przyniesie mi wodę, ale najpierw pomogła mi zdjąć płaszcz. Obejrzała go, marszcząc brwi, a potem wtuliła w niego twarz.

- Pachnie Bastianem.

- To prawda, nosił go wcześniej. Powiedz mi, jak go poznałaś?

- Czasem mnie odwiedza. - Jej twarz jednocześnie wykrzywiła się w uśmiechu i grymasie namysłu. - Nie rozumiem go.

- Wydaje mi się, że Bastian chyba nie rozumie sam siebie.

- Zanim mnie przyprowadził tutaj, bardzo długo wędrowałam po ogrodach Marduka. Były takie piękne, że mogłabym na zawsze zamieszkać między tymi

wonnymi kwiatami - westchnęła jak ktoś tęskniący za czymś, co kochał, po czym wzruszyła szczupłymi ramionami. — Nie wiem, dlaczego Bastian mnie stamtąd wyciągnął. To niedaleko, wiesz. Po drugiej stronie wyspy. Ale Bastian nie pozwala mi tam chodzić.

Zostawiła mnie z dziwaczną wizją Marduka będącego właścicielem ogrodu, w dodatku pięknego, i poszła po wodę. Przez wszystkie lata, jakie Marduk spędził w Straży, nie słyszałem, żeby lubił kwiaty, nawet jeśli zawsze doceniał piękno. To właśnie miłość do pięknej kobiety odegrała ogromną rolę w jego ostatecznej zdradzie.

Sera niebawem wróciła z kubkiem wody. Piłem powoli, wypłukując z ust smak krwi. Siedzieliśmy i patrzyliśmy w kojący blask ognia, a ja wykorzystałem tę spokojną chwilę, żeby skoncentrować się na swoich obrażeniach. Nadal byłem pozbawiony mocy, więc zdołałem tylko stłumić odczuwanie bólu. Tak czy inaczej nie byłem uzdrowicielem, więc moje żebra pozostały połamane, a stawy naruszone lub przemieszczone. Jednakże najgorsze obrażenia odniosły moje nerki. Obawiałem się, że mogą krwawić.

Nagły grzmot sprawił, że zerwałem się z miejsca. Wysięk sprawił, że ból przeszył moje płuca i każde ścięgno.

Sera zachichotała, zasłaniając buzię dłońmi. Usiadła w rogu dywanu, tuż przed ogniem. - Mówiłam ci, że będzie padać.

Nigdy wcześniej nie słyszałem tak ulewnego deszczu. Po chwili uświadomiłem sobie, że to właściwie wielkie bryły lodu uderzające w dach i ściany wokół nas. Nigdy nie czułem niczego tak zimnego. Poczułem przyływ wdzięczności, że jestem tu w środku, a nie leżę na kamienistej plaży, wgniatany w ziemię uderzeniami tych brył.

Sera jakby nie zauważała hałasu i chłodu panującego w powietrzu. Przestała się śmiać i siedziała teraz, obejmując rękami kolana i wpatrując się ze smutkiem w ogień. W końcu grad osłabł, a Sera spojrzała na mnie.

- Opowiedz mi o moich rodzicach, Arkarianie. Co się z nimi stało po tym, jak Marduk mnie zamordował?

Opowiedziałem jej o tym, jak jej ojciec na długi czas wycofał się ze Straży i właściwie z życia, obawiając się, że Marduk będzie się mścić na reszcie jego rodziny. Opowiedziałem też, że jej brat został wtajemniczony jako mój Uczeń, kiedy miał zaledwie cztery lata, i że okazał się niezwykle uzdolniony.

- Ma niezwykle talent, zdolność sprowadzania prawdziwych rzeczy do miejsca, które stworzył siłą umysłu.

- Ale jest beznadziejnym medium. Przez całe lata próbowałam go osiągnąć.

- W jego snach. Tak, teraz to rozumiem. Ethan nie miał o tym pojęcia. Wyparł z umysłu twoje morderstwo, uwierzył w to, co mówili mu lekarze, że umarłaś z powodu choroby.

Westchnęła.

- A moja matka? Co się z nią dzieje, Arkarianie?

Nie byłem pewien, ile powinienem jej mówić. Przypominała tę samą dziesięcioletnią dziewczynkę, którą widziałem po raz ostatni na dzień przed jej śmiercią, kiedy to opowiedziałem jej o Straży i roli, jaką ma do odegrania. Ale to było dawno temu. Jak trzynaście lat w takim miejscu mogło na nią wpłynąć?

- Jej też próbowałam dosięgnąć - powiedziała, podczas kiedy ja milczałam. - Czasem myślałam, że mnie słyszy albo przynajmniej czuje. Słyszałam, jak wołała moje imię przez sen wiele, wiele razy. A czasem nawet wołała je na jawie. - Popatrzyła na swoje zaciśnięte dłonie. - Krzyczałam razem z nią. - Odwróciła się i spojrzała na mnie przeszywająco ogromnymi oczami. - Czy myślisz, że kiedy Ethan mnie uratuje, będę mogła się z nią zobaczyć, zanim odejdę?

- Nie wiem - odpowiedziałem szczerze.

Ale ta odpowiedź jej nie wystarczyła. Wstała i zaczęła skakać po pokoju.

- Ethan na pewno przyjdzie! Wiem to! W końcu dotarłam do tej Isabel. Tak ją nazwałeś. Ona wie, że ma przyjść. Przyprowdzi mojego brata. W końcu będę wolna!

Mówiła tak, jakby ratunek i wolność były czymś pewnym. Jakaś część mnie pragnęła, żeby to była prawda - ogromna część! Ale ryzyko wiążące się z takim odzyskaniem wolności było zbyt wysokie. Jednak

jakie miałem prawo, żeby rozwiewać złudzenia Sery? W końcu żywiła nadzieję na wydostanie się z tego ponurego więzienia. Przynajmniej teraz już rozumiałem, co jest nie tak z Laurą. Mogłem przynajmniej powstrzymać Serę przed wysyłaniem wiadomości do matki.

- Posłuchaj, twoja matka... źle się czuje.

- Co? Jak to? Mówisz to, jakby to była moja wina. Spróbowałem jej wyjaśnić.

- Ona cię słyszy, Sero, i potrafi cię wyczuć. Ale ona nie jest taka jak my. To zwykła kobieta, bez żadnych mocy. Twój smutek ją zadręcza. Musisz przestać, żeby twoja matka mogła dojść do siebie i zająć się żywymi.

- Ale ja nie mam czym się zająć!

Nie rozumiała, a ja nie chciałem jej denerwować. I tak mogło być już za późno, żeby pomóc Laurze. Prawdopodobnie tak przywykła do wyczuwania uwięzienia swojej córki i dzielenia jej bólu, że nawet gdyby Sera przestała jej przysyłać wiadomości, Laura mogłaby nadal szukać sposobu ucieczki. Jedynym sposobem uratowania Laury było uratowanie najpierw jej córki. Uwolnienie duszy Sery i pozwolenie jej na wyruszenie do miejsca przeznaczenia mogło wystarczyć do uleczenia umysłu Laury.

No właśnie! To była odpowiedź, jak ocalić życie Laurze!

Ale jeśli nawet wyprawa ratunkowa się powiedzie i dusza Sery zostanie uwolniona, czy nie będzie już

za późno? Naprawdę nie wiedziałem. Była tylko jedna rzecz, którą mogłem teraz zrobić - sprawić, żeby Sera mnie zrozumiała.

- Musisz przestać wysyłać te wiadomości do matki, Sero. Jesteś teraz w kontakcie z Isabel, a sama mówiłaś, że próby osiągnięcia Ethana to strata czasu. Za każdym razem, kiedy kontaktujesz się z matką, ona staje się bardziej zaniepokojona. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Musisz przestać, Sero. I to natychmiast.

Rozdział 18

Isabel

Nie spałem przez dobę. Musiałam przyznać, że Ethan zachowywał się cudownie - przez całe popołudnie rozmawialiśmy o tym, co się zdarzyło w Rzymie, a on przypomniiał mi, jak kiedyś zawałił misję i kobieta, którą miał chronić, na nieszczęście umarła.

- Trybunał nie wini cię za to. To nie ty włożyłaś bombę pod tę pokrywę, Isabel - powtarzał mi w kółko. - Pamiętaj o tym.

Wreszcie zrobiło się późno, więc poszedł do domu. Martwił się o swoją matkę. Jej stan pogorszył się, a nikt nie umiał znaleźć przyczyny. Było mi przykro, że obarczam Ethana swoimi problemami, podczas kiedy ma dosyć własnych. Wróciłam do pokoju i klapnęłam na łóżko. W końcu zapadłam w drzemkę.

Przyśnił mi się Arkarian. Jego twarz, łagodne oczy i intensywnie szafirowe włosy jak zawsze sprawiły, że poczułam się bezpieczna. Poczułam, że zapadam w zapomnienie, w stan półświadomości pomiędzy snem a jawą. Wyglądał dokładnie tak, jak go pamiętałam, wysoki i szczupły, spokojny i silny, pewny siebie i opanowany. Jego oczy przyciągały mnie i natychmiast zatraciłam się w ich spojrzeniu - w słodkim uczuciu ciepła, zaufania i bezpieczeństwa. Podszedł do mnie i uśmiechnął się. Przeczesiałam palcami jego włosy, dziwiąc się nie tylko ich niezwyklej barwie, ale także jedwabistej miękkości, którą czułam w ręku. Po raz pierwszy tego trudnego dnia poczułam, że opuszcza mnie napięcie.

Ale sen zmienił się i pojawił się w nim mój stary wróg, Marduk, chociaż w niczym nie przypominał mężczyzny, którego zapamiętałam. Przybrał teraz postać dziwacznej bestii, niemal całkowicie porośniętej sztywnym futrem, które pokrywało jego czoło i część policzków, sprawiając, że wzdrygnęłam się z obrzydzeniem.

Pojawienie się Marduka odepchnęło mnie od Arkariana. W głowie zakręciło mi się od ohydny zapachu, w którym rozpoznałam aurę zła, towarzyszącą temu mężczyźnie, odkąd zdecydował się służyć Bogini. Marduk przytrzymał Arkariana zaledwie za pomocą wyciągniętego palca, z którego płynęły dzikie, zielone promienie. Wykrzywił twarz w uśmiechu, a połowa

ust i jedno lśniące oko sprawiały, że wydawało się to śmiechem głośniejszym niż jakiegokolwiek słowa.

W moim sercu zrodziła się straszna pewność, co zdarzy się za chwilę. Ogarnął mnie strach, sprawiając, że skuliłam się, przyciskając kolana do piersi. Spróbowałam się obudzić, wydać jakiś dźwięk. Ściany były cienkie, a w pokoju obok spał Matt. Jimmy był po przeciwnej stronie korytarza, z mamą. Ale jedyne dźwięki rozlegały się wewnątrz mojego snu - okropne dźwięki towarzyszące torturowaniu Arkariana. Teraz widziałam go w mrocznej celi oświetlonej blaskiem pochodni, przywiązanego do średniowiecznego łoża tortur. Wyciągnęłam do niego rękę.

- Arkarianie! - Ale miałam wrażenie, że odległość między nami staje się coraz większa.

Marduk roześmiał się. Słyszałam ten dźwięk w swoim sercu i w uszach. Zrozumiałam dlaczego, kiedy pojawiły się cztery stwory, te same, które porwały Arkariana z Cytadeli. Jeden z nich odwrócił się i popatrzył na mnie lśnięcymi czerwonymi oczami. Zatrze-pał niezgrabnymi skrzydłami, uniósł się w powietrze i zachrzakał z zadowolenia jak świnia.

Marduk warknął jakiś rozkaz i dwa stwory rozciągnęły ciało Arkariana do granic wytrzymałości.

- Nie! - wrzasnęłam i rzuciłam się na łóżku. Musiałam się zbudzić z tego koszmaru, chociaż w głębi duszy byłam pewna, że to nie jest tylko okropny sen, a przebłysk innego świata. - Puście go!

Marduk przemówił, a jego słowa były zniekształcone, jakby język nie mieścił mu się w ustach. Zrozumiałam jednak doskonale ich znaczenie i to sprawiło, że zaczęłam krzyczeć jeszcze głośniej, próbując dosięgnąć go ręką lub kopnąć...

Ktoś zaczął mną potrząsać i dzięki temu zdołałam wyrwać się z koszmaru. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że Jimmy trzyma mnie za ramiona, a Matt wrzeszczy mi w twarz, żebym się obudziła. Mama z niepokojem zaciskała dłonie na brzegu swojej piżamy.

- Boże, co się z nią dzieje? Tak często ma koszmary. Postarałam się uspokoić, żeby mama nie dostrzegła

w moim zachowaniu niczego niezwykłego. Nie wiedziała o moim podwójnym życiu i tak musiało zostać dla jej bezpieczeństwa. Ale serce nadal waliło mi jak młotem, podczas gdy zastanawiałam się, co właściwie się ze mną działo. Ta sama osoba już kiedyś kontaktowała się ze mną poprzez sen.

Musiałam to powiedzieć Jimmy'emu i Mattowi, ale przede wszystkim Jimmy'emu. On będzie wiedział, co należy zrobić, komu jeszcze powiedzieć. Dzięki Bogu, że już wrócił. Jego pogodne i żartobliwe usposobienie było błogosławieństwem podczas tego kryzysu.

Najpierw jednak musiałam uspokoić mamę. Usiadłam prosto, wrywając się z uścisku Jimmy'ego.

— Słuchajcie, wszystko w porządku. To był tylko zły sen.
- Spróbowałam spojrzeniem dać Jimmy'emu do zrozumienia, że musimy porozmawiać.

- A może kubek gorącej czekolady, skarbie? - zapytał mamę. - Wyśmienita na bezsenne noce. Co ty na to, słonko?

Mama popatrzyła na mnie, unosząc dłoń do gardła.

- Chciałabyś, kochanie? Kubek czekolady?

- No, byłoby cudownie, mamusiu.

Ociągała się z wyjściem, dotknęła ramienia Matta.

- Idź, Matt. Zrób czekolady dla nas wszystkich. Musiałam porozmawiać z Jimmym i nie mogłam czekać, aż mama się położy.

- Ale mamó, on nie będzie umiał jej zrobić tak jak ty! Podgrzeje ją tylko w mikrofalówce. - Nie mogłam uwierzyć, że to mówię, gadałam jak rozpuszczony dzieciak. - Proszę, mamusiu!

Posłuchała. Kiedy tylko wyszła, obróciłam się i chwyciłam Jimmyego za koszulę.

- On żyje!

- Kto taki? - zapytał Matt. - O czym ty mówisz? Musiałam syknąć to słowo szeptem, wypowiedzenie go na głos przerażało mnie na śmierć.

- Marduk.

- Isabel, wszyscy widzieliśmy, jak umiera. To był tylko sen, słonko.

- Widziałam go we śnie, ale to nie był sen, Jimmy. Mówię ci, że on jest żywy, tak samo jak ty czy ja. -Zastanowiłam się. - No dobra, nie całkiem jak ty czy ja. Zmienił się. Zupełnie jakby stał się częściowo potworem, jakimś zwierzęciem. — To zaczynało brzmieć

bardziej histerycznie niż prawdopodobnie. - Słuchaj, rok temu zrobił to samo. Skontaktował się ze mną poprzez sen. - Potrząsnęłam głową. - Nie wiem, jak on to robi. Może to jeden z jego talentów. Ale rozpoznałam go natychmiast. Chciał mi coś przekazać.

Matt zmrużył oczy, a zmarszczki niepokoju przecięły jego czoło.

- Co powiedział? Jesteś w niebezpieczeństwie?

Nagle wszystko stało się jasne, ale musiałam się spieszyć. Słyszałam, że mama na dole gasi światło. Pobiła życiowy rekord przyrządzania gorącej czekolady na czas.

- Myślę, że to było zaproszenie. Jimmy zrozumiał.

- Zaproszenie do świata podziemnego. Matt doszedł do własnych wniosków.

- To pułapka! Lorian ma rację, nie chcąc ryzykować waszego życia, żeby sprowadzić z powrotem Arkariana.

Odwróciłam się do Matta, jakbym była wężem, a moje słowa zawierały truciznę.

- Lorian nie ma racji!

Kroki mamy coraz bardziej się zbliżały, a my jeszcze nie skończyliśmy rozmowy. Kiedy mama doszła do szczytu schodów, Jimmy odwrócił głowę w stronę drzwi, które zatrzasnęły się natychmiast.

- Pospiesz się, Isabel. Nie chcę trzymać twojej matki pod zamkniętymi drzwiami dłużej niż to konieczne. Czego ode mnie chcesz?

- Musisz pomóc mi się dostać do tego świata, Jimmy.

- Nie ma mowy! - krzyknął Matt. Zignorowałam go, nie odrywając spojrzenia od Jimmy'ego, który tylko potrząsnął głową.

- Nie mam takiej mocy, Isabel. Do tego potrzeba nieśmiertelnego.

Nie taką odpowiedź chciałam usłyszeć. Znowu chwyciłam go za koszulę i przyciągnęłam jego twarz do mojej.

- Nie wciskaj mi kitu, Jimmy. Widziałam, co zrobiłeś w Veridianie. Masz moc.

- Wszyscy mamy moc, Isabel. Dlatego należymy do Straży.

Matt prychnął na te słowa, ale Jimmy i ja zignorowaliśmy go. Po prostu sam nie mógł się doczekać mocy, a ja nie mogłam się doczekać pomocy Jimmy'ego. Czyjejkolwiek pomocy.

Jimmy odczepił moje palce od koszuli.

- Nie mam mocy, jakich potrzebujesz. Mama zastukała w drzwi nogą.

- Kochanie? Matt? Niech ktoś otworzy. Matt wstał.

- Już idę, mamó! - Ruszył powoli w stronę drzwi. Po raz ostatni popatrzyłam na Jimmy'ego.

- Więc znajdź kogoś, kto pomoże mi przedostać się przez szczelinę.

- I ściągnie na siebie gniew Lorianą?

- Cóż, tak, jeśli to konieczne!

Zmrużył oczy i zastanowił się nad moją prośbą. Arkarian był jego długoletnim przyjacielem, Jimmy darzył go niezwykłym szacunkiem. Także i jego musiała boleć decyzja Loriany, zabraniająca wyprawy ratunkowej. Matt otworzył drzwi i weszła mama, niosąc tacę z czterema parującymi kubkami gorącej czekolady. Postawiła ją na szafce nocnej, a Jimmy szepnął mi do ucha:

- Potrzebujesz pomocy lorda Penbarina. Postaram się załatwić ci u niego audiencję. Ale musisz zdawać sobie sprawę z konsekwencji takiego działania. To, co zamierzasz, jest zdradą, odmówieniem wykonania bezpośredniego rozkazu. Isabel, możesz stracić przez to życie.

Po raz pierwszy od porwania Arkariana poczułam przypływ nadziei. Zawsze czułam się najlepiej działając, a teraz miałam plan i byłam pewna, że jest dobry. Kiedy będzie po wszystkim, pogodzę się z każdym losem, jaki miałby mnie czekać. Ale teraz nic nie zdoła mnie powstrzymać.

Mama podeszła i podała mi kubek czekolady. Widziałam, że jest bardzo zmartwiona, myślała pewnie, że coś mi dolega. Wzięłam od niej kubek i poczułam ostre ukłucie bólu. Nie miałam najmniejszej ochoty umierać, nigdy więcej nie zobaczyć rodziny, ale jak mogłabym zostawić Arkariana w takim miejscu, w rękach szaleńca, nawet nie próbując mu pomóc? Odpo-

wiedź była prosta - nie mogłabym. Skoro groziła za to śmierć, musiałam podjąć takie ryzyko. Dla niego. Tylko dla niego.

Popatrzyłam na mamę, która usiadła w nogach łóżka i zmusiłam się do uspokajającego uśmiechu. Uśmiech zadrżał, kiedy omal nie pochłonęła mnie fala niepewności. Stłumiłam to uczucie. Teraz nie miałam czasu na wątpliwości. Odwróciłam głowę do czekającego Jimmy'ego i wyszeptałam najciszej, jak mogłam.

- Jeśli tak musi być, Jimmy... Niech tak będzie.

Rozdział 19

Isabel

Ethan postanowił iść ze mną. Staliśmy przed tajnym wejściem do siedziby Arkariana i kłóciliśmy się. Nie rozumiałam, dlaczego Ethan także miałby narażać życie, to przecież podbijało stawkę. Gdyby tylko Lorian nie wydał nam bezpośredniego zakazu - ale nieśmiertelny zrobił to celowo, wiedząc, że planujemy wyprawę ratunkową.

- Popatrz tylko na siebie - Ethan spojrzał na mnie z góry.

Nie rozumiałam tej nagłej zmiany taktyki. Rzuciłam okiem na swój strój - nic nadzwyczajnego, po prostu stare czarne dżinsy i szary sweter. Bezwiednie przygłodziłam dłonią włosy.

- No i co?

- Znam lorda Penbarina. Już raz mi pomógł. Jeśli będziesz upierać się przy samodzielnym działaniu, tak jak w tej chwili, tylko go zirytujesz. Powinniśmy być zespołem, Isabel. Trybunał chciał, żebyśmy pracowali razem. Wiedzą, że się uzupełniamy. Tylko ty nigdy nie chciałaś tego przyznać, zawsze narzekałaś, że nie dostajesz samodzielnymi misji. A teraz masz obsesję, że musisz znaleźć Arkariana bez niczyjej pomocy.

Mogłabym się kłócić, ale tym razem Ethan miał rację. Od porwania Arkariana kompletnie straciłam głowę. Zupełnie jakby wewnątrz mnie kłębił się huragan, który nie zamierzał ucichnąć. Miałam wrażenie, że wnętrzności mam poskręcane. Wiedziałam, że świat bez Arkariana nie jest światem, w którym chcę żyć.

Głowa zaczęła mi nagle ciążyć. Miałam tak wiele do przemyślenia, szczególnie w kwestii tej wyprawy ratunkowej, która wiązała się z gigantycznym ryzykiem. Dlatego chciałam to zrobić sama.

- Słuchaj, wystarczy chyba, że jedno z nas będzie ryzykować życie, nie?

Popatrzył mi prosto w oczy, ściskając moje ramiona.

- Powiedz mi jedną rzecz: skoro to musi być jedno z nas, dlaczego masz to być ty?

- Bo ja... Kochasz go?

Uniosłam lekko głowę i wyrwałam się z uścisku Ethana, niezdolna do odwzajemnienia jego spojrzenia.

- Isabel, ja też go kocham. Jest dla mnie jak ojciec, jak brat, jak przyjaciel. Jest dla mnie niezwykle ważny.

Przemknęła mi myśl, że może po prostu nie ufam nikomu wystarczająco, żeby powierzyć mu misję sprowadzenia z powrotem Arkariana, ale odepchnęłam ją natychmiast. Powierzyłabym Ethanowi własne życie. Ale chociaż był bardziej utalentowany ode mnie, a jego moce były skuteczniejsze, to ja otrzymałam dar widzenia. W świecie podziemnym może się to okazać niezwykle przydatne.

- Nie chodzi o to, kto ma do tego prawo, Ethanie. Po prostu myślę, że dam radę to zrobić sama.

- Co się z tobą dzieje? - warknął na mnie. - Dlaczego upierasz się, żeby wszystko zawsze robić sama? Wiesz chyba, że w ten sposób tylko utrudniasz sobie życie. Nie musisz niczego udowadniać, Isabel. Niczego, czego już byś tysiące razy nie udowodniła wszystkim, których znasz.

- O czym ty mówisz? Nie próbuję niczego nikomu udowadniać.

- Kłamiesz!

- Bredzisz!

- Okłamujesz samą siebie, Isabel. Pomyśl o tym.
-Odwrócił się i wszedł do środka przez ukryte drzwi.

Przez dłuższą chwilę zastanawiałam się w samotności nad oskarżeniami Ethana. Czy naprawdę zawsze próbowałam coś udowadniać? Czy tak właśnie wyglądało to z jego punktu widzenia? Ale właściwie co miała-

bym udowodniać? Siłę? To, że sama sobie potrafię poradzić?

Nagle uderzenie bólu i jasnego światła sprawiło, że upadłam na kolana. Spróbowałam się rozluźnić, pozwolić zwolnić oddechowi. W końcu światło osłabło i uformował się wyraźny obraz. Natychmiast uświadomiłam sobie, że widzę przeszłość. To był mój ojciec, widziałam jego twarz z doskonałą wyrazistością. A chociaż nigdy nie oglądałam go na zdjęciach (mama pocięła wszystkie nożyczkami tej nocy, kiedy odszedł), wiedziałam, że to on. Czułam to.

W tym momencie zobaczyłam w tej wizji także siebie. Miałam najwyżej trzy czy cztery lata i zbiegałam po drewnianych schodach, a pasma prawie białych włosów przyklejały się do mojej buzi - mokrej, czerwonej i zapuchniętej. Serce zaczęło uderzać mi jak młotem. Tata trzymał w ręku walizkę, kierował się do niebieskiego kombi. Usłyszał mnie, odwrócił się, upuścił walizkę i wyciągnął do mnie rękę.

- Chodź tutaj, maleńka - jego głos się załamywał. - Nie pójdę nigdzie, dopóki nie pożegnam się z moją najukochańszą na całym świecie córeczką.

Wpadłam mu w ramiona, owijając nogi wokół jego pasa i czując na szyi dotyk jego mokrej twarzy.

- Tatusiu, ty też płaczesz!

Spróbował mnie postawić na ziemi, jakby rozpaczliwie się spieszył, ale przylgnęłam do niego mocno. Popatrzył na mamę, chcąc, żeby mu pomogła, ale unio-

sła tylko głowę i odwróciła się. Ona także nie chciała, żeby odchodził, a ja czułam to każdą cząstką mojego ciała, co sprawiało, że trzymałam go jeszcze mocniej. Tata z całej siły próbował uwolnić się z mojego uścisku. Ześliznęłam się na ziemię i przyłgnęłam do jego nogi.

- Muszę iść, skarbie - powiedział. - Nie mogę żyć w tym kłamstwie. Niczego nie rozumiesz. Próbowałam ci to tłumaczyć w zeszłym tygodniu na pikniku, ale jesteś za mała, moje słowa nic dla ciebie nie znaczą. I prawdopodobnie nigdy nie będą, nawet jeśli któregoś dnia je sobie przypomnisz.

- Tato, co się dzieje?

Podniósł mnie na wysokość oczu.

- Staraj się, Isabel. Zawsze staraj się, ale naprawdę. Obiecujesz?

Wizja zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, zostawiając mnie zwiniętą na ziemi bez tchu. Ethan pojawił się koło mnie.

- Hej, wszystko dobrze? Obejrzałem się i nie zobaczyłem cię za sobą. Co ty wyprawiasz?

Podniosłam się, ale wyraz mojej twarzy musiał go wystraszyć. Przyciągnął mnie do siebie, masując dłońmi moje plecy.

- Miałaś kolejną wizję. - To nie było pytanie. - Co zobaczyłaś?

Odepchnęłam się otwartymi dłońmi od jego piersi, żeby zyskać odrobinę miejsca. Wspomnienie ojca wstrząsnęło mną. Z trudem mogłam wykrztusić jakieś

słowa. O co tu chodziło? Czym było to kłamstwo, w którym nie potrafił żyć?

Ethan niepokoił się, więc próbowałam wziąć się w garść.

- To nic takiego. Nic, co miałoby związek z Arkarianem czy twoją mamą.

Cofnął się o krok i po prostu popatrzył na mnie, lekko przekrzywiając głowę. Nie powiedział niczego, po prostu czekał.

- No dobrze - powiedziałam. - Zrobimy to razem.

Rozdział 20

Isabel

Profesor Carter kazał nam obiecać, że nie będziemy go w nic mieszać, jeśli lord Penbarin albo ktoś inny z Trybunału zapyta, kto pomógł nam się dostać do pałacu w Atenach. Pomyślałam, że to przecież oczywiste: ani Ethan, ani ja nie potrafimy samodzielnie przenosić się w czasie. Nie zostaliśmy odpowiednio wyszkoleni i nie mamy uprawnień. Niewielu w ogóle je ma, tak jak członkowie Trybunału, Arkarian - i oczywiście profesor Carter. Wymieniliśmy z Ethanem rozbawione spojrzenia, składając tę łatwą do dotrzymania obietnicę. Musieliśmy też przyrzec, że o północy wrócimy na dziedziniec, żeby profesor Carter mógł ściągnąć nas bezpiecznie z powrotem, a potem zająć się mnóstwem dodatkowych spraw, którymi został obarczony.

Profesor Carter przeniósł nas prosto na złocisty dziedziniec pałacu, chociaż w tym momencie tej złocistości nie było widać. Pora była najwyraźniej późna, a ogród pograżył się w ciemnościach, rozjaśnionych tylko przez strategicznie rozmieszczone latarnie, wydobywające z mroku poszczególne klomby czy kamienne ławki.

- Oni tu mieszkają? - zastanowiłam się nagle. - Znaczący, wszyscy członkowie Trybunału? Nawet Lorian?

- Najwyraźniej. To bezpieczne schronienie. Arkarian powiedział mi kiedyś, że ten pałac znajduje się, w pewnym sensie, pomiędzy światami. Bez zaproszenia nie można do niego wtargnąć ani nawet go znaleźć.

- Uważał też, że Cytadela jest bezpieczna, a popatrz, co się tam stało. Może nigdzie już nie jest bezpiecznie?

Ethan wziął mnie za rękę i pociągnął przez dziedziniec.

- Chodź. I staraj się iść cicho - wyszeptał. - Nie chcemy, żeby Lorian zauważył, że tu jesteśmy.

Pomyślałam, że Ethan jest naiwny. Lorian prawdopodobnie już był świadomy naszej obecności. Przypuszczałam, że wiele mogło umknąć uwadze nieśmiertelnego. Podejrzywałam jednak, że Lorian najpierw będzie obserwować, a dopiero potem działać. Jeśli Ethan i ja mamy zostać oskarżeni o zdradę, Trybunał musi najpierw zgromadzić przeciwko nam dowody. Sam fakt,

że jesteśmy tutaj, w pałacu, o niczym nie świadczył. Jeszcze nie.

Ethan poprowadził nas do przestronnego holu.

-Tędy - powiedział. -1 pamiętaj, że profesor Carter chce, żebyśmy wrócili na dziedziniec przed północą.

Ruszyłam za Ethanem, z każdym krokiem zachwycając się wspaniałością tego miejsca. Białe marmurowe schody prowadziły do korytarzy wyścielonych dywanami w zawile wzory. Obrazy w złotych ramach wisiały obok stojących rzeźb, które musiały liczyć tysiące lat.

W końcu zatrzymaliśmy się przed podwójnymi rzeźbionymi drzwiami. Chciałam je popchnąć, oznajmić powód naszego przybycia i jak najszybciej uzyskać pełne poparcie lorda Penbarina. Ale mojemu żołądkowi nie podobało się obecne miejsce pobytu, zaczął nierównomiernie podskakiwać i kurczyć się. Miałam wrażenie, że za moment wyskoczy mi przez usta.

- Wszystko okej? - zapytał stojący za mną Ethan.

- Mhm. Znaczący, chyba tak. Może się ruszysz i zapukasz?

Popatrzył na mnie dziwnie.

- Co się stało z tą dziewczyną, która wszystko chciała robić sama?

- No, skoro już tu jesteś, to możesz się przydać. Prychnął z rozbawieniem, co pomogło mi trochę

się odprężyć. Ale zanim zdążył unieść rękę do drzwi, otworzyły się bezgłośnie, a przed nami stanął mąż-

czynna w luźnym białym stroju. Przedstawiliśmy się mu i powiedzieliśmy, że chcemy się widzieć z lordem Penbarinem. Skinął głową i gestem dłoni zaprosił nas do środka.

Lord Penbarin na nasz widok jęknął głośno. Kilka kobiet - sześć, jak policzyłam - otaczało go przy ogromnym stole, zastawionym ucztą złożoną ze smakowitych potraw.

- Tak właśnie myślałem, że nie potrwa długo, zanim przyjdziecie do mnie - mruknął, ocierając usta serwetką ze złotego jedwabiu. Odłożył ją z krzywym uśmiechem i szerokim gestem ręki odprawił kobiety. - Zabierzcie też jedzenie - powiedział do mężczyzny, który otworzył nam drzwi. - Byłem głodny, ale na widok tych dwojga straciłem apetyt.

Ethan i ja staliśmy w milczeniu, nie chcąc w żaden sposób komentować wyraźnego niezadowolenia lorda Penbarina z naszej obecności. Podprowadził nas do sofy, z której mieliśmy widok na kilka basenów rozmaitych kształtów, i zaproponował, żebyśmy usiedli.

- Wiem, czego chcecie. Potrzebujecie mnie, żebym otworzył szczelinę, która łączy dwa światy. Cóż, przyszłście tu na próżno, ponieważ nie zamierzam wam pomagać. Prawdę mówiąc, wątpię, czy w ogóle byłbym w stanie. Żeby choćby spróbować, potrzeba mocy trzykrotnie większej niż moja.

Jego słowa, szorstkość i okazywane nam lekceważenie zirytowały mnie tak, że zapomniałam o zdener-

wowaniu. Ethan szturchnął mnie, zauważając tę nagłą zmianę nastroju i mając nadzieję, że szybkie Wepniecie w ramię przekaże jasno, co chce mi powiedzieć.^ _ Zostaw to mnie - wyszeptał, żeby mieć pewność, że zrozumiałam. Potem zwrócił się do lorda Penbarina. - Jesteście jedyną szansą Arkariana na przeżycie. Ile razy w waszym życiu zdążył wam pomóc?

Lord Penbarin przeniósł spojrzenie na znajdujące się przed nami baseny. Młoda dziewczyna w nieskazitelnie błękitnej szacie weszła z drugiego końca sali i z wdziękiem zanurkowała w najdalszym basenie Jakby w rozmarzeniu unosiła się w wodzie, a wokół niej dryfowała błękitna tkanina. Lord Penbarin niechętnie oderwał od niej wzrok. Argument Ethana był mocny, ale czy to wystarczy?

- Nikt nie wątpi w wartość Arkariana. Jeśli mnie zapytasz, powiem, że nie da się jej zmierzyć ani śmiertelną, ani nieśmiertelną miarą. Nie o to chodzi. Rzecz, o którą prosicie, pozostaje zdradą, nawet gdybym zdołał przekonać jeszcze dwoje członków Trybunału do pomocy.

- Już dawniej ryzykowaliście gniew Loriany, żeby mi pomóc - przypomniał Ethan.

- Hmm, to było co innego. Ryzyko jest teraz znacznie większe. Czy macie pojęcie, co może się zdarzyć, jeśli przejście między światami zostanie otwarte o kilka sekund za długo? - Nie czekał na odpowiedź. - Jeśli choćby jedna istota ze świata podziemnego znajdzie

drogę do świata śmiertelników, wszystko, co mamy, i wszystko, nad czego osiągnięciem tak ciężko pracowaliśmy, może zostać zaprzepaszczone. Czy chcecie brać na swoje barki taką odpowiedzialność?

- Ale jeśli będziemy ostrożni... - zaczęłam. Uciał moje protesty machnięciem ręki.

- Na ile ostrożnym można być, mierząc się z nieznanym?

- Wybaczcie moje pytanie, milordzie, ale czy widzieliście ten świat na własne oczy? Czy ktokolwiek go widział? Skąd wiecie, jakie istoty tam żyją i jakie zagrożenie stanowią dla naszego świata? To znaczy, chciałabym wiedzieć, czy macie jakieś dowody?

Jego czarne oczy błysnęły gniewnie, a potem zwęziły się w szparki.

- Moja miła, czasem dowody nie są potrzebne. Czy pobyt w Straży niczego cię nie nauczył?

Trafił w czułe miejsce. Moja twarz, poczynając od szyi, zaczerwieniła się, ale byłam dość zdeterminowana, by nie ruszyć się z tego pałacu, dopóki nie uzyskam czyjejś pomocy.

- Chcecie powiedzieć, że nie zamierzacie nam pomóc?

Potrząsnął głową w geście zdecydowanej odmowy.

- Właśnie tak. Nie zamierzam. Wstałam, rozczarowana nim.

- I mienicie się lordem jednego z Domów, mającym na swoje rozkazy żołnierzy i nadzorującym cały

sektor Ziemi? Mam wrażenie, że dostaliście ten tytuł przez zasiedzenie.

- Isabel, co ty wyprawiasz? - Ethan spróbował mnie posadzić.

Zignorowałam go, byłam zbyt rozzłoszczona.

- Cóż, milordzie, ja myślę, że nie zasługujecie na wiele wyższe miano od miana tchórza!

- Isabel! - Ethan stanął dokładnie między mną a Penbarinem. Potem obrócił się z szeroko rozpostartymi rękami, jakby chciał zasłonić każdy kawałek mojego ciała. - Już wychodzimy.

Uznałam, że ma rację i możemy równie dobrze wyjść. Penbarin tak czy inaczej okazał się bezużyteczny. Ruszyłam w stronę drzwi, ale lord zawołał nas. Odwróciliśmy się.

- Znajdźcie mi jeszcze dwoje członków Trybunału, którzy zgodzą się użyć wam swojej mocy - powiedział. - I jeszcze określcie dokładne położenie tej szczeliny na waszym ziemskim niebie - dodał z przebiegłym uśmiechem. - Jeśli wam się to uda, pojawię się tam jutro rano o pierwszej zorzy.

Myślał, że nie zdołamy tego zrobić i dlatego uśmiechał się do nas z królewską wyższością. Kiepsko nas znał.

- Czy mamy wasze słowo, milordzie?

- Wątpisz we mnie?

W ustach zaschło mi szybko na widok jego nagłej wściekłości.

- Oczywiście nie, po prostu...

- Macie moje słowo - warknął, odprawiając nas. Na zewnątrz jego komnat popatrzyliśmy na siebie z Ethanem, zastanawiając się, kto jeszcze może nam pomóc. Zdecydowaliśmy się chodzić od drzwi do drzwi.

Pierwszą osobą, którą odwiedziliśmy, była lady Arabella. Okazało się jednak, że wyjechała na inspekcję podległych jej terenów, a jej służba nie potrafiła powiedzieć, kiedy ma wrócić. Skierowaliśmy się do lorda Alexandona, ale jego odpowiedzią była niewzruszona odmowa. Spędziliśmy kolejnych kilka godzin wędrując po korytarzach i odwiedzając wszystkich lordów, królów i królowe, jakich zdołaliśmy znaleźć. Okazało się jednak, że nikt, niezależnie od podnoszonych przez nas argumentów, nie zamierza sprzeciwić się woli Loriany, żeby nam pomóc. Przygnębieni i wyczerpani usiedliśmy na dziedzińcu, żeby przemyśleć naszą strategię.

Ramiona Ethana opadły, kiedy oparł łokcie na kolanach.

- Zaczynam myśleć, że to beznadziejne.

Nie mogłam uwierzyć, że się tak zachowuje. Zamierza się poddać! Spojrzałam na niego ze złością.

- Nie mów tak. Znajdziemy sposób. Jęknął cicho.

- Mamy dziesięć minut do północy i odwiedziliśmy już każdego lorda, każdą lady, wszystkich królów i królowe, którzy są tu obecni. Nikt nam nie pomo-

że. Nie zdołamy sprostać wyzwaniu lorda Penbarina. I wiesz co? On wiedział, że nam się nie uda. Nikt nie będzie chciał się sprzeciwić Lorianowi. Zaczynam myśleć, że my także nie powinniśmy tego robić.

Nie chciałam tego przyznawać, ale jakaś częśćka mojego umysłu zarejestrowała myśl, że może Ethan ma rację, że nie da się przekonać nikogo, aby zgodził się nam pomóc. Ale odmawiałam uznania, że ponieśliśmy porażkę, zanim zdążyliśmy zacząć działać.

- Musi być ktoś, kto nam pomoże. Zastanów się, Ethanie. Z kim się nie widzieliśmy?

- Jak przypuszczam, to mnie szukacie?

Oboje obróciliśmy się, słysząc głos lady Arabelli. Wróciła! Ale czy zechce pomóc?

Lady Arabella, tak delikatna i śliczna, jak ją zapamiętałam, podeszła i stanęła tuż przed nami. Przez półprzejrystą skórę widać było zawiły wzór błękitnawych żyłek.

Wzięła mnie za rękę i przykryła ją dłonią Ethana, a potem swoją własną. Popatrzyłam w jej błękitne oczy o rzęsach ozdobionych drobnymi kryształkami lodu i poczułam, że nie mogę znaleźć słów. Uniosła palec do ust.

- Nie musisz niczego mówić. Pomogę wam we wszystkim, co tylko leży w mojej mocy.

Ethan ścisnął moją rękę.

- Nadal brakuje nam jednej osoby, milady. Lord Penbarin powiedział, że będziemy potrzebować...

Lady Arabella tylko się uśmiechnęła.

- Przekonam jeszcze kogoś, aby nam pomógł. Nie martwcie się. A teraz chodźcie szybko, mamy spotkanie z naszym zacnym lordem Penbarinem.

Kiedy wróciliśmy do apartamentów lorda Penbarina, okazało się, że już śpi. Lady Arabella przeszła obok mężczyzny w luźnej szacie.

- Zbudź swojego pana, Elsepth. Zapewniam cię, że uraduje go nasza obecność.

Jej pewność siebie i fakt, że znowu staliśmy w komnatach lorda Penbarina, o krok bliżej wyprawy ratunkowej, sprawiły, że z ulgi zakręciło mi się w głowie. Musiałam siłą powstrzymać się od wybuchnięcia histerycznym chichotem.

Lord Penbarin wyłonił się z sypialni, mrucząc coś pod nosem i naciągając na siebie lśniący czerwony szlafrok.

- Co my tu mamy? No nie, nie ty, milady.

- Zdaje się, że zawarłeś z tą dwójką szlachetnych młodych ludzi układ, którego teraz musisz dotrzymać, milordzie.

- A kto będzie trzeci?

- Zostaw to mnie. Do rana znajdę trzeciego. Niechętnie przyjął do wiadomości jej obietnicę i popatrzył na mnie i Ethana.

- Jak sobie przypominam, musicie podać mi dokładne położenie szczeliny, zanim ostatecznie zgodzę się brać udział w tej katastrofie. Słucham? - Czekaj,

a na jego wargach pojawił się uśmiech pewności siebie. Myślał, że tu nas ma. Jak marni śmiertelnicy mogliby znać położenie szczeliny?

Ale lorda Penbarina nie było z nami w górach, kiedy Bogini przysłała ze świata podziemnego tę burzę. Zaczepnęłam głęboki oddech i wyrecytowałam koordynaty, które wcześniej ustaliliśmy z Ethanem. Miałam nadzieję, że nawet jeśli nie są całkiem dokładne, okażą się wystarczające.

- Trzydzieści sześć stopni na południe od równika niebieskiego, sto czterdzieści osiem stopni na wschód od południka zero.

Lord Penbarin aż otworzył usta z wrażenia, nie był zachwycony. Zawarł jednak z nami układ i jako lord Samarii nie mógł się teraz wycofać.

Rozdział 21

Isabel

Spotkaliśmy się o świcie na przełęczy ponad siedzibą Arkariana. Matt przyszedł z nami i przez moment, kiedy Ethan był zajęty dokładnym sprawdzaniem zapasów w plecakach, kusiło mnie, żeby zapytać go, czy wie, dlaczego nasz ojciec odszedł. Moje myśli wciąż krążyły wokół niedawnej wizji. Tata powiedział, że nie może dłużej żyć w kłamstwie, a mnie zżerała ciekawość, o jakie kłamstwo mu chodzi i kto był temu winny.

Ale Ethan szybko skończył przegląd plecaków. Podeszedł do nas, więc na razie porzuciłam myśli o tacie.

- Masz za małe doświadczenie - powiedział do Mat-ta. Zatopiona w myślach przegapiłam początek rozmowy, ale łatwo było złapać jej wątek. Najwyraźniej Matt niewzruszenie chciał wybrać się z nami.

- Jak mam się czegokolwiek nauczyć, skoro zamierzacie mnie chronić przed każdym możliwym niebezpieczeństwem? - Mój brat wskazał na mnie. - Isabel nie ma żadnych mocy przydatnych w walce. Wiem, że jest... no, jest naprawdę dobra we wszystkim, ale ja też bym sobie poradził na tych wyprawach. Jestem pewien.

-To nie będzie zwyczajna „wyprawa” - zbił jego argument Ethan. -Wiem, po prostu... No, muszę pilnować Isabel.

- Co?! - pisnęłam z zaskoczenia. - Właśnie sam przyznałeś, że jestem „naprawdę dobra we wszystkim”, nie zaczynaj teraz się bawić w starszego brata.

- Nie zamierzam cię przeproszać za to, że chcę cię pilnować. Po prostu zawsze to robiłem, sama wiesz. Obiecałem...

Nie skończył zdania. Zapadła niezręczna cisza.

- O co ci chodzi?

- O nic.

- Matt?

- O nic!

Cierpliwość Ethana wyczerpała się. Zamachał rękami w powietrzu.

- Słuchaj, Matt, pomijając wszystko inne Isabel jest uzdrowicielką, a uzdrawianie to jedna z najbardziej przydatnych mocy w Straży. Nie wiemy, w jakim stanie znajdziemy Arkariana i z jakimi niebezpieczeństwami będziemy się musieli zmierzyć, ale od talentu Isabel może zależeć czyjeś życie.

Matt dalej się wykłócał, udowadniając, że powinien iść z nami.

- Nie wiecie nawet, czy wasze talenty będą w ogóle działać w tym świecie.

- Może i nie, ale nie powstrzymam Isabel przed pójściem tam, nawet gdybym skuł ją łańcuchem.

Słowa Ethana przywołały obraz porwanego Arkariana, z rękami i nogami unieruchomionymi ciasną klatką. Łzy napłynęły mi do oczu, więc odwróciłam głowę, zanim któryś z nich zdążył je zauważyć. Chodziło mi zwłaszcza o Matta - i tak uważałam, że powinien mnie „chronić”, nie chciałam dawać mu do ręki dodatkowych argumentów. Dlatego zaczęłam rozglądać się dokoła, jakbym wypatrywała jakichś oznak przybycia lorda Penbarina, lady Arabelli i trzeciego członka Trybunału, którego obiecała sprowadzić. Miałam nadzieję, że pojawią się niedługo. Słońce już prawie wschodziło, było niemal zupełnie jasno.

- Mogę cię powstrzymać, Matt. Czy ci się to podoba, czy nie, jestem twoim przełożonym. - Powołanie się na hierarchię było ostatnią deską ratunku Ethana. - Odpowiadam za ciebie jako za mojego Ucznia. I nie zamierzam przestawać cię chronić tylko dlatego, że ty sam uważasz, że jesteś gotowy.

- Jestem twoim Uczniem już od roku! - Matt prawie wrzasnął. - Nie mów mi, że nie jestem gotowy!

- Arkarian był uczniem Loriany przez dwieście lat — powiedziałam cicho.

Obaj popatrzyli na mnie.

Ethan spojrział na Matta, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?”, ale kiedy się odezwał, jego głos był znacznie łagodniejszy.

- Słuchaj, wystarczy, że ryzykuję własną przyszłość. Jeśli martwisz się o Isabel, to nie wiem, ile to warte, ale będę tam. Będę się nią opiekował.

Słowa Ethana sprawiły, że jęknęłam.

- Zlitujcie się nade mną.

Poirytowana ich nadętym ego popatrzyłam na zegarek. Było już tak jasno, że zaczęłam się obawiać, iż lordowie Trybunału w ogóle się nie pojawią. A jeśli lady Arabella nie zdołała nakłonić nikogo do pomocy?

- Gdzie oni się podziali? - zapytałam w przestrzeń, rozglądając się po rozległej przełęczy.

Matt i Ethan także zaczęli się rozglądać, ale to Matt, wyższy z nich dwóch, zauważył coś jako pierwszy.

- Nie wierzę!

Wspięłam się na palce, żeby zobaczyć, na co patrzył. Ethan syknął przez zaciśnięte zęby.

- No świetnie. - Popatrzył ostro na Matta. - Ty ją tutaj zaprosiłeś? Wiesz chyba, że to nie ma być piknik. Mogłoby jej się coś stać.

-To nie ja. Przysięgam!

W końcu zobaczyłam, co ich tak poruszyło. To była Rochelle, idąca szybko pod górę z plecakiem na plecach. Zauważyła, że ją zobaczyliśmy i pomachała nam. Po chwili była już przy nas.

- Co ty tu robisz? - warknął Ethan.

Przez moment miałam wrażenie, że jego ostre słowa odebrały jej oddech. Ciemnozielone oczy Rochelle pobiegły do odległych szczytów, na których widać już było płatki śniegu.

- Daruj sobie ten entuzjizm - odezwała się w końcu. - Idę z wami.

Zareagowaliśmy natychmiast i identycznie. -Nie.

- Nie ma mowy.

- Zapomnij. Nigdzie nie idziesz.

- Mój talent może się wam przydać - nalegała, kładąc ręce na biodrach.

Miała rację, bo jej zdolności czytania w myślach i dotyku były w pełni rozwinięte, ale to niczego nie zmieniało.

- Nie możemy narażać nikogo więcej. Lorian wyrzuci nas za to - wyjaśniłam.

- Czy ty myślisz, że ja się nigdy nie narażałam? Wiesz, ile wymagała ode mnie zdrada Zakonu? To nie było takie proste. Mam teraz na karku Lathenię i Marduka. Bez pomocy Arkariana nie dałabym sobie rady. Wierzył we mnie. Zaufał mi. I czy nie udowodniłam ostatnio w Rzymie mojej lojalności?

Myślała, że nie chcieliśmy, żeby z nami szła, ponieważ jej nie ufaliśmy. Może miała częściowo rację. Czy można całkowicie zaufać byłemu szpiegowi? Jasne, była w Rzymie, ale chociaż zachowaniu Rochelle podczas

tamtej misji nie można było niczego zarzucić, skąd mieliśmy wiedzieć, czy to nie była tylko gra?

Przez moment zapomniałam, że może odczytać moje myśli, tak samo jak zapomniałam je osłonić.

- Daj spokój, Isabel. Jesteś aż takim niedowiarkiem? Masz taką sklerozę?

Zapewne chciała mi przypomnieć, jak rok temu uratowała Matta przed spłonieniem na stosie. Nie zapomniałam o tym, ale zaufanie - czy też nasz brak zaufania - nie były tu kluczowe.

- Słuchaj, Rochelle, tu nie chodzi tylko o zaufanie. Matt też chciałby pójść...

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Co?! Nie bądź idiotą, Matt. Nie masz żadnych... Tym razem Matt jej przerwał.

- Nie jestem bezużyteczny, tylko dlatego że nie mam mocy.

Na chwilę wszyscy umilkliśmy. Ciszę przerwała Rochelle.

- Nie rozumiecie. Muszę to zrobić - w jej głosie brzmiała szczerza prośba.

- Dlaczego? - zapytał Ethan.

- Z was wszystkich tylko on uwierzył we mnie bez cienia wątpliwości. Jeśli stracimy Arkariana, nie mam żadnej przyszłości. Bez niego mnie... mnie będzie trudno uwierzyć w samą siebie.

Zapadła cisza, nie wiedzieliśmy, co powiedzieć. Rochelle zawsze sprawiała wrażenie niezwykle pewnej

siebie i kompletnym zaskoczeniem było, że może być inaczej. Odwróciła głowę, mrugając gwałtownie. Była bliska łez. Ethan chciał coś powiedzieć, ale machnęła na niego ręką. Nie ustąpił i złapał ją za ramię.

- Jest jeszcze coś, co musisz zrozumieć. Popatrzyła na niego.

- Będziemy w tym świecie bez przebrania - powiedział. - Gdybyśmy spotkali jakiegokolwiek członka Zakonu, który mógłby cię rozpoznać... - potrząsnął głową. - To za duże ryzyko.

Rochelle rozważyła dokładnie każde jego słowo. Brak przebrania mógł okazać się dla niej zgubny.

- Rozumiem. Ale nie musieliście w tak oczywisty sposób okazywać, że mnie nie chcecie. Co ja mam zrobić, żebyście mnie zaakceptowali?

Po tych słowach poszła sobie, a my zostaliśmy, spoglądając na siebie w niezręcznej ciszy. Jej krótka wizyta sprawiła, że włoski na szyi zaczęły mnie mrowić.

Ethan odezwał się jako pierwszy.

- No, to było coś nowego. - Co ty powiesz - warknął Matt.

- Więc jak myślicie, skąd wiedziała, co planujemy i gdzie dokładnie nas znaleźć?

Matt po raz drugi podniósł ręce w obronnym geście.

- Nie patrz na mnie. Nie zbliżałem się do Rochelle, od kiedy wróciła.

- To jak się dowiedziała?

- Może jedno z was bezwiednie pozwoliło jej odczytać swoje myśli.

Poczułam się dotknięta oskarżeniem Matta.

- Jedno z nas? Wzruszył ramionami.

- A nie byliście z nią dopiero co na misji?

Wymieniliśmy z Ethanem spojrzenia pełne namysłu. Na ile ostrożni byliśmy w towarzystwie Rochelle? Wiedzieliśmy, że każdemu zdarza się popełniać błędy.

Nie było też całkiem wykluczone, że Rochelle mówiła prawdę, twierdząc, że Arkarian w nią wierzył. Jeśli tak było, ja także powinnam jej zaufać. Szczerze mówiąc, wszyscy powinniśmy.

Myśli o Rochelle uleciały mi z głowy, a cichy świst powietrza sprawił, że serce zaczęło mi bić szybciej. Wszyscy troje cofnęliśmy się na ten dźwięk, ponieważ przed nami pojawili się lord Penbarin i lady Arabella. Przeprowadzili ze sobą królową Brystianne! Nie mogłam powstrzymać się od uśmiechu i podskakiwania w miejscu - zupełnie jak nadpobudliwa ruchowo dwulatka. W końcu przybyli lordowie Trybunału — cała trójka — i mogliśmy zaczynać.

Lord Penbarin popatrzył w niebo, kiedy tylko jego ciało zmaterializowało się do końca. Ponad nami na ułamek sekundy rozblęsnął zygzak światła w jaskrawych barwach. Gdybyśmy nie patrzyli we właściwym kierunku, żadne z nas by niczego nie zauważyło.

- No pięknie, najwyraźniej was nie doceniłem. -Popatrzył na Matta, uniósł jedną elegancko wygiętą brew, a potem, jakby rozpoznając go albo coś sobie przypominając, lekko skłonił głowę. - Nie byliśmy chyba sobie przedstawieni.

Ethan zaprezentował go.

- Oto mój Uczeń, Matt Becket.

Lord Penbarin nie mógł oderwać spojrzenia od Matta. W końcu odezwał się do Ethana:

- Nie sędzę, aby długo nim pozostał.

To były dziwne słowa. Ethan popatrzył na mnie, marszcząc brwi. Lekko wzruszyłam ramionami.

Lady Arabella zbliżyła się do nas. Na widok Matta westchnęła cicho. A potem zrobiła coś niezwykłego - zebrała szeroką suknię w obie dłonie i dygnęła głęboko. Kiedy podniosła głowę, jej oszronione rzęsy trzepotały na białych policzkach.

- Miło mi ciebie poznać.

Następna była królowa Brystianne. Wzięła Matta za rękę i wpatrywała się w niego trochę dłużej niż nakazywałaby grzeczność. Jej ramiona uniosły się, kiedy odetchnęła głęboko. Kompletnie mnie zaskoczyła. Była tak zdenerwowana, że miała problemy z oddychaniem! W końcu puściła dłoń Matta i obdarzyła go zalotnym uśmiechem.

Nie mogłam uwierzyć! Ta kobieta się zarumieniła!

Dziwna reakcja całej trójki na widok mojego brata była zastanawiająca. Co tu się działo? Ale nie mogłam

przecież ich zapytać, zrobiłabym z siebie idiotkę. Lord Penbarin nagle zaczął się okropnie spieszyć.

- Lepiej zaczynajmy, zanim ktoś odkryje, co zamierzamy.

Jego słowa zaniepokoiły mnie, ale byłam w pełni gotowa.

- Gdzie mamy stanąć?

- Cóż, moja miła, podobnie jak wy, pracowałem nad tym, by jak najlepiej to wszystko przygotować -wyjaśnił lord Penbarin. - Z pomocą lady Arabelli przejrzałem w nocy tysiące starożytnych tekstów.

- Jak ma nastąpić to przeniesienie pomiędzy światami? - zapytał Matt.

Może to była tylko moja wyobraźnia, ale słowa Matta sprawiły, że ramiona lorda Penbarina wyprostowały się, jakby właśnie wręczono mu nagrodę Lorda Roku.

- Wykorzystamy w tym celu boski generator mocy. Zauważył nasze nierozumiejące spojrzenia i ciągnął dalej:

- Utworzymy piramidę z naszych ciał o podstawie ośmiokąta. To naczynie dla starożytnych mocy.

- Mamy być częścią tego układu? - zapytałam, nadal nie do końca rozumiejąc.

- Ty i Ethan staniecie we wnętrzu piramidy utworzonej przez nasze ciała.

- Ale jak możecie utworzyć taki kształt, skoro jest was tylko troje?

Lady Arabella wyciągnęła dłonie, w których natychmiast pojawił się biały pleciony sznur.

- Wykorzystamy to do wyznaczenia ośmiokątnej podstawy. Następnie staniemy w środku ośmiokąta i utworzymy piramidę z naszych ciał.

- Pomysł jest taki - dalej tłumaczył Mattowi lord Penbarin, zupełnie jakby to on się wybierał w podróż, podczas kiedy właśnie on nigdzie nie miał się ruszać - żeby wykorzystać nasze połączone moce i zmusić szczelinę, by otworzyła się na chwilę jak drzwi prowadzące z jednego świata do drugiego.

Lady Arabella przejęła inicjatywę, łagodnym głosem wyjaśniając resztę Ethanowi i mnie.

- Zostaniecie wrzuceni w czasowy wir. Żadne z nas nie jest pewne, co się stanie potem. Uważamy, że siły natury i grawitacja przeniosą was do świata podziemnego. Te same siły grawitacji powinny zamknąć za wami szczelinę.

- Problem polega na tym - w głosie lorda Penbarina zabrzmiał jeszcze większy pośpiech - że ponieważ nigdy wcześniej nie łączyliśmy naszych mocy, żeby osiągnąć coś tak wielkiego, nie mamy pewności, co się stanie. Jeśli szczelina otworzy się na dłużej niż przewidywaliśmy, istnieje możliwość, że jakaś istota ze świata podziemnego zdoła się przedostać na Ziemię.

- A dlaczego to takie nieszczęście? - zapytałam. Miałam wrażenie, że cała trójka arystokratów jednocześnie odetchnęła głębiej.

- Ponieważ, moja miła - wyjaśnił lord Penbarin - to jest sprzeczne z naturą. Z porządkiem życia. Z drogą przemieszczania się dusz. Z wiecznością.

- Nie rozumiem.

Lady Arabella spróbowała wyjaśnić.

- Milord próbuje powiedzieć, że istoty zamieszkujące obecnie świat podziemny zachwiałyby równowagą naszego środowiska naturalnego.

Lord Penbarin machnął ręką w powietrzu.

- Ha! Już raz próbowały.

- Ich obecność... sam wygląd istot z innego świata wywołałby panikę i chaos, jakich ten świat jeszcze nie widział.

Cała trójka znowu się wzdrygnęła.

- A co z nami? - zapytał Ethan. - Czy nasza obecność nie zakłóci równowagi ich środowiska?

Lady Arabella niemal niedostrzegalnie wzruszyła ramionami.

- Nie wiemy, jakie efekty będzie miała wasza wizyta, ale ponieważ ich świat już jest rządzony przez chaos, przypuszczamy, że nie będą one znaczące.

Rozmiary tego, co zamierzaliśmy zrobić - i to z mojej inicjatywy - nagle dotarły do mnie, odbierając mi na moment mowę. Było to zatem niebezpieczne nie tylko dla mojego świata, ale także dla tego drugiego. Poczulałam w środku przypływ paniki.

Oczami duszy zobaczyłam wtedy łagodną twarz Arkariana i to pomogło mi wziąć się w garść.

- Ryzyko wydaje się ogromne, ale czuję, że muszę przynajmniej spróbować sprowadzić z powrotem Arkariana. Mam tylko nadzieję, że wy nie będziecie mieli nieprzyjemności za to, że nam dzisiaj pomogliście.

Lady Arabella wzięła mnie za rękę.

- Kochane dziecko, nikt nas do niczego nie zmuszał. Nawet zacnego lorda Penbarina - dodała z uśmiechem. - Arkarian jest drogi każdemu z nas w ten czy inny sposób. Dla niego z własnej woli i z głębi serca zgadzamy się podjąć każde ryzyko.

Byłam jej wdzięczna za te słowa, chociaż nadal czułam ukłucie winy. Dwoje ludzi przechodzących przez szczelinę w niebie na pewno przyciągnie uwagę - nie ma szans ujść oczom nieśmiertelnego. Ale jak dotąd nigdzie nie było śladu Lorian. Na razie nie zrobiliśmy jeszcze niczego przeciwko Straży - może poza planowaniem aktu nieposłuszeństwa. Gdyby ktoś nas zobaczył teraz, moglibyśmy po prostu powiedzieć, że podziwiamy wschód słońca. Dopiero kiedy wkroczymy do innego świata, będziemy mogli zostać oskarżeni o zdradę. Ale kiedy już tam się znajdziemy, nawet Lorian nie będzie w stanie zatrzymać wyprawy ratunkowej. Będziemy mieć dość czasu na stawienie czoła choćby najcięższym oskarżeniom po powrocie.

Kiedy snułam te myśli, lady Arabella ułożyła sznur w kształt ośmioboka i udzieliła nam kilku ostatnich porad.

- Postaramy się obserwować ten obszar w poszukiwaniu jakiegoś znaku, ale sprowadzenie was z powrotem nie będzie łatwe. Najprawdopodobniej sami będziecie musieli znaleźć drogę. Mam nadzieję, że Arkarian będzie wiedział, jak tego dokonać.

Ułożyła sznur i popatrzyła na Ethana, który po raz kolejny zaczął sprawdzać nasze zapasy. Przeglądał zawartość plecaków, bezgłośnie wymieniając poszczególne rzeczy: latarka, baterie, jedzenie (głównie suszone), woda, zapalki, liny... Lady Arabella podeszła do niego i podała coś przypominającego dwa długie, obszyte futrem płaszcze i dwie pary czarnych skórzanych rękawic.

- Będziecie tego potrzebować tam, gdzie się udajecie. Włóż je do plecaka. Wyglądają na obszerne, ale nie zajmą wiele miejsca, zaufaj mi.

Spojrzała szybko na lorda Penbarina i królową Brystienne, jakby próbowała podjąć jakąś decyzję. Lord Penbarin skinął lekko głową.

- Nie wiemy, jakie próby was czekają - powiedziała. - I, no cóż, nie będziemy mogli wam stąd pomóc, jeśli natraficie na jakieś trudności, ale możemy udzielić wam kilku rad. Słuchajcie uważnie.

Zamieniliśmy się w słuch.

- Miejcie siłę, miejcie odwagę i idźcie za głosem serca.

Ethan i ja spojrzeliśmy na siebie z zaskoczeniem. O czym ona mówiła? Oddaliła się szybko, uznając te-

mat za zakończony. Ethan patrzył na mnie jeszcze przez chwilę, a potem lekko wzruszył ramionami.

- Pomóż mi spakować te płaszcze, żebyśmy mogli ruszać.

Pomogłam Ethanowi wepchnąć płaszcze do jednego z plecaków. Prawie nie zajmowały miejsca w środku, zwijając się tak, że stały się niemal niewidoczne.

Ze spakowanymi plecakami Ethan i ja stanęliśmy wewnątrz ośmioboku. Lord Penbarin i królowa Brystienne podeszli i dołączyli do lady Arabelli, stawiając stopy starannie na przestrzeni wyznaczonej przez biały sznur. Następnie złączyli dłonie nad naszymi głowami, tworząc nieco asymetryczny kształt piramidy. Wyjrzałam pomiędzy nimi i zobaczyłam Matta wpatrującego się w środek tej konstrukcji. Nagle uderzyła mnie myśl, że zapomnieliśmy się pożegnać.

Syczący dźwięk ponad nami stawał coraz głośniejszy, a moce trójki arystokratów zaczęły działać. Spływało po mnie gorąco z ich złączonych rąk. Popatrzyłam w górę i zobaczyłam, że ich palce świecą pomarańczem i bielą, a pomiędzy nimi przeskakują z sykiem i trzaskiem wyładowania mocy. Ich głowy pozostawały nieruchome i wyprostowane, oczy zamknięte, oddychali powoli i miarowo. Powietrze wewnątrz piramidy zaczęło się zmieniać.

Dwie rzeczy zdarzyły się niemal jednocześnie. Pierwszą była eksplozja w środku piramidy, która spowiła nas oślepiająco jasnym światłem i sprawiła, że moje

ciało zaczęło mrowić, jakby zostało naładowane elektrycznością. Po drugie zaś, mój brat skoczył pomiędzy lady Arabellę i królową Brystianne i wepchnął się mocno między Ethana i mnie, lądując dokładnie w środku ogniska mocy.

Ethan wrzasnął i spróbował go odepchnąć, ale Matt trzymał się nas obojga kurczowo. Światło i moc wewnątrz piramidy zaczęły gwałtownie narastać, miałam też dziwne wrażenie, jakby coś wysysało moje ciało jednocześnie we wszystkich kierunkach. Nawet myślenie stało się zbyt trudne.

Następną rzeczą, jaką zarejestrowałam, było to, że cała nasza trójka zaczęła się poruszać, pchana w górę siłami, na które nie mieliśmy wpływu. Miałam wrażenie, że moje własne ręce, które trzymałam przed sobą, uległy zniekształceniu. Plecaki spadły nam i zaczęły wirować w powietrzu. Wszyscy troje zostaliśmy pochwyceni przez dziwaczny wir. Powietrze pociemniało, ale nie stało się czarne, wydawało się raczej nieskończone.

Wir zaczął nabierać siły i wszyscy troje poruszaliśmy się po spirali do jego nasady. Kiedy się do niej zbliżyliśmy, przytrzymujące nas siły stały się jeszcze mocniejsze. Nie słyszeliśmy nawzajem swoich głosów, chociaż widziałam, że Ethan porusza ustami. Najwyraźniej nie działała na nas grawitacja, a nasze ciała wirowały w różnych kierunkach. Zrobiło się jeszcze ciemniej, a wiatr przybrał na sile i zamienił się w ogłuszające wycie. Teraz widziałam już tylko cienie.

Zacząłam się zastanawiać, jak długo jeszcze to wytrzymam. Ciśnienie wywierane na moje kończyny było nieznośne. Ale nagle zaczęliśmy spadać — szybko i chyba z dużej wysokości. W dodatku ciemność stała się całkowicie nieprzenikniona. W ogóle nie widziałam pozostałych, ani nawet swojego plecaka, ale wyczuwałam, że zaraz uderzymy o ziemię. I nie potrzebowałam szóstego zmysłu, żeby wiedzieć, że to będzie bolało.

Rozdział 22

Arkarian

Sera nie posiadała się z radości, podskakiwała jak podekscytowane dziecko. - Są tutaj! Są tutaj! Będę wolna, wolna, wolna! - piszczała.

Wirowała, zataczając duże koła wokół komnaty, aż w końcu zakreśliło się jej w głowie i padła na ziemię koło mnie. Usiadła i przytrzymała głowę, aż zawroty ustały, a potem uśmiechnęła się do mnie, przepelniona szczęściem.

Chciałbym móc odczuwać taki sam entuzjizm, ale wiedziałem, że ich podróż nie będzie łatwa. Po pierwsze, widziałem żyjące tu stwory - częściowo ludzi, częściowo ptaki i częściowo zwierzęta, nazywane wrenami. Widziałem, że są całkowicie lojalne wobec Mar-

duka. A jeśli nawet Ethan i Isabel dotrą aż nad jezioro otaczające Obsydianową Wyspę, jak się przez nie przeprawią? Nie wspominając o tym, w jak niekorzystnej sytuacji znalazła się Straż na czas ich nieobecności. Lathenia pewnie zaciera już ręce na myśl o osłabieniu Veridianu. Nie chciałem sobie nawet wyobrazić, jaki chaos planowała rozpętać.

Zwlokłem się z fotela i dołożyłem do ognia, żeby spróbować ogrzać trochę rozpaczliwie zimne powietrze. Ale nawet tak niewielki wysiłek drogo mnie kosztował. Opadłem z powrotem na fotel, kaszląc ciężko. Do ust napłynęła mi krew wraz z żółcią - splunąłem do glinianej misy, którą w tym celu przyniosła mi Sera. Naczynie było już wypełnione w trzech czwartych.

Sera położyła dłoń na moim kolanie, częściowo przez nie przenikając.

— Ona cię już niedługo uzdrowi.

Pomyślałem, że może być już za późno na uzdrawianie, nawet dla Isabel. Moje nerki całkowicie odmówiły posłuszeństwa, a w każdej komórce ciała zbierał się płyn. Zostało mi niewiele czasu do śmierci z powodu zatrucia krwi i było bardzo prawdopodobne, że nigdy już nie zobaczę Isabel ani Ethana. Gdybym tylko mógł ich w jakiś sposób poprowadzić albo chronić - spróbowałem wyczuć ich obecność, tak jak robiła to Sera, ale napotkałem tylko pustkę. Nadal byłem pozbawiony mocy, coś takiego nie zdarzyło się od

czasów mojej młodości we Francji. Miałem wrażenie, że jestem w najlepszym razie połową samego siebie. Poczulem przypływ gniewu. Musiałem coś zrobić!

- Popatrz! - zawołała Sera. Nie mogła niczego widzieć, ale była tak podekscytowana na myśl o tym, że jej marzenia się spełnią, i nie mogła usiedzieć w miejscu.

Odwróciła się od drzwi i podeszła do mnie, niosąc miskę zielonej papki i kubek z wodą.

- Pada śnieg. Myślisz, że zabrali odpowiednie ubrania? Nie chciałabym, żeby mój brat zamarł na śmierć, zanim mnie znajdzie.

Zamieszałem papkę, zastanawiając się, co to może być. Zjadłem trochę i musiałem splukać smak sporą ilością wody. Na moment odebrało mi oddech. Oddałem Serze miskę i podziękowałem.

- Czy mogłabyś sama znaleźć Ethana i przyprowadzić go tutaj? Nie jesteś przecież przywiązana do tego miejsca.

- Ale nie potrafię latać, a to jedyna metoda, żeby wydostać się z wyspy.

- To niemożliwe.

- Ta wyspa jest moim więzieniem.

- Jak to? Skoro zostałem tutaj przywieziony, dlaczego ty albo ja nie możemy wydostać się tą samą drogą?

- Zostałeś przywieziony w stalowej łodzi.

Miała rację. Pamiętałem lodowate zimno stali na mojej skórze.

- Co jest nie tak z tą wodą, Sero?

- To nie woda, Arkarianie. Na tym polega problem. Jezioro jest wypełnione kwasem.

Kwasem?! Nie! Jak Ethan i Isabel mają przeprowić się przez jezioro kwasu? I z jakimi innymi niebezpieczeństwami będą musieli się zmierzyć, żeby w ogóle nad nie dotrzeć?

- Sero, oni są tu w ogromnym niebezpieczeństwie. Powiedz im, żeby wracali. Może jeszcze zdążą, zanim szczelina się zamknie i stracą z oczu jej położenie. Powiedz im, Sero. Powiedz swojemu bratu, żeby wracał.

Sera zerwała się i tupnęła nogami.

- Nie zrobię tego! Oni wszyscy niedługo tu będą!

Słowo „wszyscy” wyparło wszystkie inne myśli i sprawiło, że moje serce załomotało. Nie mogło ich przecież być więcej niż dwoje?

- Sero, ile osób przeszło do tego świata? Zastanawiała się przez moment.

- Jest ich troje.

- Troje? Niemożliwe! Dlaczego troje?

To nie było pytanie skierowane do Sery, po prostu nie mogłem uwierzyć, że trzy osoby znalazły się tutaj, ryzykując życiem. Nie odpowiedziała mi zresztą, wzruszyła tylko szczupłymi ramionami.

- Wiesz, kto to jest? Możesz ich zobaczyć?

- No, jest mój brat. I jest ta dziewczyna, która go kocha.

Jej upór w tej sprawie irytował mnie jak grzechoczący w bucie kamyk.

- Skąd wiesz, że Isabel jest zakochana w Ethanie? Przekrzywiła głowę w prawo, a jej oczy i cała twarz nabrały wyrazu rozmarzenia.

-Wyczuwam to bardzo wyraźnie, kiedy kontaktuję się z tą dziewczyną. Łączy ich szczególna więź.

- Przyjaźń może być szczególną więzią.

-To coś więcej - powiedziała ku mojej bezbrzeżnej irytacji.

- Przywiązanie może być podobne do miłości, chociaż w rzeczywistości jest tylko bliską przyjaźnią.

- Jestem pewna, że wyczuwam między nimi miłość. Ogarnęła mnie złość, której nie potrafiłem stłumić.

- Mylisz tę miłość, którą wyczuwasz, z miłością, jaką darzy się rodzeństwo.

- Może nie wiem zbyt wiele o miłości - przyznała cicho. - Ale pamiętam, jak mój ojciec kochał moją mamę i jak ona go kochała. Pamiętam też, jak mój brat nie odstępował mnie na krok, nawet jeśli się cały czas kłóciliśmy. To także była miłość, ale inna.

Jej słowa sprawiły, że mój gniew wyparował. Jak wiele ominęło ją w życiu? Nie tylko miłość jej brata i rodziców, ale także przynależność do Straży. Popatrzyłem na dziewczynkę, siedzącą i zapatrzoną w ogień, którego blask na jej bladej skórze sprawiał, że wydawała się niemal żywa, i poczułem tylko żal za tym, co mogło być. Chociaż śmierć uwięziła ją w ciele i umyśle dziecka, siła jej charakteru mimo wszystko pozostawała widoczna. Byłaby jedną z najlepszych w Straży.

Kiedy tak siedziałem i rozważałem to, co niemożliwe, nie przestawała mnie dręczyć kwestia tożsamości trzeciej osoby. Kto to mógł być? Shaun? Czy może Jimmy? Na pewno nie Marcus Carter, on najprawdopodobniej mnie zastępował.

- Powiedziałaś, że jest ich troje. Ethan i Isabel to dwie osoby. Kim jest ta trzecia?

Oparła podbródek na kolanach i sprawiała wrażenie zamyślanej.

- Nie wiem - odparła w końcu. - Nie mogę niczego wyczuć, kiedy próbuję nawiązać kontakt. Zupełnie jakby umysł tej osoby spał.

- Ale możesz dosięgnąć Ethana i Isabel.

- Tak, ale myśli Ethana są niejasne i niczego z nich nie rozumiem. Ta dziewczyna jest znacznie bardziej wrażliwa.

- Możesz skontaktować się z Isabel i przez nią dowiedzieć się, kim jest ten trzeci wędrowiec?

Wzruszyła ramionami.

- Raczej nie. Nie możemy komunikować się tak, jakbyśmy rozmawiały.

Pomyślałem o tym talencie Sery, który ze wszystkich sił starała się rozwinąć. Dobrze sobie radziła, biorąc pod uwagę, że nie była prawidłowo szkolona. Ta myśl sprawiła, że zastanowiłem się, jak Isabel idzie rozwijanie jej talentu. Nie sądziłem, aby już rozumiała jego prawdziwy potencjał. Chciałbym móc ją tego nauczyć. Ale nawiązanie jakiegokolwiek kontaktu by-

łoby w tym momencie niezwykłą pomocą dla wędrującej trójki. Być może z pomocą Sery zdołają uniknąć części niebezpieczeństw. I może marzenia Sery o wolności w końcu się spełnią.

- Sero, powiedz mi o wszystkim, co widzisz i czujesz, kiedy nawiązujesz kontakt z Isabel.

- Dlaczego? - zapytała z dziecięcą niewinnością. Wziąłem ją za rękę i powiedziałem dokładnie to,

co chciała usłyszeć, żeby zaczęła ze mną współpracować.

- Żebyśmy mogli przyprowadzić twojego brata prosto do nas.

Rozdział 23

Isabel

Uderzyłam o ziemię, tracąc przy tym równowagę. Usiadłam na zmarzniętym podłożu i odetchnęłam głęboko, żeby się uspokoić. Nagły, ostry, syczący dźwięk sprawił, że włosy stanęły mi dęba. Przez ułamek sekundy myślałam, że ktoś - lub coś — dotyka mojego ramienia. Szarpnęłam się i odwróciłam w miejscu. - Kto to?

Odpowiedziała mi cisza i świst przenikliwego wiatru między pobliskimi drzewami. Znowu odetchnęłam i szybko uzdrowiłam swoje obrażenia — na szczęście obeszło się bez złamanych kości, tylko kilka paskudnych szram na rękę i stłuczone biodro, które wzięło na siebie większość impetu upadku.

Po zakończeniu leczenia zaczęłam na czworakach poszukiwać plecaka. Nie mogłam uwierzyć, że okazałam się tak głupia, żeby zostawić w nim latarkę. Ciemność była trudna do zniesienia. Wstałam, ale czułam się kompletnie dezorientowana. Gdzie się podział Ethan? A Matt? Zaskoczył nas oboje, wskakując do wnętrza piramidy dokładnie w momencie

przeniesienia.

Zimną ręką zamknęła się na mojej kostce. Wrzasnęłam.

- Cśśś, pobudzisz umarłych - powiedział Ethan z ziemi. Obróciłam się tak szybko, że straciłam równowagę. Ethan zdążył mnie złapać, zanim przewróciłam się na niego. - Hej, uważaj na moją nogę. Chyba

jest złamana.

Przykucnęłam obok niego i postarałam się przestać dygotać. Poprowadził moje ręce do swojej nogi, ale źle zrozumiał ich drzenie.

- Lodownia, no nie?

Obmacałam jego nogę, oceniając uszkodzenia.

- Fakt, przydałby mi się płaszcz lady Arabelli. Ale wiesz co? To nie ten chłód mnie mrozi do kości.

Powietrze nad nami rozdarł żalosny skrzek, sprawiający, że chwyciliśmy się za ręce.

- Wiem, o czym mówisz - syknął Ethan.

- Co to miało być?

- Pewnie twój brat - odparł żartobliwie, zdając sobie sprawę z mojego przerażenia. Ale jego wymuszo-

ny humor niewiele mi pomógł. Nie odpowiedziałam ani słowem.

- Pospiesz się i uzdrów mnie, Isabel - powiedział. -Będę się czuł pewniej z obiema nogami sprawnymi.

Z trudem zdołałam się zmusić do koncentracji, serce waliło mi jak wściekłe nieregularnym rytmem.

- Jak myślisz, gdzie są nasze plecaki? Uwierzysz, że zostawiłam w nich latarkę?

- No wiem, ja też - mruknął.

Nagle światło latarki odsłoniło rozległą kamienistą równinę pokrytą płatami śniegu. Zobaczyłam Matta, który skierowawszy latarkę w dół, wspiał się do nas po śliskich gładkach.

Podszedł bliżej i poświecił na Ethana.

- Hej, co ci się stało?

- Złamał nogę przy upadku. Widzisz nasze plecaki? Przytrzymał latarkę dokładnie nad raną Ethana.

- Jak skończysz go naprawiać, poszukam ich. Odsunęłam latarkę.

- Nie potrzebuję tyle światła, za to przydałyby się nam cieplejsze ciuchy. Postaraj się znaleźć nasze plecaki z tą latarką.

- On nie powinien niczego szukać - odezwał się Ethan głosem, który mógł równie dobrze być napięty z bólu, jak i ze złości. Popatrzył na Matta. - Nie powinno cię tutaj być. Wiesz, co zrobiłeś? - Nie czekał na odpowiedź. - Ryzykujesz własne życie i pakujesz nas w jeszcze głębsze bagno, kiedy wrócimy.

- Nikt nie może ciebie winić. Sam odpowiadam za swoje decyzje.

- Nie w Straży. Jesteśmy odpowiedzialni za siebie nawzajem. A teraz będziemy jeszcze musieli ciebie pilnować. Będziesz tu tylko kulą u nogi.

No nie, znowu zaczynali. Wiedziałam wprawdzie, że działanie Matta mogło budzić wątpliwości, ale słowa Ethana wydały mi się zbyt ostre. Był tu z nami i nie mogliśmy nic na to poradzić. Wskazałam latarkę Matta.

- Bez tego mielibyśmy pewnie problemy ze znalezieniem plecaków, więc chyba już nam się zdołał przydać.

Ethan nie odpowiedział, prychnął tylko. Matt oznajmił, że zobaczył nasze plecaki. - Tam są, widzicie? Pójdę po nie.

- Nie ruszaj się z miejsca! - wrzasnął na niego Ethan.

- Kiedy Isabel skończy z moją nogą, pójdziemy po nie razem, jasne? Tutaj nie rozdzielamy się nawet na minutę. Moglibyśmy się pogubić w tej ciemności, ot tak

- pstryknął palcami. - Skoro już tu jesteś, nie wolno ci się ruszyć na krok, jeśli nie dostaniesz zgody od Isabel albo ode mnie. Rozumiesz?

- Okej! Tak czy inaczej nie mam ochoty sam się tu szwędąć. - Wzdrygnął się, spoglądając w ciemność.

Ethan wstał i wypróbował nogę.

- Świetnie. Dzięki, Isabel. Przynajmniej wiemy, że nasze moce nadal działają.

- A twoje skrzydła? - Ta zdolność mogłaby być dla

nas najpożyteczniejsza. Gdyby Ethan mógł wykorzystać skrzydła do poszukiwań w tym miejscu, mielibyśmy szansę szybciej *znaleźć* Arkariana.

Rozejrzał się, ale jego pole widzenia ograniczał zasięg światła latarki Matta.

- Musiałbym wiedzieć, dokąd się wybieram. Potrzebowałbym sekundy albo dwóch, ale nie mam pojęcia, jak wygląda krajobraz wokół nas. Łatwo byłoby się zgubić. Poza tym - dodał - nie panuję jeszcze nad nimi całkowicie. Mógłbym wylądować gdziekolwiek.

Zostało zatem postanowione, że Ethan nie powinien nawet próbować korzystać z mocy lotu. Gdyby przypadkiem wylądował gdzieś sam, wszystko jedno, blisko czy daleko, mógłby się zgubić na zawsze. To była przerażająca myśl.

Znaleźliśmy oba plecaki, a ponieważ Matt przyniósł własną latarkę, postanowiliśmy oszczędzać jedną z naszych.

Ciemność była znacznie głębsza niż sobie wyobrażałam, ale ponieważ światło z latarek Matta i Ethana oświetlało wystarczającą przestrzeń, żebym widziała, dokąd idę, chętnie zostawiłam własną latarkę schowaną bezpiecznie w plecaku. Nie wiedzieliśmy, jak długo potrwa ta podróż, a bez światła bylibyśmy w naprawdę głębokich tarapatach.

Ethan poszukał w swoim plecaku płaszców i rękawiczek od lady Arabelli. Wyciągnął pierwszy płaszcz, który po rozwinięciu okazał się jakby szyty dla mnie

na miarę, a następnie podał mi parę rękawiczek. Spojrzał na Matta.

- Lady Arabella nie dała nam zapasowego zestawu dla podróżników na gapę - powiedział.

To były naprawdę ostre słowa, nigdy wcześniej nie widziałam Ethana tak rozzłoszczonego. Musiał być naprawdę wściekły, że Matt tak nas podszedł. Ugryzłam się w język - będą musieli załatwić to między sobą. Miałam i bez tego dość zmartwień. Zaproponowałamby mój płaszcz Mattowi, ale wiedziałam, że go nie przyjmie. Nie było sensu nawet próbować, jego nadopiekuńczość wobec mnie nie pozwoliłaby mu na to. Dlatego naciągnęłam na siebie płaszcz, postawiłam kaptur i natychmiast poczułam ulgę. Był niesamowicie ciepły, a rękawiczki pasowały jak ulał. Ethan wydał nagle dziwny dźwięk z głębi gardła.

- Hm? Co to?

- Co takiego? - zapytałam.

- Popatrz! - Wyciągnął dwa kolejne płaszcze i dwie pary rękawiczek. - Jakim cudem dostaliśmy trzy komplety? Przysięgłbym, że lady Arabella podała mi dwa płaszcze i dwie pary rękawiczek. Skąd się wzięły te trzecie? Byłaś przy tym, Isabel. Pomagałaś mi pakować plecak.

- No wiem. Ale lady Arabella musiała... - Popatrzyłam na mojego brata, szukając jakichś wskazówek.

- Wiesz coś o tym?

Uśmiechnął się tylko, zacierając ręce dla rozgrzewki.

- Czy ja wyglądam, jakbym coś wiedział? Może to dla Arkariana. Kiedy go już znajdziecie.

Ethan nie kupił tego wyjaśnienia.

- Więc dlaczego lady Arabella tego nie powiedziała?

- Może powiedziała, tylko nie słuchałeś.

- Serio?

- No, pewnie powiedziała:, A tu macie trzeci płaszcz, dla Arkariana".

Miałam wrażenie, że jeśli pociągną to dłużej, zaczną krzyczeć. Wtrąciłam się, zanim Ethan zdążył się odgryźć, a cała ta głupia kłótnia zdążyła się jeszcze bardziej wyrwać spod kontroli.

- Słuchajcie, ja też tego nie rozumiem, ale wiem jedno: wiatr robi się coraz zimniejszy. A my powinniśmy się spieszyć.

Ethan popatrzył ze złością i cisnął trzeci komplet Mattowi, który szybko założył płaszcz i rękawice.

Wybór kierunku był pierwszą ważną decyzją, prawdopodobnie kluczową. Po chwili niezręcznej ciszy zaczęliśmy dyskutować, gdzie iść i jak uniknąć krążenia w kółko.

- Powinniśmy zostawić jakiś znak - zaproponował Ethan.

Ale na ziemi były niemal wyłącznie kamienie, zaczynał właśnie padać śnieg. Ethan wyciągnął zawinięty w czerwoną chusteczkę kompas. Zdecydowaliśmy już, że ruszymy na północ, ale jego okrzyk sprawił, że ja i Matt pochyliśmy się, żeby zobaczyć, co jest nie tak.

- Kurczę.

Igła kompasu wirowała jak wściekła, nawet nie w jednym kierunku, tylko zgodnie z ruchem wskazówek zegara i przeciwnie do niego, bez żadnych widocznych prawidłowości.

- Może stoimy na magnetycznej skale?

Ethan wsunął kompas do kieszeni spodni i wepchnął chusteczkę w szczelinę wielkiego głazu, po czym szarpnął ją mocno, żeby sprawdzić, czy dobrze siedzi.

- Możliwe - powiedział bez entuzjazmu. - Później spróbujemy jeszcze raz, ale na razie musimy zdecydować, który kierunek zamierzamy nazwać północą, i trzymać się tego.

W ciemności zabrzmiał kolejny żaloszny skrzek. Popatrzyliśmy na siebie szeroko otwartymi oczami.

- Czy ktoś ma jakiś pomysł, co to za dźwięk? - zapytał Matt.

Chociaż trudno było określić kierunek, z którego dochodził dźwięk, miałam wrażenie, że dobiega zza moich pleców. Wskazałam przed siebie.

- Założmy, że tam jest północ. Wyruszyliśmy w drogę, nie wiedząc tak naprawdę,

dokąd idziemy. Bez kompasu, słońca, gwiazd lub księżyca byliśmy naprawdę w rozpaczliwym położeniu.

Jakiś czas potem stwierdziliśmy, że nie idziemy już po skałach. Teren się zmienił, stał się bardziej żyzny, choć w innym miejscu pozbawionym światła słonecznego i tak niewiele mogło wyrosnąć. Szybko okazało

się, że weszliśmy do jakiejś doliny. Coś przypominającego trawę wyczuliśmy pod stopami. Mogło być mokre od roztopionego śniegu lub niedawnego deszczu, albo też od wód gruntowych. Nie mieliśmy jak tego stwierdzić. Tu i ówdzie stały samotne i ogołoczone drzewa, z najwyższej kilkoma liśćmi. Weszliśmy na jeszcze bardziej bagnisty grunt, porośnięty cienkimi, omszałymi drzewami. Korzenie i niższe gałęzie jednych skuwał lód, inne maczały się w cuchnącej, stojącej wodzie. Mieliśmy szczęście, że nosiliśmy buty za kostkę.

Matt podniósł nogę, ociekającą brunatną wodą.

- Obrzydlistwo. Czujecie ten smród?

Ale to nie zapach przykuł moją uwagę. Dźwięk w oddali sprawił, że zaczęłam się rozglądać, wyężając wzrok.

- Co to jest? - zapytał Ethan.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, wszyscy troje usłyszeliśmy to. W niczym nie przypominało tamtego skrzeczenia, które na szczęście zostawiliśmy za sobą. To było raczej buczenie. Przycichło na chwilę, a potem zabrzmiało znowu, tym razem głośniejsze.

- Jak myślisz? - powtórzył pytanie Ethan.

- Nie wiem. Może owady?

- W tej temperaturze?

Matt miał odmienne zdanie i najwyraźniej całkowicie inne poglądy na funkcjonowanie tego świata.

- Kto powiedział, że muszą być żywe?

Ethan i ja popatrzyliśmy na niego, ciekawi, czy rozwinię myśl, ale on tylko uniósł brwi i wzruszył ramionami.

Buczący dźwięk zamienił się w brzęczenie i stał się nieznośnie głośny. Z trudem słyszeliśmy siebie nawzajem. Z ruchu warg Ethana zdołałam odczytać ostrzeżenie.

- Lepiej znajdziemy jakąś kryjówkę. Za późno. Zza mrocznego horyzontu wyłonił się wielobarwny blask. Kilka sekund później zostaliśmy otoczeni przez miliony brzęczących owadów w kolorach czerwieni, błękitu, fioleto, a nawet różu. To były świetliki! Niektóre z nich miały barwy, jakich w życiu nie widziałam.

Zasłoniliśmy dla ochrony twarze rękoma, otulając się ciasniej płaszczami. Mimo wszystko niektóre owady przedostały się między moimi palcami i hałaśliwie trzepotały o moją twarz. Nie zostały z nami długo- niebawem oszłamiający obłok świetlików uniósł się nad naszymi głowami, zawisł tam na kilka sekund, a potem odleciał.

Patrzyliśmy jak zahipnotyzowani, kiedy świetliki znikwały nam z oczu, zachwyceni ich urodą. Zupełnie jakby same znalazły sposób na dodanie swojemu życiu splendoru.

Matt potrząsnął głową, wytrzepując owady z kaptura płaszcza. Sprawiał wrażenie oszołomionego, więc Ethan zaproponował mu bidon z wodą. Sięgnęłam po

własny, ale nie byłam jeszcze spragniona, więc postanowiłam zostawić na później. Wprawdzie dokoła było pełno wody, ale nie miałam ochoty jej pić - szczególnie wody bagiennej o zątecznym zapachu.

Najwyraźniej jednak Matt zabrał własny bidon, który wyciągnął z przedniej części swoich spodni. Więc miał tam też schowaną latarkę! Gdybyśmy tylko ja albo Ethan zauważyli ją wcześniej, Matta nie byłoby tu z nami. Tyle że nie miałam zwyczaju wpatrywać się w rozporek mojego brata!

- Co jeszcze masz tam upchane?

Matt uniósł brwi i obdarzył mnie złośliwym uśmiechem. Walnęłam go pięścią za jego chore poczucie humoru.

Ethan prychnął śmiechem.

- Szczerze mówiąc, nie jestem tego ciekawy. Napięcie między nimi trochę się rozładowało, a my

ruszyliśmy dalej w głąb doliny. Od samego początku wyczuwałam, że to miejsce jest całkowicie inne. Początkowo trudno mi było określić, na czym to polegało, ponieważ nie chodziło o dziwaczność fizyczną, raczej o rodzące się wewnątrz mnie uczucie. Ale potem usłyszałam dźwięk, który przypominał ludzki głos.

- Słyszeliście? - Obróciłam się, nie mogąc stwierdzić, skąd dochodził.

Tchórz!

- Tam! - syknął Ethan i okręcił się tak szybko, że omal się nie przewrócił. Wyciągnęłam rękę, pomo-

gając mu złapać równowagę. Trzepnął dłońmi swoje ramiona, jakby próbował się czegoś pozbyć. - Kto to powiedział? *Nieudacznik!*

Ethan patrzył prosto na mnie, oddychając ciężko.

- Co się dzieje?

- Nie wiem. Chodźmy przed siebie.

Nie mogłam się powstrzymać przez rozglądaniem się na prawo i lewo w poszukiwaniu właściciela upiornego głosu. Świszczący dźwięk stał się głośniejszy. Coś się zbliżało, a jeśli zmysły mnie nie myliły, kierowało się wprost na nas. Rozejrzałam się za jakąś kryjówką, ale gdzie? I przed czym? Świst znalazł się nieznośnie blisko, a tuż przed nami pojawił się cień. Coś zimnego i mokrego owinęło się wokół nas jak przylegająca do naszych ciał skóra. Nie mogłam powstrzymać krzyku. Rzucaliśmy się, wpadając na siebie i próbując zerwać to lepkie coś, ale nasze wysiłki były bezskuteczne. Wrażenie mokrego zimna przeniknęło mnie na wylot. A potem cień zniknął za nami ze świstem, zabierając całą swoją lepkość.

Drżąc, opadłam na ziemię. Ethan zgiął się w pół, a Matt dyszał, jakby próbował złapać oddech.

- Co to było? - zapytał Ethan.

Morderca!

Upiorny głos powrócił i z jakichś powodów najsilniej działał na Ethana. Podskoczył na jego dźwięk i sięgnął do lewego ucha.

- Wynoś się! Wiem, że mówisz do mnie, ale teraz spadaj!
Popatrzyłam na Ethana, zastanawiając się, o czym on mówi.

- To moja wina - powiedział.

Nie podobał mi się tok jego rozumowania i przeklinałam żalostny głos za podsuwanie mu głupich pomysłów.

- Stałem i patrzyłem, jak ona umiera. Mogłem coś zrobić, ale niczego nie zrobiłem.

- Byłeś dzieckiem, Ethan. Nie mogłeś niczego zrobić. Marduk zabiłby także i ciebie.

Jego twarz jakby zapadła się pod ciężarem poczucia winy.

- Kochałem ją. Marzyłem, żeby być taki jak ona. Ale byłem też zazdrosny, Isabel. Może jakaś część mnie chciała jej śmierci.

- Nie! To nieprawda! Wybij to sobie z głowy. Kochałeś Serę i nadal ją kochasz.

Śmieć!

~ Co?! - Matt obejrzał się przez ramię. No nie, głos zaczął teraz dręczyć Matta. *Uzurpator!*

- Nie jestem uzurpatorem! Szarpnęłam go za ramię.

- Zignoruj to! Ruszaj naprzód, krok za krokiem. Jasne?

Tchórz! Uzurpator!

Teraz otaczało nas kilka głosów. Ciągnęłam Ethana i Matta, zmuszając ich do marszu. Ale z każdym krokiem głosy mnożyły się, wkrótce setki oskarżeń sypały się ze wszystkich kierunków.

Niehciana! — zaskrzeczał głos prosto w moje ucho. Odwróciłam się, ale nie zobaczyłam nikogo.

— Czego od nas chcecie?

Za mną Matt wymachiwał rękoma w powietrzu.

— Kim jesteście?! - wrzasnął. — Dlaczego to robicie?!

— To ta dolina — starałam się mu wyjaśnić, patrząc przed siebie, żeby zobaczyć, ile jeszcze drogi w tym przeklętym miejscu zostało nam do przejścia. - Tu jest coś w powietrzu albo w ziemi. Tak czy inaczej tylko siłą woli można powstrzymać to coś przed wtargnięciem w głąb umysłu.

— Nie da się tego zatrzymać — powiedział Ethan. — Te głosy są wszędzie. Nie mogłem uratować przed śmiercią mojej siostry. Możliwe, że nie uratuję też matki.

— Postaraj się bardziej, Ethanie. Posłuż się blokadą.

— Nie jest dobrze, Isabel - wyszeptał ochryple idący między nami Matt. - Posłuchaj ich!

Mięczak!

— Tego właśnie macie nie robić!

Poprzez głosy przebił się tupot, który sprawił, że wszystkie nerwy mnie zamrowiły. Ethan i Matt popatrzyli na mnie, a potem na siebie. Tupot narastał, aż

stał się wściekłym dudnieniem. Nagle w polu widzenia pojawiły się setki małych stworzeń przypominających szczury. Zbliżały się ku nam jak fala przyływu. Ethan złapał mnie za rękę.

- Szybko!

Popchnął Matta, zmuszając nas oboje do skulenia się na ziemi i owinięcia szczelnie płaszczami.

Ziemia pod nami zaczęła wibrować. W następnej chwili zwierzęta dotarły do nas, wspinając się po naszych plecach za pomocą ostrych pazurków, a następnie zsuwając z drugiej strony. Kilka wepchnęło się nam pod płaszcze. Jeden wbiegł mi do rękawa. Wrzasnęłam, kiedy zaczął drapać o kaptur, a widok przerośniętych przednich zębów zmroził mi krew w żyłach. Odpychaliśmy je na oślep. W końcu minęły nas i zniknęły w ciemności.

Wraz z ich zniknięciem głosy powróciły z nową siłą, sprawiając, że ciarki zaczęły mnie przechodzić od ich upiornych oskarżeń. Zupełnie jakby ktoś siedział w naszych głowach i wyciągał najgłębiej ukryte wątpliwości i poczucie winy. Pomału brnęliśmy naprzód, ale każdy krok był coraz trudniejszy.

- Ile jeszcze wytrzymamy, Ethanie? - zwoleńłam tak bardzo, że wlokłam się noga za nogą.

Matt objął mnie w talii ramieniem, ale z trudem był w stanie utrzymać własny ciężar. Potrząsnął głową, jakby to mogło pomóc, ale głosy nie zamierzały odejść.

Ethan zatrzymał się.

- Mam pomysł.

Zamknął oczy i skoncentrował się. Chciał stworzyć iluzję, ale czy mógł się skoncentrować wśród tych bezustannych wrzasków?

A jednak udało mu się stworzyć iluzję przepięknego lasu tuż przed nami. Ethan uniósł latarkę i las zaśnił, jakby ciepłe słońce zaczęło świecić na wilgotne liście. Iluzja była jak lina, którą pochwyciliśmy, wydobywając się krok za krokiem z niebezpieczeństwa.

Nagle stwierdziliśmy, że stoimy nad brzegiem porywistej rzeki, a głosy cichną gdzieś za nami.

Musieliśmy natychmiast się cofnąć, żeby nie wpaść do wody. Gdybyśmy do niej wpadli, na pewno byśmy zginęli. I to szybko. Rzeka nie płynęła tak jak znane mi rzeki. Miała mnóstwo prądów, każdy w inną stronę, tworzących wiry, niebezpieczne mielizny i długie bystrzyny. Mogłam wprawdzie zobaczyć drugi brzeg, ale znajdował się on daleko. Sama myśl o przeprawie przerażała mnie śmiertelnie. Przysiadłam na piętach, czując, że ogarnia mnie rozpacz. Musiała istnieć inna droga, ale jak ją znaleźć? Może nie powinniśmy w ogóle przechodzić przez tę dolinę. Może powinniśmy od początku skierować się w przeciwną stronę?

Popatrzyłam na Ethana i Matta. Sprawiali wrażenie zmordowanych, ale spokojniejszych; powoli dochodzili do siebie.

- Co się dzieje? - Ethan przykucnął przy mnie. Mogłam myśleć tylko o tym, że skoro nie znam

drogi, nie zdołam odnaleźć Arkariana. Jak uda nam się przetrwać w tym miejscu? Nie chciałam już nigdy więcej usłyszeć tych głosów. To miejsce było okrutne, atakowało na dwóch poziomach - i fizycznym, i emocjonalnym. Odchyliłam głowę do tyłu i zapatrzyłam się w nieprzeniknioną pustkę.

- Gdzie jesteś, Arkarianie?

Nie oczekiwałam odpowiedzi, więc szokiem były dla mnie wypełniające moją głowę oślepiające światło i ostry, kłujący ból.

- Isabel? - zawołał Ethan. Ból w mojej głowie był w tym momencie zbyt silny, więc zignorowałam go.

- Poddaj się temu - szepnął mi do ucha, domyślając się, że doświadczam kolejnej wizji i że tylko zrelaksowanie się pozwoli mi złagodzić ból i zobaczyć ostrzejszy obraz.

Wiedziałam, że ma rację, ale przyjęcie bólu i oślepiającego światła było trudne, kiedy się ich doświadczało. W końcu ból i światło osłabły, odsłaniając obraz prześlicznej dziewczynki. Jej twarz była blada i delikatnie świecąca, otoczona chmurą czarnych, poskręcanych loków. To była Sera! Zmarła siostra Ethana. Była tutaj, w tym dziwnym i zimnym świecie, i wzywała mnie. Przestałam walczyć z wizją, ponieważ zrozumiałam, że to właśnie jest pomoc, której rozpaczliwie potrzebujemy.

- Isabel? - usłyszałam zatroskany głos mojego brata. - Wszystko dobrze? Powiedz coś.

Podniosłam rękę, sygnalizując, żeby nie przeszkadzał. Umilkł, a ja na nowo otwierałam się na wizję. Natychmiast zostałam uniesiona w górę i zobaczyłam rzekę o długości wielu kilometrów, wijącą się w oddali pomiędzy górami i dolinami. Potem powróciłam do własnego ciała i ruszyliśmy w inną stronę. Tym razem miałam wrażenie, że jestem w pędzącym z nad-dźwiękową prędkością pociągu, który przeciął rzekę i opustoszałą równinę, kierując się do góry z czarnego lodu i dalej do otoczonej przez lodowate jezioro wyspy z pojedynczym, niesamowitym budynkiem. Kiedy wizja rozviała się, zrozumiałam, że właśnie pokazano mi drogę.

Otworzyłam oczy, a twarze Ethana i Matta powoli nabrały ostrości. Obaj przysiedli koło mnie.

- Co widziałas? - zapytał Ethan.

- Będziemy prowadzeni - wyjaśniłam. - Ale to długa i niebezpieczna droga.

- Widziałas Arkariana? - spytał Matt. Potrząsnęłam głową.

- Nie, ale widziałam budowlę, coś w rodzaju wysokiej piramidy. Lśniła jak latarnia, wszystkimi kolorami wszechświata.

- To świątynia - powiedział Matt. - Święte miejsce. Ethan i ja zagapiliśmy się na niego.

- Skąd wiesz? - zapytał Ethan.

W oczach Matta pojawiła się pustka, zmarszczył brwi i wzruszył ramionami.

Ethan oderwał od niego spojrzenie i zaczął mnie maglować o dalsze szczegóły wizji, a ja opowiadałam wszystko, co pamiętałam.

- Ta świątynia jest na wyspie. Tam właśnie przetrzymują Arkariana.

- No dobrze, ale skoro nie Arkarian przesłał ci tę wizję - odezwał się Ethan - to kto nas prowadzi? Widziałaś jego twarz?

Wzięłam go za rękę, wiedząc, że moje słowa będą dla niego szokiem.

- Naszym przewodnikiem jest twoja siostra.

Rozdział 24

Isabel

Bez końca wpatrywaliśmy się w rzekę, przyglądając się jej z każdej możliwej strony. Wciąż jednak nie mieliśmy pojęcia, jak się przez nią przeprawić.

- No cóż - odezwał się Matt. - Jedno jest pewne, nie przepłyniemy jej.

Ethan i ja skinęliśmy głowami, zgadzając się z nim. Rzeka płynęła z oszalamiającą prędkością. W dodatku woda była lodowato zimna. Nie pożylibyśmy długo, gdybyśmy do niej wpadli. Koło nas przepływały wielkie bryły lodu - jedna uderzyła w brzeg rzeki i rozbiła się na kilka mniejszych kawałków z ogłuszającym trzaskiem przypominającym uderzenie pioruna.

- Nie możemy iść naokoło - wyjaśniłam, oblizując wargi. - To tutaj powinniśmy się przeprawić.

- Nie widziałaś przypadkiem w tej swojej wizji jakiegoś mostu? — zapytał z nadzieją Matt.

- Nie, ale most to fajny pomysł. Co ty na to, Ethan? Umiałbyś go zbudować? Wiesz, taki jak ten, który zrobiłeś dla mnie w zeszłym roku w starożytnym mieście.

Poświecił latarką poprzez rzekę.

- Nie widzę drugiego brzegu. To zbyt ryzykowne.

- No trudno. Czyli co robimy?

Ethan nagle klasnął w dłonie, jakby wpadł mu do głowy doskonały pomysł.

- To załatwia sprawę. Skoro nie możemy zbudować mostu, musimy wiosłować.

Matt poświecił latarką po brzegu rzeki.

- A widzisz tu gdzieś łódź?

Miałam ochotę zgodzić się z Mattem. Nie dlatego, że nie wierzyłam w iluzje Ethana. Widziałam już rzeczywistość, jaką potrafił stworzyć za pomocą swojego umysłu. Po prostu miałam opory przed przepływaniem tej rzeki w jakiegokolwiek łodzi.

- Jest zbyt rwąca dla łodzi. Może nas znieść w dół rzeki. Albo w górę. Albo...

- Albo gdzieś na dno — skończył za mnie Matt.

- Będzie miała wiosła - powiedział Ethan, jakby to rozwiązywało wszystkie problemy. - Dobrze, solidne wiosła.

Myśl o przepłynięciu tej rzeki w łodzi wiosłowej sprawiła, że mój żołądek zawiązał się na supeł. Odetchnę-

łam głęboko, żeby nie stracić panowania nad sobą i nie zdradzić się z moim lękiem choćby ze względu na Matta. W tym momencie pomysł Ethana był najlepszym, jaki mieliśmy - w sumie zresztą jedynym.

- Postaraj się, jak tylko możesz, Ethanie. Nie podoba mi się ta rzeka. Zupełnie jakby miała własny umysł, tylko nie potrafiła się zdecydować, w którą stronę chce płynąć. I sprawia wrażenie głodnej.

- Zrobię też ster odpowiedni dla łodzi z wiosłami, to nam pomoże utrzymać kierunek.

Matt potrząsnął głową i odwrócił się plecami do rzeki, stając twarzą do mnie i Ethana.

- Na wypadek, gdybyście nie zauważyli, tu nie ma łodzi. Żadnej. Zero łodzi. A nawet gdyby była, nie zmusicie mnie, żebym nią popłynął, nie przez taką wodę. - Wciąż potrząsał głową. - Całkiem wam odbiło.

Tolerancja Ethana skończyła się.

- A masz lepszy pomysł? Znaczy, podobno miałeś być naszym przywódcą, nie? Wszyscy o tym wiedzą. Ba, samo Proroctwo tak mówi. Jak to szło? A prawda: *Gdy prawy przywódca przestanie śnić.*

- Ethan, dość!

Machnął ręką, żebym się zamknęła.

- A co ty robisz zamiast tego? Rozsiewasz wątpliwości. Tego nam nie potrzeba. Jeśli uwierzysz w tę iluzję z głębi serca, ona będzie działać. Pamiętasz chyba, że lady Arabella powiedziała, żebyśmy mieli odwagę i wiarę. Poza tym ta łódź będzie tak samo prawdziwa

jak ty czy ja. Nie rozwieje się, dopóki będzie trwała iluzja, Potrafię to zrobić, Matt. Zaufaj mi. Poza tym wiesz, to będzie dla ciebie niezły sprawdzian. Przekonasz się, czy potrafisz być...

Kolejny jeżący włosy skrzek rozległ się gdzieś w pobliżu w ciemności. Wszyscy troje rozejrzeliśmy się dokoła.

Po chwili całkowitej upiornej ciszy Ethan znowu zwrócił się do Matta.

- Oczywiście możesz też tu zostać, a to coś będzie na ciebie skrzeczało, aż wrócimy.

Ethan okręcił się na pięcie, a ja zostałam sama z Mattem.

- Wiesz, że Ethan nie chciał powiedzieć, że nie jesteś dość dobry, żeby być naszym... - urwałam zdanie, bo Matt odwrócił się i zapatrzył w kotłującą się wodę. Stał plecami do mnie, zobaczyłam, że jego ramiona uniosły się, jakby wziął głęboki oddech dla uspokojenia. Słowa Ethana naprawdę mu dopiekły. Znałam mojego brata, traktował życie i rzeczy, za które był odpowiedzialny, niezwykle serio. To prawdopodobnie świadomość własnej nieudolności skłoniła go do skoku do wnętrza piramidy i wepchnięcia się z nami do świata podziemnego. Matt musiał mnóstwo udowodnić, ale teraz stanął przed zupełnie innym wyzwaniem. Miał uwierzyć w coś, czego nie widać i powierzyć drugiej osobie swoje życie. Taka postawa jest w Straży konieczna przez cały czas, z własnego doświadczenia

wiedziała, że niełatwo się na nią zdobyć. Ale Matt naprawdę musiał walczyć ze sobą. Ethan wrócił do nas.

- Gotowe.

Od razu pomyślałam, że powinna być większa - jakieś dziesięć razy większa niż ta wyjątkowo zwyczajnie wyglądająca łódka!

- O szlag! - Matt stanął za mną. - To ma być to? A słyszałem, że jesteś wyjątkowo utalentowany.

Pociągnęłam łyk wody z bidonu, żeby zwilżyć usta, i spróbowałam odwrócić uwagę Ethana, zanim zdążył odpowiedzieć na komentarz Matta.

- Jesteś pewien, że wytrzyma na tej rzece?

- Wytrzyma - skinął głową Ethan i dodał, zwracając się do Matta: - Możesz tu poczekać, jeśli chcesz. Sam. Masz swoją latarkę i zostawimy ci trochę n a s z e go jedzenia. Zabrałeś zapasowe baterie do latarki? Niedługo trzeba będzie je wymienić. A, i nie martw się, wrócimy po ciebie, jeśli tylko będziemy mogli. To znaczy, jeśli w tym miejscu nie ma jakichś tylnych drzwi prowadzących na zewnątrz. Przyznaję, że nie wiem, ile nam to zajmie: godziny, dni, tygodnie... -Wzruszył lekko ramionami. - Z drugiej strony możesz też zrobić to, po co tu przyszedłeś. Nauczyć się, co to znaczy być Strażnikiem Czasu.

Wsiadłam do łódki i zajęłam pozycję przy wiosłach na rufie. Przez moment zastanowiłam się, czy słusznie robię, zawierając życie tej iluzji. Łódź pode mną

wydawała się solidna, wiosła leżały wygodnie w dłoniach, a jednocześnie wiedziałam, że są prawdziwe tylko tak długo, jak długo Ethan zdoła utrzymać iluzję. Przypomniałam sobie tamten pierwszy raz, kiedy zobaczyłam, jak Ethan tworzy most. Pamiętałam, jak trudno mi było zaufać mu, chociaż czułam nawet zapach kwiatów, które stworzył. Poprawiłam się na ławeczce i zawołałam Matta.

- Nie zastanawiaj się nad tym, Matt. Po prostu wsiadaj. Naprawdę będziemy potrzebować twojej siły.

Zacisnął dłonie w pięści i z wahaniem wsiadł do łódki. Kiedy sam poczuł jej solidność, usiadł koło mnie.

- No dobra, ale ja wiosłuję.

Zostawiłam wiosła i przesiadłam się na ławeczkę naprzeciwko, gdzie podniosłam drugą parę. Ethan wsiadł i wyjął mi wiosła z ręki.

- Ja też będę wiosłował.

Otwarłam usta, gotowa się kłócić, ale Ethan jak zwykle był szybszy.

- Przestań zadzierać nosa, Isabel. Musisz nam pozwolić wiosłować. Wytrzymamy dłużej niż ty i nie obrażaj się. To kwestia wytrzymałości, a nie antyfeministyczny przytyk.

- Jestem tak samo silna jak wy! Ile razy udowodniłam to podczas treningów?

- Mogłabyś usiąść? - wybuchnął Ethan. - Nie wiem, jak długo jeszcze utrzyma się ta iluzja. Poza tym ty musisz sterować, przynajmniej widzisz, dokąd mamy

pływać. Dlatego właśnie zrobiłem ten ster. Ty jedna widzisz stąd drugi brzeg! - Jego głos zmiękł i zabrzmiało w nim znużenie. - Słuchaj, po prostu przeprowadź nas wprost na drugą stronę. Jeśli zniesie nas w dół rzeki, ta iluzja może się rozwiać i gdzie wtedy wylądujemy?

Oczy Matta rozszerzyły się, ale nie powiedział ani słowa. Pomyślałam, że musiał mieć nerwy napięte do granic możliwości, podobnie jak my wszyscy zresztą. Nie chciałam dalej zaognić sytuacji ani pogarszać samopoczucia Matta. Umilkłam i zajęłam pozycję na rufie, trzymając ster.

Ethan i Matt zaczęli wiosłować i szybko weszli w równy rytm. Ku mojemu zdumieniu łódź płynęła po linii prostej, przecinając prądy. Przedzieraliśmy się przez bystrzyny i na kilka minut straciliśmy pęd, co zniosło nas niebezpiecznie w dół rzeki, ale chłopcy zaczęli wiosłować mocniej i szybciej, więc wróciliśmy na właściwy kurs, kierując się do odległego brzegu.

Wiosłowanie okazało się ciężką harówką. Mimo lodowatego zimna twarze chłopców lśniły potem. Jedna z latarek zamrugwała i zgasła. Na szczęście druga paliła się dobrze. Matt zdjął obsyty futrem kaptur, a Ethan zaczął zsuwać płaszcz, starając się przy tym nie przerywać rytmicznego wiosłowania.

Widok ich wysiłku sprawił, że poczułam się trochę winna. Chciałabym wierzyć, że mogłabym im pomóc, ale nie było mowy, żebym wytrzymała tak długo, jak któryś z nich. Tylko utrzymywanemu przez nich rów-

nemu tempu zawdzięczaliśmy, że udało nam się dotrzeć tak szybko i tak daleko.

- Ile jeszcze, Isabel? - zapytał Matt zmęczonym głosem.
— Widzisz coś?

- Już niedaleko. Może dziesięć minut, przysięgam. - Pozostała latarka zamrugła, ale paliła się dalej, chociaż znacznie słabiej. - Dopóki mamy to światło, mogę sterować.

- Nie bądź tego pewna - Ethan kopnął do mnie mój plecak.
- Zmień baterie w latarce Matta.

Staralam się trzymać ster w stałej pozycji i jednocześnie grzebałam w plecaku. Znalazłam jedną z sześciu zapasowych paczek baterii, które zabraliśmy. Kiedy rozrywałam folię, uderzyła w nas bryła lodu i zachybotła niebezpiecznie łódką, po czym zakręciła się i odpłynęła, pozwalając nam złapać równowagę.

Latarka znowu zamrugła. Było wyraźnie widać, że nie pozostało jej wiele energii.

- Pospiesz się, Isabel - w głosie Ethana zabrzmiało zdenerwowanie. - Musisz sterować prosto. Matt i ja nie utrzymamy już długo tego tempa.

Matt wziął do siebie niepokój Ethana i znalazł wewnętrzną odwagę.

- Nie zamierzam przestać wiosłować, dopóki mi ramiona całkiem nie odpadną! Twoja łódź jest... niesamowita. Wiem, że nie istnieje naprawdę, a jednak ją czuję. Siedzę w niej! Skoro umiałeś to zrobić, to może, ale tylko może, dałoby radę...

Mocne uderzenie w burtę sprawiło, że baterie wyleciały mi z ręki i wpadły do wody.

- No ekstra!

- Nie szukaj ich - zawołał Ethan. - Wyjmij inną paczkę.

- Masz. - Matt popchnął do mnie plecak stopą.

Pochyliłam się do niego, ale w tym momencie kolejna bryła lodu wpadła na nas, posyłając pędzącą łódź prosto na bystrzyny i zbijając nas z kursu.

- Wszystko w porządku - Ethan starał się zachować spokój. - Po prostu wiosłuj, Matt. Isabel, zostaw na chwilę te baterie. Steruj prosto, dopóki nie wydostaniemy się z tego draństwa.

Ale z tego draństwa było trudniej się wydostać niż ze wszystkiego, przez co przepływaliliśmy do tej pory. Bystrzyny były zasilane przez cały labirynt mieszających się prądów, rzucających nami w różnych kierunkach. A chociaż blask latarki z każdą chwilą stawał się słabszy, dawał dość światła, żebym dostrzegła, że mamy przed sobą jeszcze większe kłopoty. Na wprost nas znajdował się wir, który musieliśmy opłynąć, jeśli nie chcieliśmy zostać wessani.

- Szybciej - rzuciłam Mattowi i Ethanowi. - Musicie wiosłować szybciej i utrzymać równe tempo.

Ethan wyjrzał przez burtę.

- Co ty tam widzisz, czego my nie widzimy?

- Kłopoty - odparłam. - Po prostu wiosłujcie i zostawcie mnie sterowanie.

Kiedy właśnie myślałam, że przeprawa nie może już być trudniejsza, latarka zamrugła po raz ostatni i zgasła. Kiedy otoczyła nas kompletna ciemność, zapadła cisza, przerywana tylko ciężkim oddechem chłopaków i skrzypieniem towarzyszącym każdemu ruchowi ich ramion. Przez moment zastanawiałam się, jak teraz mamy się stąd wydostać. Należy zacząć od początku, powiedziałam sobie i skoncentrowałam się na przeprowadzeniu łodzi wokół zbliżającego się wiru. Łódka nagle się uniosła - znaleźliśmy się na krawędzi. Utrzymanie steru stawało się coraz trudniejsze, ponieważ wir ciągnął nas z coraz większą siłą. W końcu uwolniliśmy się i prześliznęliśmy na spokojniejszą wodę.

- Udało nam się! - Szybko sięgnęłam do plecaka po baterie. Znalazłam i otworzyłam drugą paczkę, ale wkładając w pośpiechu baterie do latarki, upuściłam jedną na dno łodzi.

- Co nam się udało, Isabel? - zapytał powoli Matt, jakby większa część jego umysłu chciała się dowiedzieć, co właśnie minęliśmy, ale w głębi serca nie był pewien, czy na pewno tego chce.

- Nie chcesz wiedzieć, Matt.

Przyjął odpowiedź i poturlał coś do mnie stopą.

To była druga bateria — wreszcie miałam z powrotem dwie. Macając po ciemku, zdołałam włożyć nowe baterie do latarki nie wypuszczając steru. Włączyłam ją i wszystko wokół mnie stało się widoczne.

- Bingo!

Jeszcze lepszą wiadomością było to, że wprawdzie zniosło nas zdecydowanie w dół rzeki, ale drugi brzeg szybko się zbliżał. Dotarliśmy do niego, chociaż bystry prąd ściągnął nas o jakieś kolejne dwadzieścia metrów. W końcu Ethan znalazł miejsce, żeby wyskoczyć na brzeg i przywiązać linę.

Kiedy tylko wysiedliśmy i wyciągnęliśmy bagaże, łódka zaczęła znikać. Matt i Ethan padli na piaszczysty brzeg, oddychając ciężko i głęboko. Matt potrząsnął rękami i z powrotem rozciągnął się na piasku.

Zacząło wypełniać mnie uczucie rosnącej euforii. Przeprawiliśmy się z powodzeniem przez rzekę, więc ta część podróży była już za nami i coraz mniej dzieliło nas od znalezienia Arkariana. Zanim jednak zdążyłam się nacieszyć tym uczuciem i podzielić nim z Ethanem i Mattem, ogarnęło mnie nieprzyjemne mrowienie.

Potrząsnęłam Mattem, a potem Ethanem, który leżał po mojej drugiej stronie.

- Hej, wstawajcie! Szybko!

- Co? - jęknął Matt, przewracając się na bok. Ethan podniósł się.

- Co się dzieje?

Otaczał nas gęsty las. Popatrzyłam między drzewa, starając się coś dostrzec.

- Nie mogę się pozbyć tego uczucia.

- Jakiego uczucia? - zapytał Matt napiętym głosem, nagle siadając obok mnie.

- Że nie jesteśmy tu sami.

Rozdział 25

Isabel

Najpierw usłyszeliśmy w pobliżu syczenie, piski i tupot. Pomyślałam, że w krzakach mogą się kryć wilki, ale Ethan potrząsnął głową.

- Wilki nie chodzą tak ciężko.

Nagle w ciemności pojawiły się czerwone światełka, przypominające ułożone parami lasery.

- Co do diabła? - syknął Matt. Szybko zrozumiałam, na co patrzymy

- To ich oczy. Widziałam te stwory w mojej wizji. Kiedy tylko powiedziałam te słowa, sycząc i chrząkając, rzuciły się na nas ze wszystkich stron, z lśniącymi, paciorkowatymi oczami. Na żywo wydawały mi się większe. Przez moment myślałam, że to są po prostu niscy ludzie. Miały ludzkie stopy i ręce, ale ich ciała

nie przypominały człowieka, z krępymi, spadzistymi ramionami i dziwacznymi skrzydłami wyrastającymi z grzbietów. Wolały jednak poruszać się pieszo.

Ethan szybko wyciągnął sztylet z każdego buta i rzucił jeden Mattowi.

- Isabel, spróbuj rozpać ogień.

Zaatakował nas co najmniej tuzin. Skrzeczały przenikliwie. Brzmiało to jak okrzyki bojowe. Zastanawiałam się, czy potrafią mówić — ich pyski w upiorny sposób przypominały twarze ludzkie. Jeden z nich wzbił się na skrzydłach w powietrze i zakręcił, lądując między mną a Mattem. Ku mojemu jeszcze większemu zdumieniu zaatakował swoich współbraci.

Matt rzucił mi zdziwione spojrzenie, ale żadne z nas nie miało czasu na analizowanie tego, co się tu działo.

- Uważaj! - wrzasnął Matt. - To może być podstęp. Stojący kawałek dalej Ethan przypomniał mi, żeby

zajęła się rozpalaniem ognia, kiedy tylko będę mogła, jednakże atakujące stwory były zawzięte i nieustępliwe. Jeden przyczepił się do nogi Ethana i ugryzł go. Matt wściekłym kopniakiem pomógł Ethanowi pozbyć się go, a Ethan wykończył stwora, wbijając mu sztylet w grzbiet. Chociaż krew ściekała mu po nodze, przypomniał mi po raz kolejny o ogniu.

Zebranie suchego drewna okazało się niezwykle trudne. Nieoczekiwanie jednak stwór, który postanowił walczyć po naszej stronie, podbiegł do mnie, niosąc naręcze kory, doskonałą podpałkę. Wzięłam ją od niego.

- Dzięki.

Przez moment Matt dziwnie na mnie popatrzył.

- Co ty wyprawiasz? - Co?

- Na litość boską, przecież to wróg!

Ethan za pomocą sztyletu powalił dalsze cztery stwory jak klocki domina, podczas gdy Matt pięściami znokautował kolejnego, wyjątkowo opornego.

Stwór, który wręczył mi podpałkę, chrząknął i pomógł Ethanowi, paskudnie utykającemu i ciągle krwawiącemu z rany na nodze.

Nie dając nam ani chwili wytchnienia, pół tuzina powalonych stworów zaczęło się zbierać na nogi -łącznie z tymi dźgniętymi sztyletem. Były chyba niezniszczalne!

- Musimy zdobyć przewagę, Isabel - zawołał Ethan. — Trzeba zaatakować ogniem.

Podczas gdy Matt i Ethan osłaniali mnie przez kilka minut, gorączkowo starałam się rozpaść ogień. Miałam wrażenie, że trwało to całą wieczność, aż w końcu płomienie strzeliły w górę i po chwili mogłam podać Ethanowi i Mattowi płonące na końcach kije. Sama też wzięłam dwa i wszyscy zaczęliśmy krzyczeć, wymachując pochodniami przed nosem atakujących stworów. Ten, który je zdradził, zrobił własną broń i dołączył do nas.

Zgodnie z przewidywaniami Ethana stwory odwróciły się i rozbiegły w różnych kierunkach. Staliśmy wyczerpani, czekając na ich powrót, ale po kilku minu-

tach stało się jasne, że uciekły na dobre. Otaczała nas cisza, przerywana tylko przez nasze oddechy i trzask ognia.

Osadziliśmy dokoła pochodnie i usiedliśmy na piaszczystym brzegu. Kiedy odpoczywaliśmy, spojrzenie Ethana pobiegło

do zdrajcy.

- A ty co tutaj niby robisz?

Stwór odezwał się - mówił trochę niewyraźnie, ale doskonale dawało się zrozumieć poszczególne słowa.

- Wydaje mi się, że siedzę przy waszym ogniu. Doznaliśmy szoku. Poza tamtymi wrzaskami to

był pierwszy dźwięk, jaki wydała któraś z tych istot - a fakt, że zrozumieliśmy jej słowa, zaskoczył nas tak, że na chwilę zaniemówiliśmy. Ethan pierwszy doszedł do siebie.

- Kim jesteś?

Stwór zapatrzył się w ogień, wzruszył zaokrąglonymi ramionami i trzepnął przy tym skrzydłami.

- Cóż, prawdę mówiąc, nie wiem.

- Nie wiesz, kim jesteś? - zapytałam, pracując nad uzdrowieniem ugryzienia na nodze Ethana. Rana była głęboka, więc zabrało mi to kilka minut.

Stwór klepnął się otwartą dłonią w czoło.

- Moja pamięć nie jest już taka, jak dawniej. Ethan pokręcił głową niemal zataczając koło, jakby

nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje, i w to, że w ogóle rozmawiamy.

- Widziałem, jak walczysz ze swoimi współbraćmi i pomagasz Isabel rozpalić ogień. Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego zwróciłeś się przeciwko swoim?

- Ponieważ moi współbracia to durnie. Nie umieją myśleć samodzielnie.

- M-hm, a ty co? Umiesz? - Stwór nie odpowiedział, a Ethan popatrzył na niego. — Dlaczego nie boisz się ognia, tak jak twoi kumple?

- Żaden z nas nie boi się ognia. Woda to co innego.

- To dlaczego zwiali z podkulonymi ogonami, kiedy ich zaatakowaliśmy?

- Kiedy uczyniliście ogień swoją bronią, na pewno ich zaskoczyliście. Są durniami, ale nie są całkowicie głupi. Wiedzą wszystko o ogniu, szczególnie o tym, że parzy. — Zmarszczył czoło tak, że między brwiami pojawiły się głębokie bruzdy i westchnął niemal jak człowiek. Zastanowiło mnie to, ale nie było mowy, żeby taki stwór mógł wyewoluować z człowieka. Na pewno nie.

- Masz jakieś imię? - zapytałam.

Zmarszczka na czole pogłębiła się, a jego oczy zaśniły jaśniej.

- Wydaje mi się, że kiedyś nazywałem się John.

Z jakiegoś powodu informacja o tym, że nazywa się John, znowu nas zaszokowała. To brzmiało po prostu zbyt... ludzko.

- Masz na imię John? - Matt musiał się upewnić, czy dobrze usłyszał. — Jak się nazywa twoja rasa?

- O, na to pytanie potrafię odpowiedzieć, ponieważ pan nazywa nas wrenami.

- Wren? - Ethan mlasnął, jakby smakował ten wyraz. - Hmm, więc jakie są twoje dalsze plany, Johnie Wrenie? Nie wydaje mi się, żeby twoi przyjaciele powitali cię z otwartymi ramionami.

Nie wahał się.

- Pójdę z wami.

Odpowiedziała mu cisza. Ile o nas wiedział?

- A jak myślisz, dokąd idziemy? - zapytał w końcu Matt. Wzruszył ramionami.

- Macie na sobie ubrania wędrowców, więc wnioskuję, że podróżujecie dokądś. I cóż, znam to miejsce jak własną kieszeń. Mogę was prowadzić i chronić. Jeśli będę z wami, wreny zostawią was w spokoju. Istnieje mnóstwo rzeczy w tej krainie, o których nie macie pojęcia.

- Jakich na przykład?

- Próby.

Matt i Ethan prychnęli potwierdzająco, przypominając sobie dwie „próby”, przez które niedawno przebrnęli. Przypomniałam sobie nagle, że lady Arabella użyła wcześniej tego samego słowa, udzielając nam porad.

- Mamy jeszcze do przejścia górę.

John Wren trzepnął dwa razy skrzydłami, ale nie poruszył się.

- Jaką górę? - zapytał w końcu.
- Czarną. Zrobioną z czystego lodu. Zachrzękał zupełnie jak świnia, a ślina spryskała mu pierś.

- To niedobrze.

- Dlaczego? - zapytaliśmy jednocześnie z Ethanem.

- To najtrudniejsza próba w całej krainie.

- Jak to? - spytał Matt. - Co będziemy musieli zrobić?

- Zmierzyć się z wewnętrznymi demonami.

Wren miał rację, mówiąc, że znaleźliśmy się w dziwnym świecie. Najwyraźniej wiele o nim wiedział. Byłby prawdopodobnie przydatnym przewodnikiem. Ale dlaczego ten stwór zdradził własną rasę, żeby pomóc trójce nieznajomych? Po prostu nie mogłam tego zrozumieć.

- A co ty będziesz z tego miał?

John Wren popatrzył na nas kolejno, a potem zapatrzył się w ciemność rozciągającą się poza kręgiem pochodni.

- Nie zawsze tu mieszkałem, tyle przynajmniej pamiętam. Wasz widok przywołał wspomnienie czegoś, czego nie mogę do końca uchwycić. Może jeśli będę z wami dłużej przebywał... - Wzruszył ramionami. — Kto wie?

- Myślisz, że możesz odzyskać pamięć, po prostu trzymając się z nami? - zapytał Matt.

Wzruszył lekceważąco skrzydłami.

- Możliwe, że przydamy się sobie nawzajem.

- No cóż - odezwał się Ethan. - Chyba przyda się nam przewodnik, ale tylko jeśli Isabel i Matt się ze mną zgodzą. No i jeden fałszywy krok i po tobie.

Ethan spojrzał na Matta.

- Nie wiem. Chyba może być.

- Isabel?

Zawahałam się - zaufanie komuś nie przychodziło mi tak łatwo jak Ethanowi. Widziałam już wcześniej te wreny, to właśnie one pomagały porwać Arkariana. Widziałam je także we śnie przysłanym mi przez Marduka, jak biły leżącego w celi Arkariana. I czy przed chwilą nie musiałam wyleczyć Ethana, który miał głęboką ranę wyrwaną zębami jednego z nich?

- Jesteście niebezpieczni. Dlaczego mam ci zaufać?

- Najmocniej przepraszam, panienko - odparł John Wren.

- Ale zaufanie musi się od czegoś zaczynać. Jak dotąd nie zrobiłem niczego, co by dowodziło, że nie jestem go godny. Prawda?

Nie odpowiedziałam od razu, więc kontynuował:

- Jak sądzę, osądzasz mnie po cudzych uczynkach.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie i odniosłam wrażenie, że mówi prawdę, a co ważniejsze, nie ma niczego do ukrycia.

- No dobrze. Ale chcę cię mieć przez cały czas na oku. I nie będziesz nigdy sam stał na warcie.

- Dobra - odezwał się Ethan. - Skoro już wszystko ustalone, powiedz, czy wiesz coś o wyspie, na którą musimy dotrzeć?

Na słowo „wyspa” John Wren dziwnie zeszywniał.

- Jaką dokładnie wyspę masz na myśli?

- Leży na jeziorze - powiedziałam, chociaż przeszedł mnie dreszcz na widok jego nerwowego zachowania. — Po drugiej stronie góry.

- Tu jest wiele wysp - powiedział, jakby próbując nie dopuścić tego do siebie. - I dużo więcej gór.

Matt podniósł spojrzenie.

-To wyspa, na której stoi świątynia — powiedział. John Wren gwałtownie wciągnął powietrze.

- Wiedziałem! Oszaleliście?! Nie możecie tam iść, wicie?

- A dlaczego nie? — warknę

Rozdział 26

Isabel

Dotarcie do góry z czarnego lodu zabrało nam kilka dni, chociaż trudno było określić czas bez słońca czy choćby księżyca. W tym świecie nasze zegarki nie chodziły, a latarki też przestały działać - baterie, które starczały zaledwie na kilka godzin, wyczerpały się już dawno. John, bo tak go teraz nazywaliśmy, pokazał nam, jak możemy zrobić w miarę trwałe pochodnie, paląc substancję wydobywaną z ziemi. Staralam się nie zastanawiać, co to jest - ohydny smród był wystarczającą wskazówką.

Nauczyłam się mnóstwa rzeczy o tym świecie dzięki Johnowi, który wiedział bardzo wiele, chociaż nie umiał sobie przypomnieć, jak długo tu jest ani też gdzie był przedtem. Jedyną rzeczą, jaka nie zmieniała

się w trakcie naszej wędrówki przez różne krajobrazy, była nieprzyjazna pogoda. Zastanawiałam się, czy są tu pory roku i czy mieliśmy po prostu pecha, że musimy podróżować zimą.

- Zimno to coś, czego nie odczuwam i takiego doznania nie pamiętam - wyjaśnił John. - Ale odpowiadając na twoje pytanie: czasem wszystko oprócz najżyźniejszych dolin pokryte jest lodem.

Myśl o żyznych dolinach sprawiła, że przypomniałam sobie o rozmaitych drzewach i trawach, które widzieliśmy.

- Jak bez światła i ciepła mogą tu rosnać rośliny?

- Jeśli istnieje wola przetrwania, potrzeba, pragnienie... - Wzruszył ramionami, a ja pomyślałam o tysiącach barwnych świetlików, które widzieliśmy tuż po przybyciu.

- Ale jest tu księżyc - kontynuował, zaskakując mnie. - O tam. — Wskazał punkt przed nami leżący na odległym niebie. — Raz w miesiącu, zaledwie na kilka minut, wstaje dokładnie nad ogrodem pana, dostatecznie wysoko, żeby skąpać całą krainę w ciemnoczerwonym blasku.

Popatrzyłam w kierunku, który wskazywał, ale góra była zbyt wysoka, a nieprzenikniona ciemność przypomniła mi o naszej słabości.

- Widzisz coś, Isabel? - zapytał idący za mną Ethan. Potrząsnęłam głową. Zaczynało mnie ogarniać zmęczenie, a niedostatek jedzenia nie pomagał w przewy-

ciężeniu go. Zostały nam tylko nieduże porcje suszonych owoców.

- Nie widzę niczego nad tą górą.

- A ty, John?

- Ja mam bardzo kiepski wzrok. Zresztą jaki byłby z niego pożytek w takiej ciemności?

A jednocześnie właśnie w tej ciemności widzieliśmy tak wiele rzeczy, które na pewno zapamiętam do końca życia, a także takich, przez które czeka mnie wiele bezsennych nocy. Na przykład setki najrozmaitszych istot, z ludzkimi elementami, takimi jak oczy i dłonie, albo nawet całe ciała, mających jednak postać szkieletów. Inne miały skrzydła, ogony albo szorstką skórę. Przybywały stadami, zwabione światłem pochodni, żeby zobaczyć, kim są dziwni wędrowcy. Niektóre nawet towarzyszyły nam kilometr czy dwa. Na szczęście widząc z nami Johna, zostawiały nas zazwyczaj w spokoju. Jedyną istotą, której jeszcze nie widzieliśmy, była ta, która wydawała żalosne skrzeczenie. John powiedział nam, że jest to ptak z długimi szponami i dziobem, a także oczami przypominającymi nasze oczy. Nadal wzdrygałam się za każdym razem, kiedy go słyszałam, i z całej siły starałam się nie wyobrażać sobie tych oczu. Wiele godzin później stanęliśmy w końcu u podnóża góry i sam jej widok z tak bliska sprawił, że ścisnęło mnie w gardle. Uprawiałam już wcześniej wspinaczkę górską, ale nigdy w tak przytłaczającej ciemności

i nigdy na górze z czystego lodu. Jak, na litość boską, znajdziemy tu jakieś punkty zaczepienia? Lód był zbyt gładki, a zbocza nieprawdopodobnie strome.

- Niemożliwe - wyszeptałam, czując się mała i pokorna w obliczu takiej potęgi. - Nie damy rady się na nią wspiąć.

- No to co teraz robimy? - zapytał Matt. Najwyraźniej nikt nie miał pomysłu.

- A co z moją siostrą? - zapytał Ethan. - Pomogła nam już wcześniej.

W tym momencie Sera była naszą jedyną nadzieją, ale do tej pory zawsze to ona nawiązywała kontakt, a teraz nie odzywała się do mnie od dłuższego czasu. Ten talent parapsychiczny był dla mnie ciągle nowością, nie znałam jego możliwości. Nie bardzo rozumiałam, jak w ogóle działa.

- Spróbuję nawiązać z nią kontakt - powiedziałam niepewnie, nie chcąc obiecywać czegoś, o czym nie byłam przekonana, że potrafię zrobić.

Nie miałam ochoty oddalać się na własną rękę, więc wzięłam pochodnię i pozostałam w zasięgu wzroku od naszego prowizorycznego obozowiska. Usiadłam po turecki, owijając się ciepłym płaszczem lady Arabelli jak kocem. Powietrze było znacznie zimniejsze niż do tej pory, a ziemia pod nami zamarznięta.

Zamknęłam oczy, odetchnęłam kilka razy głęboko i zrelaksowałam się na tyle, na ile potrafiłam. Nie bardzo wiedziałam, co powinnam robić, więc zdałam się

na instynkt. Przywołałam przed oczami resztę naszej drogi w taki sposób, jak pokazała mi ją za pierwszym razem Sera, prześlizgując się obok góry, przemierzając jezioro i zbliżając do białej świątyni w kształcie piramidy, jakbym stanęła przed jej bramą.

Słyszysz mnie, Sero! To ja, Isabel. Potrzebuję twojej pomocy. Musisz pokazać mi, jak możemy przedostać się przez górę.

Tak naprawdę nie spodziewałam się, że moja prosta prośba odniesie skutek - i to tak szybko. Zupełnie nie byłam przygotowana na wykrzyczaną przez nią odpowiedź. Przesłana wizja odbiła się echem gromu w moim umyśle. Kiedy znikła, wstałam i zachwiałam się, tracąc na kilka sekund równowagę.

Matt i Ethan podbiegli do mnie.

- Wszystko okej? - zapytał szybko Matt.

- Tak, w porządku - popatrzyłam na niego, a potem na Ethana. Jak mam im powiedzieć o tej próbie i o tym, co nas czeka w razie porażki?

Ethan potrafił odczytać wyraz mojej twarzy.

- Dawaj, czego się dowiedziałaś. Zaszliśmy tak daleko, że nie uciekniemy teraz z podkulonym ogonem.

Opowiedziałam im o tajemnym przejściu.

- Prowadzi przez środek lodu. Najwyraźniej wystarczy, że przejdziemy tamtędy i znajdziemy się po drugiej stronie.

- To zbyt proste - zauważył Ethan. - Gdzie jest haczyk?

- Cóż, zgodnie ze słowami Sery będziemy musieli zmierzyć się z ukrytą w nas prawdą. Dopóki pozostaniemy skoncentrowani i nie zbojemy ze ścieżki, wszystko będzie w porządku.

Ethan nie kupił tej, złagodzonej przeze mnie, wersji.

- A co się stanie, jeśli nie przejdziemy próby?

- No więc... góra zamieni nas w stałe wyposażenie lodowego korytarza.

- Stałe? - zapytał Matt napiętym głosem. - Czyli...?

-Na wieczność. — Kiedy już to powiedziałam, spróbowałam odwrócić ich uwagę. Rozmyślanie nad tym, co nas czekało, mogło nas tylko wytrącić z równowagi i zwiększyć ryzyko błędu. - Sera twierdzi, że musimy się spieszyć.

- Co powiedziała? - zapytał Ethan.

- Ona właściwie nie rozmawia ze mną, ale w jej przekazie wyczuwałam ponaglenie. Bardzo silne.

Ethan zaczął zbierać nasze rzeczy, ale Matt myślami był ciągle przy czekającej nas próbie.

-Jak mamy się skoncentrować? Czy wiemy, jaki kształt przybiorą te nasze „ukryte prawdy” albo chociaż czym są?

Ethan podał Mattowi jeden z plecaków.

- Po prostu staraj się opróżnić umysł ze wszystkich negatywnych emocji.

-No jasne, to będzie bułka z masłem - odparł sarkastycznie.

Ethan zastanowił się przez chwilę.

- Co czujesz, kiedy myślisz o Rochelle?

Matt spojrzał na niego ostro, jakby miał ochotę mu przyłożyć. Nie spodziewałam się, że odpowie, ale wymamrotał:

- Głównie złość.

- A kiedy myślisz o byciu Strażnikiem? Mój brat potrząsnął przecząco głową.

- Myślę, że Trybunał popełnił błąd i w ogóle nie jestem Wezwanym.

Przepełniały go wątpliwości - jak, na litość boską, miał sobie poradzić z tą próbą? Przypomniałam sobie, jak niedawno zareagował na kogoś, kogo spotkał w szkole, i przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

- A co czujesz, kiedy myślisz o Nerii?

Ethan uniósł brwi, słysząc tę propozycję, ale skinął lekko głową. On także widział, że Matt był całkowicie urzeczony tą dziewczyną. Wyraz rozmarzenia zaszklili oczy Matta.

- Trzymaj się tej myśli - powiedział mu Ethan. - Zapomnij o swoich problemach. Zapomnij o wszystkim. Przywołaj przed oczami obraz Nerii i wypełnij głowę tylko pozytywnymi myślami. Jasne?

Ruszyliśmy w kierunku wskazanym mi przez Serę, do miejsca, które wyglądało jak pojedynczy lodowy mur, ale w rzeczywistości składało się z kilku częściowo zasłaniających się nawzajem ścian. Pomiedzy nimi wila się zygzakiem ścieżka.

Zanim weszliśmy na nią, Ethan odciągnął mnie na bok.

- Powinnaś iść pierwsza.

Moim pierwszym odruchem był sprzeciw, ale Ethan wiedział, o czym myślę. Wiedział, że będę niepokoić się o Matta.

- Ja będę pilnował Matta. Jeśli wyczuję, że pakuje się w kłopoty, wyciągnę go i zostanę z nim po tej stronie. Ty i John pójdziecie dalej, żeby uratować Arkariana.

To było altruistyczne podejście, ale nie zdziwiło mnie w jego przypadku. Uściskałam Ethana, a on przytulił mnie mocno. Dzięki jego zapewnieniu poczułam, że wszystko dobrze się skończy.

- Nic ci nie będzie - powiedział, kiedy odsunęliśmy się od siebie. - Mattowi też nie. Po prostu dręczą go teraz takie wątpliwości, że sam już nie wie, na co naprawdę go stać.

Matt podszedł bliżej, prawdopodobnie zastanawiając się, co nas zatrzymuje. Zmusiłam się do uśmiechu. Ostatnią rzeczą, jakiej bym chciała, było zasianie w nim dalszych wątpliwości.

Tak więc cała nasza czwórka wyruszyła krętą ścieżką: na przodzie ja, potem John, Matt i Ethan na końcu. Nie byłam pewna, kiedy dokładnie zacznie się próba, więc od razu zaczęłam osłaniać swoje myśli i usuwać wszystkie negatywne. Powiedziałam sobie, że niezależnie od tego, co się zdarzy, nie mogę się oglądać.

Jeśli pozostali zobaczą moją twarz i wyczytają z niej strach lub coś równie odpychającego, może to ich zdekoncentrować. Niosąc zapaloną pochodnię i plecak, zmuszałam się do stawiania kroku za krokiem. Jednocześnie starałam się oddychać powoli i oczyścić umysł z wątpliwości.

Ścieżka okazała się tunelem przechodzącym przez gigantyczną bryłę lodu. Nie byłam pewna, w którym momencie zaczęła się zmieniać, a ja poczułam narastające napięcie. Niebawem tunel się skończył, a przede mną otworzyła się dolina. Nie spodziewałam się zobaczyć czegoś tak zapierającego dech w piersiach. Szybko jednak dolina zmieniła się, a ścieżka przeszła w most ponad niewielkim strumykiem, płynącym w stronę jeziora. Nad jego brzegiem zobaczyłam stoły piknikowe i plac zabaw dla dzieci. Gdzie się właściwie znalazłam? Miałam nieodparte wrażenie, że byłam tu już kiedyś. Spróbowałam przywołać to wspomnienie.

Przedemną, dokładnie na mojej drodze, ktoś stał na moście. Był to mężczyzna, opierający się łokciami o barierkę i patrzący na strumyk, który płynął wartko poniżej.

Poczułam silny impuls, żeby obejrzeć się i sprawdzić, co z pozostałymi. Szczególnie w tym momencie chciałam zobaczyć reakcję Matta. Wydawało mi się, że ten mężczyzna mógł być naszym ojcem.

Kiedy podeszłam bliżej, odwrócił głowę i zobaczyłam, że to naprawdę jest nasz ojciec. Moje serce zaczę-

ło bić wolniej. Skąd on się tutaj wziął? Dlaczego ten most i wszystko dokoła wydawało się takie znajome? Miałam silne przeczucie, że już tu byłam.

Nagle ogarnął mnie przymus zadania pytania, które dręczyło mnie od czasu wcześniejszej wizji, w której zobaczyłam ojca. Nie chciałam jednak się zdekoncentrować, zagrożenie było zbyt poważne. Nie wolno mi było zboczyć ze ścieżki!

Mimo wszystko, kiedy podeszłam dostatecznie blisko, nie potrafiłam się powstrzymać.

- Ostatniego dnia powiedziałaś, że odchodzisz, bo zostałeś okłamany. Kto cię okłamał?

Przechylił głowę na bok, a na jego ustach pojawił się blady uśmiech żalu. Zamrugałam, tłumiąc łzy, i postarałam się nie tracić koncentracji. Musiałam pamiętać, że nie wolno mi się zatrzymać na zbyt długo, ale nie byłam w stanie ruszyć się na krok, zanim nie dostałam odpowiedzi.

- Twoja matka - powiedział po prostu.

- Jak to? - mój głos brzmiał dziwnie, jakby dochodził z głębin albo z oddali.

Westchnął.

- Tak bardzo chciałbym nie musieć odchodzić! Ale ty, kochanie, powinnaś prowadzić normalne życie. Zapomnij o tej rozmowie. Dzisiaj mówimy o tym po raz ostatni.

Złapałam go za rękę.

- Tato! O co chodzi?

Na moment wstrzymałam oddech. Czy to był mój głos? Ale przecież brzmiał jak głos dziecka! Co tu się działo?

Temperatura wokół mnie spadła. Zimny wiatr owiał mi twarz.

- Proszę, tatusiu! Co się dzieje?

Wyciągnął rękę i dotknął mojej twarzy. Odgarnął pukiel włosów, który wpadł mi do oczu i wsunął mi go za ucho.

- Kiedy ożeniłem się z twoją matką, była już w ciąży. - Położył obie ręce na moich ramionach. - Kochałem twoją matkę, Iso. Kochałem was wszystkich. Ale znoszenie tego kłamstwa było dla mnie zbyt trudne. Naprawdę chcesz znać tę tajemnicę?

Skinęłam, niezdolna do wypowiedzenia choćby słowa drżącymi wargami.

- Twoja matka miała przede mną sekrety. Takie, z którymi nie potrafiłem dłużej wytrzymać. - A potem powiedział: - Matt nie jest moim synem.

Gwałtowny podmuch wiatru szarpnął płaszczem, odwracając moją uwagę. Kiedy podniosłam oczy, ojciec zniknął. Obróciłam się, szukając go, ale za mną była tylko ciemność. Nad moją głową przemknął cień, a kiedy spojrzałam w górę, zobaczyłam, że lodowa ściana nade mną spada! Wiatr zmienił się w lodowato zimny huragan i zdmuchnął moją pochodnię. Zostałam w kompletnej ciemności, a powietrze stało się tak chłodne, że trudno mi było oddychać.

- Co się dzieje?

Wyciągnęłam ręce i dotknęłam twardego lodu. Ściany przesuwały się, słyszałam teraz głosy. Gdzieś' bardzo blisko mnie krzyczeli jacyś ludzie. Osunęłam się na ziemię, czując, że wokół mnie ubywa wolnej przestrzeni. Leżąc na brzuchu, wymacałam przejście, które zamykało się bardzo szybko. Zaczęłam się czołgać, ale mój plecak utknął. Wyszarpnęłam go najszybciej, jak mogłam. Krzyki stały się głośniejsze, a ja nadal pełzłam się na oślep. W końcu w twarz uderzył mnie deszcz ze śniegiem i zrozumiałam, że wyszłam na zewnątrz.

Pozbierałam się chwiejnie na nogi i ruszyłam biegiem. *Matt nie jest synem mojego ojca!* Biegłam tak długo, aż straciłam oddech. *Co to znaczy?* Każdy krok stawał się coraz bardziej bolesny, połykałam wielkie hausty mroźnego powietrza. *Jak mogłam tego nie wiedzieć? Jeśli ojciec powiedział mi to wtedy, czy powiedział także Mattowi? Czy Matt ukrył te wiedze w najgłębszej głębi umysłu, tak jak ja to zrobiłam?*

Zatrzymałam się - otaczała mnie tylko ciemność. Co ja, u diabła, wyprawiałam?

Obróciłam się powoli w miejscu, w taki sposób, żeby stanąć dokładnie twarzą w kierunku, z którego przybiegłam. Potem krok za krokiem szłam ostrożnie, aż wymacałam rękami ścianę lodu.

Usiadłam wyczerpana na ziemi i czekałam. Niebawem zobaczyłam jak z mroku wyłania się John, niosąc pochodnię, która oświetliła całe moje otoczenie.

Sprawił wrażenie zmordowanego i przerażonego, więc podbiegłam do niego.

Opadł na kolana, jego krótkie nogi dygotały nerwowo. Zastanowiłam się, z jaką prawdą - albo wspomnieniami lub demonami - musiał się zmierzyć na ścieżce.

- Wszystko w porządku? - zapytałam ze szczerą troską, odsuwając na razie własne doświadczenia; potem znajdę czas, by je przemyśleć.

Patrzyłam na dyszącego z wysiłkiem Johna i zadziwiło mnie, jak przyjaźń zadzierzgnięta w tak krótkim czasie może mieć siłę podobną do wieloletniej. I pomyśleć, że początkowo nie potrafiłam mu zaufać.

- Prawdę mówiąc, Isabel, widziałem mnóstwo rzeczy. Rzeczy, które przypomniały mi o innych czasach, innym świecie, dawno temu. Tak, wszystko ze mną w porządku... teraz. Myślę, że wszystko naprawdę w porządku.

Jego słowa i nieukrywana ulga obudziły moją ciekawość.

- Co zobaczyłeś?

- Wiesz, to bardzo osobiste - odparł, ale mimo wszystko opowiadał dalej. - Widziałem kobietę. Piękną kobietę. Była moją żoną. - Machnął ręką. - Bardzo kochałem tę kobietę. Była moją żoną, wiesz. - Popatrzył na mnie. - Mówiłem ci już, że ta kobieta była moją żoną?

Skinęłam głową z uśmiechem, mając nadzieję, że tak zachęcę go do dalszych zwierzeń. Najwyraźniej to do-

świadczenie do głębi nim poruszyło, niemal jąkał się z każdym zdaniem.

- Była prześliczna. Nawet po śmierci była prześliczna. Pragnąłem jej tak bardzo, nie mogłem pozwolić, żeby tamten ją dostał.

Zwilżyłam wargi i spróbowałam sformułować nasuające się nieodparcie pytanie.

- Jak umarła twoja żona?

- Zamordowałem ją - powiedział, patrząc wprost przed siebie. - Zabiłem ją. Wbiłem jej nóż w brzuch. - Jego ręka poruszyła się, kilka razy powtarzając śmiercionośny gest. - Dźgnąłem ją siedem razy. A potem wbiłem ten nóż tutaj - uderzył się w pierś zaciśniętą pięścią. Po jego obliczu w milczeniu spłynęła łza.

Wzdrygnęłam się choć płaszcz otulał mnie szczelnie i zaczęłam zastanawiać się, co to właściwie za miejsce. Ostatnie miejsce, w jakim chciałabym zostać uwięziona, pomyślałam. Nagle ogarnęło mnie tak silne pragnienie wydostania się stąd, że zakręciło mi się w głowie. W następnej chwili pojawił się Ethan, zataczając i trzymając głowę oboma rękami.

Podbiegłam do niego - osunął mi się w ramiona.

- Nie możemy tędy wracać. - Jego głowa chwiała się na boki. - Musi być jakaś inna droga.

- Chcesz ze mną pogadać?

Nie odpowiedział, więc nalegałam dalej, mając nadzieję, że to pozwoli mu rozładować trochę napięcie:

- Widziałeś śmierć swojej siostry?

-Nie.

- Czy to było coś dotyczącego twojej mamy? Jego bezruch i odmowa wyjaśnień były irytujące.

Miał jednak prawo do takiej decyzji, więc pogładziłam go po rękę, żeby wiedział, że ma tuż koło siebie przyjaciela, tak jak on był nim dla mnie przez cały czas. Objął mnie ramieniem, po czym odezwał się ponad moją głową:

- Widziałem Rochelle. Widziałem jej twarz w ścianie. Widziałas te ściany? Były pełne ludzi. Wydawało mi się, że są martwi, ale cholera, Isabel, oni krzyczeli!

Milczałam, a on kontynuował już spokojniej:

- Rochelle była wśród tych ludzi, krzyczała, żebym jej pomógł. - Popatrzył na mnie. - Jak myślisz, co to znaczy?

Naprawdę nic mi nie przychodziło do głowy.

- Ja miałam do czynienia ze wspomnieniem, więc naprawdę nie wiem.

- Muszę to wiedzieć, Isabel, albo nie będę mógł spać spokojnie. Czy to znaczy, że Rochelle ma kłopoty? Jak coś takiego może być ukrytą prawdą? Pamiętasz, co John mówił o tej próbie? Że spotkamy się z naszymi wewnętrznymi demonami.

- Może to było odbicie twojej troski o nią. Popatrzył na mnie dziwnie, więc musiałam rozwinąć myśl.

- Myślę, że ją kochasz. Odsunął się ode mnie.

- Nie wiesz, o czym mówisz!

Mógł mieć rację, a ja mogłam naprawdę nie wiedzieć, o czym mówię, ale widziałam, jak na nią patrzył. Zawsze był gotów pierwszy przyjść jej z pomocą, a w razie potrzeby także jej bronić. Ale nie potrafił jeszcze tego przyznać, nie potrafił zaakceptować prawdy. Może właśnie dlatego zobaczył Rochelle uwięzioną w lodzie. Ona go kochała, tak przynajmniej mi się wydawało. A jeśli on nie odwzajemni jej miłości, będzie dla niego na zawsze stracona.

Siedział w milczeniu, a mnie w ciszy zaczęło ogarniać dziwne uczucie, jakbym straciła część własnego ciała. Do Ethana dotarło to w momencie, kiedy nasze spojrzenia się spotkały.

- No nie! Gdzie jest Matt? Powinien już stamtąd wyjść, szedł przede mną. Nie widziałem go, a kiedy zrobiło się najbardziej upiornie, przestałem o nim myśleć. Nie myślałem o nikim z was.

- Musimy wrócić i go poszukać. A jeśli został uwięziony w tych ścianach? - Przypomniałam sobie coś jeszcze. - Mój plecak tam został! Co my bez niego zrobimy?

- Znajdziemy jakiś sposób - odparł Ethan. Popatrzył na skulonego niedaleko na ziemi Johna i właśnie miał go zawołać, kiedy zauważył coś kątem oka. - Patrz!

To był Matt, wychodzący z wnętrza góry. Maszerował ścieżką i pogwizdywał, jakby nie trapiły go żadne troski.

- Matt? - Omal nie rzuciłam mu się na szyję z gorącym uściskiem, ale było w nim coś, co sprawiło, że zamarłam. Nie chodziło o to, czego się właśnie o nim dowiedziałam. Mogliśmy mieć różnych ojców, ale nadal byliśmy bratem i siostrą. Zastanowiłam się, co jest w nim innego - to było coś w jego spojrzeniu, odrobinę nieprzytomnym, jakby był pod wrażeniem czegoś, co zaparło mu dech w piersiach.

- Wszystko okej?

Popatrzył na mnie i uśmiechnął się.

- No, jasne. Czy to nie było ekstra?

- Co? - zapytaliśmy jednocześnie z Ethanem. Obejrzał się przez ramię.

-Tamto coś. Czy to nie było przepiękne? I jeszcze te wodospady. Imponujące. I kwiaty, nigdy nie widziałem niczego podobnego. A te motyle... miały niesamowite kolory, prawda?

Ethan po prostu potrząsnął głową.

- Cóż, nie wiem. Nie widziałem żadnych motyli.

- Żartujesz - w głosie Matta zabrzmiało zdumienie. Rozchylił dłonie, wypuszczające ze dwadzieścia motyli najrozmaitszych rozmiarów i kształtów, w niezwyklej barwach. Zatrzepotały wokół nas, ociągając się, aż wreszcie zatoczyły ostatnie koło nad głową Matta, jakby żegnając się z nim, i odleciały. Z każdym machnięciem skrzydeł tworzyły wokół siebie najbardziej zachwycające kolory - części z nich nie potrafiłabym nazwać.

Ethan popatrzył na mnie, zastanawiając się nad odpowiednim pytaniem. Był zaskoczony dziwnym i euforycznym doświadczeniem Matta, tak różnym od jego własnego. Różnym także od doświadczeń moich i Johna.

Ja także miałam wiele pytań, ale nagła fala mocy uderzyła we mnie wraz z oślepiającym światłem. To była kolejna wizja. Od razu wiedziałam, że pochodzi od Sery, ale brakowało jej klarowności wcześniejszych kontaktów. Ta wydawała się wymuszona i jeśli się nie myliłam, wywołana potężnym uczuciem - strachem lub niepokojem.

Kiedy się skończyła, popatrzyłam na Matta i Ethana. Wiedziałam, że moje pytania będą musiały poczekać.

- Coś jest nie tak. Musimy się pospieszyć.
- Co widziałaś? - głos Ethana był pełen troski.
- Tak naprawdę niczego nie widziałam. Tylko czułam. Oczy Matta zaczęły odzyskiwać przytomny wyraz.
- Co takiego?
- Głównie strach Sery. Cała dygotała.

Rozdział 27

Arkarian

Lathenia szalała. Wpadła do świątyni w towarzystwie siedmiu rozbrykanych dogów. Podniosła oczy ku sufitowi, jakby spodziewała się, że coś stamtąd na nią spadnie, a następnie wkroczyła w wewnętrzny ośmiobok. Wzdrygnęła się. Pomyślałem, że tak zareagowałyby, gdyby ktoś przeszedł po jej grobie - chociaż, z uwagi na nieśmiertelność Lathenii, była to absurdalna myśl. Zauważyłem, że psy pozostały na zewnątrz ośmioboku, popiskując tęsknie, jakby Lathenia została oddzielona od nich przez niewidzialną siłę.

Za nią weszli jej towarzysze. Pierwszy był Marduk; uśmiechnął się do mnie połową ust. Cztery wreny, które doprowadziły mnie do obecnego stanu, kulily się przy drzwiach. Marduk zagrzmiął na nie i zbliżyły

się, ale tylko po to, żeby się wycofać natychmiast, kiedy odwrócił się do nich plecami. Był z nimi także ten chłopak, Bastian, który wyraźnie unikał mego wzroku. I na końcu starzec.

Ten ostatni mnie intrygował. Jego wiek zdradzały długie siwe włosy i broda, szare, pozbawione blasku oczy i spadziste, kruche ramiona. Trzymał się na uboczu; wyczuwałem, że to mu odpowiada najbardziej. Tylko raz pochwyciłem jego spojrzenie, ale to wystarczyło, abym mógł dostrzec jego aurę. Był magiem, i to bardzo potężnym. Jego talenty różniły się od talentów członków Straży, z wyjątkiem może jednego - Dartemisa. Opowieści o Dartemisie były tylko legendami, ale widok tego starca sprawił, że zacząłem podejrzewać, iż w starożytnych przekazach kryło się ziarno prawdy.

Teraz stało się jasne, dlaczego moje moce przestały działać — ten mag rzucił na mnie urok, silne zaklęcie. Dlaczego więc był tutaj teraz? Czy Lathenia spodziewała się, że urok będzie wymagał odnowienia?

Lathenia szerokim gestem machnęła ręką, a z jej palców posypały się deszczem elektryczne iskry, które sprawiły, że zamrugałem oczami.

- Najwyraźniej nie doceniłam twoich przyjaciół.

Uśmiechnąłem się, zbyt trudno było mi się powstrzymać. Nie tylko jeszcze żyli, ale znajdowali się niedaleko, dostatecznie blisko, żeby stanowić zagrożenie.

- Pozwól mi, moja pani, na przyjemność starcia z jego twarzy tego uśmiechu - odezwał się stojący koło niej Marduk, wlepiając we mnie spojrzenie pojedynczego płonącego oka.

W jej rękę pojawił się bicz. Rzuciła go Bastianowi.

- Chcę, żeby Bastian to zrobił.

Bastian popatrzył na bicz, rzucił szybkie spojrzenie na mnie, a potem z powrotem na swoją panią.

- Chcesz, pani, abym...?

- Co się dzieje, Bastianie? - zapytała drwiącym tonem. - Jaka to słabość ostatnio się w tobie załęgła? Z jakimi demonami się zmagasz? - Jej oczy zalśniły oślepiającym błękitem. - Jestem twoją panią! Nie wolno ci o tym zapominać! Zajęłam się tobą, kiedy nikt inny o ciebie nie dbał! Nikt! Skąd to wahanie w twoich oczach?

- Nie waham się, wasza wysokość. Jestem twoim najwierniejszym sługą.

Popatrzyła na niego zmrużonymi oczami.

- Być może noc w otchłani, w towarzystwie prawdziwych demonów, pomoże wygnać demony z twoich myśli.

Bastian rozejrzał się szybko dokoła, a z jego twarzy odpłynęła krew. Wyciągnął ręce i cofnął się o krok.

- Nie, nie, pani! Proszę, nie! - Popatrzył na mnie, a strach, który dostrzegłem w jego oczach, sprawił, że zadrzałem. - Zrobię... Zrobię to - syknął. - Zrobię wszystko. - Jakby chcąc udowodnić swoje posłu-

szeństwo, strzelił biczem w moim kierunku. Smagnął ziemię koło moich stóp, nie dotykając mnie.

Lathenia wpatrywała się w niego bez mrugnięcia okiem. Przeszukiwała umysł chłopaka, odczytując jego ukryte myśli. W duchu ponagliłem Bastiana do ukrycia wszelkich wątpliwości z wykorzystaniem całej siły, jaką mógł w sobie znaleźć. Nagle Lathenia wciągnęła gwałtownie oddech, a jej oczy zaślniły ogniem.

- Do otchłani!

- Nie! Nie rób tego! - wrzasnął Bastian.

- Uwolnię cię za godzinę. Będziesz mi tak wdzięczny, że naprawdę staniesz się moim najwierniejszym sługą. Pamiętaj, że twoje przeznaczenie na zawsze spoczywa w moich rękach, Bastianie. Pamiętaj o tym, kiedy będziesz uciekać poprzez tunele.

Z tymi słowami machnęła obiema rękami w kierunku błagającego chłopaka. Jego postać zaczęła blaknąć i rozwiewać się, ale jeszcze przez kilka sekund po jego zniknięciu w komnacie rozbrzmiewał echem rozpaczliwy krzyk.

Marduk podszedł i podniósł bicz, nie spuszczając ze mnie oczu.

- Czy pozwolisz, pani?

Lathenia poklepała go po ręku takim gestem, jakby pieściła jednego ze swoich psów.

- Niedługo będziesz mógł się z nim policzyć, malutki. Ale zanim ten śmiertelnik zostanie unicestwiony na wieki, mam do niego jeszcze jedno pytanie.

- Nie trudź się. Niczego nie powiem. Podeszła i stanęła koło mojego fotela.

- Wstawaj!

- Gdybym tylko mógł - mruknąłem, ale zmusiłem się, żeby posłuchać, opierając się ciężko na kiju, który otrzymałem od Bastiana.

Uniosła głowę i czekała, aż złapię oddech.

- Odpowiedz mi na ostatnie pytanie, Arkarianie, a ja dopilnuję, abyś żył dość długo, żeby zobaczyć przybycie swoich przyjaciół.

- Jesteś niezwykle szczodra. Zignorowała mój sarkazm.

- To proste pytanie, na które istnieje prosta odpowiedź. Udziel jej, a wówczas nie pożyjesz wprawdzie długo, ale będziesz mógł jeszcze raz zobaczyć swoich towarzyszy.

Jej propozycja była kusząca. Marzyłem o tym, żeby zobaczyć Isabel i Ethana, choćby na krótką chwilę. Ale Lathenię trudno było uznać za godną zaufania.

- Skąd mam wiedzieć, że dotrzymasz tej umowy?

- Musisz zaryzykować, masz wolny wybór. Śmierć od razu - urwała, patrząc na wreny kulące się w drzwiach, jakby obawiały się wejść do środka - albo kiedy zdążysz się z nimi pożegnać.

- Zdecyduję, kiedy usłyszę pytanie.

Jej blada skóra załśniła, jakby próbowała powstrzymać wybuch gniewu.

- Podaj mi imię tego, który cię spłodził!

Jej pytanie jednocześnie zaskoczyło mnie i zmieszało. Dlaczego wiedza o tym, kto mnie spłodził, miałaby mieć jakiegokolwiek znaczenie? Przynajmniej tym razem nie musiałem walczyć o ukrycie przed nią moich myśli.

- Wiesz chyba, że na to pytanie nie umiem odpowiedzieć. Nie mam pojęcia, kim byli moi rodzice. Moja matka...

Przerwała mi.

- Znasz swoją matkę. Niedawno ją spotkałeś.

Przez chwilę byłem jak ogłuszony. Oczami duszy zobaczyłem dziecko, Charlotte, i w głębi serca zrozumiałem prawdę.

- Dlaczego jej nie zabiłaś, kiedy miałaś po temu sposobność?

- Chciałam zobaczyć, kto jest twoim ojcem.

- Oczywiście, poprzez sferę. To powinno być dla ciebie proste, kontrolujesz otwieranie się portali w czasie. Dlaczego więc mnie o to pytasz? Dlaczego sama nie zobaczysz?

- Dlaczego? Ponieważ akt twojego poczęcia został osnuty zasłoną niewidzialności!

Ta wiadomość zaskoczyła mnie tak bardzo, że opadłem z powrotem na fotel. Utworzenie zasłony niewidzialności wymagało mocy maga. Czyli legendy o Dartemisie musiały być prawdziwe! Naprawdę istniał, przynajmniej w jakimś miejscu, z którego musiał rzucić ten urok, mający ochronić tożsamość mojego

ojca. Ale dlaczego niezbędna była aż taka tajemnica? Jeśli mój ojciec był kimś tak ważnym, czemu porzucono mnie po śmierci matki i zostawiono na wychowanie wieśniakom i żołnierzom?

- Powiedz mi wszystko, co wiesz, Arkarianie. Spojrzałem na Lathenię i uniosłem dłoń.

- Niczego nie wiem. Byłem wychowywany przez obcych, odsyłany od domu do domu.

- Bez wątplenia w którymś z tych domów ktoś musiał ci coś powiedzieć!

- Kto miałby mi coś mówić? Byłem podrzutkiem. Nic nie znałem.

Jej wściekłość narastała z każdą sekundą, kiedy uświadomiła sobie, że nie mogę udzielić jej informacji, których potrzebowała. Oczywiście pozostawało pytanie, czy gdybym wiedział, kim jest mój ojciec, w ogóle bym jej to powiedział. Nawet gdyby to była informacja bez znaczenia, prędzej bym umarł.

Lathenia usłyszała moje buntownicze myśli i uderzyła mnie w twarz grzbietem dłoni. Siła zwykłego policzka w jej wykonaniu sprawiła, że poleciałem do tyłu.

Leżąc na podłodze, zauważyłem Serę, skuloną pod stołem z twarzą schowaną w dłoniach. Widok tego udręczonego niewinnego dziecka sprawił, że poczułem przypływ gniewu, dostatecznie silny, że przełamał on wiążący mnie urok. Spojrzałem na Lathenię i błyskawicznie uniosłem rękę, ciskając w nią całą

mocą, jaką byłem w stanie zgromadzić przy moim osłabieniu.

Błysk mocy rozświetlił komnatę i uderzył wprost w Lathenię, zaskakując ją. Upadła i krzyknęła, ale szybko poniosła się i wrzasnęła do swojego maga: - Szybko, Keziahu! Twoja magia przestała działać. Nie mogłem przepuścić takiej okazji. Podejmowanie walki z nimi wszystkimi nie miało sensu, zabiliby mnie w jednej chwili. Ale gdybym tak użył skrzydeł? Mogłem trafić w dowolne miejsce świata podziemnego, ale z pewnością dowolne miejsce było lepsze niż pewna śmierć tutaj - z wyjątkiem może tej otchłani, do której Lathenia wysłała Bastiana!

Gdybym użył skrzydeł, musiałbym zostawić tu Setę, ale na co mogłem przydać się jej w obecnym stanie? Lepiej było użyć mocy i uciec stąd teraz, a potem wrócić po nią, kiedy minie niebezpieczeństwo.

Zamknąłem oczy i przywołałem obraz kamienistej skarpy nad jeziorem oraz ścieżki prowadzącej stąd do tego miejsca. Zatrzymał mnie przeszywający wrzask Bogini.

- Szybko, Marduku! On ucieka!

Marduk uniósł ramiona, a dobiegające od drzwi skrzeczenie przerwało moją koncentrację. Tuziny ptaków wleciały do środka, kierując się prosto na mnie. Zamarłem na ich widok - dziwaczne, niemal ludzkie oczy zdawały się pożerać mnie, a przeszywające skrzeczenie wdzierało się w moje myśli.

Szanse na użycie skrzydeł znikły, ponieważ niezbędną mi koncentrację uniemożliwił napór atakujących mnie dziwacznych ptaków. Użyłem mocy, powodując eksplozję energii, co sprawiło, że rozproszyły się i zaczęły krążyć nade mną. Kilka z piskiem próbowało odlecieć, ale Marduk nakazał im wrócić do mnie, a Keziaha zaczął inkantację.

Starłem się walczyć z zaklęciem, a na mojej skórze pojawiały się drobne pęcherzyki, jakby ktoś spryskał mnie wrzącym olejem. Ale atakujące ptaki nie pozwalały mi na koncentrację, dziobiąc moje ciało i szarpiąc ubranie tam, gdzie nie mogły się dostać do skóry. Próbowałem je odpędzać, ale było ich po prostu za wiele. Szybko przytłoczyły mnie liczebnością i sprawiły, że upadłem na posadzkę.

Poprzez hałas skrzeczących ptaków i inkantację Keziaha dostrzegłem na moment Serę, nadal ukrytą pod stołem, zwiniętą w kłębek i dygoczącą gwałtownie. Zawołałbym do niej, żeby ją uspokoić, ale nie chciałem zwracać na nią uwagi. Przynajmniej w tym momencie Lathenia myślała tylko o mnie.

Inkantacja Keziaha w końcu umilkła, a starzec wycofał się pod ścianę i rozkasłał się chrapliwie.

- Jest spętany, wasza wysokość - odezwał się.

Skinęła na Marduka, który odwołał ode mnie swoje stado ptaków i odesłał je na zewnątrz. Krew sączyła mi się ze świeżych ran na całym ciele. Wiedziałem, że zbliża się śmierć, więc znalazłem siłę, żeby po raz

ostatni popatrzeć na Marduka. Było w nim niegdyś' dobro. Był wspaniałym Strażnikiem - silnym, wrażliwym i bezgranicznie oddanym.

- Twoje moce się zmieniły - zdołałem wykrztusić. Roześmiał się.

- Chciałbyś zobaczyć coś jeszcze? - Wyciągnął rękę w moim kierunku i chrząknął z zadowoleniem, kiedy odruchowo odwróciłem twarz. Spojrzał na Lathenię. - Moja Bogini obdarzyła mnie wieloma talentami, Arkarianie. O niektórych z nich nie możesz nawet śnić.

- Więc czemu nie wykorzystasz ich w słusznej sprawie?

- I miałbym oddać to wszystko? - Pstryknął palcami, a fala zielonej mocy wypełniła powietrze między nami, świszcząc i trzeszcząc. Podniósł jednego z rannych ptaków i cisnął go w utworzone przez siebie pole energii. Ptak z rozpaczliwym wrzaskiem eksplodował, rozsypując się w proch.

- Mam coś, czego nigdy nie dałaby mi Straż: tyle mocy, ile tylko zapagnę. - Odwrócił głowę i spojrzał na cztery towarzyszące mu wreny, które od przybycia tutaj nie przestały się kulić i drżeć. Potem znów popatrzył na mnie.

- Widzisz? Wreny się mnie boją. Spróbowałem wstać, ale przekonałem się, że muszę

przytrzymać się fotela.

- Chętnie się, że ujarzmiłeś bezmózgie bestie?

Moja kpina rozwścieczyła go, ale Lathenia położyła uspokajająco rękę na jego ramieniu.

- On odegrał już swoją rolę, a jego przyjaciele niedługo odkryją, że odbyli swą podróż na próżno. Mamy jeszcze wiele do roboty, choćby poddanie torturom zdradzieckiego wrena, który im towarzyszy. A jeśli moje podejrzenia okażą się słuszne, zemścimy się na tym, który ośmielił się odebrać ci życie, malutki.

- Dlaczego nie zostawicie ich w spokoju? - odezwał się. - Dlaczego nie zadowolisz się moją śmiercią? Nie chcesz przecież ściągać na siebie całej wściekłości Lorianana. Zabij jedno z nas, nie czworo.

Lathenia popatrzyła na mnie i wydawało mi się, że przez moment naprawdę rozważała moją propozycję.

- Przecenisz swoją wartość, Arkarianie - odezwała się. - Najwyraźniej muszę ci przypomnieć o moich celach. Pewnego dnia będę kontrolować wszystko: umysły śmiertelników, zagubione dusze, istoty światła, wszystko, co żyje, a także umarłych, zamieszkujących w mroku.

- Czy sądzisz, że Trybunał poda ci te wszystkie światy na tacy?

Odeszła kawałek, odwróciła się powoli i roześmiała cicho, unosząc jedną brew.

- Trybunał ma w tym momencie dość problemów z nadzorowaniem świata śmiertelników. - Popatrzyła na swoje paznokcie. - Proroctwo zmienia się nawet w tej chwili. Straż tragicznie utraci czworo Wezwanych,

a ja posmakuję wreszcie sprawiedliwości. Zgodzisz się przecież na pewno, że będzie to cios w samo serce Trybunału. - Popatrzyła na mnie. Wytrzymałem jej spojrzenie i powściągnąłem swój język. Miała rację i oboje o tym wiedzieliśmy, chociaż nie zamierzałem przyznawać, jakie szkody mogłaby spowodować śmierć czworga Wezwanych. Mieliśmy przecież być obrońcami Veridianu, tymi, którzy staną naprzeciwko Lathenii w bitwie mającej raz na zawsze zakończyć wszystkie bitwy.

- Moje armie z każdą chwilą stają się silniejsze. Czy możesz powiedzieć to samo o waszych?

Z tymi okropnymi słowami popatrzyła na Marduka.

- Pamiętaj o swoim przyrzeczeniu wobec wrenów. — Popatrzyła na stwory kulące się razem przy drzwiach. - Nędzni tchórze. To przede mną powinni drzeć, nie przed żalonym duchem!

Marduk nie odwracał spojrzenia od Bogini, dopóki nie znikła, zabierając ze sobą Keziaha i psy. Kiedy się odwrócił, na jego twarzy malował się wyraz uwielbienia, a ja przypomniałem sobie, kiedy ostatni raz coś takiego widziałem. Było to na długo przedtem zanim jego twarz została okaleczona, w dniu, kiedy na świat przyszła jego córka, a on patrzył na jej matkę.

- Jestem tym, kim powinienem być, Arkarianie. Bez względu na to, co teraz powiesz lub zrobisz, niczego to nie zmieni. Czas płynie nieustannie.

- Nie musi tak być. Masz siłę, żeby coś zmienić. Czy nie widzisz, że jesteś tutaj uwięziony, tak samo

jak wszystkie zagubione i przeklęte dusze zamieszkujące ten świat? Jego pojedyncze oko zaśniło jasną czerwienią.

- Jestem wolny!

- Nie, Marduku, posłuchaj...

Słyszając moją prośbę, odrzucił głowę do tyłu, wyciągnął do góry ręce i wydał ogłuszający ryk. Potem rozkazał wrenom, aby podeszły i stanęły przed nim. Zbliżały się posłusznie, drepcząc, skacząc i bezustannie rozglądając się dokoła. Kiedy stanęły przed swoim panem, Marduk położył im ręce na głowach, a one popatrzyły na niego.

- Wchodząc do świątyni, pokonaliście swój strach. Czy nie mówiłem wam, że to jest możliwe?

Pokiwały głową niemal zbyt entuzjastycznie.

- Czy nie jestem waszym panem, który wie wszystko? Również z tym się zgodziły.

- Zostaniecie hojnie wynagrodzeni za swoją wierność. - Uśmiechnął się i dwoma prostymi słowami oddał moje życie w ich ręce. - Zabić go.

Rozdział 28

Isabel

Staliśmy na brzegu czegoś, co powinno być jeziorem i patrzyliśmy na rozciągającą się przed nami taflę lodu. Obok mnie John skinął głową i machnął skrzydłami.

- Co cię tak cieszy? - zapytał Ethan.

- Chyba macie szczęście.

- W jakim sensie?

-To jezioro - wyjaśnił John - jest zamrożone. Nie wydawało mi się, żebyśmy mieli szczęście. Zza jeziora usłyszeliśmy echo znajomego ogłuszającego ryku. Ethan złapał mnie za ramię.

- Miałaś rację! On żyje!

- I jest tam, w tej świątyni, z Arkarianem.

- Kto jest z Arkarianem? - Matt podszedł do nas.

- On go zabije.

- Kto?! - wrzasnął Matt.

John pociągnął go za brzeg płaszcza.

- Nasz pan.

Matt popatrzył na mnie, a potem na Ethana.

- Marduk? Ten jednooki świr, który zawlókł mnie w przeszłość i chciał spalić na stosie?

Skinęliśmy głowami.

- Ale on nie żyje, prawda? Zabiłeś go. John westchnął i spojrzał na Ethana.

- To byłeś ty!

- Ale on nie jest martwy - powiedziałam. John potrząsnął głową, głęboko zatroskany.

- Nie, ale jest brzydszy niż kiedykolwiek. Nasza pani nie była zadowolona.

Ethan nie zrozumiał.

- Okej, no to nie była zadowolona. Ale skoro on żyje, to dlaczego Lathenia dalej chce mnie zabić?

Widziałam, czym stał się Marduk, i dla mnie odpowiedź była prosta.

- Jest teraz bardziej potworem niż człowiekiem, a Bogini nie może nic na to poradzić.

- Aha - powiedział Ethan.

- No więc właśnie. Nie myśl o niej teraz; Sera w ostatnim przekazie kazała nam się spieszyć. - Podniosłam plecak i skierowałam się w stronę jeziora.

John skoczył za mną i szarpnął do tyłu, dosłownie na sekundę zanim moje stopy dotknęły lodu. Spoj-

rzałam na niego zirytowana, że próbuje mnie w tym momencie powstrzymać.

- Co jest?! — wrzasnęłam głośniejszym głosem niż powinnam. Do tej pory John udowodnił, że jest godnym zaufania przyjacielem. Tylko... na ile można ufać komuś, kto w poprzednim życiu był mordercą, a w tym - zdrajcą?

- Nie, panienko — powiedział szybko. - Lód jest niestabilny. Nie przypomina niczego, co znacie. Musicie się przygotować, zabezpieczając jakoś stopy.

Ethan pociągnął Johna za ramię.

- Co jest nie tak z tym jeziorem? Czy lód jest za cienki? Możemy się związać linami; jeśli pod jednym z nas lód się załamie, będziemy mogli go wyciągnąć.

- Nie będzie po co - odparł John. — Jeśli lód się pod wami załamie, umrzecie okropną śmiercią. - Podniósł ręce, zatrzymując nasze pytania. - Pozwólcie mi wyjaśnić. To jezioro nie jest napełnione wodą, lecz kwasem.

- Kwasem? - Ethan popatrzył na lód, lśniący słabo w świetle pochodni. — Zamarznięty kwas?

John skinął głową.

- Tak naprawdę wierzchnia warstwa to mieszanina złożona z wody ze śniegu i niedawnych deszczy, ale głównie z kwasu. To dziwna mieszanka, bardzo niestabilna.

- Możemy po tym przejść?

- Nie jestem pewien. Musicie zabezpieczyć stopy i nie zatrzymywać się nawet na sekundę.

- Ale zabezpieczamy już stopy butami - powiedział Matt.

- Ten lód jest nazywany kryształowym lodem - wyjaśnił cierpliwie John. - Jeśli dotknie czegoś materialnego, zapala się. Im grubsza warstwa ochronna, tym bezpieczniejsze będą wasze stopy.

Ostrzeżenie Johna sprawiło, że mój żołądek zacisnął się w supeł. Jak mieliśmy przejść przez to jezioro, na którym każdy krok zamieniał lód w ogień? Zbyt straszne było myśleć, że dotarliśmy tak daleko, żeby ponieść porażkę.

Ethan przyklęknął, a długi płaszcz rozwinął się wokół niego na śniegu. Zaczął grzebać w plecakach. Znalazł grubą parę skarpet i podał je Mattowi. Mnie wręczył sweter - oderwałam rękawy i zawiązałam je wokół butów, a potem oddałam Ethanowi pozostałe strzępy. Przymocował je do własnych nóg, następnie rozdarł swoją zapasową kurtkę i zaproponował dwa kawałki Johnowi. John cofnął się, a jego oczy załśniły.

- Nie! Doceniam twoją szczodrość, ale dalej nie pójdę.

- Dlaczego nie chcesz przejść z nami przez jezioro?

- zapytał Matt. John rzucił nerwowe spojrzenie na lód. - Oni mieszkali tam kiedyś, zanim zniknęli. A teraz jest tam ktoś inny.

Nie wiedziałam wprawdzie, kim byli „oni”, ale podejrzewałam, że ten ktoś inny, kto zdaniem Johna

miał powrócić, to najprawdopodobniej siostra Ethana. Spróbowałam go przekonać, że jego obawy są bezpodstawne i że duch, o którym wcześniej mówił, to ta sama osoba, która nas cały czas prowadziła. Był niewzruszony.

— Nie pójdę tam. Od tej pory radźcie sobie sami. Jęknęłam głośno i kopnęłam bryłę śniegu na ziemi.

Naprawdę nie miałam ochoty spędzać ani chwili dłużej na próbach przekonania Johna, że nie ma się czego bać. Serce mówiło mi, że Arkarian jest w poważnym niebezpieczeństwie i potrzebuje szybkiego leczenia.

— Okej, niech będzie jak chcesz, John. Ale kiedy zostaniesz tutaj sam, a twój pan wezwie cię, żebyś zapłacił za swoją zdradę, nie oczekuj, że zawrócimy i przybiegniemy ci na pomoc. Nie zrobimy tego, nawet jeśli usłyszymy twój krzyk. Będziemy zajęci ratowaniem Arkariana. Po to tu przybyliśmy. Jasne?

Odetchnęłam głęboko i weszłam na zamarzniete jezioro. Kiedy tylko moje stopy dotknęły lodu, wystrzeliły spod nich płomienie. Wiedziałam, że tak będzie, ale mimo to widok płomieni liżących spody i boki moich butów zaskoczył mnie.

— Nie zatrzymuj się! Nie oglądaj! Będę szedł za tobą. Rozpoznałam głos bez patrzenia — to był John. Ogarnęła mnie ulga. Poczułam przypływ sił.

Udało nam się przejść niemal całą drogę bez przeszkód, kiedy powietrze rozdarł znajomy, szarpiący nerwy skrzek, do którego dołączył kolejny i jeszcze kolej-

ny, aż dźwięk stał się nieznośny.

- Nie zatrzymujcie się! - zawołał John. W tym momencie w polu naszego widzenia znalazło się stado łopoczących skrzydłami ptaków.

To były ptaki, o których opowiadał nam John, wielkie jak orły, ale znacznie mniej majestatyczne. Podleciały do nas, machając skrzydłami i starały się nas przewrócić. Atakowały nas ostrymi i długimi dziobami, skrzecząc przy tym dziko. Walczyliśmy z nimi ze wszystkich sił, jednocześnie usiłując nie zatrzymać się i utrzymać równowagę. Kiedy się przewracaliśmy, ogień lizał nasze stopy i odsłonięte części ciała.

- Nie zatrzymujcie się! - krzyknął John, który wykorzystał skrzydła, żeby wzbić się w powietrze i odciągnąć od nas napastników.

Pozbyliśmy się ich dzięki naszym pochodniom i płonącym strzępom ubrań. Zerwały się do lotu i zniknęły w jednej chwili, a my dokończyliśmy przeprawę.

Odetchnęłam z ulgą, że łód wytrzymał, a my przeszliśmy po nim, płacąc za to tylko drobnymi obrażeniami, i odwróciłam się po raz pierwszy. Matt, Ethan i John zrobili to samo. Westchnęliśmy na widok przebitego z takim trudem jeziora. Było rozświetlone setkami małych płomyków w miejscach, gdzie nasze stopy dotknęły powierzchni lodu. Ponieważ wszystko wokół spowijały ciemności, widok był naprawdę niezwykły. - Gdybym była malarką, tak namalowałabym piekło. Pozostali po prostu skinęli głowami.

Rozdział 29

Isabel

Na plaży mój szósty zmysł zaczął szaleć ze strachu. Wznosząca się przed nami świątynia pogrążona była w ciszy - zbyt wielkiej ciszy. Ruszyliśmy w jej kierunku, a kiedy podeszliśmy bliżej, zobaczyłam, że jest naprawdę gigantyczna i wznosi się na setki metrów w górę. Niegdyś musiało to być miejsce kultu, a także bezpieczne schronienie. Za czasów swojej świetności mogła bez trudu pomieścić tysiąc ludzi.

Zaczęłam tracić siły w nogach, ale zmuszałam je do dalszego ruchu. Miałam wrażenie, że ktoś wyciągnął mi wnętrzności, zawiązał je na tysiąc malutkich supełków i wepchnął z powrotem na miejsce. Ethan biegł koło mnie. - Wszystko okej?

Skinęłam głową, nagle przytłoczona dziwnym przeczuciem, że po tym wszystkim okaże się, że przybyłam za późno.

- Zwolnij, Isabel. Jesteśmy prawie na miejscu.

- Nie mogę. Boję się.

- Wiem, ja też. Ale jeśli teraz się wykończysz, nie pomożesz Arkarianowi. Będzie potrzebował ciebie... twoich talentów, wiesz?

Spojrzałam na niego ze złością - niczego nie rozumiał. I bez tego byłam wystarczająco zdenerwowana.

- A jeśli mój talent nie wystarczy? A jeśli już jest za późno i on... — musiałam się gwałtownie zatrzymać, żeby złapać oddech i odzyskać panowanie nad sobą.

Ethan ścisnął moje ramię.

- Wszystko będzie dobrze.

W tej chwili dogonił nas Matt.

- Co się dzieje?

Braterska troska była ostatnią rzeczą, jakiej w tej chwili potrzebowałam, i to pomogło mi otrząsnąć się z uczucia niepewności.

- Nic, ruszajmy. — Poganiając pozostałych, ruszyłam biegiem.

Do głównych wrót świątyni prowadziły schody z polerowanego kamienia. Przeskakiwałam je po trzy i zanim się obejrzałam, stałam na podeście, patrząc na przestronne wnętrza, które na pierwszy rzut oka wydawało się całkowicie opuszczone.

Kiedy podniosłam wzrok do góry, wyrwało mi się ciche westchnienie na widok sklepienia i paneli ze szklanej mozaiki w żywych barwach, zbiegających się wysoko w jednym punkcie. Na moment zdezorientowało mnie wrażenie déjà vu - widziałam wcześniej takie sklepienie, w Cytadeli, w dniu, kiedy Arkarian został porwany.

Matt stanął koło mnie z dziwnym wyrazem twarzy. — Mam déjà vu - szepnął.

Nie rozumiałam, dlaczego ma takie samo odczucie jak ja - o ile pamiętałam, nigdy nie był w Cytadeli, w każdym razie nie w tej jej części. Przeszedł koło mnie jak we śnie, prosto na środek pomieszczenia i zaczął spoglądać w górę, w dół i na boki. Wyciągnął ręce, jakby chciał dotknąć niewidzialnej struktury przed sobą. Jego dziwne zachowanie sprawiło, że przeszły mnie ciarki.

Odwróciłam spojrzenie i skierowałam pochodnię w stronę ściany, rozglądając się za Arkarianem. Widziałam tylko kolumny i pustkę między nimi.

Gdzie on się podział?

Podmuch lodowatego wiatru szarpnął moim płaszczem, przeszedł mnie zimny dreszcz. W tym momencie go dostrzegłam.

-Nie!

Leżał przy dogasającym kominku po drugiej stronie pomieszczenia, całkowicie nieruchomy. Szok sparaliżował mnie.

Ethan podbiegł do mnie.

- Gdzie on jest? I gdzie jest...? - Zauważył Matta.

- A on co wyprawia?

- Tam. Nie wiem. I jestem tak samo mądra jak i ty

- podałam mu pochodnię, zakładając, że drugie pytanie dotyczyło miejsca pobytu jego siostry. - Możesz to potrzymać?

Ogarnęło mnie przedziwne uczucie, kiedy biegłam po lśniącej marmurowej posadzce w kierunku Arkariana, a każdy krok rozbrzmiewał echem w moich uszach. Zupełnie jakbym biegła po platformie z powietrza, która miała doprowadzić mnie do śmierci. Odepchnęłam to przerażające uczucie i wypatrywałam jakiegokolwiek ruchu. Czegokolwiek, co by mi powiedziało, że Arkarian jeszcze żyje. Leżał do mnie plecami, ale czy nie powinnam chociaż widzieć, jak jego pierś porusza się w rytm oddechu? On jednak był zupełnie nieruchomy. Gwałtowne emocje wirowały wewnątrz mnie, dławiąc mnie i oślepiając. - Oby nie było za późno.

Z bliska stało się jasne, że Arkarian został brutalnie pobity. Widziałam mnóstwo krwi, skaleczeń, otwartą ranę na piersi i krwawe zadrapania na policzku, a także chyba ślady ugryzień, pokrywające każdą odsłoniętą część ciała. Nawet jego ubranie było poszarpane. Upadłam na kolana, wycierając wilgoć z twarzy i mrugając gwałtownie, żeby przywrócić oczom ostrość widzenia. Położyłam dłonie na ramionach Arkariana i ostrożnie

przewróciłam go na plecy. Miał otwarte, nieruchome oczy i przez moment pomyślałam, że już nie żyje. Ale wtedy wciągnął płytki oddech, a spojrzenie jego oczu - zaszklonych i nabiegłych krwią - spotkało się z moim.

- Isabel. — To był tylko szept z popękanych i wyschniętych warg, ale wystarczył, żeby moje oczy wypełniły się łzami. Starłam się je powstrzymać. - Ratuj się, dla mnie jest już za późno. Lathenia chce cię dopaść. Jest jeszcze coś, o czym musisz wiedzieć. Mar...

Położyłam palec na jego ustach.

- Nic nie mów, musisz oszczędzać siły. Nie ruszę się stąd bez ciebie, Arkarianie.

- Musisz uważać...

Uświadomiłam sobie, co próbuje powiedzieć. Poruszyło mnie to, że resztkami sił starał się ostrzec nas przed niebezpieczeństwem.

- Wiemy, Arkarianie. Wiemy, że Marduk jakimś cudem powrócił z martwych.

Odetchnął jeszcze raz z bólem i pozwolił sobie na utratę przytomności. Jak długo znajdował się w takim stanie, ledwie zdolny do oddychania? Jak długo jego ciało walczyło, żeby dostarczyć tlen do uszkodzonych organów i komórek?

Ethan przysiadł po drugiej stronie Arkariana i łagodnym ruchem odgarnął szafirowe włosy. Bez słowa przełknął ślinę i popatrzył na mnie. Nie musiałam być myślowidzącą, żeby odczytać jego umysł, usłyszeć

myśli, czy co tam robią myślowidzący. Troska Ethana malowała się na jego twarzy jak wyryta w kamieniu.

- Możesz mu pomóc, Isabel?

Położyłam drżące dłonie na piersi Arkariana. Najpierw należało zająć się jego płucami. Świat znowu rozmazał mi się przed oczyma, adrenalina buzowała w żyłach, a ja stwierdziłam, że nie potrafię na tyle uspokoić myśli, żeby wejść w stan medytacji.

Ethan zauważył, że coś jest nie tak.

- Nic ci nie jest?

Kiedy Arkarian miał zamknięte oczy, można było pomyśleć, że straciłam go na zawsze. Czułam, że jego serce bije powoli pod moimi dłońmi, ale ile życia mu jeszcze zostało? Najpoważniejszych obrażeń nie było widać gołym okiem, potrzebowałam mojego daru uzdrowicielskiego - ale coś było nie tak! Miałam wrażenie, że przestał działać. Ponownie spróbowałam zwizualizować wewnętrzne obrażenia Arkariana, ale nic się nie wydarzyło. Jak to było możliwe? Uzdrowień dokonywałam dotąd instynktownie.

Na moment ogarnęła mnie czysta panika. Ściany wokół mnie zawirowały, a wszystko stało się dziwnie nierealne. Podniosłam ręce do twarzy.

- Co się ze mną dzieje?

Ethan przytrzymał moje drżące dłonie.

- Musisz wziąć się w garść. Tracisz panowanie nad sobą.

- Nie mogę się skoncentrować.

- Owszem, możesz.

Łza spłynęła mi po twarzy.

- Boję się, Ethanie.

John podszedł bliżej, a Matt deptał mu po piętach. Jego buty tupwały głośno po lśniącej posadzce, dźwięk był niemal nieznośny dla moich napiętych nerwów. Ich obecność tylko pogłębiała mój stres. Odwróciłam się do nich i wrzasnęłam głosem, który odbił się po pustej sali histerycznym echem:

- Precz! Jazda stąd! Nie możecie mnie zostawić samej?!

Mój krzyk ich zatrzymał w pół kroku, prawdopodobnie pomyśleli, że postradałam zmysły w chwili, kiedy najbardziej ich potrzebowałam.

Matt zakładał najgorsze.

- Czy on nie żyje? - szepnął do Ethana. Ethan potrząsnął głową.

- Isabel musi się uspokoić, żeby jej talent uzdrowicielski zadziałał.

Matt łagodnie położył mi ręce na ramionach.

- Uda ci się, Isabel. Uzdrowiłaś nogę Ethana po tym ugryzieniu. Popatrz tylko, nie ma nawet śladu.

Ethan przypomniał mi o innym zdarzeniu.

- Uzdrowiłaś mojego ojca po tym, jak Marduk ranił go w serce, i to mimo tego że twojemu bratu groziła śmierć.

Ja jednakże puszczałam ich słowa mimo uszu, ponieważ tu i teraz mijały cenne sekundy, które mogły

zadecydować o życiu i śmierci Arkariana, a moje moce uzdrowicielskie zniknęły.

- Dlaczego nie mogę go uzdrowić, Ethanie?

- Musisz nabrać dystansu. Uspokoić się. Zacząć kontrolować swoje emocje. Isabel, ty go kochasz.

Matt zabrał gwałtownie rękę, jakby ugryzł go jadowity owad.

- Kochasz Arkariana? Ale on... on nie jest taki jak my.

Ethan spiorunował Matta wzrokiem i z powrotem zwrócił się do mnie.

- Isabel, właśnie po to tyle się uczyłaś. Odetnij się od wszystkiego. Nie pozwalaj, żeby emocje cię zablokowały.

Wzięłam głęboki oddech i powoli wypuściłam powietrze, a potem zamknęłam oczy i z powrotem położyłam ręce na piersi Arkariana. Tym razem zobaczyłam obraz pozrywanych ścięgien, wybitych stawów i połamanych żeber. Jedno z nich przebiło płuco.

Jakimś cudem udało mi się utrzymać kontrolę nad sobą i zwizualizować potrzebne zabiegi lecznicze. Zaczęłam od przemieszczenia złamanego żebra, połączenia go z drugą połową, zabliznienia płuca i napełnienia go na nowo powietrzem.

Moją nagrodą był głęboki oddech, który zaczerpnął Arkarian. Ale wiele jeszcze brakowało do jego całkowitego ozdrowienia. Przynajmniej teraz, kiedy już zaczęłam, pozostawała nadzieja, że to tylko kwestia czasu.

Znowu położyłam ręce na jego piersi i zaleczyłam rany, a potem uszkodzone stawy i ścięgna. Nadal jednak było dużo do zrobienia: wiele krwi i płynów ustrojowych zgromadziło się w niebezpiecznych miejscach, zalewając tkanki i organy wewnętrzne. Zaczęłam kierować krew z powrotem do naczyń krwionośnych, a nadmiar płynu do nerek Arkariana. Tu jednak napotkałam poważny problem - te niezbędne do życia narządy całkowicie przestały funkcjonować, prawdopodobnie z powodu poważnych uszkodzeń i obrzęku. Ich leczenie zabierało cenny czas.

Byłam ledwie świadoma hałasów wokół mnie, ale koncentrowałam się w tym momencie z całych sił, więc były na tyle odległe, że nie przeszkadzały mi.

- Musisz się spieszyć, Isabel. - Ethan właśnie skądś wrócił. - Świątynia jest otoczona przez psy. Olbrzymie. I chyba głodne.

Mimo wszystko potrzebowałam dużo czasu na zredukowanie obrzęku i uszkodzeń nerek Arkariana. Chwilami miałam wręcz wrażenie, że to beznadziejna sytuacja i te koszmarnie uszkodzone komórki po prostu nie będą w stanie się zregenerować.

Ethan wrócił po raz drugi.

— Isabel, siedem psów biega wokół świątyni.

Byłam tak skoncentrowana, że jego słowa początkowo do mnie nie dotarły. W końcu poradziłam sobie z nerkami Arkariana, jakimś cudem lecząc je na tyle, że podjęły pracę. Ponieważ uporałam się z najgorszymi

obrażeniami wewnętrznymi, powinien niedługo dojść do siebie. Wyczuwałam to każdym włóknom mojego ciała, chociaż Arkarian nadal nie odzyskał przytomności. Popatrzyłam na Ethana, uświadamiając sobie, że dalej tu jest i czeka na moją odpowiedź.

- Co mówiłeś?

- Psy, Isabel. Lathenia musi być już blisko albo też bawi się z nami.

Przez chwilę nie rozumiałam, czego on ode mnie chce. Byłam wykończona, a czekało mnie jeszcze sporo pracy przy uzdrawianiu, zanim Arkarian dojdzie do siebie na tyle, żeby mógł wracać z nami.

- Sam sobie z tym radź! - wybuchnęłam. - Z góry się zgadzam na każdy twój pomysł. Jasne? Podobno jesteście zespołem?

Przez ułamek sekundy wyglądał na zaskoczonego, wręcz zaszokowanego, ale odszedł, jakby zadowolony z siebie. Nie zastanawiałam się nad jego dziwnym zachowaniem - wróciłam do uzdrawiania Arkariana.

Kilka chwil później usłyszałam ryk rozwścieczonego lwa. Podskoczyłam na ten dźwięk i podniosłam wzrok. Świątynia była wypełniona wygłodniałymi lwami, których było przynajmniej z tuzin! Jeden zauważył moje spojrzenie i ryknął w moją stronę. Gęsia skórka postawiła wszystkie włoski na moim ciele. Co tu się działo?

Zauważyłam Ethana i zrozumiałam, że lwy są jego dziełem. Na zewnątrz psy Lathenii zaczęły warczeć.

Były już bardzo blisko i dlatego właśnie Ethan stworzył iluzję lwów.

Ethan strzelił z bata, a lwy zaryczały dziko. Po kolejnym trzaśnięciu bicia skoczyły do drzwi i wypadły na zewnątrz, odganiając psy od świątyni.

Nie mogłam powstrzymać cichego westchnienia podziwu. Ethan usłyszał i skinął mi głową.

Matt i John podeszli do mnie i przyklękli obok.

- Jak idzie uzdrawianie? - zapytał Matt. - Już prawie...

Ale nie skończyłam zdania, bo ciepłe dłonie przykryły moje ręce. Popatrzyłam w dół i zobaczyłam, że Arkarian siada, ściskając teraz mocno moje dłonie. Jego fiołkowe oczy odzyskały przytomny wyraz, uśmiechnął się do mnie.

- Jesteś niesamowita.

Fakt, że ujrzałam go w takim stanie, nie tylko zdrowego, ale po prostu... żywego, i świadomość, że wszystko będzie z nim dobrze, przytłoczyły mnie w jednej chwili. Spróbowałam powstrzymać łzy napływające do oczu. Nie zamierzałam się teraz rozklejać!

Nadal siedząc, przyciągnął mnie gwałtownie do siebie.

- Myślałem, że cię stracę.

Kątem oka zobaczyłam, że Matt marszczy brwi. Postarałam się nie zastanawiać nad jego spojrzeniem, nie było nic niezwykłego w tym, że jest wobec mnie nadopiekuńczy. Przynajmniej z Arkarianem wszystko było

dobrze. Będzie żył! Jeśli tylko uda nam się wydostać z tego miejsca w jednym kawałku, mamy przed sobą jakąś przyszłość.

Trzymając mnie mocno, popatrzył mi w oczy i czubkami palców otarł moje łzy. Potem pochylił głowę, opierając czoło o moje czoło i powoli pocałował mnie. W pierwszej chwili było to delikatne zetknięcie warg, ale potem nacisk zwiększył się, a pocałunek stał się mieszanką słodczy i namiętności.

Nie chciałam, żeby kiedykolwiek się skończył.

Rozdział 30

Arkarian

Ethan omal mnie nie przewrócił gwałtownym powitaniem. Ścisnąłem jego ramię jedną ręką, drugą ciągle trzymając Isabel. Nie byłem w stanie jej wypuścić nawet na sekundę — zresztą nie próbowała się odsuwać.

- Myślałem, że już nie zobaczę twojej paskudnej gęby - powiedział Ethan.

- Prawdopodobnie byłoby lepiej, gdybyś nie zobaczył — odparłem, puszczając go. - Lathenia wróci, żeby cię dopaść.

- Nie mów takich rzeczy - mruknęła cicho Isabel.

Odwróciłem się do niej i po raz pierwszy zauważyłem Matta. Matt! Więc to on był trzecią osobą, która z nimi podróżowała. No nie! To musiało oznaczać kło-

poty. Ciekawe, dlaczego Sera nie potrafiła go zidentyfikować? I jak załatwili z Lorianem dołączenie Matta do wyprawy? Niepokojąca myśl załęgła się w mojej głowie, kiedy patrzyłem na rosnące zmieszanie na ich twarzach.

- Nie wyobrażam sobie, żeby Lorian zgodził się na udział Matta w czymś takim.

- No cóż... - Ethan wpatrywał się w podłogę. - Właściwie tak nie do końca się zgodził.

Co on właśnie powiedział? Coś się nie zgadzało. Był zbyt zakłopotany.

- Które z was miało dowodzić?

Żadne nie odpowiedziało, ale nie było trudno zgadnąć, co starają się ukryć.

- Trybunał nie wyraził zgody na wyprawę ratunkową, prawda?

- Nie, ale jestem pewien, że by się zgodzili - powiedział cicho Ethan. - To Lorian wydał bezpośredni zakaz.

Niestety doskonale rozumiałem taką decyzję.

- Cała wasza trójka ryzykowała dla mnie zbyt wiele. - Nie patrzyli mi w oczy, więc powiedziałem im, co przewiduję: - Lorian nie ukarze was wszystkich, nie w czasie obecnego kryzysu. Ale jedno dla przykładu zostanie pociągnięte do odpowiedzialności. Kto to może być?

Nadal milczeli, wymieniając spojrzenia. W końcu odezwała się Isabel:

- Myślę, że chyba ja. Mocniej ścisnąłem jej dłoń.
- Złamałaś bezpośredni rozkaz?
- Tak, i zrobiłabym to jeszcze raz!

Jej odwaga była zachwycająca, ale mogła także stać się przyczyną jej zguby.

- Isabel, my, ludzie, nie możemy przewidzieć, co kryje się w umysłach tych, którzy są ponad nami. Oni wiedzą więcej, patrzą na wszystko z wyższego poziomu.

Uparta jak tylko Isabel potrafiła być, wysunęła własny argument.

- Tym razem Lorian się mylił!
- Zrobiłaś to dla mnie?

Skinęła głową, a ja przyciągnąłem ją do siebie. Czy zrobiłbym to samo, gdyby to Isabel została porwana do tego świata? Nie musiałem się zastanawiać ani przez moment. Walczyłbym z samym diabłem, żeby do niej dotrzeć.

Żeby trochę rozładować napięcie, Ethan przedstawił mi ich „przyjaciela”, Johna Wrena. Moim pierwszym odruchem była nieufność, ale wystarczyło spojrzeć mu w oczy, żeby zobaczyć, że ten wren nie przypomina podwładnych Marduka. Mocno ścisnął moją dłoń na powitanie.

Kiedy tylko ją wypuścił, znowu wziąłem za rękę Isabel, po prostu po to, żeby mieć pewność, że jest obok mnie.

Matt trzymał się na odległość i zaczynało mi świtać dłaczego. Pochwyciłem jego spojrzenie, skinęliśmy sobie głowami na powitanie. Potem jego wzrok pobiegł do mojej dłoni splecionej z dłonią jego siostry. Ten widok wyraźnie mu się nie spodobał. Podszedł i stanął obok mnie.

- Słuchaj, nie znam cię tak, jak Ethan i moja siostra. Nie słucham też plotek i nie zwracam uwagi na pogłoski, więc powiedz mi sam: to prawda, że masz sześćset lat, a twoje ciało się nie starzeje?

Zrozumiałem, do czego zmierza, i znowu mocniej ścisnąłem rękę Isabel. Spojrzała na mnie, a potem utkwiała wzrok w swoim bracie. Usłyszałem, że gwałtownie wciągnęła powietrze, kiedy udzieliłem Mattowi odpowiedzi.

- Wszystko, co słyszałeś, jest prawdą. Jego oczy świdrowały mnie na wylot.

- Więc do czego to może doprowadzić?

- Przez całe życie czułem w środku pustkę - wyszeptałem w odpowiedzi. — Kiedy jestem z Isabel, jestem cały.

- Ale nie możesz żyć w zwykłym świecie. To niemożliwe!
- Popatrzył na moje szafirowe włosy, jakby chcąc podkreślić własne słowa. — A jakie życie czeka Isabel w twoim świecie, kiedy będzie się starzeć i patrzeć, jak pozostajesz młody? Słuchaj, Arkarianie, musisz to zakończyć teraz, zanim złamiesz serce mojej siostrze. Nigdy nie widziałem jej tak zakochanej i tak zdetermi-

nowanej, nawet wtedy, kiedy kochała się w Ethanie. To poważna sprawa. To się musi skończyć!

Jego słowa uderzyły we mnie jak piorun. Płynęły z braterskiej miłości i silnego instynktu opiekuńczego, ale zawierały prawdę. Jednakże kiedy widziałem Isabel obok mnie, gdy czułem jej obecność, po prostu nie potrafiłem pogodzić się z ewentualnym rozstaniem.

Przyjrzała się nam obu uważnie.

- Przestańcie szeptać! Chcę wiedzieć, o czym rozmawiacie. No, o czym, do diabła, mówisz, Matt?

Uniosłem dłoń do jej twarzy, a Isabel oparła o nią policzek. Tak bardzo pragnąłem ją mieć, kochać ją całym sercem - i właśnie z powodu tej miłości mogłem... musiałem zrobić właśnie to, co obcesowo nakazywał Matt.

Dlatego też po tej ostatniej pieszczocie zdobyłem się na bezosobowy ton.

- Matt niepokoi się, że tracimy zbyt wiele czasu. - Ryki lwów na zewnątrz zabrzmiały w samą porę. -Ma rację. Musimy się pośpieszyć i znaleźć jakiś sposób na wydostanie się stąd.

Nie dałem jej szansy powiedzenia czegokolwiek -odwróciłem się na pięcie, udając, że czegoś szukam. Nie chciałem, żeby Isabel przejrzała moją grę; postanowiłem ukrywać swoje prawdziwe zamiary. Właśnie wtedy zobaczyłem Serę, nadal schowaną pod stołem i drżącą.

Uniosłem dłonie, zwracając uwagę pozostałych.

- Zaczekajcie i nie ruszajcie się.

Pochyliłem się i spróbowałem wywabić Serę z kryjówki.

Przechyliła głowę na bok. Ze swojego miejsca na podłodze widziała tylko nogi, ale nie mogła oderwać spojrzenia od nóg Ethana.

- No chodź, Sero. Jak długo czekałaś na ten moment?

Przyjęła podaną rękę i wyszła spod stołu, podchodząc niepewnie do pozostałych. Uniosła oczy i zobaczyła towarzyszącego im wrena. Wrzasnęła ściskając mnie tak mocno, że jej dłoń niemal całkowicie przeniknęła moją rękę. John także krzyknął i skoczył do drzwi. Matt chwycił go, zanim zdołał uciec, i przyciągnął z powrotem.

Isabel westchnęła z zaskoczenia na widok Sery. Ethan po prostu się w nią wpatrywał. Podeszedł, nie odrywając spojrzenia od eterycznej sylwetki siostry.

- Sera?

Sera uspokoiła się trochę, chociaż nie spuszczała czujnego spojrzenia z wrena. Odkleiła się ode mnie i rzuciła się w ramiona brata.

Ethan objął ją, ale spojrzał na mnie z przerażeniem, kiedy jego ramiona częściowo przeniknęły przez nią, a jej ciało częściowo wniknęło w jego ciało, o które była oparta. Uśmiechnąłem się i uspokajająco wzruszyłem ramionami.

- Najwyraźniej właśnie tak ma być.

Stała na palcach, a Ethan pochylił głowę. Miałem wrażenie, że ich ciała stapiają się w jedno.

Isabel patrzyła na nich oczami pełnymi łez. Ona także wiedziała, jak bardzo Ethan cierpiał.

- Czy zdołamy jej pomóc, Arkarianie? Uwolnić ją z tego więzienia?

- Jeśli uda nam się zabrać ją ze sobą z tego świata, jej dusza będzie wolna i będzie mogła udać się do miejsca swojego przeznaczenia.

Odległy ryk lwa i skowytanie psów przypomniały nam, gdzie się znajdujemy.

- Myślicie, że zdołalibyście doprowadzić nas z powrotem do szczeliny, przez którą przedostaliście się do tego świata? - zapytałem z nadzieją.

Isabel i Matt popatrzyli na siebie z niepokojem, a Ethan stanowczo potrząsnął głową.

- Nie ma mowy. Nie wracam przez tę górę.

- Dlaczego nie przez górę? - zapytał Matt.

Zdecydował za nich wren nazywany Johnem. Spojrzał podejrzliwie na Serę i podskoczył bliżej, machając skrzydłami.

- Jest jeszcze jedna szczelina, która prowadzi do waszego świata. Niestety nie wiem, gdzie się znajduje.

Na widok stojącego tak blisko wrena oczy Sery rozszerzyły się; mocniej ścisnęła rękę brata.

- W porządku, Sero - uspokoił ją Ethan. - John jest naszym przyjacielem.

Sera popatrzyła na Johna niepewnie.

- Uwierz mi — powiedział Ethan. — Tym razem możesz na mnie polegać.

- Jak wygląda ta szczelina? — zapytała z drżeniem w głosie.

- Jak czarna błyskawica na niebie - odparłem. Myślała przez chwilę, marszcząc czoło.

- Widziałam tę szczelinę, kiedy wschodził krwawy księżyc.

Psy zaczęły się zbliżać, najwyraźniej iluzja Ethana się rozwiewała. Musieliśmy szybko się stąd wydostać.

- Możesz nas zaprowadzić do tej szczeliny? — zapytał Ethan.

Sera z podnieceniem skinęła głową.

- Wiem dokładnie, dokąd trzeba pójść. Jest akurat pośrodku...

Jej słowa przerwał głośny łomot dobiegający od strony drzwi. Ktoś tam stanął, opierając się ciężko o framugę. Przyjrzałem się dokładniej — to był Bastian, pokiereszowany i krwawiący, z ubraniem poszarpanym na strzępy. Osunął się na ziemię, więc podbiegłem do niego.

- Isabel! Szybko, jesteś tu potrzebna.

Zanim pozostali się zbliżyli, Bastian uniósł rękę.

- Nie! — wydyszał. — Już za późno. Ale... — spróbował złapać oddech. - Ta druga szczelina... nie możecie... Jest ponad ogrodem Marduka.

Ethan i Matt rozpoznali go natychmiast.

- Dillon!
- Ethan? Matt? Matt opadł na kolana.
- Co ci się stało?!

Stojący z drugiej strony Ethan był bardziej ostrożny.

- Skąd ty się tu wzięłaś?

Isabel odepchnęła Ethana i swojego brata na bok.

- Nie zadawajcie mu pytań, dopóki nie skończę. Zabrało jej to kilka minut, ale w końcu Bastian -

nie, nie Bastian, jego prawdziwe imię brzmiało przecież Dillon - został wyleczony. Wstał, nadal sprawiając wrażenie wstrząśniętego, i ścisnął dłonie Isabel.

- Jak mam ci dziękować? Wyrwała się mu.

- Jesteś jednym z nich?

- Tak - odpowiedział. Rzucił szybkie spojrzenie przez ramię. - Lathenia niedługo wróci. Muszę stąd uciekać. Ale musiałem wam powiedzieć, że szczelina nad ogrodem Marduka jest niedostępna.

- Dlaczego? - zapytałem.

- Ogród jest zatruty. Nie możecie się do niego zbliżyć. Otumani was i sprawi, że nie będziecie w stanie myśleć.

- Jasny szlag - rzucił Ethan. - Jak więc.

John Wren wpadł do środka, krzycząc wysokim ze zdenerwowania głosem.

- Szybko! Pan się zbliża!

Dillon rozejrzał się gorączkowo. Nie widząc bezpiecznego miejsca, zamknął oczy, przygotowując się do użycia skrzydeł. Chwycił go za rękę, zanim zniknął.

- Dokąd chcesz iść? Potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia. Ale nie mogę tu zostać. Ona mnie zabije.

- Pójdiesz z nami - powiedziałem mu. Popatrzył na mnie nieufnie.

- Po co? Żeby to Straż mogła mnie zabić?

- Masz moje słowo, że nie spotka cię żadna krzywda.

- Będę przesłuchiwany?

- Tak, oczywiście. Ale będziesz także bezpieczny. Psy wpadły do środka, więc odskoczyliśmy od drzwi.

Tak jak poprzednio, nie weszły do wewnętrznego ośmioboku, więc tam się schroniliśmy. Tuż za nim zjawił się Marduk. Na widok Dillona zatrzymał się.

- Więc tutaj jesteś! Lathenia osobiście przemierza tunele, szukając cię! Co ty wyprawiasz w ich towarzystwie? - Przeniósł spojrzenie na Johna. - Najwyraźniej ta komnata jest pełna zdrajców! I spójrz tylko na siebie, stary druhu - przedrzeźniał mnie. - Twoja uzdrowicielka trudziła się na próżno. Ale moja pani będzie zadowolona. Wszyscy jesteście teraz w jednym miejscu, a ta świątynia niebawem stanie się waszym grobem.

Rozdział 31

Isabel

Lathenia pojawiła się przed nami wraz z siwobrodym starcem, który pomagał w porwaniu Arkariana. Natychmiast spostrzegła Dillona.

— Jesteś po ich stronie!

Stojący obok mnie Dillon zeszywniał.

— Zostań z nami — szepnęłam. - Wiesz chyba, że jesteśmy twoją jedyną szansą.

Pokiwał głową tak gwałtownie, że o mało mu nie odpadła. Matt niczego nie zauważył. Chyba nie zdawał sobie sprawy z przybycia Lathenii. Znów był czymś zafascynowany, stał na środku ośmioboku, chwilami spoglądając na sklepienie, ale głównie wypatrując czegoś pod nogami. Zaczęłam się niepokoić, że strach pomieszał mu w głowie. Musiałam zwrócić jego uwagę.

- Co ty wyprawiasz? Lathenia tu jest! Potrząsnął głową.

- Mam wrażenie, że coś mnie przyciąga do tego miejsca. Cały czas do niego wracam. - Zaczął opukiwać stopą marmurową posadzkę.

- Możemy zaraz zginąć, a tobie w głowie tylko stepowanie?

Przyklęknął i przesunął dłońmi po posadzce, skrobiąc ją paznokciami.

- Zostaw go - odezwał się Ethan. - Musi istnieć jakiś sposób na wydostanie się stąd. Może spróbuję jeszcze jednej iluzji.

Arkarian wysunął się przed nas, dotykając w przelocie ramienia Ethana.

- Czuję, że moje moce powracają. Stańcie wszyscy za mną.

- Nie - powiedziałam do niego. - Staniemy o b o k ciebie.

Ethan stanął przy Arkarianie, z Serą uczeponą jego ramienia. Dillon zajął miejsce obok Ethana. Nawet John wystąpił do przodu, tylko Matt klęczał na posadzce, przyciskając do niej ucho.

Lathenia uśmiechnęła się, ale uśmiech ten emanował złem.

- Myślicie, że pozwolę wam tak po prostu odejść. Jestem potężniejsza niż wy wszyscy razem wzięci! - Popatrzyła prosto na Dillona. - Jak się stamtąd wydostałeś?

- Zapomniałaś, że moim talentem jest siła.

- o niczym nie zapominam! Najwyraźniej jednak nie można powiedzieć tego samego o tobie. Jak możesz mnie opuszczać po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam? Co z naszą sprawą? To przecież także i twoja sprawa?

Dillon milczał, a oczy Lathenii rozbłysły.

- Czy nie pokazałam ci bogactw, które będą do ciebie należały? Mogę dać ci wszystko, o czym tylko zamarzysz!

Dillon zdołał wydobyć z siebie tylko cichy szept.

- Cokolwiek teraz zrobię, zabijesz mnie. Choćby po to, żeby dać przykład innym żołnierzom.

- Nie zostawiasz mi wyboru! - całe ciało Lathenii rozbłysło jasną poświatą, nawet jej oczy świeciły. Na ten widok trudno było nie skulić się i powstrzymać pragnienie ucieczki. - Sam sprowadziłeś to na siebie z powodu głupich wahań i lęku, że staniesz się taki jak on! - Wskazała Marduka i zasyczała jak wąż. Marduk odchrząknął.

- Wybrałeś śmierć - odezwała się Lathenia. - Umrzesz wraz z nimi.

Lathenia uniosła rękę, a siedem dogów zawarczało wściekle i zaczęło się ślinić. Wyglądały, jakby nie jadły niczego od roku.

Arkarian skoncentrował się na psach. Nawiązał kolejno z każdym kontakt wzrokowy, przykuwając ich uwagę. Nagle zaczęły potrząsać łbami, zaskomlały żałośnie i w panice uciekły ze świątyni.

Z gardła Lathenii wydobył się niemal warkot. - Szybciej, Keziahu, jego moce wracają! Najwyraźniej starzec był jakimś magiem, dzięki temu zablokował wcześniej moce Arkariana. W głosie Lathenii dało się słyszeć dziwny pośpiech, wręcz desperację. Zaczęłam zastanawiać się dlaczego. Jasne, doświadczyła na własnej skórze działania mocy Arkariana, ale szósty zmysł podpowiadał mi, że istnieje inny powód, powiązany jakoś z jej własnym istnieniem. Coś mającego też związek z naszym wydostaniem się z tego świata.

Lathenia zwróciła głowę w moją stronę - przechwyciła te myśli i nie podobał jej się mój sposób rozumowania. Jej oczy załśniły, nie miałam nawet sekundy na reakcję. Siła jej uderzenia cisnęła mną do tyłu. Na moment komnata i wszystko wewnątrz niej zasnęło się bielą. Matt zaciągnął mnie na środek ośmioboka i zaczął mówić coś gorączkowo.

- Wolniej - powiedziałam. - Szumi mi w głowie i nie rozumiem ani słowa.

Odetchnął głęboko.

- Myślę, że możemy się wydostać poprzez tę świątynię - wyszeptał.

- Co takiego?! Jak?

- Nie jestem pewien. Ale widzisz to? - Popatrzył pod nogi i znalazł obluzowaną marmurową płytę. Nadepnął ją mocno w jednym miejscu, a ona odchyliła się, odsłaniając ośmiokątny kryształ wielkości drobnej pięści. Zamierzałam go dotknąć, ale kiedy zbliżyłam

dłoń, kryształ zaczął świecić. Zaskoczona, cofnęłam rękę.

- Myślę, że to jakieś urządzenie kontrolne. - Matt spojrzał w górę. - Wydaje mi się, że sklepienie nie bez powodu ma taką właśnie formę. Ono dokądś prowadzi. Czy John nie mówił, że mieszkający tu ludzie po prostu zniknęli?

- Myślisz, że nie tyle zniknęli, ile uciekli stąd? Ethan podbiegł do nas.

- Co wy tu wyprawiacie? Arkarian dłużej ich nie utrzyma. Potrzebuje naszej pomocy.

Ponad narastający hałas wzbił się głos Lathenii.

- Teraz, Keziahu! Pospiesz się! Marduku, przytrzymaj go, żeby Keziah mógł dokończyć zaklęcia.

Wciągnęłam Arkariana do środka ośmioboku w momencie, gdy Marduk podniósł rękę. Fala zielonego światła pomknęła, pulsując, w naszą stronę. Padliśmy gwałtownie na ziemię, a zielone światło minęło nas, rozbijając dwie marmurowe kolumny. Zacisnęłam palce na ramieniu Arkariana i odezwałam się szybko, zanim Lathenia lub Marduk mieli czas zorientować się, co robimy:

- Słuchaj, możesz nas stąd wydostać. Potrząsnął głową.

- Tylko nieśmiertelny może otworzyć szczelinę. Ale myślę, że zdołam ich zatrzymać wystarczająco długo, żebyś mogła wyprowadzić stąd resztę. Dillon nam pomoże.

Potrząsnęłam nim mocno.

- Posłuchaj mnie: Lathenia myśli, że możesz to zrobić.

- Ale jak?

Dillon najwyraźniej zgadzał się ze mną.

- To prawda. Dlatego tak histerycznie chce zablokować twoje moce.

- Ona wie o czymś, o czym ty nie wiesz - wyjaśniłam Arkarianowi. - Teraz musisz uwierzyć w siebie, spójrz tylko na tę moc, którą masz w rękach.

Lathenia wrzasnęła, a w jej głosie zabrzmiała frustracja. Podniosłam głowę i zobaczyłam, jak z płonącymi oczami wyciąga przed siebie dłonie.

- Uwaga! - krzyknęłam. Promienie jaśniejącej mocy wystrzeliły z jej palców i uderzyły nas z całą siłą, rozrzucając na wszystkie strony.

Oszołomiona podczołgałam się do Arkariana. Musiałam go przekonać.

- Masz moc, której potrzebujemy. Z trudem łapał oddech.

- Isabel, tworzenia mocy, o której mówisz, zostałem nauczony. To nie jest mój wrodzony talent.

- A ja uważam, że możesz nas stąd wyciągnąć. I myślę, że Lathenia też o tym wie.

Lathenia uniosła ręce, szykując się do posłania w nas kolejnej fali mocy. Ale tuż przed wyładowaniem Ethan wpadł na nią, przewracając ją na ziemię. Błysk mocy trafił Marduka, który zwinął się z jękiem bólu.

Zaciągnęłam Arkariana z powrotem na środek, gdzie Matt nadal bawił się znalezionym kryształem.

- Zaufaj i uwierz - wyszeptałam. - Czy nie tego nas uczono?

- Tak, Isabel, ale tutaj nie ma szczeliny. Marduk pozbierał się i wstał z dzikim błyskiem w oku.

Ruszył w kierunku Dillona, podczas gdy Ethan przeszkadzał Lathenii wstać z ziemi. Wrzasnęła, a Et-han poleciał nagle do tyłu. Zawołałam go i spojrzałam gorączkowo na Arkariana.

- Skoncentruj się na przywołaniu tej mocy!

W pośpiechu, zanim Lathenia i Marduk zdążyli znowu zaatakować, szarpnęłam Dillona za ramię i ściągnęłam wszystkich, żeby uformować krąg wokół Arkariana i Matta.

- Co ty robisz? - zapytał Ethan.

- Musimy osłonić Arkariana przed magią Keziaha. A Matt ma pomysł, jak nas stąd wyciągnąć, więc jego też musimy osłaniać.

- M a t t ?

- Tak, Matt. - Splotłam palce za plecami. - Mam tylko nadzieję, że się nie myli.

Nagły wybuch targnął powietrzem. Ziemia pod nami zawibrowała, marmurowe płyty pękły w kilku miejscach. Upadliśmy bezwładnie. Kiedy wstawałam, zobaczyłam, że to sprawka Marduka. Jak ogromną mocą musiał teraz dysponować. Nie miałam ochoty niczego o niej wiedzieć. Marduk uniósł ręce, przygotowując kolejny atak.

- Osłaniają go! - krzyknęła Lathenia. Kiedy pochwyciła moje spojrzenie, jej oczy zaślniły lodowatym błękitem, a potem pociemniały. Z koniuszków jej palców wystrzeliły z trzaskiem wyładowania elektryczne, eksplodując wokół nas. Staraliśmy się nie ruszać z miejsca; osłanianie Arkariana i Matta było dla nas w tym momencie najważniejsze.

- Nic się nie dzieje - odezwał się stojący za mną Matt.

- Próbuj dalej, Keziahu! - wrzasnęła Lathenia.
-Zakończmy to już! - rzuciła do Marduka.

Lekko odwróciłam głowę i zobaczyłam, że Marduk i Lathenia rozdzielili się i stanęli po przeciwległych stronach sali. Całe ciała obojga zaczęły lśnić. Gromadziła się między nimi moc i miałam przeczucie, że szykują coś szczególnego. Zrozumiałam, co to będzie, kiedy wyciągnęli do siebie ręce, a w miejscu, gdzie pola ich mocy zetknęły się w powietrzu, z syczeniem i trzaskiem pojawiły się prądy elektryczne. Zaczęła się z nich formować błyszcząca kula niebieskiego, czerwonego i fioletowego światła. Nie trzeba było wiele myśleć, by zorientować się, co ma się zdarzyć. Bogini i Marduk przygotowywali potężną eksplozję mocy, która miała zburzyć świątynię.

Zamierzała nas pogrzebać pod gruzami.

- To będzie coś wielkiego, Isabel — szepnął Ethan z podziwem, kiedy ich ciała lśniły coraz jaśniej. Obejrzał się przez ramię, Dillon pobiegł spojrzeniem za jego

wzrokiem. Matt nadal klęczał na podłodze. Arkarian zauważył kryształ i zeszywniał, tracąc koncentrację.

- Znalazłeś to!

- Szybciej, Arkarianie! - szepnęłam.

- Ale Isabel, nie rozumiesz...

- Nie mamy czasu! Próbuje dalej! Skinął głową i znowu zamknął oczy.

- Nie wiem, co oni robią, ale mam przeczucie, że już jest za późno - odezwał się Dillon.

W tym momencie także moją duszę ogarnęła rozpacz. Pod osłoną naszych ramion i ciał Matt nadal próbował dojść, co należy zrobić z kryształem, podczas gdy Arkarian wciąż starał się znaleźć w sobie potrzebną moc.

Ethan popatrzył na lśniące ciała Lathenii i Marduka, których blask wypełniał w tym momencie świątynię oślepiającym światłem.

- Lorian wiedział, że tak się stanie, wiedział, że Bogini nie pozwoli nam uciec.

Cała świątynia zaczęła wibrować. Nie potrzebowaliśmy słów, żeby zrozumieć, że w ciągu kilku sekund przestaniemy istnieć - na zawsze.

Przed oczami przemknęła mi twarz matki, sprawiając, że łzy napłynęły mi do oczu.

Wibracje zaczęły przesuwając marmurowe płyty pod stopami. Połączone moce Bogini i Marduka wzrastały, a marmur zaczynał pękać. Pośród nich pojawiła się migocząca kula pulsującej energii. Błysnęła jedna

iskra i całą świątynię wypełniło jaskrawe białe światło. Musieliśmy zamknąć oczy i zasłonić je rękami, żeby uniknąć oślepienia. Właśnie w tym momencie Matt wrzasnął:

- Wiem! Już rozumiem!

- Zabierz to ze sobą! - odkrzyknął Arkarian.

- Nie mogę. Nie da się ruszyć.

W głosie Arkariana zabrzmiała panika.

- Musisz! Jeśli zostawimy to tutaj, Lathenia znajdzie...

Arkarian nie dokończył myśli, ponieważ komnatę i wszystko, co znajdowało się wewnątrz niej, ogarnęły płomienie.

- Za późno - powiedział i wyrzucił w górę ręce. - Teraz!

Mozaikowe sklepienie ożyło i zaczęło wirować z coraz większą szybkością. Spłynęło z niego światło i cała nasza siódemka została uniesiona do szczytu kopuły, wirując spiralnie w górę. A potem nastąpiła tylko ciemność.

Rozdział 32

Isabel

Spadliśmy z wysoka do komnaty w Cytadeli - tej samej, do której trafiłam po porwaniu Arkariana. Rozejrzałam się dokoła i stwierdziłam, że wszyscy - łącznie z Dillonem, Serą i Johnem - są tutaj, rozciągnięci na podłodze.

Wstałam i zobaczyłam, że gromadzą się wokół nas dziwne istoty różnych kształtów, rozmiarów, kolorów i gatunków, przypominające jednak do pewnego stopnia ludzi.

Arkarian podszedł do mnie powoli, a każdy jego krok sprawiał, że moje serce biło mocniej. Podniósł głowę i nasze spojrzenia się spotkały, a mnie zaschło w ustach. Zatrzymał się tak blisko, że wystarczyłby jeden niewielki ruch, aby położyć dłoń na moim policzku.

- Wszystko w porządku?

Jak ma być wszystko w porządku?! - wrzasnęłam w myślach. - Skoro ty mnie nie chcesz!- dopilnowałam, żeby ostatnia część została odpowiednio zniekształcona.

Nadal patrzyliśmy na siebie, ale najwyraźniej było to dla niego trudne.

- Isabel - wyszeptał, a w jego głosie zabrzmiał żal. Efekt był tak piorunujący, że odwróciłam się.

Matt jęknął, ale chyba nic mu się nie stało. Pomógł pozbierać się Dillonowi. Sera także się podniosła, podobnie jak John obok niej. Ale kiedy popatrzyliśmy na wrena, zauważyliśmy, że działo się z nim coś dziwnego. Miałam wrażenie, że stawał się wyższy, że jego sylwetka wydłużała się na naszych oczach. Sera także to dostrzegła i cofnęła się.

- Co się z nim dzieje, Ethanie?

Ethan wzruszył ramionami i rzucił Arkarianowi zaniepokojone spojrzenie. Zabraliśmy ze sobą Johna, ale czy mieliśmy jakiś wybór?

John w dalszym ciągu zmieniał kształt - przemiana zabrała dłuższą chwilę, ale kiedy się zakończyła, popatrzyliśmy na niego zdumieni. Nawet otaczający nas i ciągle rosnący tłum wydał zbiorowe westchnienie.

John nie był już potworem o częściowo ptasim, a częściowo ludzkim wyglądem, lecz mężczyzną około trzydziestki, o łagodnych niebieskich oczach i ciemnobrązowych włosach. Jego skóra emanowała lekką

poświata, podobnie jak skóra Sery, miał też w sobie podobną do niej eteryczność. Popatrzył na siebie.

- Ja... ja chyba jestem wolny. - Zamilkł, nie wstydząc się wilgotniejących oczu. - Nie wiem, jak mam wam dziękować.

Sera zasłoniła dłonią usta i potrząsnęła głową.

- Czy to znaczy, że odejdziemy stąd razem?

- Chyba tak, panienko.

Sera lekko skinęła głową, a jej oczy zalśniły.

- W takim razie lepiej się pożegnajmy, zanim stanie się to, co ma się stać.

Arkarian i ja odruchowo odwróciliśmy się, żeby spojrzeć na Ethana. Popatrzył na nas i z powrotem przeniósł niepewne spojrzenie na siostrę.

- Nie mogę uwierzyć, że po tylu latach mamy dla siebie tylko kilka chwil. Mam ci tyle do powiedzenia.

Na naszych oczach sylwetka Sery zaczęła blaknąć, podobnie jak postać Johna. Ethan wpadł w panikę.

- Nie, nie możesz jeszcze odejść!

Arkarian podszedł do Johna i podał mu rękę, a potem przytulił Serę, która gorąco odwzajemniła uścisk. Skinął na Ethana, żeby się pospieszył.

- Nie będzie ci dane więcej niż te kilka chwil, Ethanie. Powiedz wprost, co ci leży na sercu.

Sera zbladła jeszcze bardziej, więc Ethan podbiegł i gwałtownie chwycił w ramiona jej szybko znikające ciało.

- Tak mi przykro. Powinienem był cię obronić przed Mardukiem. Powinienem był zapamiętać jego imię. Powinienem był wymierzyć sprawiedliwość za twoją śmierć. I powinienem był słuchać cię w snach. Nie musiałaś cierpieć przez te wszystkie lata.

Cofnęła się o krok i popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Było oczywiste, że chciała mu powiedzieć, że to wszystko, co się zdarzyło, nie było jego winą, że nie ma żadnego powodu, żeby czuł się winny. Było jednak jasne, że zwykle zaprzeczenie nie wystarczy, szczególnie gdy pozostało tak niewiele czasu. Dlatego uniosła drobną rączkę do jego twarzy.

- Wybaczam ci — powiedziała.

Z tymi słowami Sera i John zniknęli.

Potrzebowaliśmy chwili, żeby pozbierać myśli i zrozumieć, co się właśnie wydarzyło. Szybko jednak naszą uwagę przykuł świszczący dźwięk. Obróciliśmy się i zobaczyliśmy lorda Penbarina i lady Arabellę.

Lord Penbarin odezwał się pierwszy.

- Macie niezwłocznie towarzyszyć nam do Aten. Został wyznaczony termin waszego przesłuchania.

Chociaż wszyscy mieliśmy jakieś pytania, niepokój Ethana o matkę sprawił, że przepchnął się on bezceremonialnie do przodu.

- Muszę najpierw zajrzeć do domu. Odeślijcie mnie do domu, lordzie Penbarinie. Natychmiast odeślijcie mnie do domu.

Lady Arabella uniosła rękę.

- Obawiam się, że to niemożliwe, Ethanie.
- Nie rozumiecie...
- To ty nie rozumiesz. Wszystko zostanie wyjaśnione na przesłuchaniu.

Ethan nie mógł w to uwierzyć. Odchylił głowę do tyłu, wpatrując się w barwną mozaikę nad naszymi głowami. Od jak dawna dźwigał na swoich barkach ciężar depresji matki? A teraz musiał czekać jeszcze dłużej.

- Dobrze, powiedzcie mi przynajmniej, jaki dziś jest dzień?

Lady Arabella sprawiała wrażenie nieco zdziwionej.

- W waszym czasie?

Frustracja i niepokój sprawiły, że głos Ethana stwardniał.

- Tak, w moim czasie!

- Cóż, zdaje mi się, że jest to czwartek dziesiątego.

Ethan popatrzył na mnie, ale zdążyłam już sama policzyć. Spędziliśmy w świecie podziemnym całe dziesięć dni. Zanim wyruszyliśmy, do wyjazdu matki Ethana do sanatorium pozostało pięć dni. Miała tam zostać przez kolejne pięć dni, co oznaczało...

- Spóźniłem się. Ona mogła już... - Przeniósł spojrzenie z lady Arabelli na lorda Penbarina. - Moja matka. .. Czy wiecie coś...?

Na wargach lady Arabelli pojawił się łagodny uśmiech.

- Nic jej nie jest, Ethanie.

-Co?!

- Spędziła ostatnie dziesięć dni przy telefonie, czekając na jakąś wiadomość o waszym zaginięciu. Myślała tylko o waszym bezpiecznym powrocie.

Zaginięciu? Kiedy planowałam wyprawę ratunkową, nie przyszło mi do głowy, że nasze śmiertelne ciała po prostu znikną.

- A co z moją matką? - Rzuciłam krótkie spojrzenie na Matta.

- Odchodzi od zmysłów z niepokoju. Shaun i Jimmy powiedzieli, że wszyscy troje zaginęliście podczas wycieczki w lesie. Starali się uspokajać wszystkich i przekonać wasze matki, że wrócicie cali i zdrowi. -Zwróciła się do Ethana: — Twoja matka nawet nie pomyślała o sobie przez te dziesięć dni.

- Czyli nie pojechała do sanatorium?

- Nie.

- I nie... próbowała... niczego niemądrego?

- Nie, Ethanie.

Ethan spojrzał na mnie z szerokim uśmiechem, jego niebieskie oczy lśniły, kiedy pozbył się swojego największego lęku.

- Teraz, kiedy dusza Sery jest już wolna - odezwał się Arkarian — Laura nie będzie przez nią dłużej dręczona.

Arkarian miał rację. Starłam się nie myśleć o udreće, jaką sprawiłam mojej matce przez te dziesięć dni. Będę miała na to czas po przesłuchaniu.

Arkarian mocno ścisnął ramię Ethana, który miał jednak wciąż wątpliwości. Spojrzał na lady Arabeilę.

- Powiedzcie mi, chyba nie planujecie zabrać naszych śmiertelnych ciał do Aten?

To była słuszna uwaga. Wszyscy wiedzieli, że wyrwanie ciała i duszy z właściwego jej czasu jest szkodliwe i może okazać się śmiertelnie niebezpieczne.

- Pod waszą nieobecność wiele się zmieniło - odparła lady Arabella uspokajająco. — Teraz kieruje nami przede wszystkim pośpiech. Przesłuchanie Isabel będzie krótkie, zbyt krótkie żeby wasze ciała ucierpiały.

- Przesłuchanie Isabel? - powtórzył Arkarian zduszonym głosem.

Lady Arabella skłoniła głowę w niemal przeproszającym geście.

- Lorian chce pociągnąć Isabel do odpowiedzialności za bezpośrednie złamanie rozkazu przełożonego.

Ethan próbował coś powiedzieć, ale lord Penbarin uciął krótko:

- Oszczędzaj swoje argumenty na proces. Ale ostrzegam, Lorian nie jest w nastroju do słuchania kogokolwiek.

Arkarian stanął tuż przed lordem Penbarinem.

- Lorian mnie wysłucha.

Nigdy nie słyszałam, by mówił tak wyzywającym tonem.

- Udamy się z wami - ciągnął Arkarian. - Ale chcę prywatnego spotkania z Lorianem przed przesłucha-

niem Isabel. I chcę, aby natychmiast została przygotowana bezpieczna komnata. — Przyciągnął bliżej i przedstawił Dillona. - Jestem przekonany, że Straż uzna informacje przyniesione przez Dillona za niezwykle użyteczne.

Lord Penbarin i lady Arabella obiecali przygotować bezpieczną komnatę, zabezpieczoną także przed Strażą. Zmiana strony to poważna sprawa, nieliczni się na to zdecydowali, a ryzyko było duże. Dillon miał zostać gruntownie przeszkolony i przez długi czas być pod stałą obserwacją.

-Jeśli jednak chodzi o twoje spotkanie z Lorianem, możemy zrobić to tylko, co w naszej mocy - wyjaśniła lady Arabella.

Arkarian skinął głową, przyjmując to do wiadomości, a lord Penbarin położył mu rękę na ramieniu.

- Dobrze, że wróciłeś.

Lady Arabella uśmiechnęła się, a po jej twarzy spłynęły dwie strużki łez.

Otoczający nas tłum, liczący teraz ponad setkę istot, zaczął wiwatować, gwizdząc i gwałtownie klaszcząc.

- Kim oni są? - musiałam zapytać.

Lady Arabella wymieniła spojrzenia z lordem Penbarinem, który niemal niedostrzegalnie wzruszył ramionami.

- To ci, którzy przetrwali — wyjaśniła. - Ich zadaniem jest opieka nad żyjącymi.

Rozdział 33

Arkarian

W całym moim sześćsetletnim życiu po raz pierwszy czułem coś takiego - miałem ochotę udusić nieśmiertelnego! Gdyby Lorian znalazł się tu i teraz w tej komnacie Cytadeli, ośmieliłbym się położyć śmiertelne ręce na szyi wyższej istoty i mocno ścisnąć. To, że Lorian mógłby pociągnąć Isabel do pełnej odpowiedzialności za złamanie rozkazów, napełniało mnie bezbrzeżną wściekłością. Jakaś część mnie wiedziała, że tak się stanie. Jakaś część rozumiała dlaczego. Ale teraz, postawiony przed perspektywą utraty Isabel, nie potrafiłem przyjąć do wiadomości takiej myśli.

- Lepiej się uspokój - ostrzegł lord Penbarin, owijając nas srebrzystymi pelerynami ochronnymi. W jednej chwili przenieśliśmy się do Aten w roku 200 p.n.e.

Na dziedzińcu pałacu zrzuciłem pelerynę.

- Dziękuję za radę, milordzie, ale byłbym wdzięczny, gdybyś raczej poświęcił ten czas na organizowanie mojego spotkania z Lorianem.

Skłonił przede mną głowę.

- Jak sobie życzysz.

Kiedy lord Penbarin zniknął, lady Arabella zebrała peleryny i wyjaśniła, że Dillon został zabrany gdzie indziej i znajduje się pod czujną ochroną.

- Pozwólcie teraz, że zaproponuję wam coś do jedzenia i picia. Na pewno jesteście głodni. - Spojrzała na mnie i urwała, na ułamek sekundy zamknęła oczy, wstrzymując oddech. Zaraz potem uśmiechnęła się łagodnie. - Lorian spotka się z tobą teraz, w Komnacie Trybunału. Masz tylko pięć minut, potem ma się rozpocząć przesłuchanie. Powodzenia.

Nie rozglądając się i nie dając Isabel, Ethanowi i Mattowi szansy na powiedzenie czegokolwiek, użyłem skrzydeł i zniknąłem, materializując się przed Lorianem, siedzącym samotnie na swoim miejscu w kręgu. Pozostałe krzesła były puste, choć już nie na długo. Miałem tylko pięć minut, więc musiałem wykorzystać każdą sekundę. Od razu przeszedłem do sedna.

- Nie możesz ukarać Isabel,

Lorian podniósł wzrok i przez moment miałem wrażenie, że widzę cień uśmiechu i ulgi na jego twarzy.

- Witaj z powrotem, Arkarianie. Sądziłem, że już nigdy... Muszę powiedzieć, że doskonale wyglądasz.

Skierowałem rozmowę na właściwe tory.

- Owszem, z powodu Isabel. Jest utalentowaną uzdrowicielką, najlepszą, jaką kiedykolwiek miała Straż. Ma w tym momencie ogromny potencjał, ponieważ rozwija się jej drugi wzrok. Jej możliwości są wręcz niewyczerpane. Chcę pracować z nią nad ukształtowaniem tych talentów. Możliwe, że pewnego dnia będzie zdolna uzdrawiać na odległość. Zdajesz sobie sprawę, jakie ogromne korzyści by nam to przyniosło w potrzebie?

- Wiem o tym wszystkim, Arkarianie. Wiem, dlaczego Isabel złamała mój rozkaz. Musimy dzisiaj załatwić bardzo wiele spraw, a mamy mało czasu. Nie wątpię w nadzwyczajny talent Isabel i jego przydatność dla naszej sprawy, ale moja decyzja dotycząca jej przyszłości jest ostateczna. Żadne argumenty nie zdołają jej zmienić. Niepotrzebnie strzępisz sobie język i marnujesz czas wszystkich tu obecnych, Arkarianie. Sprawa ukarania Isabel jest zamknięta. A teraz - Lorian urwał, dając mi czas na przyjęcie do wiadomości jego słów — czy jest jeszcze coś, o czym chciałbyś pomówić?

Nieuchronność decyzji Loriana dotyczącej przyszłości Isabel wytrąciła mnie z równowagi. Z trudem szukałem potrzebnych słów.

- Ja... mam sporo pytań.

- Istnieje wiele rzeczy, o których nie wiesz. Pamiętaj, czego cię uczyłem, kiedy byłeś moim Uczniem: zaufaj

mi, ponieważ ja zawsze podejmuję decyzje, kierując się wyższym dobrem.

- Moje myśli są w tym momencie pełne wątpliwości, Lorianie. Obawiam się, że poświęcasz Isabel dla tego „wyższego dobra”.

Lorian gwałtownie uniósł głowę, jakby poczuł się dotknięty.

- Kwestia złamania przez Isabel moich rozkazów zostanie podniesiona tylko na jej przesłuchaniu!

- Niech tak będzie! Ale ta kwestia jest zamknięta tylko chwilowo.

Lorian sprawiał wrażenie rozbawionego tym, że ośmielał się stawiać żądania. Jednakże to, co zamierzałem powiedzieć, powinno szybko rozwiązać resztki jego dobrego nastroju.

- Lathenia nie ma klucza.

Nieśmiertelny zeszytniał, po czym natychmiast spojrział na mnie z niecierpliwością. -Wyjaśnij.

- Był ukryty w schowku w podłodze świątyni.

- Co takiego?!

- Matt go znalazł.

Lorian nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Niestety musieliśmy go tam zostawić - dodałem szybko.

- Nie mów mi nawet czegoś takiego! Ze wszystkich ludzi ty, Arkarianie, najlepiej zdajesz sobie sprawę z wartości tego przedmiotu!

- Nie mieliśmy czasu, a ponieważ najwyraźniej Matt był jedyną osobą, która mogła dotknąć klucza i nie stracić życia, nie mogłem mu pomóc go wyjąć.

Lorian westchnął.

- A zatem pozostał w świątyni, najprawdopodobniej odsłonięty, czekając tylko, aż Lathenia go znajdzie.

- Może nie być taki łatwy do znalezienia. Kiedy stamtąd uciekliśmy, świątynia została zniszczona.

Lorian kontemplował tę wiadomość w milczeniu.

- Masz jeszcze coś do przekazania? — zapytał w końcu.

- Nie. Mam jednak pytanie.

- Słucham.

- Kim jest mój ojciec?

Lorian uniósł brwi i przez moment myślałem, że nie zamierza mi odpowiedzieć.

-Ja jestem twoim ojcem, Arkarianie.

To był dla mnie szok, chociaż jakaś częśćka mojego umysłu podejrzewała, że taka może być prawda. Mimo wszystko, jak to było możliwe? Przez całe życie byłem przekonany, że Lorian nie ma żadnej określonej płci.

Lorian z łatwością przechwycił moje myśli.

- Urodziłem się mężczyzną, brak płci wynikał z mojej decyzji. Aby być dobrym przywódcą, musiałem stać się bezstronny i uczciwy. Czułem, że będzie to możliwe tylko wtedy, gdy zrezygnuję z tego aspektu cielesności i nie będę nikogo pragnął. Zaistniała jednak potrzeba

powołania na świat jeszcze jednego nieśmiertelnego. Na ten czas zdecydowałem się powrócić do męskiej postaci; gdybym stał się kobietą, zbyt długo musiałbym przebywać w świecie śmiertelników, zaniedbując moje obowiązki tutaj. To nie było możliwe. Dlatego wybrałem młodą dziewczynę, którą niedawno spotkałeś, aby została twoją matką. Niestety odeszła z tego świata. Zostało postanowione, że sprowadzimy cię, żebyś mieszkał tutaj i dorastał w pałacu. Jednakże nie wszystko poszło zgodnie z planem.

Tajemnica moich narodzin powoli zaczynała się wyjaśniać.

- Ponieważ nie urodziłem się nieśmiertelny. Musiałeś być niezwykle rozczarowany.

Lorian spuścił wzrok i na chwilę zamknął oczy.

- Tylko tym, że twoje życie będzie musiało się kiedyś skończyć.

Teraz już rozumiałem.

- Dlatego obdarowałeś mnie wieczną młodością. Głowa Lorian — mojego ojca — pochyliła się lekko w milczącym potwierdzeniu.

- Poza członkami Trybunału ofiarowałem ten dar tylko dwóm ludziom. I w jednym przypadku gorzko tego pożałowałem.

- Marduk.

- Tak. To była trudna decyzja, ale nasz uzdrowiciel zginął, a bez tego daru taki sam los czekałby Marduka. W tamtym czasie był wspaniałym Strażnikiem, mło-

dym, o ogromnych mocach i nieskończonym potencjale. Taka nagroda wydawała się właściwa.

Pomyślałem nagle, że jeśli mój ojciec jest zdolny do ofiarowania takiego daru, w jego mocy leży także odebranie go. Lorian opacznie zrozumiał moje myśli, zakładając, że chodzi mi o Marduka.

— Nawet nieśmiertelny ma swoje ograniczenia, Arkarianie. Nie mogę pozbawić Marduka mocy bez jego wiedzy, szczególnie teraz, gdy Lathenia bacznie go obserwuje. Nie przypuszczam, żeby przyszedł tutaj i udzielił mi swojej zgody.

Popatrzyłem ojcu prosto w oczy, bez wahania odwzajemniając jego spojrzenie.

— Ale masz moją.

Przez moment ojciec po prostu wpatrywał się we mnie, rozumiejąc, co powiedziałem, ale nie chcąc zaakceptować mojego życzenia.

— Chcesz, abym pozbawił cię daru wiecznej młodości?

-Tak.

— Wyjaśnij, Arkarianie.

— Isabel jest mi przeznaczona.

— Jestem tego świadomy.

— Nie może żyć w moim świecie, więc ja chcę żyć w jej.

Krzesło upadło, kiedy Lorian zerwał się i podszedł do mnie z wyrazem absolutnego niedowierzania na twarzy.

- Poświęciłbyś dla tej dziewczyny rzecz najbliższą nieśmiertelności?

- Tak. Żeby móc z nią być. - Odparłem natychmiast.
Z trudem zniosłem jego spojrzenie.

- W takim razie całe szczęście, że to ja jestem tutaj wyższą istotą, a nie ty, mój synu - powiedział w końcu Lorian.

Rozdział 34

Isabel

W tej samej chwili gdy weszłam do Komnaty Trybunału, zapadła cisza. Stałam w otwartych drzwiach; nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Przesunęłam spoconymi dłońmi po długiej białej tunice, w którą zostałam ubrana. Sama komnata wyglądała tak samo jak ostatnim razem, kiedy toczył się w niej proces. Ale tym razem ja miałam zostać osądzona, nie Ethan, a naruszenie prawa przeze mnie było znacznie poważniejsze.

Tak jak poprzednio, dziewięcioro członków Trybunału zajęło miejsca w kręgu. Ku mojemu zdumieniu król Ryszard II, chociaż nadal nie wyglądał najlepiej, siedział po prawicy lorda Penbarina. Zastanowiłam się, czemu wezwano go do kręgu, skoro nie był jesz-

cze zupełnie zdrowy. Miał stać się przedstawicielem Veridianu w Trybunale, odpowiadając za ostatni sektor Ziemi. Nie byłoby go tutaj, gdyby nie Ethan, który w zeszłym roku podjął ryzyko ocalenia jego życia. Najwyraźniej Lorian uważał, że król Ryszard czuje się dość dobrze, by siedzieć tutaj i obserwować proces.

Lorian gestem wezwał mnie, żebym weszła i zajęła miejsce na przygotowanym taborecie. Odetchnąłam głęboko i na trzęsących się nogach wkroczyłam do środka kręgu, gdzie z ulgą usiadłam. W tym momencie ogarnęło mnie uczucie ciepła i spokoju; od razu zrozumiałam, że siedzę na jednym z zabytkowych, rzeźbionych taboretów Arkariana. Musiał go dla mnie naszykować. Rozejrzałam się po komnacie w poszukiwaniu Arkariana - był tam i przyglądał mi się swoimi fiołkowymi oczami, a ja poczułam się silniejsza, spokojniejsza i gotowa na przyjęcie każdego wyroku.

Dzięki temu wewnętrznemu spokojowi odważyłam się rzucić szybkie spojrzenie na twarz nieśmiertelnego, starannie unikając jednak jego wzroku. Poprzednio było to dla mnie bardzo trudne, ale to, co teraz dostrzegłam, zaskoczyło mnie. Na twarzy Loriana malował się namysł; czoło i brwi miał zmarszczone, a oczy spuszczone. Przez chwilę żałowałam, że nie jestem myślowidzącą i nie mogę odczytać myśli Lorian.

Nieśmiertelny wstał i unióś obie ręce.

- Karą za złamanie bezpośredniego rozkazu jest śmierć — powiedział.

Wokół mnie wybuchł gwar, Arkariana, Ethana i Mat-ta trzeba było siłą przytrzymać. Słyszałam wprawdzie wyrok, ale jakaś' część mnie była nieobecna, zupełnie jakby to mnie nie dotyczyło. Jakbym obserwowała wszystko zza zasłony.

Lorian obrócił się w bok, a przede mną pojawiła się sfera holograficzna, pokazująca obraz mojej szkoły. Obraz przybliżył się, tak że mogłam zobaczyć wnętrze klasy i wygłupiających się uczniów. Obraz powiększył się jeszcze bardziej i miałam teraz wrażenie, że jestem z nimi w klasie, a profesor Carter stoi przy tablicy.

Pierwszą rzeczą, która rzuciła mi się w oczy, był brak szkolnych mundurków. Uczniowie byli ubrani, w co tylko chcieli - krótkie spódniczki, sukienki, wydekoltowane topy, czarne ciuchy, niektórzy z łańcuchami i kolczykami we wszystkich możliwych miejscach, inni z wygolonymi głowami albo włosami, które wyglądały, jakby od miesiąca nie widziały grzebienia. Kilkoro nosiło dzinsy podarte na kolanach, udach i praktycznie wszędzie indziej.

Drugą rzeczą był hałas. Craig Johnson wstał i rzucił coś przez klasę. Zrobiłam unik, bo pocisk leciał prosto na mnie. Okazało się, że to tylko długopis, ale uderzył Zoe Fielders w tył głowy. Wychyliła się do połowy z ławki i bluznęła przekleństwami. Profesor Carter postukał linijką w tablicę i krzyknął na uczniów, żeby ich uspokoić. W odpowiedzi usłyszałam kolejne bluzgi, a ktoś rzucił w niego książką - podręcznikiem do historii, z którego

aktualnie korzystaliśmy. Profesor Carter złapał książkę w locie i z głośnym łoskotem położył na biurku przed sobą. Jego twarz wyrażała czystą rozpacz.

- Co tu się dzieje? - zapytałam głośno.

Lorian niemal niedostrzegalnie poruszył głową i obraz zmienił się, pokazując lokalne centrum handlowe, gdzie uzbrojony mężczyzna, grożący klientom pistoletem, rabował Angel Falls Cafe. Właściciel, pan McGowan, drżącymi rękami podał mu pieniądze z kasy, zapakowane w szarą torbę. Bandyta uderzył go kolbą pistoletu i wybiegł na zewnątrz, do czekającego samochodu. Najgorsze w tym wszystkim było to, że rozpoznałam złodzieja - mieszkał w mojej okolicy i zawsze uważałam go za kochającego ojca rodziny, pracującego ciężko na jej utrzymanie.

Ponownie musiałam zapytać.

- Co się dzieje? Jak to możliwe? Znam tych ludzi.

- Tak teraz wygląda twój świat.

- Jak to? Jak mógł się zmienić tak szybko? Nie było nas tylko przez dziesięć dni.

- Wojna nasiliła się, a sytuacja jest poważna. Proroctwo zmieniło się i przepowiada teraz katastrofę. Jesteśmy bliscy całkowitej utraty kontroli nad wydarzeniami i zaprzepaszczenia jakiegokolwiek szansy na przywrócenie pokoju we wszystkich światach.

Obraz mojego rodzinnego miasta zniknął, a Lorian stanął koło mnie. Nie mogłam powstrzymać myśli, że to wszystko moja wina. Ponieważ pozostawiliśmy

Veridian osłabiony na dziesięć dni, Bogini skorzystała z okazji i przyspieszyła swoją kampanię. I najwyraźniej odnosiła sukcesy. Nie potrafiłam nic poradzić na łzy, które napłynęły mi do oczu i zaczęły spływać po policzkach.

Lorian dłuższymi niż u człowieka palcami dotknął mojego podbródka, zmuszając mnie, żebym podniosła oczy. Nie chciałam tego robić, ponieważ moc emanująca z tego dotknięcia sprawiała, że miałam ochotę uciec. Ale nacisk dłoni Lorianana nasilił się, a ja zrozumiałam, że to nie jest prośba, tylko rozkaz. Jeden zdążyłam już złamać, więc wzięłam głęboki oddech i uniosłam głowę.

Intensywnie fiołkowe oczy wpatrywały się we mnie, nie pozwalając mi się ruszyć. Trudno mi było wytrzymać surowy wzrok Lorianana.

- Czy myślisz, że podejmuję decyzje pochopnie, Isabel?

Potrząsnęłam przecząco głową, a potem powoli zwilżyłam usta i odpowiedziałam na głos.

- Nie, oczywiście, że nie.

- Czy chciałabyś coś powiedzieć?

- Tak. - Spróbowałam to jakoś wyjaśnić: - Jest mi naprawdę przykro. Kiedy zamierzałam uratować Arkariana, nie chciałam, żeby wiązało się to z takimi zniszczeniami. Ale...

-Ale?

Odetchnęłam głęboko.

- Zrobiłabym to jeszcze raz, ryzykując nawet więcej, żeby sprowadzić Arkariana z powrotem.

W komnacie zapadła grobowa cisza. W końcu odezwał się Lorian.

- Isabel, jak myślisz, kto otworzył szczelinę?

Co on chciał przez to powiedzieć? O ile wiedziałam, szczelina została otwarta przez... Nie chciałam nawet w myśli wymieniać ich imion, żeby nie ściągnąć oskarżeń na trójkę lordów.

Jednakże osłanianie myśli było bezużyteczne, ponieważ Lorian znał każdą z nich.

- Isabel, szczelinę może otworzyć tylko nieśmiertelny lub jego potomek dysponujący nieśmiertelnymi mocami.

- Arkarian! - wyszeptałam to, co w głębi serca wiedziałam od początku. Arkarian musiał być synem Lorian! Ale czy to znaczyło, że Lorian chciał, żebym uratowała Arkariana?

Lorian odpowiedział, chociaż nie zadałam tego pytania na głos:

- Isabel, musisz zrozumieć, że Arkarian jest niezbędny dla naszego przetrwania i zwycięstwa nad siłami chaosu. Nigdy nie było cienia wątpliwości, że trzeba zorganizować wyprawę ratunkową. Pozostawało tylko pytanie, kto jest dość silny, aby zmierzyć się z wyzwaniem świata podziemnego. Dlatego wymyśliłem tę próbę, którą zdałaś na medal. Byłem też zadowolony, że Ethan postanowił wybrać się z tobą. Zaskoczy-

ło mnie natomiast - Lorian objął Matta spojrzeniem - że twój brat zdecydował się do was dołączyć. To był jedyny nieprzewidziany element planu. Lady Arabella zorientowała się w ostatniej chwili, mogła tylko zapewnić mu ciepłą odzież.

Słowa nieśmiertelnego odebrały mi mowę. To nie była prawda, że Lorian nie chciał ratować Arkariana! To była tylko próba, mająca na celu wyłonienie najsilniejszej osoby. Kogoś dostatecznie zdeterminowanego, aby przetrwać trudy i wyzwania, których Lorian oczywiście się spodziewał.

Przytrzymałam się taboretu, żeby z niego nie spaść.

- Tym samym - Lorian cofnął się o krok, zostawiając mi przestrzeń konieczną do oddychania - zostajesz oczyszczona z zarzutu złamania rozkazu. Należy ci się natomiast pochwała za odniesiony sukces i niespotykaną odwagę.

Zgromadzeni zaczęli wiwatować. Poszukałam wzrokiem Arkariana i napełniła mnie gorzko-słodką radość. Miałam pozostać wolna, ale po co mi była ta wolność, skoro Arkarian nie chciał stać się częścią mojego życia? Widzenie się z nim tylko wtedy, gdy będzie zlecał nam misje, będzie dla mnie męką.

- Jest jeszcze jedna sprawa, którą musimy zająć się dzisiaj, zanim powrócicie do swoich domów - odezwał się Lorian i popatrzył na siedzącego po przeciwnej stronie komnaty Arkariana. - Zbliź się i stań w kręgu, Arkarianie.

Kiedy Arkarian posłuchał, Lorian oznajmił zgromadzonym:

- Arkarian przedłożył mi dzisiaj dwie prośby. Pierwszą, której nie chciałem z nim omawiać, była prośba o ułaskawienie Isabel. Jednakże ta druga nie tylko zaskoczyła mnie, ale i wstrząsnęła mną głęboko. Tak głęboko, że postanowiłem podjąć odpowiednie działania.

W komnacie rozległ się stłumiony gwar. Stojący obok mnie Arkarian wsunął dłoń w moją dłoń, ale poza tym pozostał nieruchomy.

- Aby mógł żyć w tym samym świecie, co dziewczyna, którą kocha, Arkarian poprosił mnie o odebranie mu daru wiecznej młodości - rzekł Lorian.

Gwar przybrał na sile, ale ja ledwie go słyszałam. Całe moje ciało zaczęło dygotać na tę wiadomość. Arkarian był gotów pozbyć się mocy powstrzymującej starzenie i chciał to zrobić, żeby być ze mną. Nie mogąc powstrzymać drżenia, podniosłam na niego spojrzenie.

- Zrobiłbyś to dla mnie?

- Zrobiłbym o wiele więcej - odparł po prostu. Teraz zrozumiałam, dlaczego Arkarian trzymał się

wobec mnie na dystans. Jego dar wiecznej młodości sprawiał, że żyliśmy w różnych światach. Jednakże, chociaż szanowałam prawo Arkariana do własnych decyzji, uznałam, że ta jedna nie powinna być tylko jego decyzją.

- Arkarianie, nie mogę ci na to pozwolić. To nie byłoby w porządku.

Lorian uniósł ręce i członkowie Trybunału, a także pozostali zgromadzeni, zamilkli. Popatrzył na nas, stojących obok siebie.

- Zgadzam się z tobą, Isabel. -Ale...

Lorian oddalił sprzeciw Arkariana, zanim ten ostatni zdążył go wyrazić.

- Dlatego postanowiłem obdarzyć Isabel tą samą mocą.

- Co takiego?! - wyrwało mi się.

- Czy tego pragniesz, Isabel? - zapytał Lorian. - Zastanów się nad odpowiedzią.

Prześliznęłam się spojrzeniem po komnacie. Nigdy się nie zestarzeć? To by było cudownie! Ale czy zniosłabym patzenie, jak moja rodzina i przyjaciele starzeją się i umierają? W polu mojego widzenia pojawił się Arkarian, którego fiołkowe oczy migotały kryjącą się w nich miłością. Zrozumiałam, że poradzę sobie ze wszystkim, jeśli tylko będziemy razem. Rozejrzałam się za Ethanem i Mattem. Ethan marszczył brwi, Matt miał otwarte usta.

Lorian wyciągnął rękę w ich kierunku.

- Idź i porozmawiaj z nimi.

Zostawiłam Arkariana w kręgu i podeszłam do Ethana i Matta. Przez chwilę nie odzywaliśmy się. W końcu Ethan skinął głową.

- Myślę, że powinnaś się zgodzić. To zbyt wspaniała okazja, żeby ją przepuścić.

- Ale będę za tobą okropnie tęsknić.

- Mimo wszystko myślę, że to dobra decyzja. Na twoim miejscu zrobiłbym to.

Słowa Ethana dodały mi otuchy. Odwróciłam się powoli do Matta, który unikał mojego spojrzenia.

- Kochasz go? - zapytał wreszcie. - Tak.

Skinął głową.

- Więc powinnaś się zdecydować.

- Jesteś pewien?

Zawahał się, ale jego odpowiedź była stanowcza.

- Jestem pewien.

Uściskałam ich obu i wróciłam do kręgu. Arkarian wziął mnie za rękę, a ja mocno ścisnęłam jego dłoń, a potem spojrzałam na Lorianą.

- Panie, przyjmuję twoją szczodłą propozycję.

Na te słowa Lorian położył na mojej głowie ręce, z których popłynęło światło, okrywając mnie jak ciepły, płynny płaszcz. Na chwilę zostałam oślepią, a moje ciało dygotało z powodu przepływającej przez nie mocy daru nieśmiertelnego. Kiedy było po wszystkim, a Lorian cofnął dłonie, opadłam na taboret.

- Wszystko w porządku? - zapytał Arkarian.

- W najlepszym - odparłam, chociaż nie czułam żadnej różnicy.

- Potrzeba czasu - powiedział. - Masz dwa lata, żeby do tego przywyknąć. Dar nie zacznie działać, dopóki nie skończysz osiemnastu lat.

Lorian podchwycił wypowiedziane przez Arkariana słowo „czas” i nadał mu inne znaczenie. Rozłożył szeroko ręce, a kiedy w Komnacie zapadła cisza, nieśmiertelny przemówił do zgromadzonych:

- Idźcie teraz i wypełniajcie swoje obowiązki wobec Straży. Nie mamy wiele czasu, a czeka nas najtrudniejsza próba. Pamiętajcie, że przez cały czas kryje się między nami zdrajca. I nie wpadajcie w rozpacz, gdy moja siostra wypuści na świat śmiertelników niewypowiedziane zło.